

Roan

Blake Jennifer

Książka II z Rodzina Benedictów



calibre 0.9.43

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okazja, na którą czekała, nadarzyła się trzeciego wieczoru.

Victoria Molina-Vandergraff, przepełniona wściekłością i odrazą, w każdej chwili gotowa była do działania, a mimo to niewiele brakowało, by zaprzepaściła swoją jedyną szansę.

Jeszcze przed sekundą leżała związana na podłodze skradzionej furgonetki, przeklinając w duchu dwóch drani, siedzących z przodu, oraz ponaglając policjanta, który ich ścigał.

Nagle furgonetka na mokrym zakręcie wpadła w poślizg i Vickie potoczyła się po brudnym dywaniku. Samochód wypadł z szosy i przez pełną napięcia chwilę frunął w powietrzu, a potem uderzył w drzewo.

Powietrze wypełnił trzask rozdieranego metalu, a szyby rozbiły się w drobny mak i z brzękiem opadły na podłogę.

Vickie ześliznęła się po dywaniku, aż wreszcie zdołała się chwycić bocznej ścianki. Furgonetka odskoczyła do tyłu, silnik zamarł.

Reflektory radiowozu przecięły ciemność, zazgrzytały hamulce, żwir wzbił się w górę. Sekundę później z megafonu rozbrzmiał głęboki, pełen złości głos funkcjonariusza.

- Wsiadać! Ręce przed sobą! Już!

- Cholera! Co mamy zrobić?

Porywacz, którego setki kilometrów temu, jeszcze na drogach Florydy, nazwała Gburkiem, wywarczał to pytanie do kumpla siedzącego za kierownicą. Gapcio, który szarpał

dźwignią biegów, by wrzucić wsteczny bieg, a jednocześnie

6

ROAN Jennifer Blake

kręcił kierownicą tak, że koła coraz bardziej zapadały się w

błoto, jak zwykle wyjęczał tylko jakieś przeprosiny.

Gburek puścił wiązaną małą wymyślnych przekleństw, starając się przy tym zobaczyć coś przez

okno.

- Jezu, to auto szeryfa z tej dziury! Jest napis na masce.

- Widzę tylko wielkiego faceta z pistoletem - pisnął Gapcie Pochylony w swoim fotelu, jakby całym ciałem chciał

zmusić samochód do jazdy, nadal szarpał dźwignię biegów.

- Zabije nas! Mówiłem ci, że włamanie do tego sklepiku to

głupi pomysł, ale ty powiedziałaś: „Wcale nie. Turn-Coupe to

zacfane lujzańskie miasteczko. Nie będą mieli kamer bezpieczeństwa, ani alarmu, ani glin na nocnym dyżurze...”.

- Do diabła, skąd mogłem wiedzieć?

- To ty jesteś mózgiem, no nie? A teraz już po nas. Takiego

wielkiego szeryfa z prowincji mało obchodzi, do kogo strzela.

- Mnie nie zastrzeli!

Gburek gwałtownym ruchem wyciągnął ze schowka pistolet, a potem zanurkował pod deskę rozdzielczą i poczołgał się między fotelami.

- Dokąd idziesz? - spytał Gapcio, wciąż mordując się z

dźwignią biegów. Furgonetka przejechała kilka centymetrów.

- Stworzyć sobie możliwość ucieczki.

- A jak, do diabła, zamierzasz to zrobić?

Gburek, który czołgał się do Vickie, nie odpowiedział.

Ujrzała jego zęby, lśniące w świetle reflektorów radiowozu.

Rozpaczliwie przycisnęła się do ścianki, bo zobaczyła, że Gburek wypycha pistolet za pasek i wyciąga z buta nóż. Zanim zdą

żyła nabrać powietrza i krzyknąć, przeciął taśmę, którą miała

związane nogi i ręce, a potem kazał dziewczynie wstać.

- No - burknął i zaśmiał się złośliwie - wygląda na to,

że to twój szczęśliwy dzień.

- Co chcesz zro...

ROAN Jennifer Blake

Gburek nie dał jej skończyć, tylko popchnął ją mocno na

tył furgonetki, a wolną ręką wyciągnął zza paska pistolet.

Uruchomiony wreszcie przez Gapcia silnik zawył, furgonetka podskoczyła i znów rąbnęła w drzewo. Vickie zanurkowała ku tylnym drzwiom. Gburek skoczył na nią, uderzył ją ramieniem w głowę i z impetem pchnął na oszklone drzwi. Poczła się tak, jakby mózg obijał jej się w czaszce. Przez chwilę widziała tylko czerwoną mgłę, a w głowie poczuła straszny

ból. Jednak gdzieś, w jakimś zakamarku umysłu, zanotowała

głuchy stuk, który pojawił się w momencie, gdy pistolet Gbur-

ka upadł na podłogę.

Bandzior zaklął. Odpychając Vickie, zaczął macać wokół

siebie, by znaleźć broń.

- Wysiadać! Natychmiast!

- Ten cholerny glina już nas ma - mamrotał Gapcio w

panice. - Musimy jakoś rozkołysać tę kupę złomu...

Nagle Vickie poczuła się jak bohaterka surrealistycznej opowieści, a głęboki, wibrujący głos policjanta, dobiegający z ciemności, przywodził jej na myśl bohaterskich szeryfów, którzy w licznych filmach akcji pojawiają się w ostatniej chwili i ratują z opresji niewinnych ludzi...

Powoli uniosła się i przez okno tylnych drzwi zobaczyła

ciemną sylwetkę „jej” szeryfa. Postąpił do przodu, a widoczny w światłach reflektorów ogromny cień jego postaci przypominał legendarnego olbrzymia. Gapcio uparcie wrzucił tylny bieg, aż wreszcie w powietrzu rozszedł się smród palonej gumy, a z

jowu wytrysnęły fontanny błota i opadły na zwirową drogę.

- Taa, wyjdziemy, ale nasza bogata dziwka wyłazi pierwsza. - Gburek wyminął Vickie, by otworzyć tylne drzwi.

Chciał jej użyć jako tarczy, lecz ona miała swój plan, wysnuty z filmowych doświadczeń. Obawiała się tylko jednego: w kinie takie rzeczy się udawały, ale nie była pewna, czy ten

prowinjonalny szeryf zechce zachować się jak policjant z ekranu. Przecież nie wiedział, że została porwana. W ogóle nic o niej nie wiedział.

- Czekaaj! - wrzasnął Gapcio, gdy furgonetka znów skoczyła do przodu, zataczając się w koleinach, które sama wy

źłobiła. - Już ruszamy!

Lecz Vickie nie zamierzała dalej z nimi jechać.

Gdy Gburek odwrócił głowę, by ocenić szansę ucieczki, zerwała się na nogi, ale szarpnięcie furgonetki znów powaliło ją na podłogę... i łokciem zawadziła o pistolet. Natychmiast pochwyciła go w dłonie.

Gburek okręcił się na pięcie i Vickie ujrzała błysk noża w jego ręce.

- Stój! - Uniosła pistolet i zacisnęła palce na spuście.

Dzięki kursowi samoobrony, na który uczęszczała jeszcze przed pójściem do college'u, umiała strzelać. I zrobi to, jeżeli będzie to jej jedyna szansa.

Gburek zatrzymał się w miejscu. Stali naprzeciw siebie jak skamieniali.

- Chris, udało się! - wrzeszczał Gapcio. - Jedziemy!

Furgonetka ruszyła. Vickie odskoczyła do tyłu, wymacała klamkę drzwi i przekręciła ją, potem dla złapania równowagi chwyciła się za framugę - i skoczyła.

W następnej chwili kierował nią czysty instynkt, wykształcony dzięki długim latom uprawiania gimnastyki i znajomości z kapitanem drużyny skoczków spadochronowych, który uczył

ją opadać na ziemię tak, by nie skrócić sobie karku. Wykorzystując impet, potoczyła się w kierunku szeryfa, by znaleźć się jak najdalej od porywaczy. Wreszcie z wielkim wdziękiem,

choć nieco chwiejnie, zerwała się na nogi i stanęła przed szeryfem - z ciężkim pistoletem w dłoniach. Odrzuciła na plecy włosy związane w gruby ogon, dzięki czemu przejrzała na oczy,

i zaczęła szukać na ponurej twarzy policjanta potwierdzenia, że jest już bezpieczna.

A potem zrozumiała. Był to olśniewający błysk świadomości, który o ułamek sekundy poprzedził prawdziwy czerwono-pomarańczowy płomień, który wytrysnął z lufy pistoletu trzymanego przez wysokiego mężczyznę. Pojedynczy strzał zabrzmiał jak salwa armatnia. Vickie, pchnięta z porażającą siłą, upadła do tyłu. Koński ogon smagnął ją w twarz, pistolet wyleciał jej z ręki. Padła na żwir pobocza, oszołomiona i bezsilna, niezdolna nawet do tego, by oddychać. Najpierw spojrzała na nocne niebo, a potem zauważyła ciemny strumień krwi, który rozkwitał jak ciemny kwiat na brudnym białym jedwabiu, niegdyś będącym górą kostiumu do joggingu.

Usłyszała ryk silnika furgonetki i poczuła wstrząs ziemi, gdy pojazd wyrwał się z kolein, wznecając chmurę błota i żwiru. Szeryf wykrzyczał jakiś rozkaz i znów strzelił, na co Vickie zadrżała i pisnęła jak przerażone zwierzątko.

Furgonetka nie zatrzymała się, tylko z trzaskiem dartego metalu pomknęła przed siebie, aż wreszcie warkot silnika zamarł w oddali.

Teraz dopiero Vickie poczuła straszliwy ból w ramieniu i piersi. Chciała zwalczyć go albo uciec od niego, a przede wszystkim chciała krzyczeć - ale nie mogła. Rozchyliła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W kącikach oczu zebrały jej się łzy i popłynęły ciepłą strugą.

Usłyszała szelest żwiru, a po chwili pochyliła się nad nią cienista sylwetka. To szeryf kucnął obok niej. Zawahał się, wyciągnął rękę i przyłożył palce do jej szyi, gdzie pod skórą

pulsowała krew. Dotyk był ciepły, bezosobowy, ale znać w

nim było doświadczenie. Po sekundzie policjant przerwał badanie i przeciągnął palcami po łagodnym wzniesieniu jej piersi, 10 ROAN Jennifer Blake

rysującym się pod jedwabnym topem. Wszeptał jakieś przekleństwo i przysiadł na piętach.

Vickie zamrugła powiekami, żeby usunąć sprzed oczu

mgłę, i skoncentrowała spojrzenie na mężczyźnie, który do niej

strzelał. W żółtozłotym świetle reflektorów radiowozu jego

twarz była surowa, chociaż na swój sposób przystojna. Srebrzyście lśniąca odznaka w kształcie gwiazdy, przypięta do kieszeni koszuli, wydawała jej się symbolem wszechmocnej władzy i jednocześnie groźbą. Uderzyło ją, że w porównaniu z jej oblepionym błotem i poplamionym krwią kostiumem, jego

idealnie wykrochmalony i wyprasowany mundur wydaje się

wprost nieprzyzwoicie nieskazitelny.

- Strzeliłeś do mnie. - W tym wyszeptanym oskarżeniu

brzmiało również zdumienie.

- A czego, do diabła, się spodziewałaś, skoro wyskoczyłaś

na mnie z tym?

Do tej pory szeryf trzymał przy zgiętym kolanie pistolet,

który wypuściła, gdy strzał rzucił nią o ziemię. Teraz go uniósł

i zważył w ręce. Vickie pomyślała, że właśnie takiego postępowania, pełnego logiki i przestrzegającego zasad bezpieczeństwa, był nauczony, ale przez tę ostrożność i brak pośpiechu, gdy policjant sprawdzał, czy ona jeszcze żyje, czy też ją zabił, poczuła się jeszcze bardziej skrzywdzona.

- To nieprawda - powiedziała, starając się mówić

stanowczym tonem, by nie okazać, jak bardzo jest wystraszona.

Jeżeli nawet ją usłyszał, nie zwrócił uwagi na jej zaprzeczenie. Pochylił głowę i zaczął mówić do czegoś, co pewnie było mikrofonem przyczepionym do rękawa koszuli.

- Dyspozytornia? Przyślij karetkę dla rannej podejrzanej.

Rana od kuli. Miejsce: Gunter's Road, cztery kilometry na po

ładnie od skrzyżowania z szosą 34.

ROAN Jennifer Blake 11

- Już jedzie, szeryfie - padła odpowiedź wypowiedziana ochryłym kobiecym głosem.

Jednak chyba nie było mu zupełnie obojętne, co się z nią stanie. Vickie spróbowała jeszcze raz wyjaśnić swoje położenie:

- Ja nie jestem... nie jestem podejrzaną.

Spojrzał na nią, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Podstawił pod światło pitolet, zawinięty w chusteczkę dla zachowania odcisków palców, sprawdził magazynek i wysypał naboje na rękę. Schował je do kieszeni, a potem znów spojrzał

na Vickie.

- Zaczekaj - powiedział obojętnie. - Zaraz wracam.

Vickie popadła w irracjonalną panikę.

- Dokąd... dokąd idziesz?

- Do radiowozu, po apteczkę. Jak mówiłem, zaraz wracam.

Co za małomówny człowiek! Nawet nie pofatygował się, by zapytać ją, jak się czuje, kim jest, ani co robiła w furgonetce.

I na pewno nie miał wyrzutów sumienia, że ją postrzelił, bo nie zdobył się nawet na wypowiedzenie tym swoim głębokim, cudownym, gęstym jak melasa głosem, jakiegoś zdawkowego

„Przepraszam, psze pani”.

Vickie patrzyła za nim, gdy odchodził. W jego długich krokach była pewność siebie i wdzięk. Szedł szybko, jakby mu się spieszyło. Jego wysoka postać migotała i zlewała się z cieniami, aż wreszcie rozmyła się przy bagażniku radiowozu. Vickie przez chwilę nawet się zastanawiała, czy w ogóle ktoś taki tu był.

Ostry ból w ramieniu jakimś cudem powoli się uspokajał, a ciepła krew ogrzewała jej skórę pod pachą. Poczowała się lekka,

jakby niematerialna. Była bardzo zmęczona, przymknęła więc powieki. Wiedziała, że traci przytomność, lecz nie przejęła się tym, pragnęła bowiem o wszystkim zapomnieć i uciec od całego zła, które jej się wydarzyło. Przestała się opierać.

12

ROAN Jennifer Blake

Do świadomości przywrócił ją ból. Szeryf rękami mocno uciskał jej ramię. Tortura była straszliwa i Vickie zrobiło się niedobrze. Zesztywniała i zdrową ręką zasłoniła usta.

- Skarbie, nie odchodź! - rozkazał policjant stanowczym tonem, jakim zwykł zmuszać ludzi do posłuszeństwa. - Nie wywiniesz się z tego tak łatwo.

- Z czego? - zapytała z trudem przez zaciśnięte zęby.

- Na początek mamy kradzież w sklepie.

- To... to nie ja. - W jej słowach było tak mało zdecydowania, że wcale jej nie zdziwiło, gdy nie wywarły na szeryfie żadnego wrażenia.

- Betsy nie zmyśla, tak samo jak jej kamery bezpieczeństwa

Mówił przez to, że to ona kłamała. Zmarszczyła czoło, by

się nad tym zastanowić, a wtedy odniosła wrażenie, że mózg

nie mieści jej się w czaszce, tylko tłucze się o kość nad okiem, by zrobić sobie więcej miejsca. Ostrożnie podniosła rękę i dotknęła palcami guza.

Szeryf odsunął jej rękę i sam przyjrzał się jej twarzy. Najwidoczniej zdecydował, że guz może poczekać. Odłożył jej rękę z powrotem na ziemię i zabrał się do otwierania kilku

pakietów, które przyniósł z apteczki. Vickie patrzyła na niego

przez rzęsy. Jego ruchy były spokojne i pewne. Rzeczy, które

wyciągnął z paczuszek, kładł na jej brzuchu, bo było to jedyne

miejsce zarówno czyste, jak i nie poplamione krwią. Wyglądało na to, że już przedtem musiał opatrywać postrzałowe rany, a Vickie zastanawiała się cynicznie, czy tamte osoby też zostały trafione przez samego szeryfa..

Ciągle jeszcze o tym myślała, gdy policjant wziął sterylne nożyczki i zaczął rozcinać jedwabny top, by odsłonić ranę.

Zimne nocne powietrze owiało jej ramię. Rozchyliła usta i łąpała powietrze gwałtownymi haustami, aż wreszcie znalazła w sobie dość sił, by powiedzieć:

ROAN Jennifer Blake

13

- Zostaw, nie dotykaj...

Spojrzał na nią z uwagą.

- Nie wbiję ci nożyczek w ciało, jeżeli tego się obawiasz.

- Nie o to...

- Naprawdę?

Rozumiał o wiele więcej, niż się wydawało, pomyślała, skupiając spojrzenie na jego twarzy. Za kurtyną długich, ciemnych rzęs w jego oczach lśniła inteligencja.

Przyłożył tampon do rany, a potem znów się pochylił i z

całej siły go przycisnął. Vickie szarpnęła się, z jękiem złapała powietrze, a potem rozpaczliwie zacisnęła palce zdrowej ręki

na ramieniu szeryfa, wbijając mu paznokcie w ciało.

- Nie walcz ze mną - powiedział spokojnie. Nawet nie

spojrzał tam, gdzie trzymała go jak szponami. - Chyba nie

chcesz się wykrwawić na śmierć, a jedyny sposób, by do tego

nie doszło, to z całej siły uciskać ranę. W ten sposób doczekamy się karetki.

- Boli - wyszeptała.

- Nic na to nie poradzę, ale muszę mieć pewność, że prze

żyjesz.

Może i miał rację, ale wcale nie było jej przez to łatwiej.

Był tak blisko, za blisko. Czowała ciepło jego ciała, zapach czystego munduru, mydła i skóry, zmieszany z zapachem błota i krwi. Uciskał jej ranę naprawdę mocno i Vickie czuła się zupełnie bezwolna w jego rękach, ale nie wyczuwała w nim pragnienia zemsty. Na jego kwadratowej brodzie drgał mięsień, skórę wokół ust miał bladą, jakby nie był aż tak niewzruszony,

za jakiego chciał uchodzić. To, co zrobił, wcale go nie usatysfakcjonowało, a przynajmniej jej się tak wydawało. Trochę ją to pocieszyło.

No cóż, ona także nie czuła się jak na balu. Znów zamknęła oczy i jeszcze raz zaczęła tracić przytomność.

14 ROAN Jennifer Blake

- Kuzynka Betsy ucieszy się, widząc cię w więzieniu. To już drugi rabunek, odkąd kupiła swój sklep.

Vickie z mimowolnym uznaniem zrozumiała, że mówi do

niej, by nie pozwolić jej zemdleć. Chciała zaprotestować przeciw temu oskarżeniu, ale brakowało jej powietrza, a w głowie zaczynały rodzić się jakieś deliryczne obrazy. Wciąż uciskana

rana paliła żywym ogniem. Ból rósł z każdą chwilą. Vickie

wydawało się, że tym parzącym uciskiem szeryf piętnuje ją

jako kryminalistkę. Gorące łzy znów popłynęły szeroką strugą.

- Za pierwszym razem byli to dwaj chłopcy stąd. Szukali

łatwego szmalu - kontynuował szeryf. - Dostali wyrok w zawieszeniu i dozór sądowy, by byli nieletni. Betsy wściekła się, gdy ojciec jednego z nich przegrał łup syna w kasynach na

statkach z Natchez, a krewni złodzieja byli zbyt biedni, by

zwrócić ukradzioną sumę. Więc teraz będzie się domagała dla

ciebie surowej kary. Posiedzisz sobie.

Ból w ramieniu i bezlitosne słowa szeryfa nagle wprawiły

Vickie w furję. Aż jej się zrobiło czerwono przez oczami.

Uchwyciła się tej złości jak solidnego oparcia, bo pomagała

skupić myśli.

- Nie pójdę do więzienia! - krzyknęła ochryple.

- Myślisz, że nie podlegasz karze, bo jesteś kobietą? - Szeryf przycisnął jeszcze mocniej ranę, jakby po to, by podkreślić swoją nieograniczoną władzę.

- Nie podlegam, bo jestem niewinna. - Dziwne, ile wysiłku kosztowało ją ubieranie myśli w słowa. Znow zaczęła płakać. Łzy przesłoniły widok i mężczyznę klęczącego obok

niej otoczyła dziwna świetlana aureola.

- Raczej jesteś, skarbie. Włamanie z bronią w rękę, opór

przy aresztowaniu, nastawanie na życie funkcjonariusza. Niezła

lista przestępstw, za które będziesz musiała odpowiedzieć.

Mówiąc to, jednocześnie wolną ręką wycierał wilgotne

ROAN Jennifer Blake 15

smużki na jej policzkach. Vickie odwróciła się od tego ciepłego

dotyku, który niepokojąco przypominał pieszczotę. Nie chciała,

by widział, jak płacze. Była wściekła, że czuje się taka słaba,

podczas gdy on był taki silny.

- Do diabła, nie jestem twoim skarbem. I nikogo... nie

okradłam. I prędzej znajdziesz się w piekle, niż ja spędzę choć

jeden dzień w twoim głupim więzieniu.

- Sama wykrwawisz się tutaj na śmierć, jeżeli nie będziesz

leżała spokojnie i nie pozwolisz mi się sobą zająć.

- Żebyś ty mógł mnie wpakować do pojedynczej celi. - Łapała powietrze krótkimi haustami, wiedząc, że powinna się opanować, ale była zbyt rozżalona i zrozpaczona, by zachować spokój. Nie dość, że Gapcio i Gburek wlekli ją ze sobą przez

trzy koszmarne dni, to jeszcze na dodatek grozi jej więzienie!

To już była ostatnia kropla, która przepelniła kielich goryczy.

- Och, no dobrze, zapewnię ci towarzystwo. Ci łajdacy,

którzy cię tu porzucili, ci twoi tak zwani przyjaciele, powinni

się okazać miłymi towarzyszami w niedoli.

- Jeżeli zdołasz ich złapać.

Ledwo to powiedziała, a już pojęła, że popełniła błąd, używając tak ironicznego tonu.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś - odparł ostro i natychmiast skontaktował się z dyspozytorką. - Sherry, jak się rozwija sytuacja?

- Podejrzanych nie zlokalizowano, szeryfie Benedict. - Dyspozytorką zdała sprawozdanie z poszukiwań prowadzonych przez sześć radiowozów. - Jednostka 120 znajduje się w sektorze wschodnim.

- Dziś w nocy dyżur ma Cal, prawda?

- Tak.

- Niech sprawdzi drogę pożarową.

- Tak jest.

16 ROAN Jennifer Blake

Słuchając tej rozmowy, Vickie popadała w coraz większą depresję. Musiała zrewidować swoją opinię o tym szeryfie.

Chyba jednak nie jest głupim prowincjuszem. Jego szybka akcja i nowoczesne wyposażenie, nie wspominając już o władczym wyrazie oczu, sugerowały coś zupełnie innego. To prawda, że pozwolił uciec Gburkowi i Gapciowi, ale to jej wina.

Przecież mógł ją zostawić tu, na drodze i pogonić za nimi.

Fakt, że tego nie zrobił, coś o nim mówił.

Na ogół nie miała zwyczaju myśleć stereotypami ani oceniać ludzi na pierwszy rzut oka. A może jednak tak? Harrell z całą pewnością zdołał ją ogłupić swoimi olśniewającymi

uśmiechami i wyszukаныmi manierami. Otumanił ją do tego

stopnia, że obiecała wyjść za niego... Ale teraz nie będzie o

tym myślała. Jej były narzeczony nie jest mężczyzną, na którego chciałaby jeszcze kiedykolwiek

tracić czas.

- Więc uciekli - powiedziała na tyle spokojnie, na ile potrafiła się zdobyć.

Szeryf wzruszył ramionami. Przy tym ruchu mięśnie pod

koszulą napięły mu się, a potem zaraz rozluźniły.

- Może. Teren wokół jeziora Końskiej Podkowy to płatanina starych tartaków, szybów naftowych, drózek i ścieżek, które wiodą do obozów rybackich. Jeżeli mają dość rozumu,

by wygasić światła furgonetki i przycupnąć w zaroślach, kilkaset metrów od jakiegoś mało uczęszczanego szlaku, najpewniej ich nie znajdziemy.

- Nie wydajesz się tym zmartwiony.

- Turn-Coupe zamieszkuje zżyta społeczność. Troszczymy

się o siebie nawzajem. Wszyscy się tu znają i obcych natychmiast się odróżnia. - Uśmiechnął się. - Ktoś ich zauważy i zadzwoni do mnie. Zawsze tak się dzieje.

Nie miała wątpliwości, że szeryf mówi prawdę. Był takim

mężczyzną, jakiemu się instynktownie wierzy. Autorytet w jego

ROAN Jennifer Blake 17

głosie i aura władczości przekonały ją do niego już w chwili,

gdy wyskakiwała z furgonetki. Lecz w jej przypadku to był

błąd, i pewnie będzie musiała sporo zapłacić, by go naprawić.

- Mocno tu przyciskaj - powiedział i przyłożył jej zdrową

rękę do opatrunku na ramieniu. Wzdrygnęła się, gdy uraził ją

w nadgarstek, poraniony przez Gburka, gdy przecinał taśmę.

Szeryf trochę się odsunął, aby światło z radiowozu oświetliło

ramię Vickie. Zmarszczył czoło.

- Co to jest?

- A jak ci się wydaje? - burknęła.

- Wygląda to tak, jakbyś była związana.

- Zdobyłeś pierwszą nagrodę w konkursie. - Z niezdrową

fascynacją pomyślała, że nadgarstek powinien ją boleć, ale palący ból w ramieniu i pulsowanie w głowie powodowały, że to skaleczenie wydawało jej się niczym.

Szeryf dopiero teraz dokładnie przyjrzał się Vickie. Zobaczył arystokratyczne, szczupłe palce, resztki idealnego mani-kiuru i gładką skórę na rękach. Te dłonie rzadko albo nawet

nigdy nie musiały zmywać naczyń czy sprzątać. Oszacował

jeszcze kosztowną białą jedwabną bluzkę, a potem spojrzał podejrzanej prosto w oczy.

- Tak więc - powiedział z ponurym domysłem - pozwoliłaś się skrępować dla zabawy?

Zachłusnęła się powietrzem tak gwałtownie, że aż zaboląo

ją gardło.

- Czy ja wyglądam... na kogoś, kto lubi takie zabawy?

- Wyglądasz...

Nagle zamilkł i Vickie ogarnął lęk, bo nawet w niepewnym

świecie reflektorów radiowozu zobaczyła, jak jego skóra ciemnieje. Przez krótką chwilę była o wiele za bardzo świadoma jego palców przesuwających się po jej piersiach, jego szerokich

ramion i stanowczego dotyku.

18

ROAN Jennifer Blake

- Oni mnie porwali! - krzyknęła.

- Jasne, porwali cię.

To, że jej nie uwierzył, bardzo ją zaboląo, ale dlaczego

miałaby się spodziewać, że szeryf z Luizjany jej zaufa? Nie

była nawet pewna, czy ojczym przyjąłby jej wersję zdarzeń,

a przecież znał ją lepiej niż ktokolwiek inny i był jedynym

człowiekiem na świecie, który przejąłby się tym, czy ona żyje,

czy też umarła. Gdy sobie uświadomiła ten fakt, złość natychmiast odpłynęła, a pozostał tylko smutek

i żal.

- Przyciskaj mocno - powtórzył szeryf i położył jej dłoń na opatrunku. Chwilę jeszcze zaczekał, a potem zabrał rękę, wziął nożyczki, przeciął bluzę Vickie na ramieniu i w dół, do pachy, oddzielił rękaw i zdjął z niej zakrwawiony materiał, odsłaniając maleńki koronkowy stanik. I znów zamarł w bezruchu.

Vickie zacisnęła zęby, by powstrzymać protest, zarówno z powodu jego zachowania, jak i bólu, jaki jej zadawał. Szeryf spojrzał

na nią, ale nic nie powiedział, i była mu za to wdzięczna.

Rozdarł jeszcze kilka opakowań opatrunków, przyłożył świeży tampon i wszystko umocnił elastycznym bandażem. Jej świadomość chwilami przyływała, to znów odpływała, jak fale na plaży na wyspie Sanibel, czyli miejscu, które najbardziej na świecie kochała. Czasami, gdy czuła się wyjątkowo mocno związana z morzem, kładła się na brzegu, z nogami w wodzie, czekając na przyływ. Fale powoli sięgały wyżej i wyżej, aż wreszcie zatapiały ją, załamując się nad jej głową. Teraz też tak się czuła, zupełnie jakby przetaczały się po niej czarne wody przyływu. Jeżeli na to pozwoli, jeżeli nie będzie walczyła,

fala zabierze ją w morze.

Jej rzęsy opadły, oczy pozostały zamknięte. Niewyraźnie czuła, że szeryf wyciera z jej skóry krew, uważając, by nie dotknąć rany. W powietrzu rozszedł się przenikliwy zapach alkoholu.

ROAN Jennifer Blake

- Sherry? Co z tą karetką? - krzyknął gniewnie do mikrofonu.

- Przepraszam, szeryfie - szybko odpowiedziała dyspozy-

torka. - Przełączę ich bezpośrednio na pana, żeby sami powiedzieli, kiedy dojadą.

Nastąpiła cisza, zakłócana jedynie cichymi odgłosami życia

nocnych stworzeń, a potem znów odezwało się radio. Kierowca

karetki oznajmił, że będą za pięć minut.

Vickie słyszała, jak szeryf wstaje i idzie do radiowozu,

zgrzytając butami po żwirze. Biało-niebieskie światła oślepiły

ją nawet przez zamknięte powieki. Szeryf zapalił migacz, by

karetka łatwiej mogła ich znaleźć.

Już do niej nie wrócił i Vickie poczuła się opuszczona. Próbowwała zignorować to odczucie, mówiła sobie, że jest oszołomiona tym, co się wydarzyło, a ten człowiek nie jest jej anio-

łem stróżem, tylko spełnił wobec niej swój obowiązek i niczego więcej nie powinna się po nim spodziewać. A poza tym przecież go nie zna ani nawet nie potrzebuje, niech sobie stąd

idzie i zostawi ją, by tu umarła w samotności.

Ale to wcale nie pomogło.

Jest sama i zawsze była sama, pomyślała i wstrząsnął nią

dreszcz. Nie miała ani prawdziwych przyjaciół, ani bliskiej rodziny, nikogo, kto by ją rozumiał albo troszczył się o nią i starał

się ją zrozumieć. I tak było od zawsze. Powinna była się już

do tego przyzwycząić. Nauczyła się ukrywać swoje lęki, udawać twardszą i bardziej wyrafinowaną, niż była w rzeczywistości, chować się za wymyślonymi postaciami, takimi jak zabawowa dziewczyna, osoba z najlepszego towarzystwa lub też księżniczka. Stała się w tym tak zręczna, że czasami sama się

zastanawiała, kim jest prawdziwa Victoria Molina-Vandergraff?

Szeryf wracał. Vickie usłyszała jego kroki. Szybko starła

drżącą ręką łzy z policzków, bo spostrzegła, że szeryf z Turn-

-Coupe zauważa rzeczy, które kto inny mógłby przeoczyć. Na tę myśl przebiegł ją dreszcz.

- Zimno ci?

Ukucnął koło niej i przesunął palcami po gęsiej skórcie na jej na rękach. Ten dotyk spowodował nowy, tym razem dużo dłuższy dreszcz.

- Nie - szepnęła. - To znaczy tak... Nie wiem. Noc jest ciepła, ale czuję takie zimno... w środku.

- To szok po urazie - powiedział cicho, jakby do siebie.

Odwrócił się i spojrzał na drogę, pochyliwszy przy tym głowę, jakby nasłuchiwał, czy karetka już jedzie. Mijała sekunda za sekundą, lecz wokół wciąż panowała cisza. Szeryf wymruczał jakieś przekleństwo i odwrócił się z powrotem do Vickie.

Wyciągnął się obok niej na ziemi, po lewej stronie, gdzie była ranna. Lekko ją odsunął, podłożył jej ramię pod głowę

i przytulił. Objął ją przez pierś i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie, tak że cała była wciśnięta w jego ciało.

- Co robisz? - szepnęła.

Gdy odpowiadał, jego gorący oddech musnął jej policzek.

- Przepraszam, ale to najlepszy sposób, żeby cię ogrzać, zanim przyjedzie karetka z kocem termicznym.

Vickie wiedziała, że nie powinna pozwolić na taką bliskość, ale nie mogła zdobyć się na protest. Tak potrzebowała ciepła

jego ciała, że bliskość bliskość szeryfa była w pełni usprawiedliwiona i właściwa. Mimo to znów

zaczęła drżeć, a mięśnie jej uszkodzonego ramienia kurczyły się, by zachować ciepło, a to jeszcze bardziej wzmagало ból.

Szeryf trzymał ją ostrożnie, raz tylko się poruszył, by przytulić ją mocniej. Znajdował się tak blisko, że czuła każdy guzik jego koszuli, twardą metalową gwiazdę przypiętą do kieszeni,

a nawet równy rytm jego serca.

Skoncentrowała uwagę na tych doznaniach, bo w ten sposób

ROAN Jennifer Blake

21

mniej myślała o bólu. Jej oddech stał się głębszy i wolniejszy,

dopasowując się do rytmu oddechu szeryfa. Każde wciągnięcie

i wypuszczenie powietrza zabierało ją głębiej i głębiej w bezpieczeństwo, które sobą reprezentował ten wielki policjant.

Dreszcze stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie prawie ustały.

Co dziwniejsze, jakieś niezwykle uczucie powoli zaczęło

wypierać rozpacz. Było to przypomnienie czegoś, czego prawie

już nie rozpoznawała, czegoś, co dawno zdążyła zapomnieć.

Otworzyła oczy i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w

brudny żwir drogi, podczas gdy jej umysł starał się zanalizować

to dziwne odczucie.

Chodziło o to, że czuła się bezpieczna.

A poczucie bezpieczeństwa było jej tak obce, że gdy teraz

pojawiło się, zdawało się Vickie wprost niewiarygodne. Niemożliwe, nieprawdopodobne, trudne do przyjęcia - ale jednak prawdziwe!

Bezpieczna! Wreszcie!

Nikt nie wiedział, gdzie teraz jest, a przynajmniej nikt, kto

miałby jakiegokolwiek znaczenie. A z kolei tutaj nikt nie wiedział, kim ona jest i skąd przyjechała. Nikt niczego od niej nie chciał

ani niczego się po niej nie spodziewał. Nie musiała się bać nikogo ani niczego. Przynajmniej przez krótką chwilę, krótki, błogosławiony moment, była naprawdę bezpieczna. Nareszcie mogła przestać walczyć i pozwolić sobie pomóc. Wzdychając z ulgą, poddała się objęciom szeryfa z Turn-Coupe.

Karetkę usłyszeli najpierw jako daleki jęk, tak uporczywy i nieprzyjemny jak bzykanie natrętnego komara. Wydawało się, że syrena wyje od długiego czasu, zanim wreszcie karetka pojawiła się na zakręcie. Czerwone światło jej migacza przemieszało się z biało-niebieskimi smugami rzucanymi przez radiowóz, aż wreszcie wydawało się, że od tego blasku zapali się las. Vickie myślała, że szeryf wypuści ją z ramion i wstanie,

ROAN Jennifer Blake

ale nie zrobił tego. Został przy niej nawet wtedy, gdy sanitariusz wysiadł z karetki i podszedł do nich.

- James, dobrze, że już jesteś - powiedział i dodał: - Trzeba ją przykryć kocem termicznym.

- Oczywiście. - Sanitariusz odwrócił się i wydał cichym

głosem jakiś rozkaz. Chwilę później Vickie była już okryta

srebrzystym materiałem. Gdzieś znad głowy usłyszała, jak sanitariusz mówi ze spokojną pewnością siebie: - Roan, zabieramy ją i dobrze się nią zajmujemy.

Roan. Co za dziwne, staroświeckie imię. A dyspozytorka

zwracała się do niego „szeryfie Benedict”. A więc Roan Benedict. Czując, jak szeryf odsuwa się i oddaje ją opiece innych, Vickie wiedziała, że zapamięta to imię i nazwisko.

Jak przez mgłę postrzegała ruch wokół siebie, ledwie słyszała głosy i odczuwała ból, gdy sanitariusz szybko ją przebadał. Potem wniesiono ją do karetki. Miała wrażenie, że zostawia za sobą coś ważnego, ale nie wiedziała, co to takiego.

Gdzieś w pobliżu usłyszała cichy głos szeryfa Roana Benedicta.

Próbowała wyciągnąć zdrową rękę spod koca, ale była zbyt

mocno przywiązana. Drzwi zatrzasnęły się i karetka ruszyła.

Znow była sama.

ROZDZIAŁ DRUGI

Z wyjącą syreną radiowóz pędził za karetką do Turn-Coupe.

Roan uważnie patrzył na drogę i pewnie trzymał ręce na kierownicy, bezskutecznie starając się odpędzić natrętne myśli o kobiecie, którą na sygnale odwożono do szpitala. Wiedział, że

nie powinien poddawać się żalowi, który jak ołów ciążył mu

na ramionach.

Po raz pierwszy w życiu strzelał do kobiety i miał nadzieję,

że ostatni.

Wjechał do miasta, przemknął przez plac przed gmachem sądu, minął stary palladianski budynek z portykiem wspartym na kolumnach i białymi schodami, a także brązowy pomnik bohaterów wojny domowej, przysłonięty gałęziami wielkiego dębu. Z zawodowego nawyku sprawdził wzrokiem rząd tanich sklepików, ciągnący się po jednej stronie placu. W salonie piękności Millie jeszcze paliło się światło, bo właścicielka pracowała do późna, odkąd jej mąż zachorował na raka. Pewnie potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Roan pomyślał, że trzeba wysłać zastępcę, by się upewnić, czy wszystko jest tam w porządku oraz by odprowadził Millie do domu, gdy ta już skończy pracę.

Do szpitala, który znajdował się po drugiej stronie miasta, były jeszcze niecałe dwa kilometry. Został zbudowany dwa-

* Styl palladianski - powstały w XVI w. we Włoszech styl architektoniczny, nawiązujący do klasycznych wzorów antycznych. Monumentalny, konstrukcyjnie logiczny i funkcjonalny (przyp. red.).

ROAN Jennifer Blake

dzieścia lat temu na działce ofiarowanej przez burmistrza. Człowiek ten wierzył, że miasto rozbuduje się w tamtym kierunku i szpital znajdzie się w dzielnicy kwitnącego biznesu, niestety

powstały tam jedynie tanie autokomisy, pola z mieszkalnymi

przyczepami, składy drewna, miejsca do barbecue i tandetne

pchle targi. Rada miejska zrobiła wszystko, by zainteresować

tym terenem poważnych przemysłowców, ale jakoś nikt się nie

kwapił z inwestycjami. Wydawało się, że ta część miasta jest

skazana na to, by pozostać małą, senną dzielnicą, ożywianą

jedynie przez dwa niewielkie tartaki i wędkarzy, którzy przyjeżdżali nad jezioro, zatrzymywali się w motelu Betsy oraz kupowali w jej sklepie piwo, przynęty i kanapki. Trudno się

tu żyło kobietom takim jak Betsy czy Millie, a także młodym

ludziom, którzy po ukończeniu szkoły lub college'u szukali

pracy blisko domu.

Jednak Roan był zadowolony, cenił bowiem zalety niewielkiego miasta. Ulice zawsze były tu czyste, noce spokojne, i prawie w ogóle nie zdarzały się przestępstwa. Przynajmniej tak było aż do dziś.

Zatrzymał się przed izbą przyjęć, a w chwilę później do

oszkłonych drzwi podjechała karetka. Sanitariusze wyciągnęli

nosze z ranną i szybko powieźli ją oświetlonym korytarzem.

Kobieta, owinięta srebrzystym kocem, wydawała się bardzo

drobna i blada.

Drugim radiowozem przyjechał Allen Bates. Szeryf polecił

mu, by nie odstępował podejrzanej ani na krok i zastępca poszedł w kierunku sali operacyjnej, by objąć tam straż.

Roan setki razy eskortował karetki. Często wieziono nimi

jego przyjaciół, krewnych lub znajomych. Koncentrował się wtedy na tym, by po drodze nie doszło do żadnej kolizji, lecz dziś było inaczej. Prawie niczego nie dostrzegał wokół siebie i ledwie wiedział, co robi.

ROAN Jennifer Blake

25

Widok zakrwawionej kobiety, leżącej nieruchomo na ziemi, wprost go poraził. W ramieniu nieznajomej tkwiła kula, którą on wystrzelił. Czas oczekiwania na przyjazd karetki włókł się koszmarnie, a Roan jak automat wykonał to, co do niego należało. Musiał walczyć o życie nieznajomej i robił to ze wszystkich sił, lecz nie potrafił odpędzić demonów przeszłości, które w tej dramatycznej scenerii znów go zaatakowały. Powrócił tamten wieczór, gdy znalazł Carolyn leżącą obok łóżka, które dzielili przez trzy lata. Wszędzie było pełno krwi, również na złożonej białej kartce, którą mu zostawiła.

Trzymał żonę tak samo, jak trzymał dziś podejrzaną, podczas krótkiej jazdy do szpitala tulił ją w ramionach, pragnąc zmusić Carolyn, by żyła. I przeżyła, lecz ich małżeństwo tego właśnie dnia umarło. Skoro śmierć wydawała jej się lepsza niż życie z nim, dał jej rozwód, którego żądała.

Roan otrząsnął się. Nieznajoma w niczym nie przypominała Carolyn, owej tajemniczej kobiety-dziecka, czarodziejkiej, niepojętej i zagubionej w świecie istoty, która rozkwitłaby w rajskim ogrodzie, lecz tu, na ziemi, marniała jak cieplarniany kwiat posadzony w skutej lodem glebie. Jego żona nie potrafiła udźwignąć ciężaru egzystencji, była na to zbyt krucha i i delikatna, natomiast kobieta, którą postrzelił, zdawała się być jej absolutnym przeciwieństwem: odważna, zdecydowana na

wszystko, silna. Wyskoczyła ku niemu z mroku i pojawiła się

w blasku reflektorów, piękna i pełna dziwnego wdzięku. Próbując uchwycić równowagę, balansowała na chwiejnych nogach, a w jej dłoniach ciemniała broń, zaś w oczach lśniła śmiertelna determinacja. Był przygotowany na wiele, lecz nie

na to, i dlatego, nim zdołał cokolwiek pomyśleć, kierowany pierwotnym instynktem - nacisnął spust.

Boże...

Wpojono mu szacunek dla kobiet, które były dla niego

26

ROAN Jennifer Blake

uosobieniem tego wszystkiego, co szlachetne, dobre, delikatne

i czułe. Niosły w sobie obietnicę życia, której chronienie uwa

żał za sprawę honoru i wielki przywilej. To prawda, że kobiety,

które przebywały w jego więzieniu, nie zawsze pasowały do

tego obrazu, lecz Roan był przekonany, że był to skutek fatalnego zbiegu okoliczności, nie zaś przyrodzonych cech owych z natury nadzwyczajnych istot.

Tak samo myślał teraz o swojej podejrzanej, co nie miało

zbyt wielkiego sensu, bo przecież w ogóle jej nie znał.

Jednak widział ją, rozmawiał z nią i głęboko obchodził go

jej los. Mimo pierwszego, ulotnego wrażenia wiedział, że nieznajoma nie była twardą i okrutną desperatką ani też nienawidzącą wszystkiego i wszystkich socjopatką. Nie należała też do beztroskich kobiet-uciekinierek, które opuściły swoje środowisko i niefrasobliwie poruszają się poza granicami prawa.

Niezbyt się znał na kobiecych ubraniach, ale to, co miała na

sobie, wyglądało na kosztowny strój od dobrego projektanta,

a jej paznokcie były starannie wypielęgnowane.

Jej orzechowe oczy, tajemniczo błyszczące w poświacie reflektorów, patrzyły na niego z nieukrywaną pogardą. W jej głosie nie rozpoznał żadnego regionalnego akcentu, mówiła jak

aktorka albo absolwentka snobistycznej szkoły. Jej ciało było
szczupłe i drobne, nienawykłe do ciężkiej pracy, ale wysportowane.

Podsumowując, ta kobieta powinna wysiąść z limuzyny,
a nie wypaść z zardzewiałej furgonetki.

Powiedziała tylko tyle, że została porwana, i mogłoby to
być prawdą, gdyby nie fakt, że współpracowała z dwoma bandziorami, co sfotografowały kamery
Betsy. Dlaczego podczas włamania trzymała pistolet? I dlaczego nie krzyczała o pomoc,
gdy wyskoczyła z furgonetki? A poza tym, jeżeli była jeńcem,
jakim cudem kidnaperzy pozwolili jej uciec?

ROAN Jennifer Blake

Roan nie lubił tajemnic, a tu nic się nie zgadzało. Ta kobieta

w żaden sposób nie wyglądała na przestępczynię, ale zachowywała się, jakby nią była.

Będzie musiał jak najszybciej wyjaśnić te sprawę, niestety,

w tej chwili przesłuchanie podejrzanej było niemożliwe, walczyła bowiem o życie. Roan wzdrygnął się. Boże, nie pozwól jej umrzeć! pomyślał, a po chwili zaczął zastanawiać się, jakie

pytania zada nieznajomej, gdy ta już dojdzie do siebie.

Na razie postanowił zająć się koordynacją poszukiwań przestępców. Sherry zawiadomiła go, że Betsy dostarczyła już ta

śmę z nagraniem włamania. Jeżeli uda się uzyskać wyraźne

zdjęcia tych dwóch mężczyzn, natychmiast roześle list gończy.

Każe również przygotować zdjęcie tajemniczej kobiety... oczywiście z czysto zawodowych powodów.

W biurze szeryfa wytrzymał jednak tylko dwie godziny

i wrócił do szpitala. Po drodze wstąpił do domu, gdzie zmienił

pokrwawiony mundur na czysty i sprawdził, czy jego syn, Jake,

wrócił z kina. Miał do chłopaka zaufanie, ale nigdy nie wiadomo, czy gromadka nastolatków nie wpadnie w kłopoty, nawet jeśli ich nie szuka.

Gdy podchodził do drzwi sali pooperacyjnej, do której przewieziono podejznaną, natknął się na Allena Batesa.

- Wpadłem, aby zobaczyć, co u niej - powiedział w odpowiedzi na pytające spojrzenie zastępcy. - Coś się dzieje?

- Nic nadzwyczajnego. Pielęgniarka prosiła, żebyś do niej wstąpił.

- Dobrze. - Ta siostra to zapewne Johnnie Hopewell,

nieocenione źródło informacji jeśli chodzi o ciemniejszą

stronę życia Turn-Coupe, ponieważ większość zdarzających

się tu incydentów kończyła się w szpitalu. Johnnie, z domu

Benedict, była kuzynką Roana. Ciemnowłosa, wesoła i sympatycznie pulchna, cieszyła się powszechną sympatią. Roan 28

ROAN Jennifer Blake

wskazał głową drzwi sali operacyjnej. - Podejrzana jeszcze

tam jest?

- Tak, chyba że wywieźli ją tylnymi drzwiami. Przed chwilą laborant powiedział mi, że to potrwa jeszcze jakieś pół godziny.

- Tak z nią źle?

- Mówią, że niezbyt dobrze, ale wiesz, jak to jest. Człowieka migiem pakuje się w taki kłopot, ale potem trzeba długich godzin, by go z niego wyciągnąć.

Roan skinął głową.

- Zostań tu, dopóki nie porozmawiam z Johnnie. Potem cię zastąpię.

- Myślałem, że pojedziesz do domu. Nocną zmianę ma

Cal, prawda?

- Jeszcze szuka tych złodziei. Poza tym chcę tu wszystkiego dopilnować.

- Jasne - powiedział Alan ze zrozumieniem. - Wcale mnie to nie dziwi.

Roan docenił aprobatę pobrzmiwającą w głosie zastępcy, ale nie polepszyło to jego samopoczucia. W podzięcie przyłożył palce do ronda stetsona i odeszedł.

Słyszając jego kroki, Johnnie podniosła głowę, odłożyła pióro i wyszła mu na spotkanie.

- Najwyższy czas! - poskarżyła się, ściskając go na powitanie. - Do diabła, co ty sobie myślisz, dodając mi tyle pracy?

- Przykro mi. - Roan mocno ją przytulił i wcale mu się

nie spieszyło, by się odsunąć.

- Nie wątpię. - Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy odstąpiła

o krok i przyjrzała się kuzynowi.

Roan zorientował się, że Johnnie zamierza dalej się nad

nim użalać, by więc do tego nie dopuścić, szybko powiedział:

ROAN Jennifer Blake 29

- Przecież lubisz, gdy coś się dzieje.

- Jasne, ale akurat bez tego mogłabym się obyć. Nie powiedziałabym, że dobrze się bawię - dodała ze smutkiem.

- To działka Luke'a.

- Przestało tak być, odkąd się ożenił. - Spojrzała na niego

z żalem.

- Rzeczywiście, zauważyłem, że nie urządza już tylu wieczorków, co dawniej.

- Boi się, że ktoś, najpewniej jakiś Benedict, ukradnie mu

jego April?

Roan uśmiechnął się.

- Raczej wydaje mi się, że jest, hm...

- Zajęty? - Johnnie roześmiała się głębokim, radosnym

śmiechem. - A jednak nie bez powodu nazywają go... to znaczy nazywali Nocnym Lukiem. -

Obrzuciła Roana szybkim spojrzeniem, a w jej oczach pojawiło się rozbawienie. - W

szkolnych czasach byliśmy dziką bandą, co? Nawet ty, zanim

zacząłeś się bawić w szeryfa, zdążyłeś swoje narozrabiać.

Roan westchnął i odstąpił o krok.

- To było wtedy, a teraz jest inaczej. Co dzieje się z moją

podejrzana?

Johnnie spojrzała na niego badawczo, a potem odpowiedziała oficjalnym tonem: .

- Przeżyje, chociaż nie tobie to zawdzięcza. Straciła mnóstwo krwi, ale jej stan jest stabilny, przynajmniej jak na razie, o ile nie wdadzą się żadne powikłania. Teraz wyjmują jej kulę

i zszywają uszkodzoną tkankę. Powrót do zdrowia potrwa jakiś

czas, więc mam nadzieję, że nie zamierzasz natychmiast wsadzić jej do więzienia.

Roan pokręcił przecząco głową, zdając sobie jednocześnie

sprawę z tego, że jego napięcie opada. Był prawie pewny, że

Johnnie ma dla niego złe wiadomości.

30 ROAN Jennifer Blake

Johnnie przyglądała mu się przez chwilę, jakby jego reakcja

niezbyt ją zadowoliła, a potem wzięła z kontuaru kopertę i podała mu ją.

- Ta dziewczyna co chwila traciła przytomność. Próbowana

łam ją wypytać, kim jest, ale nie udało mi się. Zanim odwieziono ją na salę operacyjną, zdjęliśmy z niej wszystko, co miała na sobie. Tę bransoletkę nosiła na kostce u nogi. Pomyślałem,

że będziesz chciał ją obejrzeć.

Roan przez chwilę przyglądał się kopercie, na której dużymi

czarnymi literami wypisano słowa: „Jane Doe” . Jakby bojąc

się, że może odkryć coś, o czym wolałby nie wiedzieć, przez

długi czas jej nie otwierał.

Musiał się jednak przemóc. Kobieta brała udział w kradzieży dokonanej w Tourn-Coupe, a wcześniej mogła również uczestniczyć w innych włamaniach. Jego obowiązkiem było

ustalić jej tożsamość i przekazać podejrzaną władzom sądowym. Jako szeryf mógł arbitralnie decydować, kogo oskarżyć o przestępstwo, a kogo nie, ale posiadanie takiej władzy wiązało się z wielką odpowiedzialnością. Nadużywanie kompetencji było zarówno sprzeczne z regulaminem, jak i z charakterem Roana, który przysiągł strzec prawa, niezależnie od tego, komu przysporzy tym cierpień.

Jednym zdecydowanym ruchem rozerwał kopertę i wysypał

jej zawartość na dłoń. Bransoletka okazała się dłuższa niż zazwyczaj, była więc przeznaczona na kostkę u nogi. Ciężki, delikatnej roboty łańcuszek z osiemnastokaratowego złota miał maleńkie zadrapania, świadczące o tym, że był używany od dłuższego czasu. Ogniwa przytrzymywały plakietkę z lśniącymi jak brylanty kamieniami, ułożonymi w litery. Gdy prostował łańcuszek na dłoni, wydawało mu się, że promieniuje z niego

* Jane Doe - odpowiednik polskiego N.N., czyli nieznana (przyp. tłum.).

ROAN Jennifer Blake

31

ciepło ciała kobiety, która go nosiła. Potem zauważył, że litery układają się w słowo „Donna”.

Roan niezbyt się znał na wymyślnych błyskotkach w stylu

New Age , lecz gdy podniósł bransoletkę do światła i litery

zaśniły, ogarnęło go dziwne, niepokojące przecucie. Donna...

Zmarszczył czoło.

- Coś się stało? - spytała Johnnie, która przez cały czas

uważnie mu się przyglądała.

- Nic.

Kłamał, ale wolał to, niż zwierzać się z niejasnych emocji.

A poza tym podejrzana absolutnie nie wyglądała na kobietę,

która nosiłaby imię Donna. To była jeszcze jedna sprawa, która

brzmiała fałszywie.

- Mamy duży problem - odezwała się Johnnie.

- Tak? - Roana zaalarmowało coś w jej głosie.

- Ta kobieta potrzebuje krwi, grupa zero plus. W szpitalu

mieliśmy jej zbyt mało i upłyną długie godziny, zanim przywiozą resztę.

Roan miał grupę zero Rh plus i nie zawahał się ani przez moment.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? - warknął i już pędził do laboratorium, zdejmując po drodze pas z kaburą.

- Niech zaraz się tym zajmą.

- Donna! Donna, obudź się!

Męski głos był głęboki, spokojny i nalegający. Chociaż

miała inaczej na imię, Vickie uznała, że może odpowiedzieć.

Lekko uniosła powieki i zaraz znów je zamknęła, bo od ostrego

* New Age (ang.) - Nowa Era, ruch propagujący nowe spojrzenie na rzeczywistość i dążący do powszechnej zmiany stylu życia, dzięki czemu zapanować ma ogólnoświatowy pokój, harmonia i szczęście (przyp. red.).

32 ROAN Jennifer Blake

światła lampy wiszącej nad łóżkiem poczuła w oczach ostry ból.

- Donna?

Ktoś zgasił światło i ujął jej rękę. Miała wrażenie, że od tej osoby płynie ożywcza siła. Znów otworzyła oczy, tym razem ostrożnie i powoli.

Przy łóżku stał mężczyzna. W świetle wpadającym przez wertykalne żaluzje jego twarz wydawała się ponura i bardzo zmęczona. Vickie rozpoznała brązowy mundur, a także lśniącą odznakę przyczepioną do kieszeni na piersi.

Szeryf? Na moment zastygła, potem spróbowała wyciągnąć rękę z jego uścisku.

- Ostrożnie, bo odłączysz kroplówkę.

Potrwało kilka sekund, zanim jego słowa przedarły się do

otumanionego lekarstwami umysłu. Wtedy zobaczyła plastikowe rurki, które wiły się po prześcieradle od jej ramienia do stojaka. Białe prześcieradła, jasnozielone ściany, monitor przymocowany pod sufitem, wyblakła bawełniana koszula nocna i zapach środków dezynfekcyjnych. Była w szpitalu.

Zwróciła spojrzenie na mężczyznę, który stał obok łóżka,

częściowo zasłaniając światło padające z okna. Zwilżyła językiem wysuszone usta.

- Pan jest...

- Szeryf Roan Benedict. - Pochylił głowę w krótkim,

uprzejmym ukłonie, a potem puścił jej rękę i odstąpił o krok,

jakby nagle uznał, że stoi za blisko.

Vickie była zadowolona, że się odsunął. Ta wysoka, górująca nad nią postać przyprawiała ją o niepokój. Wzięła powolny, głęboki oddech. Miała wrażenie, że powietrze rani jej płuca, a na piersi spoczywa jakiś ciężar. Przyglądała się szeryfowi

w świetle dnia, porównując to, co ujrzała teraz, z tym, co zobaczyła wczoraj w nocy.

ROAN Jennifer Blake

Nie był porażająco przystojny. Miał grubo ciosane rysy,

a cera w kolorze ciemnego brązu świadczyła o tym, że niezależnie od pogody, dużo przebywa na dworze. Jego usta były nieco zbyt zaciśnięte, a blizna w kształcie półksiężyca, wcinająca się w zakończenie linii brwi, sprawiała, że nawet gdy milczał, wyglądał tak, jakby o coś pytał. Mimo to jego twarz

przyciągała wzrok, emanowała bowiem poczuciem siły. Przypominał jakiegoś aktora z westernów pokazywanych w kinie nocnym. Dzięki wysokiemu wzrostowi, zdecydowanemu zarysowi kwadratowej brody i przeszywającemu spojrzeniu stalowych oczu wydawał się mężczyzną, któremu można zaufać, lecz niebezpiecznie się sprzeciwić.

Wzrok Vickie przesunął się z jego szerokich ramion na srebrną gwiazdę przypiętą do kieszeni koszuli, zatrzymał się tam na krótką chwilę, a potem spoczął na skórzanym pasku z kaburą.

- To ty do mnie strzelałeś! - Spojrzała na niego oskarżycielko.

Kąciki jego ust wygięły się w ponurym uśmiechu.

- Już to mówiłaś.

Miał rację, coś podobnego powiedziała już przedtem. Przed

jej oczami przesunęły się mgliste obrazy z poprzedniego wieczoru. Furgonetka. Gburek. Strzał. Była wściekła i dezorientowana. Bolało ją. A potem usłyszała ten podnoszący na duchu głos i poczuła życiodajne ciepło otaczających ją ramion.

Nie, to ostatnie to wytwór jej wyobraźni. Tak nie mogło

być. Teraz, w jasnym świetle dnia, zwątpiła, by ten mężczyzna

o władczej postawie, stanowczych ustach i ze lśniącą oznaką

przypiętą do piersi był zdolny do tego, by wziąć ją w objęcia.

Zaniepokoiła się, gdy napotkała jego spojrzenie. Przyglądał

się jej obojętnie, chociaż w szarych oczach malowały się jakieś

ciemne i może niezupełnie przystające do jego funkcji myśli.

ROAN Jennifer Blake

Tak się wystraszyła, że zastygła na łóżku, ledwo ośmielając się oddychać, a po jej ciele rozlał się dziwny żar.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła ciemnowłosa pielęgniarka w wykrochmalonym liliowo-zielonym mundurku.

- A więc już się obudziłaś! Jak się czujesz?

- Dobrze, bardzo dobrze - odpowiedział gładko szeryf, zanim Vickie zdołała zebrać myśli na tyle, by się odezwać.

- I dopilnujemy, by nadal tak było. - Pielęgniarka uśmiechnęła się pogodnie, ale w spojrzeniu, jakie rzuciła Roanowi, było ostrzeżenie. Zdjęła z szyi stetoskop. - Skoro już tu jestem, zbadam pacjentkę.

Było to krótkie, rutynowe badanie, ale szeryf wydawał się

zainteresowany i gdy siostra zapisywała wyniki na karcie, zaglądał jej przez ramię. Kiedy skończyła, otworzył jej drzwi i wyszedł za nią na korytarz.

Vickie słyszała prowadzoną cichym głosem rozmowę.

Ponieważ była pewna, że mówią o niej, nastawiała uszu, ale nic nie mogła zrozumieć. Z westchnieniem opadła na poduszkę.

Uświadomiła sobie, że dziś obudziła się już po raz drugi.

Pamiętała pobyt na sali pooperacyjnej i to, że wieziono ją na łóżku długimi korytarzami, aż znalazła się w tym pokoju. Ze zmarszczonymi brwiami oglądała siebie, bo obawiała się, że

rozmowa prowadzona na korytarzu może oznaczać, iż obrażenia są poważniejsze, niż jej się wydawało.

Rany na nadgarstkach miała zabandażowane, a plastikowe rurki zwisały nad nią jak bożonarodzeniowe girlandy. Jedna

była podłączona do maszyny dozującej silny środek przeciwbólowy. Opatrunek na ramieniu był gruby, ale pod nim czuła tylko naturalny ból. Mogła zginać palce i poruszać ręką, co stanowiło wielką poprawę w porównaniu z dniem wczorajszym.

Wszystko więc wskazywało na to, że wyjdzie z tego bez

ROAN Jennifer Blake

35

szwanku. Prawdziwy cud, który zawdzięczała pierwszej pomocy, udzielonej na ciemnej żwirowej drodze.

Z drugiej jednak strony skoro szeryf Roan Benedict sam

ją postrzelił, to co mu pozostało innego, jak tylko uratować

jej życie, prawda? Zrobiłby to samo nawet wtedy, gdyby była

potężnym facetem i do tego groźnym przestępcą.

A ona nie była winna. Powiedziała to szeryfowi, lecz on

jej nie uwierzył. To ją niepokoiło i zezłościło jeszcze bardziej niż fakt, że została postrzelona jak zwykła przestępczyni. Ten

obrońca prawa o sztywnym karku był taki pewny jej udziału

we włamaniu, że uznał za konieczne trzymać przy niej straż,

aby nie uciekła. Chyba właśnie taki był jego tok myślenia, bo

jeśli nie, to w jakim celu tak bez przerwy by przy niej tkwił?

Musi go przekonać, że się myli. Na pewno istnieją jakieś

szczegóły, którymi może się posłużyć, by mu to udowodnić.

Wróciła myślą do początku całej sprawy.

Wyszła z domu na Sanibel, żeby pobiegać po plaży, tak

jak robiła to każdego dnia. Był piękny wieczór i ostatnie

purpurowoszarłatne promienie oświetlały wody zatoki.

Znajdowała się już dość daleko od prywatnej plaży Vander-

graffa i minęła plażę hotelową, gdzie turyści filmowali zachód słońca. Z pobliskiej restauracji wiatr przyniósł zapach smażonych małży. Powiew znad wody zakołysał czubami

palm, a coraz głębszy mrok uspokajał jej podrażnione nerwy. Biegła spokojnym truchtem, aż znalazła się przy długim rzędzie zimowych domów, których właściciele wyjechali na

lato w chłodniejsze rejony.

Myślała o ostatniej kłótni z Harrellem. W poprzedni weekend zwróciła mu pierścionek. Przyszedł do niej dziś, chwilę przed tym, zanim wyszła z domu na jogging. Ten zarozumiały

supersprzedawca był absolutnie pewny, że namówi ją, by do

niego wróciła. Wcale się nie przejął, że nawet nie chciała go

36 ROAN Jennifer Blake

słuchać, tylko gadał i gadał. W końcu doprowadził ją do tego,

że dygotała ze zdenerwowania.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Jej ojczym także nalegał na

małżeństwo z Harrellem i wmawiał jej, że sama nie wie, czego

chce. Jego zdaniem była osobą niezrównoważoną i potrzebowała męża, który trzymałby ją w ryzach... albo może po prostu chciał wreszcie pozbyć się odpowiedzialności za nią.

Paul Vandergraff poznał Harrella w jachtklubie, a potem

spotykali się na polu golfowym. Według niego ten król tan-

dentnych mebli z południowej Florydy był dla pasierbicy wła-

ściwym mężczyzną, cokolwiek by to miało znaczyć. Może to,

że zostawszy jego zięciem, mógłby się stać również zaufanym

wspólnikiem w interesach?

Nie potrafiła przekonać ojczyma, że naprawdę nie życzy

sobie tego narzeczeństwa, bowiem zbyt mętnie przedstawiała

swoje argumenty, robiła to jednak celowo. Harrell użył całego

swojego wdzięku i błyskotliwości, namawiając ją, by do niego

wróciła, jednak tym razem to nie podziałało. Gdy odkryła, że została oszukana, zapadła w ciężką depresję i nie chciała o tej sprawie z nikim rozmawiać, ani tym bardziej uznać, że ojczym mógł mieć rację, uznając ją za osobę nie zrównoważoną i nieodpowiedzialną, skoro dała się wmanewrować w narzeczeństwo, nawet nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło.

No cóż, nie umiała podejmować decyzji i to rozpaczliwie upodabniało ją do matki. Evelyn Molina, dziedziczka sieci sklepów Bridgemanów, wychodziła za mąż tyle razy, poczynając od ojca Vickie, utytułowanego playboya, że przy którymś z kolejnych ślubów przestała zmieniać nazwisko. Dodawała tylko nazwisko aktualnego męża do nazwiska pierwszego, pisząc je z myślnikiem. Nalegała również, by tak samo stało się w przypadku Vickie, gdy adoptował ją Paul Vandergraff. Ojczym z całą pewnością uważał, że Vickie jest tak samo płocha i roz-ROAN Jennifer Blake

37

trzepana jak jej matka i bez przerwy mówił, że również skończy tak jak ona, usuwając się w cień do ekskluzywnego sanatorium, gdzie starzejące się kobiety z najlepszego towarzystwa utrzymywały się przy życiu jedynie dzięki ordynowanym im narkotykom. A teraz te zerwane zaręczyny umocniły go w przekonaniu, że jego pasierbica nie jest niezdolna do kierowania własnym losem.

Mężczyźni wyłonili się nagle zza kępy australijskich sosen. W pierwszej chwili nie zwróciła na nich uwagi. Myślała, że to po prostu jacyś turyści i zanim zorientowała się, że jest w niebezpieczeństwie, było już za późno, by próbować ucieczki.

Ten, którego potem nazwała Gapciem, złapał ją na lasso i powalił na ziemię, zaś Gburek uderzył ją tak mocno, że na chwilę straciła przytomność. Zanim doszła do siebie, napastnicy brutalnie przewrócili ją na brzuch i okręcili nadgarstki taśmą klejącą. Gdy ją podnosili, nadal miała piasek w ustach.

Zmusili ją, by poszła do zdezelowanej furgonetki. Ten krótki marsz po piasku, z pistoletem przyłożonym do głowy, był najdłuższą chwilą w jej życiu.

Stuknięcie klamki przywołało ją z powrotem do rzeczywistości. Vickie odwróciła głowę. Do pokoju wszedł Roan i jakiś starszy mężczyzna w białym fartuchu.

- Witaj, Donno - powiedział z uśmiechem doktor, patrząc

na nią przez dolne połówki dwuogniskowych szkieł. - Jak się

czujesz? Bardzo boli?

Pokiwała w odpowiedzi głową, lecz jednocześnie ze zdumienia uniosła brwi. Nagle poczuła dziwną suchość w gardle i z trudem zapytała:

- Donno?

- Przecież tak masz na imię, prawda? A przynajmniej to

imię jest wygrawerowane na łańcuszku, który nosisz na kostce

38

ROAN Jennifer Blake

u nogi. - Lekarz wymienił szybkie spojrzenie z Roanem, a potem podszedł do szafki, nalał wodę do szklanki i podał ją Vickie.

Chodziło o łańcuszek, pomyślała. Był to prezent od matki,

jej najcenniejszy skarb. Kosztowna ozdóbka z czułym imieniem, jakim przed laty nazywali ją rodzice, czyli zdrobnieniem pieśczośliwego tytułu Mała Madonna, nadanego jej przez staroświeckich służących jej włoskich dziadków, gdy odwiedzała ich jako dziecko. Jej dziadek był księciem, tak samo jak jej

ojciec, który zginął w katastrofie samolotu. Wtedy, dzięki niezbyt sztywnym regułom panującym w europejskiej arystokracji, sama również została księżniczką. W demokratycznych Włoszech tytuł miał znaczenie jedynie towarzyskie, ale Harrell uwielbiał tak właśnie ją przedstawiać. Gdy to robił, Vickie zawsze czuła się bardzo skrępowana.

- No więc jak, moja droga?

Wprawdzie niebieskie oczy doktora patrzyły przyjaźnie

spod krzaczastych brwi, ale nie straciły niczego ze swojej przenikliwości. Vickie domyślała się, że również szeryf niecierpliwie czeka na jej odpowiedź, lecz ona, z powodu środków przeciwbólowych, nie potrafiła myśleć tak jasno jak zwykle. Mimo to wpadła na pewien pomysł.

Próbując zyskać na czasie, spioranowała lekarza wzrokiem.

- Na pewno pan wie, że zwracanie się do pacjentki „skarbie” albo „moja droga” nie jest zgodne z zasadami PP?

- Chodzi pani o poprawne postępowanie? Tu mnie pani

ma. Setki razy mi powtarzano, żebym nie był zbyt poufały w

stosunku do pacjentek. Ale, do cholery... Uff, przepraszam...

No więc jestem wielbicielem kobiet, a przyzwyczajenie, by im

to okazywać, tak się we mnie zakorzeniło, że trudno mi się

go pozbyć. A ponieważ jestem już częściowo na emeryturze,

zazwyczaj jakoś udaje mi się wyłgać. - Obdarzył ją uśmie-

ROAN Jennifer Blake 39

chem, w którym nie dopatrzyła się najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

- Gdy ja zwróciłem się do niej „skarbie”, też nie była zadowolona - oświadczył Roan, przeciągając głoski.

Vickie poczuła, że na jej twarz wpływa rumieniec, ale

zignorowała go, jak również mężczyznę, który był tego powodem.

- Częściowo na emeryturze? - powtórzyła, rzucając szybkie spojrzenie na aparat do dozowania leków. - Wydawało mi się, że w nocy zajmował się mną inny lekarz.

- Tak, Simon Hargrove, bardzo dobry chirurg - wyjaśnił

doktor. - Ja nazywam się Watkins. Niech się jednak pani nie

niepokoi. Nadal tu jeszcze od czasu do czasu pomagam i przy

mnie nie spadnie nawet jeden włos z pani pięknej główki.

Roan twierdzi, że musi z panią porozmawiać, więc to chyba

coś ważnego. Zamierzam mu to umożliwić.

Vickie zorientowała się, że doktor Watkins wyłączył aparat

do dozowania środków przeciwbólowych. Wkrótce przestanie

działać dawka, którą już otrzymała, a wtedy znów odezwie się

szarpiący ból w klatce piersiowej i ramieniu. Wiedziała, komu powinna podziękować za taki obrót sprawy. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć w oczy bezwzględnemu obrońcy prawa.

- Szeryfie, zamierzasz mnie torturować? - spytała chłodnym, władczym tonem.

- Potrzebuję informacji, proszę się jednak nie niepokoić, bo do tortur uciekam się tylko w ostateczności.

- A jeżeli nie mam nic do powiedzenia?

- Jestem pewny, że doktorek i ja potrafimy znaleźć jakiś sposób, by zachęcić cię do mówienia.

- Roan! - wykrzyknął doktor, odchodząc od łóżka.

- Albo może zaczekam, aż wyjdzie.

Jej maniery księżniczki nie wywarły na szeryfie najmniej-

ROAN Jennifer Blake

szego wrażenia, czego zresztą mogła się spodziewać. Ciekawe,

czy jest również na tyle sprytny, by przejrzeć jej inne gierki?

Potrzebowała czasu, by przemyśleć swoje położenie i zaplanować to, co powinna powiedzieć. Jeżeli szeryf Benedict nie uwierzy, że ją porwano, Paul Vandergraff też będzie miał

co do tego wątpliwości, a już na pewno nie przyjmie do wiadomości, że stoi za tym Harrell Melanka. A jeżeli on uzna ją za kłamczuchę, tym bardziej zrobią to inni.

Jednak niezależnie od tego, jakie zarzuty przedstawi jej szeryf, Paul oczywiście zadba, by w odpowiednim czasie je oddalono, tak więc jej największym zmartwieniem było to, co stanie się później. Ojczym może przysłać tu po nią Harrella,

bo nie aprobował zerwania zaręczyn, a ona niewiele będzie

mogła zrobić, by uniemożliwić temu draniowi pozbycie się jej

gdzieś po drodze. I tym razem może zrobić to skutecznie...

Paul Vandergraff prawie na pewno nie wie, że ją uprowadzono, ani gdzie w tej chwili się znajduje. Mimo że na Sanibel mieszkali w tym samym domu, ich drogi rzadko się krzyżowały. Jeżeli nawet zauważył jej nieobecność, najpewniej pomyślał, że, swoim zwyczajem, wyjechała na kilka dni, by do

łączyć do znajomych na Karaibach, lub też poleciała do Antibes

czy na Costa del Sol. Będzie liczył, że w końcu do niego zadzwoni i powie, gdzie jest, więc nie podniesie alarmu jeszcze co najmniej przez tydzień albo nawet dwa.

Ma więc trochę czasu i musi go jak najlepiej wykorzystać.

Plan, który nabierał już w jej umyśle kształtów, był naprawdę

prosty, a tych kilka dni, które zyska, dochodząc do zdrowia,

może mieć zasadnicze znaczenie.

Opuściła powieki i zaczęła zdrową ręką miąć poszewkę

kołdry. Zmusiła się też do uronienia kiku łez, co okazało się

nad podziw łatwe.

- A jeżeli wam powiem - odezwała się ostrożnie - że to

ROAN Jennifer Blake

41

imię, Donna, którym mnie nazywacie, wcale nie wydaje mi

się znajome? I że nie wiem, kim naprawdę jestem?

Szeryf przez sekundę jeszcze stał spokojnie, ale zaraz

krzyknął głośno:

- O czym ty mówisz?!

- Pamiętam, że do mnie strzelano - odpowiedziała, wpatrując się w pościel - ale nie przypominam sobie, co działo się wcześniej. Wiem tylko, że był jakiś wypadek i miałam nadzieję, że dzięki niemu uwolnię się od tych kretynów, którzy mnie więzili. I wydaje mi się też, że pamiętam, jak mnie obejmowałeś. - Spróbowała bezradnie wzruszyć ramionami i natychmiast tego pożałowała, jednak syk, z jakim pod wpływem bólu wciągnęła powietrze, został zagłuszony przez krzyk doktora Watkina.

- Wielki Boże, Roan, co ty zrobisz tej dziewczynie?!

- Nic - mruknął szeryf, rzucając lekarzowi udręczone

spojrzenie. - A przynajmniej nic takiego, co nie było absolutnie konieczne i przy tym zupełnie niewinne.

Powinna zachowywać się jak zraniona ptaszyna, bo to powinno dać najlepszy efekt.

- Wszyscy oni tak mówią - szepnęła ze smutkiem.

- I, o ile dobrze pamiętam, ty też mówiłaś, że zrobiłaś

tylko to, co było konieczne i całkowicie niewinne - zauważył

Roan z ironicznym uśmiechem. Stał w nogach łóżka i pochylił się nad swoją ofiarą. - Nie wierzyłem ci wtedy i nie wierzę teraz. Nie wiem, co usiłujesz osiągnąć, ale i tak ci się to nie uda.

- Synu, nie zastraszaj mojej pacjentki! - huknął doktor

Watkins. - Zaszkodzisz jej.

- Nie zastraszam jej ani nie wyrządzam jej żadnej krzywdy

- rzucił niecierpliwie Roan. - Przynajmniej na razie. Jeśli ci się jednak wydaje, że możesz to zrobić lepiej, to bardzo proszę.

ROAN Jennifer Blake

- Chyba tak, bo postępować gorzej niż ty byłoby naprawdę trudno - parsknął doktor ze złością. Potem podszedł do łóżka, wziął Vickie za rękę i lekko ją poklepał. - A teraz posłuchaj, skarbie. Chodzi o to, że Roan ma robotę do wykonania, a on traktuje swoją pracę poważnie, a przy tym potrzebuje trochę współpracy z twojej strony. Nie wydaje ci się, że jesteś mu to winna? Bo przecież został z tobą i pomógł ci, chociaż wolałby ścigać tych łajdaków. A co więcej, spora część krwi, która płynie w twoich żyłach, jeszcze wczoraj rano należała do niego.

No, więc jak będzie?

- Oddał mi swoją krew? - Vickie nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Oboje jesteście uniwersalnymi dawcami, bo macie grupę zero i dodatnie Rh. Twoją krew można podawać ludziom o innych grupach, ale sama możesz dostawać tylko krew grupy zero. Tymczasem w szpitalu był za mały zapas zerówki, a Roan zgłosił się na ochotnika.

- Może dlatego, że czuł się winny? - zasugerowała, rzucając szeryfowi spojrzenie spod rzęs, a on zaczerwienił się aż po koniuszki uszu. Vickie trudno było ustalić, czy ten rumieniec spowodowany był tym, że przyłapano go na spełnianiu dobrego uczynku, czy złością, że odgadła jego motywy.

- Och, może i czuł się w pewnym stopniu odpowiedzialny za to co się stało, ale nie o to chodzi - powiedział doktor.

- Roan regularnie oddaje krew. Wspomniałem o tym dlatego, bo mam nadzieję, iż skłoni cię to do innego spojrzenia na sprawę. Gdybyś udzieliła nam wskazówki, gdzie mamy szukać tych dwóch łajdaków, którzy z tobą byli, oddałabyś nam dużą przysługę, i mogę ci

obiecać, że w zamian spróbowalibyśmy pomóc ci wykaraskac się z kłopotów, w jakie wpadłaś. Daj nam tylko

taką szansę. Nie będziemy ci jednak mogli pomóc, jeśli nam

nie zaufasz.

ROAN Jennifer Blake

To była mistrzowska przemowa, i z całą pewnością szczerą,

więc tym trudniej było jej się oprzeć, lecz Vickie z natury

była dość nieufna, a już zwłaszcza teraz.

Gdy tylko porywacze doniosą Harrellowi, że ją zgubili, natychmiast zacznie jej szukać. Jej kochający narzeczony rozkazał, by ją porwano lub nawet zamordowano, bo odkryła, że sfalszował jej podpis na ważnych dokumentach. A gdy go o

to oskarżyła, powiedział najspokojniej w świecie, że nie sądził, by miała coś przeciwko temu, bo przecież wkrótce będą mał

żeństwem. Miał zamiar zrobić wspaniały interes. I musiał zachować to w tajemnicy, bo ludzie, z którymi się zadał, grają naprawdę ostro. Potrzebowali nowego kapitału i zgodzili się,

by on się tym zajął, ale zażądali poważnych gwarancji, najlepiej zastawu w postaci jej spadku. A dokument, który podpisał w

jej imieniu, to tylko zwykłe ubezpieczenie, które nie zobowiązywało jej do niczego. No i dzięki spółce, w którą wszedł, oboje zdobędą niewyobrażalne bogactwo.

Vickie nie zamierzała mu tego darować. Zagroziła, że powie

o wszystkim ojczymowi i zwróciła Harrellowi pierścionek,

a ten łajdak prawie oszalał ze złości. Krótco potem została

porwana. Nie potrzeba inteligencji członka Mensy, by powiązać skutek z przyczyną. No cóż, trup nie oprotestuje fałszywego podpisu.

Zaufaj nam, powiedział doktor Watkins. Zaufała szeryfowi,

gdy przez kilka krótkich minut leżała w jego ramionach, ale

to już się skończyło. Teraz nie miała nikogo, komu mogłaby

okazać zaufanie.

- Donna, skarbie?

Zmusiła się, by spojrzeć na doktora. Jest taki miły i tro-

* Mensa - międzynarodowe stowarzyszenie grupujące osoby, których iloraz inteligencji jest wyższy niż u pozostałych 98% ludzi na świecie (przyp.

thum.).

ROAN Jennifer Blake

skliwy, więc trudno będzie jej kłamać, patrząc mu prosto w oczy.

- Jeżeli chcecie - powiedziała w końcu - możecie mnie nazywać Donna, ale nie pamiętam niczego oprócz tego, co już wam powiedziałam. Proszę, uwierzcie mi, naprawdę nic więcej nie pamiętam.

Doktor westchnął, skinął głową, i znów poklepał ją po ręce.

- W porządku! Nie martw się tym tak bardzo. Jesteś ranna, uderzono cię w głowę, w ogóle dziwię się, że możesz myśleć, ale niedługo wszystko wróci do normy. Wkrótce znów będziesz zdrowa jak rybka.

- Mam... taką nadzieję. - Nagły skurcz w krtani odebrał jej głos. Nie była przyzwyczajona do tego, by okazywano jej sympatię, a jeszcze mniej do tego, by tak po prostu ją akceptowano, a to właśnie wyczuła w głosie Watkina.

- Doktorze. - W tonie Roana Benedicta brzmiało ostrzeżenie.

Mężczyźni wymienili długie spojrzenie.

- No dobrze - powiedział Watkins. - Roan chce ci zadać

kilka pytań. Wiem, że nie czujesz się na siłach, by na nie odpowiadać, ale pomyśl o tym, że był tu z tobą, odkąd przywieziono cię wieczorem, więc chyba zasługuje na to, abys go wysłuchała.

Jak mogła odmówić, jeżeli nie chciała wyjść na osobę niewdzięczną i na dodatek taką, która ma coś do ukrycia? Chociaż, oczywiście, miała do ukrycia bardzo wiele... Skinęła głową.

- Dobra dziewczynka! Wobec tego zostawiam was - powiedział doktor i ruszył do drzwi.

- Pan wychodzi? - Na myśl, że zostanie sama z szeryfem, naprawdę się zdenerwowała.

- Nie bój się. Dobrze znam Roana i wiem, że choć głośno szczeka, to nie gryzie. Nie będzie dla ciebie surowy.

ROAN Jennifer Blake 45

Doktor Watkins posłał szeryfowi ostrzegawcze spojrzenie,

jednak jeżeli nawet ten przejął się niemą groźbą lekarza, to

nie pokazał tego po sobie. Zaczekał, aż drzwi się zamkną, a potem wziął czarną plastikową skrzyneczkę, która do tej pory stała na podłodze.

- Masz mi natychmiast powiedzieć, gdzie są w tej chwili

twoi przyjaciele - rozkazał, kładąc skrzyneczkę w nogach łóżka.

- Moi przyjaciele? - powtórzyła Vickie, unosząc ironicznie brwi.

- Ci dwaj, którzy byli z tobą w furgonetce. •

- Gburek i Gapcio.

- Co takiego? - zdumiał się Roan.

- Tak ich nazwałam, bo nie byli łaskawi mi się przedstawić.

Szeryf westchnął i wpatrzył się w ścianę nad głową Vickie, jakby gromadził resztki cierpliwości.

- No cóż! Znow do tego wracamy.

- Owszem, i tak będzie, póki mi nie uwierzysz.

- Nie pamiętasz, jak się nazywasz, ale pamiętasz, że cię uprowadzono?

- Otóż to! Właśnie tak jest ze mną. Nie słyszałeś nigdy o amnezji?

- Byłoby o wiele lepiej dla ciebie - poinformował ją szeryf

- a także dla tego Gburka i Gapcia, gdybyś zaczęła wreszcie ze mną współpracować.

Po raz pierwszy odkąd wszedł do pokoju, spojrzała mu w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś na ich tropie?

- Znaleźliśmy furgonetkę, oczywiście pustą. Okazuje się, że została ukradziona w Miami, chociaż nie rozumiem, po co

brali taką kupę złomu, ale mniejsza z tym. Twój kumpel, Gburek i Gapcio, porzucili ją za miastem na parking, należącym 46 ROAN Jennifer Blake

do firmy z Natchez, która ma na Missisipi statek z kasynem.

Pracownik tartaku wysiadł tam z autobusu po dniu spędzonym

na grze i natknął się na skradzioną furgonetkę, która zajęła

miejsce jego nowiutkiego czerwonego forda pikapa. Furgonetka była po okna ubrudzona błotem.

- To fatalnie - odparła odruchowo Vickie, badając wyraz

tworzy szeryfa. Pewnie miał jakieś ukryte powody, by informować ją tak dokładnie o miejscu, gdzie znaleziono furgonetkę, ale nie potrafiła ich odgadnąć.

- Jeśli właściciel pikapa jako pierwszy znajdzie tych

dwóch facetów, będzie gorzej niż fatalnie, bo wtedy my już

nic z nich nie wyciągniemy.

- No, proszę! Nie ma to jak uwielbienie dla postawy macho

- zakpiła.

- *My to nazywamy dbaniem o własne sprawy.*

- I puściłbyś mu to płazem? Wydaje się to dziwne u kogoś,

kto przysięgał, że będzie stał na straży prawa.

- Nie powiedziałem, że puściłbym mu to płazem - stwierdził szeryf z ponurym uśmiechem - ale zrozumiałbym go.

Vickie bezwiednie zadrażała, widząc wyraz jego twarzy.

Szybko spojrzała w bok.

- No dobrze, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

Szeryf patrzył na nią przez długą chwilę, a potem wyprostował się i energicznie przesunął palcami po włosach tak, aż grube, wyblakłe od słońca pasma stanęły mu dęba.

- No dobrze. Na razie przyjmijmy założenie, że cię porwano...

- To znaczy, że mi uwierzyłeś? - Vickie odwróciła szybko głowę, by spojrzeć mu w oczy,

- Powiedziałem tylko, że przyjmuję to na razie. Tak więc mamy furgonetkę z Florydy. Tam właśnie mieszkasz?

ROAN Jennifer Blake 47

Nie mogła tego potwierdzić, bo jeżeli ojczym zawiadomi policję o jej zaginięciu, szeryf na pewno się o tym dowie.

- Nie wiem.

- Kiedy cię porwali?

- Nie jestem pewna. Może jakieś trzy, cztery dni temu?

- To dość dawno. Gdzie cię przetrzymywali?

- Nie mieli jakiejś konkretnej kryjówki. Ja pamiętam tylko furgonetkę.

Szeryf wbił wzrok w podłogę.

- Lekarz, który cię badał, powiedział, że nie było śladu gwałtu.

- Czyli rozwiła się twoja teoria, że pozwoliłam się związać dla większej przyjemności - odparła z gniewem, podnosząc rękę i pokazując zabandażowany nadgarstek, chociaż na jej twarz wypłynął gorący rumieniec.

- Nie dlatego pytałem.

- Nie? Po prostu byłeś ciekawy, co?

- Na tym polega moja praca - powiedział z gniewem. - Fakt, że nie byłaś molestowana, może mieć swoje znaczenie, zwłaszcza teraz, gdy straciłaś pamięć.

- Dlaczego? - warknęła, zaalarmowana zarówno jego ponurym, bezosobowym tonem, jak i sugestią, że może istnieć jakiś szczególny powód.

- Porywacze na ogół nie oszczędzają swoich ofiar, a już zwłaszcza takich, które wyglądają jak ty, co może oznaczać, że nietknięta masz dla nich większą wartość, albo też, że wszyscy troje byliście współnikami stosującymi stary sposób na wymuszenie pieniędzy od osoby, która trzyma kasę.

- Ja nie potrzebuję od nikogo wymuszać pieniędzy!

- Spojrzenie, jakie mu rzuciła, powinno go natychmiast zamienić w popiół.

- A więc to pamiętasz? - Uniósł sardonicznie brew.

ROAN Jennifer Blake

Wiedziała, że powiedziała za dużo. Musi być ostrożniejsza.

- Och, nie wiem! Po prostu tak sobie pomyślałam. - Wzruszyła ramionami.

- Niech będzie. - Przyglądał jej się przez długą chwilę,

a potem głęboko odetchnął i brunatny materiał munduru napiął

się, uwydatniając potężne mięśnie. - Jakiego okupu zażądali?

- Nie mam pojęcia.

- Ale wystąpili z jakimiś żądaniami?

Chociaż wieczorami gdzieś dzwonili, na ogół z wiejskich

budek telefonicznych albo na odludnych parkingach, Vickie

była prawie pewna, że nie chodziło im o okup, lecz nie mogła

tego powiedzieć szeryfowi. Machnęła bezradnie ręką.

- Me wiem. Wszystko w mojej pamięci jest takie...

niewyraźne.

- Z kim mogli się skontaktować? Kto ma dość pieniędzy,

by warto było cię porywać?

W jego pytaniu zabrzmiała nutka nagany. Szeryf z całą pewnością nie żył z odziedziczonych kapitałów i wyglądał na człowieka, który każdego pensa zarobił ciężką pracą i był z tego cholernie dumny. To wzbudziło szacunek Vickie, szczególnie

gdy pomyślała o Harrellu, który marzył o tym, by wżenić się

w bogatą rodzinę i potraktować ją jako podstawę do zdobycia

wprost nieprzyzwoitego majątku.

Milczała, aż wreszcie szeryf stracił cierpliwość.

- No dobrze, pozwól więc, że będę zgadywać. Ty po prostu

tego nie wiesz. Nie masz pojęcia, komu mogłoby aż tak na tobie zależeć, by zechciał wysupłać kilkaset tysięcy dolarów, albo może i więcej.

- Przykro mi... - Żal w jej głosie był prawdziwy, było bowiem bardzo prawdopodobne, że nikt nie zdobyłby się na taki gest...

- Nie wątpię - powiedział szeryf.

ROAN Jennifer Blake 49

Znużenie w jego głosie naprawdę ją wzruszyło. Przyjrzała mu się badawczo. Wreszcie zauważyła, jak bardzo jest wyczerpany. Jego szczupła, opalona twarz była pobrużdżona, a mundur tak pognieciony, jakby w nim spał. Doktor Watkins mówił, że szeryf był w szpitalu przez całą noc, a teraz dochodziło już południe. Czy siedział przy niej przez cały czas, gdy ona spała? I czy część gorącej krwi, która płynęła w jej żyłach, została naprawdę pobrana od niego? Nagle poczuła się bardzo nieswojo, bo jeżeli tak było, to powstała między dziwna, niemal intymna więź.

By nie poddać się sentymentalnym refleksjom, tak bardzo teraz niewskazanym, powiedziała:

- Pewnie mogłabym ci bardziej pomóc, gdybyś nie przedziurawił mi ramienia.

Słyszac te słowa, szeryf aż się zachłysnął powietrzem i ponuro spojrzal na Vickie. Jednak w jego wzroku bylo jeszcze cos, czego nie potrafilo okreslic. Zapadla męcząca cisza.

Nagle Roan uniósł ręce do góry.

- Posłuchaj - powiedział chrapliwie. - Bardzo mi przykro,

że strzelałem do ciebie. Nie wiedziałem, że mam przed sobą

kobietę. Nie wiedziałem też, że nie użyjesz pistoletu, z którego we mnie mierzyłaś. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co

zrobiłem, póki nie zobaczyłem, że leżysz na ziemi, ranna, potłuczona, posiniaczona i wycieńczona,

jakby ktoś cię przeciągnął przez kolczasty żywopłot. Ale nawet wtedy byłaś taka...

Gdy zamilkł w połowie zdania i odsunął się od łóżka, podniosła na niego wzrok. Przeprasiny były ostatnią rzeczą, której by się spodziewała.

- Jaka? - spytała.

Skulił ramiona, ale nie odwrócił się.

- Mniejsza o to.

Podniosła rękę, by dotknąć zadrapania na policzku, potem

50

ROAN Jennifer Blake

wymacała guz na czole i skaleczenie na brodzie. Była poturbowana, straciła dużo krwi, od kilku dni się nie myła i nie czesała, musiała więc wyglądać jak śmierć na urlopie... ale

przecież mogło być o wiele gorzej...

- Wybaczam ci - powiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

- Naprawdę - dodała już całkiem poważnie.

Zaskoczyła go. Spojrzał na nią badawczo, jakby chciał się

upewnić, co powinien o tym myśleć.

- Nie mam zwyczaju strzelać do kobiet - powiedział

w końcu - ale brakowało mi czasu, by sprawdzić, kim jesteś,

a poza tym trzymałaś pistolet tak, jakbyś umiała się nim posługiwać.

- Może i tak - przyznała - ale to jeszcze nie czyni ze mnie

przestępczyni. W każdym razie wtedy nie rozumowałam logicznie, bo inaczej nie wymierzyłabym w ciebie z pistoletu.

Z tego, co pamiętam, marzyłam tylko o tym, by się wydostać

z tej nieszczęsnej furgonetki.

- Miałaś ogromne szczęście. Mogłem cię zabić, i pewnie

tak by się stało, gdyby światło było lepsze, albo gdybyś się

trochę wolniej poruszała.

W jego głosie nie było emocji. Roan po prostu stwierdzał fakt.

- Tak, rozumiem.

- Cieszę się, że cię nie zabiłem.

Vickie przyglądała się jego zmęczonej twarzy, i doszła do wniosku, że musi zmienić zdanie o szeryfie. Przeprosił ją i wziął na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało, co było z jego strony wielkim ustępstwem. Czy zrobił tak, bo

był człowiekiem honoru? A może kierował się starym kodeksem, obowiązującym dżentelmenów z Południa i wciąż aktualnym na tej Luizjańskiej prowincji?

Jednak niezależnie od powodów, jakimi kierował się Roan,

ROAN Jennifer Blake

51

powinna wykorzystać tę krótką chwilę, podczas której opanowały go wyrzuty sumienia, jako że nie wolno jej było rezygnować utraty choćby najmniejszego atutu.

Wiedziała, że postępuje nieco cynicznie, stłumiła jednak wyrzuty sumienia i podniosła rękę, by otrzeć łzy gromadzące się w kącikach oczu. Był to gest, na który szeryf na pewno zwróci uwagę.

- Byłam taka szczęśliwa, że uciekłam od tych łajdaków - powiedziała z żalem. - Myślałam, że już jestem wolna. I wtedy strzeliłeś do mnie. To był prawdziwy szok.

- Rozumiem cię.

- No cóż, było ciemno. Naprawdę nie mogę mieć do ciebie

pretensji o to, że wziąłeś mnie za przestępczynię.

Jego oczy się zwęziły.

- Miło mi to słyszeć, zwłaszcza że mam do ciebie prośbę.

- Och! - Może to, co powiedziała, było szyte zbyt grubymi
nićmi?

- To nic wielkiego, i nie będzie bolało. - Postukał

w wieczko czarnej skrzynki, którą przedtem postawił w nogach łóżka.

Vickie najpierw spojrzała na pudełko, a potem na Roana,

- Nie rozumiem, co mam zrobić.

Uśmiechnął się, z jego twarzy nagle zniknął wyraz napięcia,
a oczy rozbliły.

- Przepraszam. Myślałem, że być może rozpoznasz ten
przedmiot. To służy do przeprowadzania identyfikacji. No,
wiesz, do pobierania odcisków palców.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie jestem kryminalistką! - Vickie w obronnym geście
zacisnęła pięści.

- Odciski palców pobiera się nie tylko od przestępców -

wyjaśnił Roan, otwierając skrzyneczkę - ale, na przykład, od

osób osób zatrudnionych przy pracach o wysokim ryzyku, a w

stanie Luizjana poddać się tej procedurze muszą ci, którzy dostają licencję na wyszynk albo chcą
zalegalizować hazard. Niektórzy robią to dla własnego bezpieczeństwa. Również z tej przyczyny
daktyloskopujemy dzieci rozpoczynające naukę

w szkole.

- Nic z tego nie dotyczy mnie.

- Na pewno?

Spojrzała gdzieś w bok.

- Chyba tak. Nie wiem.

- No właśnie. Jeżeli wprowadzę twoje odciski palców do

komputera i znajdę je w bazie danych, nie będziemy już musieli zgadywać, kim jesteś. Warto więc chyba spróbować.

Był bardzo rozsądny i oczywiście miał rację, co Vickie

wcale się nie podobało.

- Owszem, ale nawet komputer może się pomylić.

- Jeśli nie jesteś poszukiwana listem gończym, nie masz

się o co martwić.

- Oczywiście - zgodziła się, przeciągając przy tym słowo,

by sparodiować obojętną pewność siebie Roana. Było jasne,

że manipulował nią i musiał mieć do tego jakiś powód. - Je-

ROAN Jennifer Blake

53

stem aresztowana? - spytała. - Dlatego bierzesz moje odciski

palców?

- Tego nie powiedziałem.

- I, jak przypuszczam, byłeś tu całą noc, bo chciałeś dopilnować, abym nie uciekła?

- Nie miałaś szans - odparł z uśmiechem.

No cóż, nie zaprzeczył. Po prostu wykonywał swoją pracę.

- To nie jest odpowiedź - stwierdziła szorstko.

Jego uśmiech znikł.

- Na razie figurujesz w aktach jako Donna Doe i znajdujesz się pod moim nadzorem. To, czy

zostaniesz oskarżona, zależy od rozwoju śledztwa w sprawie twojego rzekomego uprowadzenia.

Rzekomego? Nic, co do tej pory powiedziała, nie wywarło na szeryfie najmniejszego wrażenia i jedynym sposobem, by nie wplątać się w prawne korowody, była pełna współpraca z nim. No dobrze, ale czy mogła sobie na to pozwolić?

Przez chwilę wyobrażała sobie, że wszystko powiedziała

Roanowi Benedictowi, a potem bawiła się jego zakłopotaniem

i zagubieniem, gdy zgraja jej prawników, ubranych w najdroższe garnitury, nawiedziła to prowincjonalne miasteczko i zarzuciła je prawdziwym gradem pism, a potem zabrała ją prywatnym odrzutowcem. Niestety oprócz prawników pojawiłyby się też jej narzeczony, z koszami kwiatów i morderczymi zamiarami. Chuchaliby na nią i rozpieszczali, spełniali każde jej życzenie, ale podczas powrotnej podróży na Florydę bałaby się

choćby na sekundę zmrużyć oczy, bo Harrell tak by to załatwił,

że nigdy więcej już by ich nie otworzyła.

Nie, nie może ryzykować. Jeszcze nie.

Lecz była też inna możliwość. Mogła wszystko wyjawić,

a potem poprosić o pomoc Roana Benedicta, czyli faktycznie

zdać się na jego łaskę. Tylko czy on zechciałby ją jej okazać?

54

ROAN Jennifer Blake

Ponieważ nie mogła mieć takiej pewności, postanowiła

trzymać się pierwotnego planu. Potrzebowała czasu. Musi wyzdrowieć tutaj, w Turn-Coupe, chroniona przez szeryfa. Za jakiś tydzień, gdy już będzie mogła sama się o siebie zatroszczyć,

odzyska pamięć, a do tej pory na pewno zdoła zająć czymś

uwagę Roana.

- Więc jak to zrobimy? - spytał, z trudem zachowując spokój. - Moim sposobem, czy tym gorszym?

Nie wierzyła, by użył wobec niej siły i w ten sposób zaryzykował, że otworzy się rana, ale nie była tego do końca pewna. W każdym razie nigdy nie zdejmowano jej odcisków

palców, więc szeryf nic nie znajdzie i jej niechęć do tego zabiegu była czysto instynktowna, bo w jakiś sposób odciski palców skojarzyły się jej z Harrellem i jego niecznymi machinacjami. .. Na pewno jednak Roan nie wyrządzi jej krzywdy i nie poczuje bólu, przynajmniej fizycznego.

- Proszę zaczynać - powiedziała, unosząc dumnie głowę.

Szeryf skinął głową i sięgnął po skrzyneczkę. Przynajmniej miał na tyle taktu, by nie okazać radości ze zwycięstwa.

Gdy ujął ją za nadgarstek zdrowej ręki, zadrżała, czując ciepło jego dotyku. Przez sekundę stawiała opór, ale zaraz się poddała, kiedy Roan przykrył jej dłoń swoją ręką i oddzielił palec wskazujący.

- Właśnie tak - powiedział spokojnie. - Nie staraj się pomagać, po prostu pozwól mi to zrobić.

Vickie również uznała, że tak będzie lepiej. Roan bardzo uważał, by nie poruszyć plastikowych rurek kroplówki. Gdy ich nadgarstki znalazły się obok siebie, poczuła miarowy rytm pulsu szeryfa i pomyślała, że on też czuje bicie jej serca.

Próbując zgiąć jej palec pod odpowiednim kątem, by dotknąć nim poduszcзки z tuszem, znalazł się tak blisko Vickie, że łokciem musnął jej pierś, łagodnie falującą pod szpitalną

ROAN Jennifer Blake

55

koszulą nocną. Dziewczyna skoncentrowała swoje spojrzenie na jego muskularnym ramieniu, a potem przesunęła wzrok po mocno naciągniętym materiale koszuli, okrywającym jego plecy, aż wreszcie spojrzała na gęste, rozjaśnione słońcem włosy Roana.

Poczuła dziwne podniecenie, a rumieniec oblał jej twarz.

Lekko się obróciła i zerknęła na swoje palce, które szeryf przyciskał do kartek papieru.

- Nic ci nie jest? - spytał, rzucając jej szybkie spojrzenie.

- Ja... Znow zaczyna mnie boleć głowa.

- To nie potrwa długo.

Vickie nie odpowiedziała ani nie podniosła wzroku. Patrzyła, jak szeryf ujmuje jej kolejny palec i przyciska do poduszczeni z tuszem.

- Ciekawe, że pamiętasz imiona, które nadałaś tym dwóm

pajacom, a nie możesz sobie przypomnieć, jak sama się nazywasz - zauważył obojętnym tonem.

- No cóż, umysł czasami płata nam figle.

- Jednego nazwałaś Gburek. Przypuszczam, że z oczywistych powodów.

Vickie przytaknęła.

- Drugi miał wielkie uszy, takie jak jeden z tych małych

facecików z bajki o Królownie Śnieżce i krasnoludkach. To

on prowadził samochód, więc przeważnie widziałam tylko tył

jego głowy.

Te imiona służyły samoobronie, zmniejszyły jej strach. Teraz już o tym wiedziała. Dyskutowali, co z nią zrobić, zupełnie jakby była przedmiotem, a nie człowiekiem. Gapcio chciał kupić piłę łańcuchową i pociąć porwaną na kawałki. Tego rodzaju koszarne sceny widział w telewizji podczas jakiegoś występu

magików. Gburek, mózg zespołu, chyba miał inne zamiary albo

dostał inne instrukcje.

- Nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu? - Roan Be-

56 ROAN Jennifer Blake

nedit rzucił to pytanie przez ramię, jakby nie zależało mu na

odpowiedzi.

Vickie zawahała się, za nic jednak nie chciała, by ci dwaj

się wymknęli policji, nawet jeśli miałyby to utrudnić realizację planu, który sobie ułożyła.

- Pamiętam, że Gapcio raz powiedział do Gburka „Chris”,

ale to wszystko jest takie...

- Niewyraźne - dopowiedział z miążdżącą ironią. - Gburek to ten mięśniak, a Gapcio to elegancik? Zgadza się?

Zaniepokojona, spojrzała na Roana, który, jak zwykle, próbował przyłapać ją na tym, iż udaje osobę cierpiącą na amnezję i wcale nie straciła pamięci. Zaraz jednak zrozumiała, skąd

szeryf zna wygląd porywaczy.

- Kamery bezpieczeństwa, prawda?

- Obaj mężczyźni zostali sfilmowani. Twój Gburek jest potężny jak byk, zupełnie jakby pakował w siebie sterydy. Świadczy również o tym jego wysypka.

- Pewnie tak.

- Może lubi robić sobie zdjęcia podczas treningów. Popytam też policję w Miami, czy nie fotografowali ludzi wychodzących z sal gimnastycznych.

- Dobry pomysł - przyznała Vickie obojętnie.

- Najbardziej jednak mnie dziwi, że pozwolili ci uciec,

oczywiście przy założeniu, że naprawdę zostałaś uprowadzona.

Przecież byłaś dla nich warta kupę pieniędzy, a na koniec stałaś się ich tarczą. Ostatnią rzeczą, na jaką mogli sobie pozwolić,

to stracić ciebie.

Vickie rzuciła mu cierpkie spojrzenie.

- Oni nie pozwolili mi odejść. Udało mi się przechwycić

pistolet i sama uciekłam, ale masz rację, Gburek rzeczywiście

chciał mnie użyć jako tarczy. Właśnie dlatego zerwał mi z kostek i nadgarstków taśmę.

ROAN Jennifer Blake

57

- I ty to wszystko pamiętasz? - spytał z uśmiechem Roan,

a potem odwrócił się do niej i zmierzył ją szyderczym spojrzeniem.

Vickie nagle zainteresowała się pobrudzonymi tuszem palcami.

- Już ci mówiłam, że przez tych kilka minut, zanim upadłam, miałam pełną świadomość tego, co się dzieje. I myślę... jestem prawie pewna, że ten guz na czole powstał wtedy, gdy walczyłam z Gburkiem. Może straciłam pamięć właśnie przez to uderzenie w głowę.

Szeryf tylko się skrzywił, co wyraźnie świadczyło o tym, że nie zdołała go przekonać, a później wrócił do swojego zajęcia. Skończył zdejmować odciski z jednej ręki, wyczyścił

palce Vickie watką namoczoną w alkoholu, i zabrał się za drugą. Przyciskając uważnie jej serdeczny palec do papieru, znów się odezwał:

- Może wiesz, dokąd Gburek i Gapcio zamierzali jechać?

- Nie, ale wydaje mi się, że chcieli się znaleźć jak najdalej od Florydy.

- A nie sądzisz, że kierowali się właśnie do Turn-Coupe?

- Nie wyobrażam sobie, po co mieliby tu jechać.

- To nie jest złe miejsce, by móc się w nim ukryć, gdy wpadło się w kłopoty. Zwłaszcza wtedy, jeżeli ma się tu rodzinę.

Vickie spiorunowała go wzrokiem.

- Zgadujesz, czy też wiesz coś konkretnego?

- Nazwij to przecuciem. Szosa prowadząca przez miasto nie jest autostradą międzystanową ani nawet jakimś ważnym połączeniem. Jeżeli ci bandyci postanowili tu właśnie się zatrzymać, to musieli mieć jakiś powód.

- Jeżeli tak, to by znaczyło...

- ... że prawdopodobnie jeszcze są w tej okolicy. Oczywiście mogli też mieć inne powody, by tu przyjechać.

58

ROAN Jennifer Blake

- Na przykład, jakie?

- Właśnie zamierzamy zwołać referendum na temat pływającego kasyna na Jeziorze Końskiej Podkowy, bo spora część mieszkańców żąda jego likwidacji. Jest jednak trochę za wcześnie, by ta sprawa przyciągnęła takich bandziorów, jak ci dwaj.

- Domyślam się, o co ci chodzi - powiedziała Vickie. Rozumiała też, że mimo iż starała się postępować ostrożnie, popełniła ten sam błąd co Gburek, nie doceniła bowiem szeryfa z Turn-Coupe.

Spojrzał na nią, ale porzucił ten temat. Przytrzymując jej

lewą rękę, sięgnął po prawą.

- Oba kciuki razem - rozkazał.

Próbowała zastosować się do tego polecenia, leżąc płasko na

plecach, ale rozbolało ją ramię. Szeryf, widząc jej kłopoty, objął

Vickie silnym ramieniem, a drugą ręką zdejmował odciski.

Poczuła oddech Roana na policzku, a ciepło jego ciała przypomniało jej wczorajsze wydarzenia. Obawiała się, że może przestać panować nad sobą. By to przed nim ukryć, spytała:

- Mieszkasz tu od urodzenia?

- Tak - uśmiechnął się. - A przede mną mieszkał tu mój

tato, jego tato i siedem czy osiem pokoleń Benedictów.

- Więc masz tu na pewno wielu krewnych.

- Jasne - odpowiedział z uśmiechem.

- Ale nie jesteś żonaty?

Nie odpowiedział od razu.

- Dlaczego tak myślisz? - spytał w końcu.

Coś w wyrazie jego twarzy ją zaniepokoiło, lecz zignorowała to.

- Nie widzę obrączki. Poza tym wyglądasz na faceta, który

ożenił się ze swoją pracą.

- No, niezupełnie. Mam rodzinę.

- I właśnie dlatego tu zostałeś? Z powodu rodziny? - Nie

ROAN Jennifer Blake

59

potrafiła ukryć zdziwienia, bowiem gdy Roan ją obejmował,

nabrała instynktownego przekonania, że nie może być żonaty.

Pomógł jej wygodnie ułożyć się, a potem zabrał się do czyszczenia jej palców z tuszu.

- Lubię życie w małym miasteczku. Tu jest spokojnie i cicho. Nasze rozrywki mogą innym wydawać się zbyt prymitywne, ale my je uwielbiamy. Możesz spacerować po drogach ocienionych drzewami, słuchać koncertu świerszczy i gołębi w

letnie wieczory albo wylegiwać się na leżaku ze szklanką mro

żonego napoju w dłoni i obserwować wschód księżyca.

Vickie pomyślała o letnich wakacjach, które niegdyś spędzała u dziadków w małym włoskim miasteczku, tyle tylko, że tam pijano chianti. Dziadkowie, mimo swojego arystokratycznego pochodzenia, żyli zwyczajnie, byli związani z rodzinną ziemią. W te długie, ciche i spokojne dni wstawano się o świcie, przesypiało upalne popołudnia i pracowało w ogrodzie za.

walącym się palazzo, a w gorącym słońcu dojrzewały warzywa

i winogrona. Zbiegało się pylistymi drózkami do miasteczka,

by odwiedzić przyjaciół, zaś gdy zapadał łagodny zmierzch,

gawędziło się z dziadkami. Potem przez drugie mroźne nowo-

angielskie zimy Vickie żyła tymi wspomnieniami i tęskniła za

pałacykiem dziadków nawet wtedy, gdy wyjeżdżała na upalną

Sanibel.

Lecz teraz wydawało jej się, że to było całe wieki temu.

W tamtych czasach Vickie marzyła, by na zawsze pozostać

w tym małym włoskim miasteczku i żarliwie się o to modliła przed ołtarzem starego kościoła. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wracać do domu, gdzie matka stroiła ją i musztrowała, by zabawić swoje przyjaciółki, zwierzała się jej ze swoich sekretów, co ją żenowało, albo też pod opieką niani i gospodyń nagle odsyłała córkę, a sama ulatniała się z mężczyznami, którymi Vickie gardziła.

60 ROAN Jennifer Blake

Niestety, matka zawsze po nią przyjeżdżała. Tak działo się do czasu, kiedy wzięła sobie za czwartego męża mężczyznę, którego Vickie organicznie wręcz nie znosiła, i zaraz potem skończyły się wakacje spędzane we Włoszech. Jeszcze teraz na myśl o tym Vickie ogarniała bolesna tęsknota.

Szeryf spojrział na nią z uwagą, podszedł do drzwi i kogoś zawołał. Chwilę później do pokoju wrócił doktor Watkins. Zbadał ją, po czym wziął za rękę i poprosił, by go zawołała, jeśli będzie potrzebowała czegoś, czego doktor Hardgrove nie mógłby jej dostarczyć. Potem znów zostawił ją samą z Roanem Benedictem.

Szeryf podniósł skrzyneczkę z przyborami do zdejmowania odcisków, wsunął ją pod pachę, sięgnął po stetsona i powiedział:

- Muszę iść, ale wpadnę do ciebie później, w czasie mojej nieobecności pilnować cię będzie policjant.

- Czuję się ostrzeżona - odparła zimno.

- Policjant będzie tu zarówno dla twojego bezpieczeństwa, jak i po to, abyś nie uciekła - wyjaśnił obojętnie. - Do tego pokoju mogą wchodzić jedynie osoby upoważnione przeze mnie oraz twój lekarz i dyżurna pielęgniarka.

- Zrozumiałam. - Vicky czuła się niezbyt przyjemnie, gdy

tak musiała leżeć płasko na plecach, przykuta do łóżka medyczną aparaturą.

Roan wytrzymał jej spojrzenie. Zapanowała nieznośna cisza. Wydawało się, że szeryf chce coś jeszcze powiedzieć, ale tylko skinął głową, rzucił krótkie „dobranoc” i wyszedł.

Vicky patrzyła za nim, gdy wychodził, a potem leżała, wpatrując się w drzwi. Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć za nim, żeby wrócił i wysłuchał jej relacji o tym, co się naprawdę jej przytrafiło. Bo udawanie, że ma amnezję, było ostatecznym rozwiązaniem i mogło się źle skończyć. Nie była przy-ROAN Jennifer Blake

61

zwyczajona do stawiania oporu władzy ani do radzenia sobie

z takimi mężczyznami jak szeryf Benedict.

Och, знаła mnóstwo facetów, którzy mieli bogactwo i władzę, ale tylko niewielu z nich było tak pewnych swego miejsca w społeczeństwie i słuszności swojego postępowania. Roan na

pewno nigdy nie godził się na żadne kompromisy.

Ironia losu sprawiła, że pierwszą rzeczą, jakiej od niej

chciał, były odciski palców. O tym, że Harrell sfałszował jej

podpis, dowiedziała się jedynie dzięki temu, że powiadomiono

ją, iż na dokumentach brakuje jej odcisków palców. Jak to

powiedział szeryf, pobranie odcisków palców dla sprawdzenia

niekaralności jest pierwszym zabiegiem, jaki się stosuje, gdy

ktoś składa podanie o licencję na prowadzenie gier hazardowych. Vickie skontaktowała się z właściwą stanową agencją, a oni jej wyjaśnili, jaką inwestycję rzekomo zaplanowała.

Właśnie wtedy stawiała czoło Harrellovi. Teraz żałowała, że

nie zwróciła się z tą sprawą do swoich prawników. Zamykając

oczy, pomyślała jeszcze, że wtedy wszystko potoczyłoby się

zupełnie inaczej.

Roan sięgnął po słuchawkę, gdy jeszcze nie przebrzmiał

pierwszy dzwonek, i spojrzał na podświetloną tarczę budzika.

Druga nad ranem! Telefon o tej porze nie wróżył nic dobrego.

- Szeryfie, tu Cal.

- Co się stało?

- W szpitalu doszło do pewnego incydentu - odparł Cal,

który miał dyżur. Zawsze wypowiadał się zwięźle, ale używał

frazesów, jakich nauczył się w szkole policyjnej, zupełnie jakby występował w jakimś filmie. - Do obiektu wdarli się dwaj

mężczyźni. Sądzę, że to ci sami, którzy okradli sklep Betsy.

Roan poczuł się tak, jakby ktoś mu ścisnął pierś żelazną obręczą. Zerwał się na równe nogi i zaczął się pospiesznie ubierać.

62

ROAN Jennifer Blake

- Kiedy?

- Dwadzieścia minut temu, sir. Zakneblowali podejrzaną

i zaczęli ją wyciągać z łóżka. Udałoby im się, ale ona zdołała

nacisnąć dzwonek przywołujący pielęgniarkę.

- Ktoś jest ranny?

- Allen ma kilka skaleczeń. Doszło też do strzelaniny, ale

nikt nie ucierpiał.

Tego właśnie Roan chciał się dowiedzieć.

- A podejrzana? - spytał z niepokojem.

- Bezpieczna.

- Cal, do cholery, czy znów została ranna?

- Nie, nie stało jej się nic złego, ma tylko jeszcze jeden

guz na czole.

Roan poczuł ogromną ulgę. Gdyby ktokolwiek odniósł rany, wszystko jedno, Donna czy ktoś inny, byłaby to wyłącznie jego wina. Przecież był prawie pewny, że Gburek i Gapcio wrócą. Powinien był postawić na straży kilku policjantów, zarówno w szpitalu, jak i przed budynkiem.

- Gdzie strzelano? - spytał.

- Przed szpitalem. Ci dwaj otworzyli ogień, gdy uciekali do samochodu. Kilka szyb uległo stłuczeniu, ale poza tym nic się nie stało. Odjechali tym samym czerwonym pikapem, który został ukradziony z parkingu.

- Ktoś za nimi jedzie?

- Allen nie chciał zostawić podejrzanej bez nadzoru, jeżeli o to pan pyta. Próbował przekazać przez radio informacje o kierunku, w którym uciekali ci złodzieje, ale żadna jednostka nie odpowiedziała.

Roan zmarszczył brwi. Trzymając telefon wciśnięty między ramię a głowę, szybko wciągał spodnie i koszulę. Co za głupota ukraść samochód, a potem jeździć nim po małym miasteczku, gdzie wszyscy mogą go rozpoznać. Raczej nie miał

ROAN Jennifer Blake

63

do czynienia z wytrawnymi i bystrymi przestępcami, a jednak

Gburek i Gapcio znów jakby rozplynęli się w powietrzu.

- Będę tam za kwadrans - powiedział,

- Nie ma takiej potrzeby, sir. Mamy wszystko pod kontrolą.

Pozostało nam już jedynie spisać raport. Zadzwońłem tylko

po to, by zapoznać pana z sytuacją.

- Cal, jestem ci wdzięczny za troskę o mój spokojny sen

- powiedział Roan, przeciągając słowa - ale sam chcę się zająć

tą sprawą. - Teraz jego głos stał się niższy i szeryf zaczął mówić zdecydowanym, rozkazującym tonem: - A na razie pozamykaj w szpitalu wszystkie drzwi na klucz i postaraj się, by zapanował tam spokój. Pewnie jutro zaczną mnie bombardować

skargami krewni każdego pacjenta, który dziś leżał w szpitalu,

ale nie chcę, by mówili o tym incydencie już w porannych

wiadomościach.

- Tak jest!

- Wyznaczyłeś dodatkowych strażników?

- Nie wydawało mi się to konieczne dla bezpieczeństwa

podejrzanej. Poza tym tylko Allen jest tutaj, sir.

Słyszając upór i niechęć w głosie podwładnego, Roan jeszcze

bardziej wzmocnił rozkazujący ton.

- Cal, ja ci mówię, że to konieczne. Proponuję, byś zawezwał kilku ludzi i stanął osobiście na straży, póki nie przyjadą. A jeżeli nie dysponujesz żadnymi posiłkami, sam będziesz trzymał straż w szpitalu tak długo, jak to będzie potrzebne.

- Ale przecież jestem dziś oficerem dyżurnym.

- Wiem - odparł Roan i wyłączył telefon. Cal Riggs okropnie go drażnił swoim zawodowym żargonem, ścisłym trzymaniem się rutynowych procedur i dbałością o swój autorytet pierwszego zastępcy szeryfa. Roan zwykle ciepłiwie to znosił,

ale nie dziś.

Rzucił telefon na łóżko, a potem skończył się ubierać. Miał

64 ROAN Jennifer Blake

w tym długoletnią wprawę. Na koniec nałożył zegarek i przypiął gwiazdę. Nosił ten symbol władzy szeryfa przez prawie całe dorosłe życie. Oznaczał on dla niego wielką odpowiedzialność. Często podejmował decyzje, od których zależało czyjeś życie lub śmierć, jednak nigdy jeszcze nie zdarzyło się,

by tyle czasu musiał rozważać możliwości i wybierać najlepszą

metodę postępowania, jak w przypadku Donny Doe.

Tajemniczość tej kobiety spędzała mu sen z powiek. Chciałby wiedzieć o niej wszystko, co mogłoby być pomocne w rozwikłaniu sprawy... oraz jeszcze kilka innych rzeczy, których odkrycie wymagałoby czasu, intymności i butelki dobrego wina dla wywołania odpowiedniego nastroju.

Jezu, jak mogło do tego dojść?!

Nawiązanie osobistych stosunków z podejrzaną było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, a poza tym było czymś całkowicie sprzecznym z tym wszystkim, czego się nauczył, gdy sposobił się do zawodu policjanta, a także z jego osobistymi,

głęboko ugruntowanymi zasadami. A gdyby na dodatek okazało

się, że jego podejrzaną również chodzą po głowie podobne

rojenja...

Jego podejrzaną? Jego, nie Cala, nie nasza, tylko wyłącznie

jego własna. Pomyśl, że Cal mógłby interesować się Donna,

obudził w Roanie uczucia, jakich dotąd nigdy nie zaznał.

Westchnął głęboko i odsunął te myśli tam, gdzie było ich

miejsce, jednak obsesja na punkcie Donny za nic nie chciała

go opuścić. Kim ona jest? Nieszczęsną bogatą dziewczyną, którą uprowadzono dla okupu, czy też luksusową prostytutką, która wiedziała coś, czego nie powinna wiedzieć? Zepsutą córeczką, która chce wyciągnąć od tatusia pieniądze i uciec ze swoimi porywaczami, czy głupią panią z towarzystwa, która

wchodzi w konflikt z prawem dla dreszczyku emocji? Sądząc

z jej zachowania, mogła być tym wszystkimi kobietami, bo

ROAN Jennifer Blake 65

chwilami wydawała mu się aniołem, a chwilami zwyczajną

wiedźmą. Musi się dowiedzieć, kim Donna jest naprawdę. Użyje

do tego wszelkich dostępnych sposobów, i musi zrobić to wcześniej, nim dziewczyna odzyska pamięć i wyjedzie z Tourn-Coupe, lub też gdy zorientuje się, że gra się skończyła. Wtedy, jak ci

wszyscy bogacze, sprowadzi swoich prawników, zażąda wyznaczenia kaucji i to będzie koniec.

Gdy jednak Roan uprze się i zatrzyma Donnę tutaj, wtedy

sprawa będzie rozpatrywana w sądzie hrabstwa, a sędzia

„Mops” Miller jest jego kuzynem ze strony matki. Przecież

nie raz się zdarzało, że podejmowali prawne decyzje, łowiąc

okonie na jeziorze. Taki już tu mieli sposób życia.

Lecz ten przypadek był niepokojąco podobny do sprawy

porwania dziedziczki fortuny Hearsta, co miało miejsce w latach siedemdziesiątych. Patty Hearst została porwana przy użyciu broni, a potem mówiła, że terroryści ją gwałcili i pod groźbą śmierci zmuszali do uczestniczenia w zbrodniach. Jednak sąd w to nie uwierzył. Częściowo dlatego, że Patty nie tylko nagrywała polityczne teksty propagandowe, które potem

publicznie rozpowszechniano, ale przede wszystkim z tego powodu, że sfilmowano ją ze strzelbą w rękę, a ona nie potrafiła przekonująco wyjaśnić swojego postępowania ani przyczyn, dla

których zaakceptowała ideologię ludzi, co ją porwali. I, jeżeli

Roan dobrze pamiętał, na jej niekorzyść przemawiała jeszcze

jedna okoliczność. Miano jej za złe, że pochodziła z bardzo

znanej rodziny, która mogła wykorzystać swoje bogactwo, by

wyciągnąć ją z więzienia. Tak więc Patty Hearst, pomyślał Roan, bardzo przypomina Donnę Doe.

Parsknął z obrzydzeniem. Znowu chwycił się każdej słomki,

by uwiarygodnić twierdzenie podejrzanej, że została uprowadzona. Chciał jej wierzyć. I na tym polegał cały kłopot.

Sprawdził jej odciski w bazie danych i niczego nie znalazł.

66

ROAN Jennifer Blake

Porównał zdjęcia z kamery w sklepie z portretami ściganych

przestępców, też bez efektu. Skontaktował się dowództwem patroli autostradowych Florydy i biurem szeryfa hrabstwa Dade, gdzie ukradziono starą furgonetkę. Niestety, bez rezultatu.

Skontaktował się nawet z FBI, pytając o zgłoszone porwania,

ale nie mieli w aktach nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi

Donny. Ten krok podjął z ogromną niechęcią, bo ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był najazd na jego teren federalnych agentów w trzyczęściowych ciemnych garniturach.

A jednak Donna, jeżeli tak naprawdę miała na imię, coś

przed nim ukrywała. Wyczuwał to. Wyciągnęła ze swojej

uszkodzonej pamięci dość informacji, by mógł domyślić się

różnych rzeczy, ale nie powiedziała niczego, co pomogłoby

mu wpaść na trop tych dwóch bandziorów. Starła się ochronić

swojego kochanka przed więzieniem, czy też milczała ze strachu? Tak czy inaczej Roan potrzebował wyjaśnień, na przykład chciałby wiedzieć, dlaczego Gapciowi i Gburkowi tak bardzo

na niej zależało, że zaryzykowali napad na szpital? To było

pierwsze pytanie, jakie zada, gdy tylko zobaczy pannę Donnę

Doe.

Wychodząc z domu, zajrzał do Jake'a. Syn spał mocnym,

zdrowym snem. Telefon mu nie przeszkodził, a Roan nie miał

zamiaru go budzić. Zostawił liścik na kuchennym stole na wypadek, gdyby nie wrócił do rana, i wyszedł frontowymi drzwiami. Jego stary ogar, Beauregard, który spał na podeście schodów prowadzących na piętro, podniósł głowę i zwrócił w jego stronę pysk, smutny jak u wszystkich psów tej rasy. Wydawało

się, że w jego oczach maluje się pytanie o powód tak wczesnego

wyjścia. Roan podrapał psa między uszami i zbiegł na dół.

Zatrzymał się przy brunatnym radiowozie i spojrzał na swój

dom, który w srebrnym świetle księżyca nabrał cienistej szarości i wyglądał trochę nieralnie. Dog Trot, zbudowany w la-ROAN Jennifer Blake 67

tach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, był mieszaniną

stylu Georgii i Indii Zachodnich. Ta solidnie osadzona na fundamentach budowla, z głębokimi, chroniącymi przed kapryсами pogody werandami, przetrzymała słoneczny żar lejący się letnią porą

na jej dach, lodowate zimowe deszcze, gwałtowne

burze, które czasami przewalały się nad Luizjaną, a także niszczycielskie hordy dzieci. Benedictowie mieszkali w niej od dnia, w którym wbito ostatni drewniany ćwiek, a teraz dawała

schronienie synowi Roana, śpiącemu spokojnie na piętrze.

Krewni raczej mu nie zarzucali, że mimo częstych nocnych

wezwań mieszka sam z czternastoletnim chłopcem. Jeżeli już

ktoś miał mu to za złe, to niektóre kobiety z jego rodziny. On

sam też nie był z tego zadowolony, ale nie miał wyboru. Jego

ojciec, który mieszkał z nimi, gdy Jake był mały, zabrał przyczepę i pojechał przeżyć największą przygodę swego życia. Jake prosił, by nie wyciągać go z łóżka i nie prowadzić do sąsiadów za każdym razem, gdy ojciec musi wyjść. Nie bał się zostawać sam. Poza tym Dog Trot było chyba najbezpieczniejszym miejscem w całej okolicy, o wiele bardziej bezpiecznym nawet niż szpital, którego przecież dzisiejszej nocy pilnował uzbrojony policjant. Niewielu ludzi odważyłoby się zaryzykować napad na szeryfa lub jego rodzinę, a zwłaszcza naruszyć spokój jego domu, wiedziano bowiem, jaki byłby odwet.

Jednak główną rzeczą, która zapewniała bezpieczeństwo, był

zwyczaj Benedictów, by wzajemnie się chronić. Kiedyś, gdy

Jake miał dziesięć lat i bawił się jeszcze w rycerzy i smoki,

powiedział, że tutaj oni są królami. I, do diabła, miał rację.

Roan uśmiechnął się, potrząsnął głową i zapalił silnik.

Gdy podjechał do szpitala, zobaczył stłuczone szyby drzwi

do izby przyjęć. Szkło, rozsypane na wyfroterowanej podłodze,

lśniło w sterylnym blasku lamp. Na korytarzu dwaj sanitariusze

rozmawiali przyciszonymi głosami. Gdy Roan podszedł bliżej,

68 ROAN Jennifer Blake

lekko skłonili głowy. Wyraźnie ucieszyli się, że szeryf przejmie nadzór nad bezpieczeństwem szpitala. Roan uniósł w geście

pozdrowienia rękę i szybko poszedł do głównego skrzydła,

a pod butami zatrzeszczały mu odłamki szyb.

Cal czekał na niego przy stanowisku pielęgniarek obok pokoju Donny. Młoda siostra, w zielono-różowym mundurku, z walkmanem przyczepionym do paska na biodrze i słuchawkami ukrytymi w czarnych, kręconych włosach, przeglądała karty chorych. Zauważyła Roana, wyjęła którąś kartę i wyszła, mrucząc pod nosem, że musi zajrzeć do pacjenta. Roan jej nie zatrzymywał. Gdy zniknęła w jednej z sal, podszedł do Allena,

który tkwił przed drzwiami sali Donny i stanął tak, by widzieć

cały korytarz. Wtedy wysłuchał raportu obu swoich podwładnych.

- Jaki, waszym zdaniem, ci bandyci mieli motyw? - spytał, gdy skończyli.

- Kto to może wiedzieć? - Cal wzruszył ramionami. - Wypytałem podejrzaną, ale powiedziała mi tylko, że było za ciemno i nie widziała, kto ją napadł.

- Jeżeli chce pan poznać moją opinię, to uważam, że kumple chcieli ją stąd wyciągnąć - dodał Allen.

- Więc dlaczego ją zakneblowali?

- Na pokaz. Gdyby zostali zatrzymani, wyglądałoby to na

porwanie. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby to był jej pomysł.

- Mówiłeś, że miała wyrwane rurki od kroplówki, tak, jakby

walczyła. Twoim zdaniem również to było na pokaz? - Roan

sam się zdziwił, słysząc w swoim głosie gniew, ale nie zrobił

niczego, by go zatuszować.

- Może wyrwali je niechcący, bo się spieszyli, albo po prostu nie wiedzieli, jak usunąć to cholerstwo. A ta dziewczyna upadła pewnie dlatego, że zemdląła na widok krwi.

Jednak tego wieczoru, gdy Donna została ranna, Roan nie

ROAN Jennifer Blake 69

zauważył, by niepokoił ją widok krwi. Poza tym z własnego

doświadczenia wiedział, że kobiety nie są aż tak wrażliwe jak

mężczyźni na tego rodzaju widoki.

- Więc dlaczego nacisnęła dzwonek? Jeszcze jeden przypadek?

- Mogło tak być przez przypadek - powiedział Allen. - Wydaje mi się, że mamy do czynienia z amatorami, bo zawodowcy zrobiliby to dużo sprawniej.

- Mimo to prawie zdołali ją zabrać, i udałoby im się, gdyby nie to, że pielęgniarka usłyszała przez interkom odgłosy walki. A skoro już o tym mowa...

Allen nie udawał, że nie zrozumiał, o co chodzi szeryfowi.

- Przysięgam, że odszedłem tylko na chwilę. Musiałem się napić kawy, żeby nie zasnąć.

- Innymi słowy, byłeś przekonany, że podejrzanej nie grozi

żadne niebezpieczeństwo. - Allen lubił sobie pogadać, i Roan

wiedział o tym. Najprawdopodobniej stał przy stanowisku pielęgniarek i, opierając się wygodnie o kontuar, flirtował z nimi.

Na ogół tak właśnie się zachowywał podczas służby. I nic dziwnego. Aresztanci i więźniowie, którzy byli na tyle chorzy, że trzeba ich było odstawić do szpitala, rzadko wymagali specjalnego nadzoru.

- Kto by pomyślał, że ci dwaj wrócą - powiedział zastępca. Ziewnął ze zmęczenia i potarł ręką twarz. - Albo że będą na tyle sprytni, by kręcić się koło drzwi i czekać, aż ktoś będzie wchodził i im otworzy.

Roan wiedział, że Allen jest dobrym policjantem.

- Ty pomyślisz - powiedział z ponurym ostrzeżeniem w głosie. - Następnym razem.

- Tak.

To Roanowi wystarczyło. Nie zamierzał dręczyć Allena, a poza tym chciał już przejść do innych spraw.

ROAN Jennifer Blake

- Więc podejrzana śpi? - spytał.

Odpowiedział mu Cal.

- Nie spała, gdy ostatnio do niej zaglądałem, ale mogę jeszcze raz sprawdzić, jeżeli pan chce to wiedzieć na pewno.

- Nie trzeba. Sam do niej zajrzę. Masz kogoś, kto mógłby zastąpić Allena?

- Nie, sir. Allen już się ocknął i może dotrwać do końca zmiany. - Spojrzał na kolegę, który z powątpiewaniem pokiwał głową.

Roan westchnął.

- Cal, wiesz, co o tym myślę, i znasz regulamin. Funkcjonariusza, do którego strzelano, należy zwolnić do domu. Jesteś oficerem dyżurnym i masz obowiązek załatwić zastępstwo. A skoro o to nie zadbałeś, sam obejmiesz straż do końca zmiany.

- Tak jest. Obejdę szpital, póki pan tu jest, sir. - Zastępca strzelił obcasami i zasalutował Roanowi, a potem odwrócił się i odszedł.

Co za szkoda, pomyślał Roan, że Cal zawsze musi się tak

stawiać. Był młody i zadziorny, ale większość nowych funkcjonariuszy tak się zachowywała przed pierwszy rok lub dwa: wszystko zgodnie z regulaminem, oczywiście najnowszym.

Krążyły plotki, że w następnych wyborach Cal chce kandydować na stanowisko szeryfa. W wielu dzielnicach był lubiany, w innych zabiegał o popularność, więc może mu się udać. A

jeżeli tak, to on, Roan, musi się przygotować do walki. Służył

Tunica Parish najlepiej, jak potrafił, oddał się swojej pracy całą duszą i ciałem, nie szczędził czasu ani sił, i jeśli tylko wyborcy będą go chcieli zatrzymać na stanowisku szeryfa przez następną

kadencję, nie zawiedzie ich oczekiwań.

Ostanio popadł w konflikt z radą miejską. Chodziło o pływające kasyno na Jeziorze Końskiej Podkowy. To może mu zaszkodzić, ale z drugiej strony jest spokrewniony albo spo-ROAN Jennifer Blake 71

winowacony z połową okręgu, a klan Benedictów jest nie tylko

bardzo liczny, lecz również zawsze głosuje jednakowo, by chronić własne interesy. Prawdziwy kłopot polegał na tym, że w Tunica Parish istniały niepisane reguły dotyczące wyborów,

które zarówno pod względem prawnym, jak i w kwestiach honoru niewiele się zmieniły od czasów, gdy Luizjaną rządili Francuzi. Nie patrzono przychylnie na kogoś, kto, przegrawszy

wybory na szeryfa, nadal pozostawał w policji. Jeżeli Roan

zwycięży, Cal będzie musiał odejść, a bardzo by nie chciał

stracić tego chłopaka, który miał świeże spojrzenie na sprawy

i znał najnowsze techniki śledcze.

Roan pożegnał Allena i skierował się do pokoju Donny,

zdołał jednak ujść zaledwie kilka kroków, gdy z drugiego końca

korytarza ktoś go zawołał. Odwrócił się i zobaczył dyrektora

administracyjnego szpitala, Hiltona Darkwatera.

Nowy kłopot? Roan zczekał, aż Darkwater podejdzie. Wiedział, że ten człowiek, który ze swoimi cienkimi wargami i dwuogniskowymi okularami wyglądał jak urzędnik jakiejś

korporacji, na pewno zrobi mu awanturę.

- Szeryfie, cieszę się, że pana widzę - powiedział Dark-

water, uśmiechając się cierpko. - Musimy porozmawiać.

- Czy to nie może poczekać? - Chęć ujrzenia podejrzonej

narastała w nim od chwili, gdy wyszedł z domu, a teraz stała

się wprost przemożna. Już otwierał usta, by powiedzieć dyrektorowi, że później wpadnie do niego do biura.

- Raczej nie! Musi pan zabrać stąd tę kobietę. - Dyrektor

kiwnął głową w stronę pokoju Donny.

Roan założył kciuki za szlufki paska.

- Jest na to zbyt chora.

- Wiem, ale wolałbym, żeby pan ją przeniósł do Baton

Rouge albo do Nowego Orleanu. Nasz mały szpital nie ma możliwości zajmowania się takimi przypadkami.

ROAN Jennifer Blake

Dyrektorowi chodzi o to, że nie ma tu izolowanych pomieszczeń ani krat, domyślił się Roan.

- Zdaję sobie sprawę, że będą skargi, ale...

- Nawet nie ma pan pojęcia, co się dzieje! Wyciągnięto

mnie z łóżka! Musiałem tu przyjść i świecić oczami. Tyle osób

dzwoniło, że wreszcie wyłączyłem telefon. - Rozeźlony dyrektor głośno wciągnął powietrze. - I tak z trudem wychodzimy na swoje, i jeżeli pacjenci nie będą chcieli się tu leczyć ze

strachu, że ktoś ich napadnie, szybko popadniemy w tarapaty.

Równie dobrze możemy od razu zamknąć szpital.

Roan słuchał go z ledwie skrywaną niechęcią, bo sam nigdy

nie wyłączał swojego telefonu, który przecież też dzwonił bardzo często. Poza tym dyrektor chciał też upiec własną pieczeń przy tym ogniu. Pracował tu dopiero od niecałego roku, ale

udało mu się zmniejszyć deficyt i znacznie zwiększyć wykorzystanie szpitalnych łóżek. Chodziła pogłoska, że zamierzał

dokonać cudów w Turn-Coupe nie dlatego, że przejmował się

losem miejscowych ludzi i zależało mu, by szpital jak najlepiej

im służył, lecz dlatego, że dzięki dobrej opinii może liczyć

dużo lepszą posadę.

- Nie mogę zabrać jej z tego okręgu bez dostatecznego

powodu i pan o tym wie - powiedział Roan, z trudem zachowując uprzejmy ton. - Gdyby ktoś z personelu albo jakiś pacjent został ranny, albo nawet gdyby tylko coś im groziło, to inna sprawa, ale przecież tak się nie stało. Po prostu najedli

się strachu i tyle.

Dyrektor przez długą chwilę wytrzymał gniewny wzrok szeryfa, i musiał zobaczyć w jego oczach coś, co go przekonało, że żadne argumenty tu nie pomogą.

- Czy mógłby pan przynajmniej postawić strażnika przed

drzwiami wejściowymi? - spytał ze złością.

ROAN Jennifer Blake 73

Roan skinął głową, bo temu żądaniu nie mógł się sprzeciwić.

- Dobrze, załatwię to, chociaż wątpię, by tej nocy jeszcze coś się mogło się wydarzyć.

- Miejmy nadzieję, że się pan nie myli. - Dyrektor lekko wzruszył ramionami. Roan już się odwracał, by odejść, ale Darkwater złapał go za ramię. - Są jeszcze te zniszczone drzwi.

A zostały zdemolowane, bo pan tu przywiózł tę kobietę. Nie uważam, by szpital musiał płacić za ich naprawę.

- Proszę mi przysłać rachunek.

Roan strząsnął z ramienia rękę dyrektora i odszedł. Był całkowicie pewny, że polisa ubezpieczeniowa szpitala pokryłaby koszty naprawy drzwi, ale sprawa nie była warta ani walki, ani jeszcze większych zadrażeń, jakie spowodowałyby jego odmowa. Może uda mu się znaleźć jakieś pieniądze w budżecie swojego biura, a jeżeli nie, zapłaci szpitalowi z własnej kieszeni.

Wreszcie dotarł do pokoju Donny, ostro zapukał kostkami

palców i pchnął drzwi. Gdy jednak zobaczył swoją podejrzaną,

stał jak wryty. Leżała blada i bezwładna, oczy miała zamknięte, a jej włosy rozsypały się na poduszce wokół głowy.

Drzwi, przyciągnięte sprężyną, z cichym trzaskiem automatycznie się zamknęły.

Donna drgnęła. Jej długie rzęsy uniosły się, powolnym ruchem odwróciła głowę i spojrzała na lśniąca gwiazdę, przypiętą do koszuli szeryfa. Potem przeniosła wzrok wyżej, na jego

twarz. Roan poczuł się lak, jakby jej oczy wysłały gorący promień lasera, który przebijał mundur i docierał aż do skóry.

Wreszcie uniosła wzrok jeszcze wyżej i zatrzymała go na ste-

stonie, którego szeryf jeszcze nie zdjął. Senny uśmiech uniósł

kąciki jej ust, ale zaraz znikł. Donna zmarszczyła brwi.

ROAN Jennifer Blake

- Gdzie się podziewałeś, kowboju? Zostawiłeś mnie tu samą, i zobacz, co się stało.

Co za głupiec z niego! Musi być naprawdę durniem, skoro

nagle wydało mu się, że siedzi w siodle i jest gotowy do walki

z całym światem.

I wtedy, gdy patrzył na tę bezbronną kobietę, której oczy

same się zamknęły i znów zapadła w sen, Roan już wiedział,

co musi zrobić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Prędzej pójde do więzienia! - zawołała Vickie. Spojrzała

na szeryfa, ale po jego twarzy nie było widać, by jej okrzyk

wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Nie masz wyboru - powiedział obojętnie.

- Nie możesz zabrać mnie do swojego domu! - protestowała gwałtownie. Od tamtej nocy, gdy napadnięto na nią w szpitalu, minęły cztery dni, i przez ten cały czas nie widziała

szeryfa Roana Benedicta, a teraz nagle tu przychodzi i mówi,

że zabierają ze szpitala do aresztu domowego, czyli do swojego

domu! Tak ją to zdumiało i zmieszało, że aż zabrakło jej tchu.

- Mogę, bo tu jest moja jurysdykcja i to ja ustaliam zasady.

- Co za barbarzyństwo!

- Doprawdy? - Miał czelność się uśmiechnąć, jakby nutka

paniki w jej głosie w jakiś perfidny sposób go rozbawiła.

- To nie jest zgodne z prawem. Jeśli chcesz, nazywaj to

sobie aresztem domowym, ale.,.

- I będzie to areszt domowy, i tylko on - oświadczył. - Jeżeli wątpisz w legalność mojego postępowania, mogę przyprowadzić prawnika, ale wtedy będziesz musiała podać mu swoje pełne imię i nazwisko, a także udowodnić, że jesteś w stanie zapłacić za poradę.

Na to nie mogła przystać, przynajmniej do czasu, dopóki będzie trzymała się swojej wersji wydarzeń. Vickie pomyślała, że być może szeryf przejrzał jej grę i teraz wystawia ją, na próbę, spodziewając się, że wyzna mu całą prawdę. Dlaczego

ROAN Jennifer Blake

jednak miałby tak sądzić? Nie dała mu wielu powodów, by
zważył w jej amnezję.

Od natłoku myśli znów rozboleła ja głowa. Po tym, jak

Gburek ją tu odnalazł, odmówiła przyjmowania silnych środków przeciwbólowych, brała tylko od
czasu do czasu jakąś tabletkę, i do tej pory w zupełności jej to wystarczało.

- Nie czuję się jeszcze na tyle dobrze, by wyjść ze szpitala

- powiedziała kłótliwym, niespokojnym tonem, który wcale

nie był udawany.

- Doktor Watkins tak nie uważa. Według niego szybko

wracasz do zdrowia. Przecież wstawiałaś już z łóżka, Poza tym

dyrektor administracyjny szpitala nie chce cię tu dłużej trzymać. Zrobiłem wszystko, co tylko
mogłem, żebyś została przynajmniej do dziś.

Siostra Johnnie mówiła jej to samo.

- Podziwiam twoją szlachetność. Jak rozumiem, bierzesz

do domu wszystkich rannych więźniów - powiedziała Vickie

provokacyjnym tonem.

- Jasne, że nie. Ale pomyśl o tym, że w Dog Trot będziesz

miała o wiele większe wygody.

- Co to jest Dog Trot?

- Mój dom.

Brzmiało to jak nazwa jakiejś chałupy w latach. Vickie

wyobraziła sobie wiejskie gospodarstwo, gdzie tłoczą się dziesiątki psów, a ubikacja jest na dworze,
jak na filmach ukazujących życie na zapadłej prowincji.

- Jestem pewna... że to uroczy dom - powiedziała z ironią.

- Może nie jest to Ritz, ale będzie ci tam o wiele lepiej

niż za kratkami. Miejskie więzienie mieści się na najwyższym

* Dog Trot (ang.) - dosłownie: spokojny trucht, tu: przejście dla psów (przyp. tłum.).

ROAN Jennifer Blake

piętrze gmachu sądu, który został zbudowany na przelomie

wieków, więc nie jest wyposażony w takie cudenka jak klimatyzacja czy centralne ogrzewanie. Mamy dwie czteroosobowe celi. Teraz siedzi w nich pięć osób z krótkimi wyrokami.

Sami mężczyźni. Mógłbym stłoczyć ich w jednej celi, żebyś

była sama, ale i tak te pomieszczenia przylegają do siebie, tak

więc od mężczyzn oddzielałyby cię tylko stalowe pręty. A łazienki, ze względów bezpieczeństwa, nie mają drzwi.

- To znaczy, że mogliby mnie widzieć, gdy...

- Przez cały czas.

- Dobry Boże!

- I ani na chwilę nie daliby ci spokoju. Dowiedziałabyś

się wiele na temat męskich instynktów.

Vickie przez dłuższą chwilę intensywnie myślała, aż wreszcie spod opuszczonych rzęs spojrzała na szeryfa i odezwała się niskim, ochryłym głosem:

- A co z twoimi instynktami? Potrafisz je pohamować, gdy

będziemy w tym twoim domu sami, bez stalowych prętów i bez

świadków?

Roan uniósł brew.

- Niech zgadnę... Już wiem! Tym razem May West, światowa i namiętna.

- Lauren Bacall - z irytacją skorygowała go Vickie. Była

wściekła, że przyłapała ją na odgrywaniu tej roli. - Ale co to

za różnica?

- Właśnie. Są dziewczyny, które przybiegają na gwizdek,

są więc i faceci, którzy gwizdzą. Wygląda to nieźle, lecz nie

musisz się obawiać. Po pierwsze byłby to zły przykład dla
mojego syna, Jake'a, a po drugie, ja tak nie postępuję. Nikt
w Dog Trot nie będzie ci się narzucał, a już na pewno nie ja.

- I chcesz, bym w to uwierzyła? - Jej ciekawość przewa
żyła nad niechęcią.

78 ROAN Jennifer Blake

- Masz moje słowo.

Mówił poważnie. W głębokim głosie i spokojnym spojrzeniu szarych oczu wyczytała przyrzeczenie.
No cóż, ku swojemu zdumieniu uwierzyła mu... ale za nic nie chciała się do tego
przyznawać.

Po namyśle uznała, że nie jest złym pomysłem, by na jakiś
czas ukryła się na prowincji. Roan Benedict osłoni ją przed

Gburkiem i Gapciem, a nawet przed Harrellem, a poza tym
w prywatnym domu będzie miała większą swobodę ruchów,

dzięki czemu łatwiej się wymknie, gdy nastąpi taka konieczność. Jednak na razie szeryf nie powinien
się dowiedzieć, że jego propozycja spodobała się jej, bo jest wystarczająco inteligentny, by
natychmiast zacząć się zastanawiać nad powodami jej zadowolenia.

- Nadal mi się nie podoba ten pomysł - powiedziała w
końcu.

- Jesteś osobą zatrzymaną przez Biuro Szeryfa Tunica Parish - wyjaśnił Roan, obrzucając ją
obojętnym spojrzeniem.

- Tak więc to, czy coś ci się podoba, czy też nie, nie ma żadnego znaczenia.

Nie przejęła się stanowczym tonem Roana, ale postanowiła
go trochę podrażnić.

- A gdybym tak złożyła skargę?

Roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Proszę bardzo, jeżeli tylko wiesz, komu ją złożyć, a poza tym nie mogę ci zagwarantować, że ktokolwiek zwróci na nią uwagę.

- Wszystko przewidziałeś, prawda? - Miała nadzieję, że jej wzrok wyraża frustrację i niechęć.

- Jasne - przyznał lakonicznie. - Zbierz swoje rzeczy.

Przyjdę po ciebie za godzinę.

Nawet nie poczekał na odpowiedź, tylko odwrócił się i wy-

ROAN Jennifer Blake 79

szedł z pokoju swobodnym, kołyszącym krokiem, nieświadomy wiażenia, jakie na Vickie robi jego wysportowane ciało.

Patrzyła na jego szerokie ramiona i wąskie biodra, dopóki nie zamknęły się drzwi. Temu facetowi nawet nie przyszło do głowy, że ona mogłaby zignorować jego rozkazy, pomyślała.

I miał rację... przynajmniej na razie.

Podciągnęła się na łóżku, oparła na łokciu i zadzwoniła na pielęgniarkę. Drzwi się otworzyły i Cal Riggs zajrzał do pokoju.

- Roan mówił, że wypisują cię ze szpitala. Jeżeli dzwoniłaś

po Johnnie, musisz chwilę poczekać, bo wraz z innymi dziewczynami poszła pomóc rannemu w nagłym wypadku. Gdy wróci, przyślę ją do ciebie.

Z uśmiechem podziękowała zastępcy. Z początku była zła, że szeryf ustawił strażnika pod jej drzwiami, jednak po tym, jak Gburek i Gapcio próbowali ją uprowadzić, zmieniła zdanie.

Najczęściej dyżur pełnili Cal i Allen, i po jakimś czasie

zaprzyjaźniła się z nimi. Wołali pielęgniarkę, gdy jej potrzebowała, kupowali kawę, soki i napoje,

przynosili gazety. Na pewno po części robili tak z nudów, ale również z naturalnej

życzliwość wobec ludzi, tak charakterystycznej dla mieszkańców małych miasteczek. Nie wyobrażała sobie, by w większym mieście policjanci mogli w ten sposób łamać regulamin-

- Mogę w czymś pomóc? - spytał Cal, uchylając szerzej drzwi.

- Nie. dziękuję, nie mam tu wielu rzeczy. - Pomachała

ręką w kierunku skromnych przyborów toaletowych, dostarczonych przez szpital i szlafroka oraz pantofli, które Roan kupił jej w miejscowym sklepiku. - Cal, czy szeryf Benedict ma prawo trzymać mnie poza więzieniem.

Zastępca zmarszczył brwi.

- Na przykład gdzie?

- W Dog Trot. Takiej nazwy użył.

80 ROAN Jennifer Blake

Cal zagwizdał.

- Tego jeszcze nie było!

- A czy jest to zgodne z prawem?

- Niezupełnie - wyjaśnił, przeciągając słowa - ale Roan

na ogół postępuje według własnego uznania. Musisz pamiętać,

że w Tunica Parish to on stanowi prawo.

W głosie zastępcy Vickie wyczuła niechęć i zazdrość, a jego komentarz był wyjątkowo niedyskretny i nielojalny wobec szefa. Podczas ostatnich dni Cal wyraźnie się rozluźnił i przestał ważyć każde swoje słowo.

- Jak długo szeryf może mnie tam trzymać? - spytała,

przechylając głowę. - Czy nie powinnam jak najszybciej stanąć

przed sądem?

- Sędzia objazdowy przyjeżdża tu w każdy wtorek, ale w

tej chwili sąd ma dwutygodniową przerwę, bo wszyscy wyjechali na urlopy. - Cal wzruszył

ramionami. - Potrwa to jakiś czas, zanim Roan zdoła przygotować rozprawę.

Sędzia objazdowy? pomyślała Vickie z rozbawieniem. Tak

było na Dzikim Zachodzie, kiedy jeden sędzia musiał obsługiwać ogromne terytorium, a z wieszaniem rzezimieszków czekano do jego wizyty. Oczywiście nie zamierzała się skarżyć na tę zwłokę.

- U nas jest mało przestępstw - ciągnął Cal niemal przepraszającym tonem. - Połowa ludzi jest ze sobą spokrewniona lub spowinowacana, a Benedictowie znad jeziora i z bagien

sami rozsądzają swoje spory. Roan co pewien czas jeździ do

nich i rozpatruje ich kłótnie, i pewnie dlatego wybierają go

na szeryfa.

- Od kiedy jest szeryfem? - spytała Vickie. Skoro Cal był

dziś w nastroju do rozmowy, postara się dowiedzieć jak najwięcej.

- Od ośmiu lat, ale zanim wygrał wybory, służył od dawna

w policji.

ROAN Jennifer Blake

81

Cal powiedział to tak, jakby uważał, że Roan jest starcem.

Zabrzmiało to zabawnie, bo szeryf miał najwyżej trzydzieści

pięć lat i był o wiele sprawniejszy niż wielu mężczyzn w jego

wieku. Widocznie Cal, o dziesięć lat młodszy, nie zdawał sobie

sprawy, jak w porównaniu ze swoim szefem jest niedojrzały

i mało doświadczony.

- Chyba musiał wstąpić do policji, gdy był jeszcze dzieckiem - zażartowała.

- Zaraz po maturze. Mniej więcej w tym samym czasie

ożenił się. Poprzedni szeryf, Johnson, wychował go sobie na

następcę. Mówi się, że Roan przez dwa lata faktycznie kierował

biurem, by Johnson po zawale mógł spokojnie dotrzeć do emerytury. W następnych wyborach Benedict wygrał z miażdżącą przewagą, i od tamtego czasu nikt nie ośmiela się wystawić swojej kandydatury.

Tego właśnie Vickie się spodziewała. Umocniony powagą

stanowiska, Roan działał w najlepszym interesie swoich wyborców. Niezliczone filmy opowiadały o takich obrońcach prawa z małych miasteczek, którzy, gdy tylko im to odpowiadało, bez wahania łamali obowiązujące przepisy.

- Sam stanowi prawo! - mruknęła, bardziej zaintrygowana, niżby tego chciała.

- Być może przekracza swoje kompetencje. - Cał wzruszył chudymi ramionami.

- Biorąc mnie do swojego domu?

- I później, gdy już tam będziesz.

- To znaczy? - Vickie i bez tego miała już dosyć kłopotów.

- Ludzie mają oko na tych, którzy pełnią publiczne funkcje. Chcą, by byli rzetelni, uczciwi, bogobojni, a na rozmaite ekscesy pozwalali sobie jedynie w domowym zaciszu.

- Bardzo dziękuję - rzuciła Vickie lodowato - ale chcia-

ROAN Jennifer Blake

łabym zaznaczyć, że do „ekscesów”, jak to nazwałeś, potrzeba zgody obu stron. Jeżeli myślisz, że będę brała udział w rozrywkach twojego szeryfa, to grubo się mylisz.

- Tak, oczywiście, bardzo przepraszam. - Zastępca zaczerwienił się. - Zapomnij o tym, dobrze? O, chyba widzę Johnnie...

Cal z ulgą znalazł wymówkę, by uciec z pokoju, najwyraźniej bowiem zrozumiał, że powiedział za dużo, natomiast Vickie nabrała pewności, że wcale by się nie zmartwił, gdyby

Roan popadł w kłopoty.

Gdy Cal wyszedł, Vickie głęboko się zamyśliła. Była naprawdę poruszona tym, że może przysporzyć Roanowi poważnych kłopotów. Do tej pory sądziła, że ona będzie sobie spokojnie udawać amnezję, natomiast szeryf zajmie się jej sprawami, jak również nią osobiście. Od lat zawsze tak postępowała, to znaczy wybierała najłatwiejszą drogę, lub też, inaczej mówiąc, nakładała taką maskę, która najlepiej pasowała do

okoliczności.

Była posłuszną pasierbicą i obowiązkową gospodynią w

domu ojczyma, trzpiotowatą uczestniczką przyjęć, jak też światową dziewczyną z najlepszego towarzystwa. Umiała żartować w trzech językach i obdarzać fałszywymi pocałunkami. Oszukiwała wszystkich, w tym i siebie, bo wierzyła, że liczne maski, jakie nosiła, są fragmentami jej prawdziwego oblicza. Jednak zawsze pozostawała w niej jakaś pustka, którą miała nadzieję kiedyś wypełnić dzięki mężowi i dzieciom.

Harrell wtargnął w jej życie w najbardziej odpowiedniej

dla siebie chwili. Gdy chciał, potrafił być uroczy i bez trudu

zjednywał sobie ludzi, a ponieważ odnosił sukcesy w biznesie,

był bowiem zręcznym handlowcem, cieszył się powszechnym

poważaniem. Vickie szybko uznała, że jest odpowiednim kandydatem na męża.

ROAN Jennifer Blake

Potrwało jakiś czas, zanim uświadomiła sobie, że gust jej

narzeczonego dalece odbiega od tego, co preferują posiadacze
uczciwie zdobytych fortun. Jeździł czerwonym ferrari, podoba
ła mu się krzykliwa złota biżuteria, a najlepiej się czuł podczas hucznych zabaw w podłych lokalach.
Tylko dlatego, że zależało

jej na tym, by nie okazać się snobką, szybko się z nim nie
rozstała, a poza tym była przekonana, że potrafi go zmienić.

Powinna była wiedzieć, że to niemożliwe i zorientowałyby się
w tym, gdyby uważniej przyjrzała się reklamom, jakie stosował
w swoich sklepach. Plakaty przedstawiały „króla tanich mebli
z Południowej Florydy” - jak o sobie mówił - w lśniącej od
klejnotów koronie i z seksbombą na kolanach, zasiadającego
na fotelu, jaki można było dostać w jego sklepach. Nic dodać,
nic ująć.

Co Harrell porabia w tej chwili? Najprawdopodobniej jest
z jej ojczymem na polu golfowym w The Sanctuary, albo gra
w tenisa w The Dunes, a gdy wygra, funduje pierwszą kolejkę
importowanego piwa. Na pewno nie przejmuje się jej zniknięciem. Stwierdzi, że nagły wyjazd
Vickie jest wynikiem przed

ślubnej tremy i wzruszy ramionami. Zbliżający się ślub to zbyt
wiele jak na jej nerwy, więc uciekła do którejś z przyjaciółek.

Wróci za tydzień lub dwa, gdy się trochę uspokoi. A Paul Van-
dergraff całkowicie się z nim zgodzi, ponieważ Vickie zaczęła
ratować się ucieczkami krótko po tym, gdy został jej ojczymem.

Z lękiem i obrzydzeniem patrzyła, jak manipuluje jej matką,
jak chętnie się zgadza, by zapisywano jej najrozmaitsze środki

uspokajające, aż wreszcie jedynym rozwiązaniem okazało się ekskluzywne sanatorium. Potem wmówił Vickie, że huśtawka nastrojów, tak normalna u nastolatki, to objaw takiego samego braku równowagi psychicznej, na jaki cierpiała jej matka. Ucieczki okazały się bezpieczniejsze niż konfrontacja. Nic dziwnego, że zachowała się tak samo w stosunku do Harrella.

ROAN Jennifer Blake

Oczywiście Harrell nie jest aż tak bardzo spokojny, o ile

tylko Gburek i Gapcio powiadomili go o tym, co się stało,

i pewnie zastanawia się, dlaczego dotąd nie odwiedziła go policja. Jak długo potrwa, zanim zrozumie, że ona nic nie powiedziała władzom? I co wtedy zrobi?

Przez krótką chwilę Vickie pragnęła wyznać całą prawdę

Roanowi, aby mógł przygotować się na działania Harrella.

Trzymanie go w niewiedzy nie było ani uczciwe, ani bezpieczne, nie mogła jednak ryzykować. Gdyby dowiedział się, kim ona jest, natychmiast umyłby ręce od całej sprawy, a to była

ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

- Boże, skarbie, wyglądasz, jakbyś szła na egzekucję, a nie

do Dog Trot.

To była Johnnie. Vickie zmusiła się do uśmiechu. Przypomniała sobie, że pielęgniarka jest kuzynką Roana, więc nie należy jej ufać, gdy o niego chodzi.

- Cal ci powiedział?

- Roan, gdy pędził do biura, by załatwić formalności związane z twoim przeniesieniem. Natomiast Cal mówi, że ma nadzieję, iż Roan wie, co robi... a tak naprawdę liczy na to, że jego szef sparzy się na tej sprawie i zrujnuje sobie karierę.

- Johnnie roześmiała się wesoło. - Ten chłopak to beznadziejny przypadek. Ma wielkie ambicje, lecz nie dosięga do drabiny, po której mógłby się wspiąć.

- Jak zrozumiałam, chodzi o drabinę, na której szczycie czeka

na zwycięzcę odznaka Roana? - Vickie wydawało się naturalne,

że w rozmowach z Johnnie nazywa szeryfa po imieniu.

Johnnie wzięła aparat do mierzenia ciśnienia.

- Cal nie zdobędzie stanowiska Roana.

- Bo szeryf zbyt dobrze się okopał?

- Bo jest za dobry w tym, co robi. - Johnnie założyła mankiet aparatu na ramię Vickie i napompowała go. - Chociaż nie ROAN Jennifer Blake 85

mogę mieć Calowi za złe jego ambicji. Praca szeryfa to dobra rzecz, a tu u nas jest mało możliwości zarobkowania.

- 'Tak?

_ Młodzież przeważnie idzie do college'u, a potem znajduje sobie pracę w większych miastach. Mężczyźni zajmują się transportem leśnym albo pracują przy szybach naftowych

na wybrzeżu, na przykład mój mąż był wiertaczem, póki go

nie zwolnili, gdy zaczął się kryzys paliwowy. Teraz naprawia

urządzenia klimatyzacyjne. Trzeba jakoś sobie radzić, niezależnie od okoliczności.

- Cal mówił, że nadal mieszkają tu całe rzesze Benedictów.

- Łącznie ze mną, co? - Pielęgniarka roześmiała się radośnie. - Tak, to prawda, jesteśmy potomkami pierwszych osadników. Nasza rodzina przybyła tu jeszcze przed wojną domową i utrzymała się na tej ziemi. Jej członkowie zapuścili korzenie, zdobyli prawo do wyrębu lasów i wydobywania rud,

co pozwalało im przeczekać ciężkie czasy.

Ziemia, tradycja. Matka Vickie też przejmowała się tymi

sprawami, tak samo jak jej włoscy dziadkowie.

_ Tak więc Roan pochodzi z rodziny południowców?

- Wbrew sobie Vickie była pod wrażeniem.

_ Można tak powiedzieć, chociaż on sam obrusza się, gdy

nazywa się go potomkiem plantatorów i właścicieli niewolników. - Johnnie przerwała na chwilę i włożyła Vickie do ust termometr. - Teraz mieszkają tu cztery gałęzie rodu Benedictów, pochodzące od czterech braci, którzy wyemigrowali z Anglii pod koniec osiemnastego wieku. Legenda rodzinna głosi, że musieli szybko opuścić ojczyznę i że miało to coś wspólnego

ze śmiercią podłego męża ich siostry. Wydaje się, że Bene-

dictowie już wtedy sami dbali o swoje sprawy.

Mając termometr w ustach, Vickie nie mogła mówić, więc

uniosła brwi, zachęcając Johnnie, by kontynuowała opowieść.

ROAN Jennifer Blake

Przyda jej się każda informacja, jaką uda jej się zdobyć na temat mężczyzny, z którym ma spędzić kilka następnych dni.

- Przez jakiś czas bracia zajmowali się korsarstwem na Morzu Karaibskim, ale nie zniżyli się do piractwa. Potem wylądowali w Nowym Orleanie, ruszyli w górę Missisipi i osiedlili się wokół Jeziora Końskiej Podkowy. Pożenili się, każdy na

swój sposób. Najstarszy brat wziął za żonę rudowłosą, humo-

rzastą Szkotkę i z tej linii pochodzi mój kuzyn, Kane. Ma w

mieście kancelarię adwokacką. Ożenił się rok temu z rudowłosą

kobietą, ale jego żona jest słodka jak trzcina cukrowa, tak samo zresztą, jak on sam.

Termometr zapikał i został zabrany.

- A pozostali? - spytała Vickie.

- Drugi ożenił się z Indianką, która przyprowadziła ich tu,

nad jezioro. To gałąź kuzyna Luke'a. - Johnnie westchnęła.

- Jeżeli miałabym powiedzieć, z którym kuzynem wolałabym

nie być spokrewniona, byłby nim właśnie Luke. Jest taki przystojny, barczysty, ciemnooki, wysoki i marzycielski. Nazywaliśmy go Nocnym Łukiem, chociaż to się chyba skończyło, odkąd ożenił się z April. To ta sławna April Halstead, wiesz?

Pisze romanse. Czytałaś któryś z nich?

Nazwisko było znajome. Vickie pomyślała, że pewnie kiedyś wpadła jej w ręce któraś z tych książek, może na lotnisku?

Skinęła głową i spytała:

- Mieszka tutaj?

- Tak, bo lubi spokojne, ciche okolice. Niektórzy ludzie

już tacy są.

- A ty? W jakim stopniu jesteś spokrewniona z Roanem?

- Moje panięskie nazwisko brzmi: Benedict, a Roan i ja należymy do tej samej gałęzi rodziny. Wydaje mi się, że nasz wspólny przodek miał naturę pirata, bo porwał Hiszpankę z nad granicy Teksasu. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

ROAN Jennifer Blake

87

Historia rodzinna utrzymuje, że nakłaniano ją, by wyszła za mężczyznę dwa razy od siebie starszego, więc to porwanie okazało się bardzo korzystne i oszczędziło waśni między obiema rodzinami. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że tobie też może się zdarzyć coś takiego.

- Nie, oczywiście, że nie. - Vickie uśmiechnęła się blado.

- A jednak jedziesz do domu Roana, a powodem tego jest porwanie. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby...

- Johnnie, proszę! - Vickie ucięła romantyczne spekulacje pielęgniarki.

Johnnie westchnęła.

- Przepraszam. No cóż, obawiam się, że takie rzeczy są możliwe tylko w książkach April.

Vickie uznała, że trzeba jak najszybciej zmienić temat.

- Nie opowiedziałas mi jeszcze o czwartym bracie.

- To był dopiero hultaj! W lasach natknął się na zabłąkaną Francuzkę. Nigdy się nie dowiedział, skąd się tam wzięła, ale wcale go to nie obchodziło. Zabrał ją do domu i byli razem przez ponad pięćdziesiąt lat. Z tej linii pochodzi kluzyn Clay.

On i Roan są dobrymi kumplami.

- Fascynujące - skomentowała Vickie, bo Johnnie chyba

tego oczekiwała.

- Za młodu byliśmy niezłą bandą. Ja, Kane, Luke, Roan,

a nawet Clay. Od czasu do czasu dołączali też do nas jego

bracia. Nieźle rozrabialiśmy i zawsze trzymaliśmy się razem.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, rozumiesz. W czasie

bijatyk strześliśmy się nawzajem, pilnowaliśmy też, by nikt

nie skręcił sobie karku podczas głupich popisów. Mając takich

obrońców, mogłam niczego się nie bać. Przeżyliśmy razem naprawdę wiele pięknych chwil. To były czasy!

- Ale pokrewieństwo między wami nie jest bardzo bliskie,

prawda?

88 ROAN Jennifer Blake

- Jesteśmy kuryzami w piątym czy szóstym stopniu, chociaż niektórzy są spokrewnieni z kilkoma gałęziami rodziny.

Przez długi czas Turn-Coupe było prawie odizolowane od świata i zawierano małżeństwa wśród krewnych, bo nie było wielkiego wyboru. - Johnnie wzięła kartę choroby i wpisała wyniki badania. - Teraz już rzadko tak się zdarza. Pamiętam, że gdy

zaczęłam chodzić z Toddem Carlsonem, moja babcia zrobiła

mi potężną awanturę, bo Todd był ze mną spokrewniony w

trzecim czy czwartym stopniu. Narobiła tyle hałasu, że przez

jakiś czas w ogóle bałam się umawiać na randki.

- Więc Roan nie ożenił się po raz drugi, bo nie miał kogo

wybrać?

Johnnie uśmiechnęła się.

- Nie jest aż tak źle. Wydaje mi się, że po prostu całkowicie

poświęcił się pracy, a poza tym jest tak skromny, że nawet nie

zauważa, ile kobiet za nim szaleje. Ale to kawał chłopca, prawda? Nie przesadnie napakowany mięśniami jak ci, którzy budują muskulaturę na siłowni, ale też niczego sobie. I ma taki fajny tyłek!

Gest szczypania, jaki ta pulchna, macierzyńska kobieta zrobiła przy ostatnich słowach, był tak niespodziewany, że Vickie głośno się roześmiała, a zaraz potem zachłysnęła się powietrzem i przyłożyła rękę do ramienia.

- Nie rozśmieszaj mnie. Boli! - jęknęła.

- Przepraszam. W każdym razie tak wygląda saga rodziny

Benedictów. Bracia zajęli wielki kawał ziemi, polowali, łowili

ryby i zastawiali sidła wokół jeziora, hodowali bydło, uprawiali bawełnę oraz mieli tabuny dzieci. Dziś już prawie nikt nie żyje

w taki sposób. - Johnnie rozłożyła szeroko ramiona. - I tak

doszło do tego, że wszyscy teraz tu jesteśmy.

Vickie uśmiechnęła się, gdy usłyszała dumę i czułość w

głosie Johnnie.

ROAN Jennifer Blake 89

- Musi być miło, gdy się ma tak liczną rodzinę.

Na twarzy Johnnie pojawił się dziwny wyraz.

- Czasami chciałabym być jedynaczką, a także, by moi rodzice też byli jedynakami. Pragnęłabym mieszkać w mieście, gdzie nikt mnie nie zna. Tu nawet nie można wyjść z domu

po mleko do sklepu, żeby nie zauważyło cię pół tuzina znajomych. Jeżeli jesteś niestaramnie ubrana albo się nie umalowałaś, zaraz szepczą: „Co z tą Johnnie? Tak źle wygląda. My

ślisz, że ma jakieś kłopoty z mężem?" Naprawdę tak jest!

- Przynajmniej jednak wiesz, że troszczą się o ciebie - odpowiedziała Vickie spokojnie. Ona sama była jedynaczką, urodzoną z rodziców jedynaków. Żaden z licznych mężów matki, poza pierwszym, który był włoskim księciem i ojcem Vickie,

nie spłodził dzieci. I pewnie tak było lepiej, skoro matka nie

miała w sobie zbyt rozbudzonych uczuć macierzyńskich. Tylko

u dziadków, w małym włoskim miasteczku ukrytym wśród

wzgórz Toskanii, gdzie książęta Trentalara żyli od tysiąca lat,

Vickie czuła, że ma rodzinę. Żyło się tam podobnie jak w Turn-

-Coupe, bowiem wszyscy troszczyli się o wszystkich i przyjaźnili się ze sobą, co przypominało scenariusz jakiejś opery mydlanej.

Gdy Vickie była dzieckiem, dzięki dziadkom czuła się naprawdę bezpieczna, potem było już jednak gorzej. Od szóstego do czternastego roku życia matka wysyłała ją na cudowne wakacje do babci Sophii. Przyjeżdżały tam również dwie trochę starsze kuzynki z Rzymu. Dziadkowie uczyli ją manier i dobrego zachowania, dzięki czemu później potrafiła się znaleźć w każdym towarzystwie.

Dziewczynki zwiedzały Włochy z

babcią Sophią i dziadkiem Vannim, poznawały sztukę i życie,

potoczny francuski i włoski. Będąc w posiadłości, biegały z

dziećmi ogrodnika na wzgórze, gdzie spotykały się z rówieśnikami z miasteczka. Potem dziadek Vanni dostał zawału, 90

ROAN Jennifer Blake

a babcia Sophia upadła, złamała kość biodrową i krótko potem

umarła na zapalenie płuc. To był kres tych wspaniałych czasów

i wakacji we Włoszech. Odtąd Vickie opiekowały się różne,

wiecznie zmieniające się guwernantki, a następnie wychowawczynie w internatach.

Zagubiona w myślach, Vickie spojrzała w oświetlone słońcem okno i cicho się odezwała:

- Pamiętam...

Johnnie uniosła głowę.

- Tak?

Vickie gwałtownie zamilkła. Poczwała, jak z twarzy odpływa

jej krew, bo uświadomiła sobie, jaki błąd mogła popełnić. Już

raz prawie się zdradziła, gdy dała do zrozumienia, że nie ma

rodziny. Czy Johnnie to zauważyła? I czy powie o tym Roa-

nowi? Dobry Boże, musi bardziej uważać!

Przybrała zakłopotaną minę i żałośnie westchnęła.

- Och, chyba na sekundę coś sobie przypomniałam, ale to wspomnienie rozwiało się.

- To fatalnie. Może następnym razem ci się uda. - Johnnie

podeszła do szafki nocnej i zaczęła pakować przybory toaletowe. - A teraz lepiej już się zbieraj, bo Roan zaraz tu będzie.

Można powiedzieć o nim wiele dobrego, ale cierpliwy to on nie jest.

Vickie nie miała co do tego wątpliwości. Zastanawiała się tylko, jak daleko wolno jej się posunąć, nim szeryf przestanie nad sobą panować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- To jest Dog Trot? - wykrzyknęła zdumiona Vickie.

Siedziała w radiowozie Roana i patrzyła na jego dom, czyli na piękny dwór sprzed wojny secesyjnej. Grube kolumny o podstawach w kształcie dzwonu obrzeżały werandę, chronioną balustradami z żelaza kutego w taki sposób, że wyglądało jak koronka. Ceglane ściany porośnięte były gęstą winoroślą, a szerokie schody, których poręcze także były z kutego żelaza, prowadziły do solidnych wejściowych drzwi na piętrze, dzięki czemu parter wyglądał jak wysoka podmurówka. Jednak najbardziej oryginalną cechą tego domu była *porte cochere*, biegnąca jak tunel przez środek parteru. Słońce i cień tworzyły piękne wzory na jej wewnętrznych ścianach, a przez szeroki przelot widać było kwitnące w ogrodzie rośliny. Budynek był dobrze utrzymany i emanował aurą spokoju.

- To mój dom - powiedział Roan.

- Jest ogromny!

- Nie tak bardzo - odparł, wysiadając. Obszedł samochód,

by otworzyć drzwi Vickie. - To znaczy nie wydaje taki duży,

póki nie trzeba go malować. Wtedy odkrywam, że jest naprawdę wielki.

Zimowa rezydencja Vandergraffow na Sanibel, jak również

rodzinna siedziba jej ojca we Włoszech, były większe od Dog

Trot, ale dom, przed którym teraz się znajdowała, miał w sobie

* Porte cochere (franc.) - przejście na dziedziniec (przyp. red).

92

ROAN Jennifer Blake

coś niezwykle pociągającego. Solidne ściany Dog Trot i jego

grube drzwi obiecywały spokój i bezpieczeństwo. To domostwo skojarzyło się Vickie z sanktuarium.

Wysiadła z radiowozu, a Roan chwycił ją pod łokieć. Właśnie wtedy z cienistego tunelu wybiegł potężny brunatnorudy pies, stanął w blasku słońca i przeciągnął się. Potem uniósł

łeb i zaszczekał. Jego głos zabrzmiał jak przetaczający się po

niebie grzmot.

- O Boże! - szepnęła Vickie. - Co to jest?

Roan uśmiechnął się lekko.

- 'Nie bój się! To tylko stary Beauregard, zwany Beau, który spełnia swój stróżowski obowiązek.

- Ale to chyba... posokowiec . - Vickie ledwo powstrzymywała dreszcz strachu, widziała bowiem zbyt wiele filmów z takimi psami.

- Czystej krwi i z rodowodem, chociaż jest za leniwy, by

tropić zwierzynę większą niż króliki. - Jednak w tej obeldze

wyczuwało się niekłamaną sympatię do tego zwierzęcia. Vickie

pomyślała, że pies wcale nie jest taki leniwy, jak utrzymuje jego pan. Była przekonana, że został wytresowany do tropienia zbiegów. Jednak gdy podbiegał do swojego pana, by podstawić łeb do pogłaskania, a potem z błogim rozaniem położył się przy nogach Roana, wcale nie wydawał się złośliwy ani podstępny. Mogły to jednak być tylko pozory.

- Gryzie? - spytała z niepokojem Vickie.

- Tylko wtedy, gdy mu każę - wyjaśnił obojętnie Roan.

- No to mnie uspokoiłeś.

- Nie lubisz psów?

- Małe są fajne. - W dzieciństwie miała pudła. Uwielbiała

* Posokowiec - ang. bloodhound, pies do tropienia ranionej zwierzyny (przyp. red.).

ROAN Jennifer Blake 93

go, ale zniknął ze swojej klatki podczas lotu z Nowego Jorku

do Fort Myers. Potem już nigdy nie chciała mieć żadnego zwierzęcia. Bała się, że znów się do niego przywiąże, a potem je straci.

- A duże nie? No to możesz mieć kłopoty. - Skinął głową

w kierunku stodoły za domem.

Miał rację, bo właśnie wybiegała stamtąd zgraja psów.

Czarne i brunatne, ze sterczącymi żebrami, wyglądały jak psy myśliwskie ze starych angielskich sztychów.

- Pozwól, że zgadnę - przeciągnęła słowa. - Jesteś myśliwym.

- I, jak sądzę, to też ci się nie podoba.

Skwitowała te słowa wzruszeniem ramion, ale cały czas

nerwowo obserwowała kręcące się wokół psy, które obwąchiwały jej nogi, jakby poszukiwały przekąski.

- To twój problem, że lubisz zabijać bezbronne zwierzęta.

- Teraz zajmuję się głównie hodowlą i tresurą psów, tak samo jak mój ojciec, a przed nim dziadek i pradziadek. Psy

z Dog Trot od pokoleń zdobywają niebieskie wstążki. Są najlepsze w całym naszym regionie.

- To dlatego twój dom tak się nazywa - powiedziała znudzonym tonem. - Jakie to urocze.

Roan roześmiał się i jeszcze raz pogłaskał Beauregarda.

Pies roztrącił na boki swoich towarzyszy i skoczył mu na pierś.

- Piesku, słyszałeś? Nie udało nam się zaimponować tej damie, dlatego nie zdradzimy jej, że tunel pod domem jest znany jako psie przejście.

Vickie, przyciśnięta przez sforę psów do drzwiczek samochodu, nie widziała w swojej sytuacji nic śmiesznego. Jedno tylko było w tej sytuacji dobre: Gburek bał się psów.

Roan kazał zwierzętom odejść. Vickie odsunęła się od drzwiczek, by mógł je zamknąć, i potknęła się.

94

ROAN Jennifer Blake

- Uważaj! - błyskawicznie chwycił ją w pasie, co ją tak zaskoczyło, że straciła równowagę.

Roan trzymał ją mocno. Wydawało się, że władczość, jaką emanował, otaczają i zamyka jak w kokonie. Czowała, jak szybko podnosi się i opada w oddechu jego klatka piersiowa, słyszała bicie serca. Jego szare oczy za osłoną gęstych rzęs lśniły aprobatą... i jeszcze czymś.

- Przepraszam - powiedział z napięciem. - Powiniennem

był pamiętać, że jeszcze jesteś osłabiona.

- Nic mi nie jest - odparła, starając się, by jej głos brzmiał

chłodno i obojętnie. - Czy możesz mnie puścić?

Jego usta zacisnęły się i natychmiast spełnił jej życzenie.

Więcej już jej nie dotykał. Vickie powoli ruszyła w kierunku

szerokich schodów, które prowadziły do podwójnych drzwi

frontowych na głównym piętrze, a Roan, z denerwującą czujnością, siedł obok niej. Pod tym baczny

spojrzeniem czuła się zażenowana. Żałowała, że ma na sobie tylko cienki szpitalny

szlafrok.

Zacisnęła zęby i mocno chwyciła się żelaznej balustrady.

Zrobi wszystko, by nie okazać słabości. Musiała zamieszkać

w domu Roana Benedicta, ale nie życzy sobie od niego żadnych

innych przysług.

- Prosiłbym cię, żebyś była ostrożna z Beau.

- Nie żartuj - szepnęła z trudem. Była słabsza, niż jej się

wydawało i z trudem wspinała się po schodach.

- On traktuje poważnie swoje obowiązki strażnika. Jeżeli

poczujesz, że idziesz tam, dokąd nie powinnaś, może próbować

cię zatrzymać.

- Chwytając mnie za nogę?

- Nie ugryzie cię, ale nie pozwoli ci się ruszyć.

- Jakie to wygodne, prawda? Dzięki temu oszczędzisz dy

żurów przynajmniej jednemu zastępcy.

- Cal i Alien również będą cię pilnowali przez cały dzień,
ale nie przejmuj się nimi.

Zabrzmiało to tak, jakby szeryf nie był z tego zadowolony,
choć nie rozumiała, dlaczego.

- Ach, tak! - odparła krótko. - Ciekawe tylko, co się stanie, gdy porywacze odkryją, że zostałam tu przeniesiona.

Roan roześmiał się głucho.

- Myślisz, że udałoby się to utrzymać w tajemnicy?

- Tak byłoby rozsądnie.

- Nie ma takiej możliwości. Przed wieczorem wszyscy w
Turn-Coupe będą już o tym wiedzieli.

Z całą pewnością miał rację. Zauważyła już, jak rozplot-
kowany jest personel szpitala. Tak samo było w miasteczku
jej dziadków. Jeżeli ktoś kichnął podczas śniadania, w południe
wszyscy go pytali, jak się czuje.

Było jej okropnie gorąco, poręcz też była rozpalona, i do
tego śliska. Jej palce obsuwały się z gładkiego metalu, wypolerowanego przez niezliczone ręce wielu
pokoleń Benedictów.

Mimo cienia, rzucanego przez liście dębów rosnących po obu
stronach schodów, Vickie zaczęła się pocić, przez co rana najpierw ją zaswędziała, a potem
rozbolała, jakby ktoś wciskał
w nią rozpalony do czerwoności pręt.

- Dobrze się czujesz? - spytał Roan. - Może chcesz trochę
odpocząć? Pomóc ci?

Wydawało jej się, że jego głos dochodzi z bardzo daleka.

Nie spojrzała na niego ani na rękę, którą do niej wyciągnął.

- Nie, dziękuję - powiedziała spierzchniętymi ustami.

- Ode mnie za nic nie przyjmiesz pomocy, prawda?

- Możesz sobie myśleć, co chcesz.

- A więc myślę sobie, że nie będziesz zbyt szczęśliwa, jeśli rozbijesz sobie głowę na schodach.

Obejrzała się na Beau, który deptał im po piętach.

96

ROAN Jennifer Blake

- Trzymaj to zwierzę z daleka ode mnie... a wszystko będzie w porządku.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze.

- Miło mi to słyszeć - mruknęła, unosząc dumnie głowę.

- No, pięknie - skomentował z lekkim rozdrażnieniem.

- Więc kim teraz jesteś? Arystokratką w drodze na gilotynę?

A może księżniczką udającą się na randkę z katem?

Prawie odgadł, dlatego ze zdziwieniem spojrzała na niego.

Niestety ten szybki ruch głową okazał się błędem, bo dłoń

Vickie ześliznęła się z poręczy. Dziewczyna cicho krzyknęła,

bojąc się, że za chwilę upadnie.

Roan natychmiast chwycił ją w ramiona, a potem wniósł

po schodach do domu.

Znalazła się w cudownie chłodnym, klimatyzowanym pomieszczeniu, w którym unosił się zapach olejku cytrynowego do polerowania mebli i delikatna korzenna woń z zapomnianej

czarki potpourri. Ten sam zapach pamiętała z willi swoich włoskich dziadków. Poczwała się tak, jakby już tu kiedyś była.

Zanim Roan wszedł na schody wiodące na piętro, rozejrzała

się po długim, oszczędnie umeblowanym antykami holu. Wydawało jej się, że wchodzenie po schodach nigdy się nie skończy. Wreszcie szeryf wmaszerował do jakiegoś pokoju i położył ją na łóżku z wysokim wezglowiem, na którym spiętrzone poduszki. Łoże było miękkie i wygodne, ale gdy Roan się odsuwał, trącił ręką jej ramię. Vickie syknęła z bólu.

- Przepraszam - powiedział, okrywając ją połami rozchylonego dotąd szlafroka. Wreszcie wyprostował się i popatrzył

na nią z niepokojem.

Odwróciła wzrok od jego chmurnego spojrzenia i rozejrzała

się po pokoju. Ściany pokoju były jasnożółte, ale kiedyś pewnie

pomalowano je na biało, a dopiero potem dym z kominka, rozpalanego od lat pod marmurowym okapem, nadał im obecną ROAN Jennifer Blake 97

barwę. Wokół sufitu biegł stiukowy stylizowany roślinny ornament. Łóżko, na którym leżała, było wykonane z różanego drzewa i miało masywne wezglowie, podtrzymywane przez

żłobkowane kolumnienki. Złoty jedwabny baldachim nad głową,

promieniście naprężony po bokach, schodził się u góry przy

misternie rzeźbionym kupidynku. Słodka, gładka twarzyczka

bożka była popękana ze starości, a w słońcu, które wpadało

przez koronkowe firanki, nabrała pastelowej barwy.

- Powinnam ci podziękować za to, że uratowałeś mnie

przed upadkiem - odezwała się wreszcie Vickie, nadal jednak

nie patrząc na Roana.

- Nie musisz się fatygować - powiedział chłodnym, choć

zmęczonym głosem. Vickie poczuła, jak na jej twarz wypływa

rumieniec. Wstyd jej było, że zachowała się tak niegrzecznie,

a poza tym peszyło ją uważne spojrzenie szeryfa. Jest zbyt

inteligentny, pomyślała, za dobrze rozumie ludzi. Zobaczył za

dużo, zbyt łatwo przejrzał jej grę. Zamknęła oczy, uniosła rękę

do ramienia i przycisnęła ją do opatrunku.

- Naprawdę ci dziękuję. Bez ciebie na pewno mocno bym się potłukła.

- Znow cię boli? - spytał z niepokojem. - Doktor Watkins dał mi trochę środków przeciwbólowych. Wystarczy ich, póki nie wykupię recepty, którą wypisał. - Wyjął z kieszeni małą fiolkę. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz przyniosę wodę.

Jego natychmiastowa reakcja sprawiła, że Vickie poczuła się jeszcze bardziej niezręczna i winna. Otworzyła oczy. Roan właśnie zniknął w drzwiach, które musiały prowadzić do przyległej łazienki. Ten człowiek ciągle zbijał ją z tropu.

Z łazienki dobiegł sygnał pagera. Vickie pomyślała, że dzielnemu szeryfowi dawano znać o jakimś nagłym wypadku

na wsi: może czyjaś krowa uciekła z pastwiska albo jakiś włóczęga usiłował zbiec z kawiarni, nie płacąc rachunku, czy też 98

ROAN Jennifer Blake

miła starsza dama pędziła do miasta z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Cokolwiek zresztą to było, Roan na pewno się tym zajmie.

Podczas rozmów z Johnnie i Calem odkryła, że szeryf bardzo dba o obywateli Turn-Coupe, troszczy się o nich i martwi ich kłopotami, a mieszkańcy miasta bez przerwy potrzebują

jego pomocy i rady. I wydawało się, że te wezwania nigdy go nie męczą, nawet gdy już jest po służbie. Zapewne chodziło tu o coś więcej niż pracę: on naprawdę był szczęśliwy, że może pomagać ludziom.

Słyszała o mężczyznach, którzy, powodowani wrodzoną potrzebą pomagania innym, zachowują się jak błędni rycerze,

Jeżeli więc dobrze odegra rolę bezbronnej inwalidki, być może

szeryf Roan Benedict z więziennego strażnika przemieni się w oddanego opiekuna i obrońcę.

Wprawdzie czuła wyrzuty sumienia, zdawała sobie bowiem sprawę, że jej postawa służy tylko jej samej, nic na to jednak nie mogła poradzić. Po prostu zrobi wszystko, co jest konieczne, by Roan jej wierzył.

Usłyszała szum wody dochodzący z łazienki, a po chwili szeryf wrócił do pokoju, niosąc kryształową szklankę, która w jego wielkiej ręce wydawała się malutka. Powinien wyglądać śmiesznie, ale był po prostu wspaniały. Przemknęło jej przez głowę, że widocznie ma spore doświadczenie w opiekowaniu się kobietami, które leżą w łóżku, zaraz jednak odsunęła od siebie tę myśl, bo takie rozważania były bezcelowe, a przy tym wzbudzały jej niepokój.

Pozwoliła, by pomógł jej usiąść, i połknęła kapsułkę. Gdy oddawała mu szklankę, niemal ją upuścił. Zauważyła, że patrzy na nią tak, jakby sprawdzał, czy połknęła lekarstwo. Gdy podniósł wzrok i ich oczy spotkały się, na jej twarzy wystąpił gorący rumieniec.

ROAN Jennifer Blake

99

Wytrzymała to niepokojące spojrzenie przez bardzo długą chwilę, starając się zobaczyć coś więcej niż grubo ciosane rysy i wypisaną na twarzy władczość. Chciała wiedzieć, co Roan czuje i myśli, przeniknąć przez mury ochronne, jakie wokół siebie zbudował ten człowiek, i ujrzeć za nimi prawdziwego

Roana Benedicta.

Jednak niczego nie zdołała wyczytać z jego oczu.

Zakłopotana tym, że tego próbowała i trochę sfrustrowana porażką, odwróciła wzrok i mimowiednie spojrzała na kaburę z pistoletem, przyczepioną do szerokiego skórzanego paska szeryfa. Przeszył ją mimowolny dreszcz.

- Mam go po to, by cię bronić - powiedział, odgadując jej myśli.

- Dobrze. Postaram się o tym pamiętać, gdy za kilka dni będą mi zdejmowali szwy. - Atak zawsze był jej ulubionym sposobem obrony przeciw niechcianym emocjom.

- To nie ja puściłem w ruch tę całą karuzelę, na której teraz się kręcisz - dodał Roan takim samym obojętnym tonem.

- Postaram się jednak, by się zatrzymała.

- Jesteś cudotwórcą? - Jej głos był chrapliwy i pełen ironii.

- Jeśli potrzeba cudu, będzie cud.

Tak bardzo pragnęłaby mu zaufać, opowiedzieć o wydarzeniach, które doprowadziły ją do Dog Trot i pozwolić, by wszystkim się zajął i pomógł jej uwolnić się od tego koszmaru.

Jednak zbyt daleko musiałaby się cofnąć w przeszłość i ujawnić swoją prawdziwą osobowość, którą tak skrętnie przez długie lata ukrywała. Lecz jak mogłaby to zrobić, skoro sama nie była pewna, kim jest naprawdę?

- Tato?

W drzwiach pojawił się kilkunastoletni chłopiec. Jego głos

zdradzał, że właśnie przechodzi mutację. Wzrostem dorównywał ojcu, a podobieństwo rysów było wprost uderzające.

ROAN Jennifer Blake

- Słucham. - Minęła sekunda, zanim Roan odwrócił spojrzenie od Vickie i skierował je w stronę drzwi.

- Na drodze widziałem furgonetkę, chyba Kane'a. Myśla

łem, że będziesz chciał się o tym dowiedzieć

Roan kiwnął głową, a potem skinął na syna ręką.

- Skoro już tu jesteś, podejdź i poznaj Donnę.

Młody Benedict wszedł do pokoju, a jego ruchy swą niezręcznością upodabniały go do długonogiego żrebaka. Włosy chłopca miały barwę piasku, a oczy były bardziej orzechowe

niż szare. Gdy ojciec położył mu rękę na ramieniu, spojrzał

na niego, ale nie próbował się usunąć.

- Donno, to mój syn, Jake.

- Cześć! - powiedziała Vickie, wyciągając do niego zdrową rękę. Chłopiec szybko obrzucił ją wzrokiem, ale nic nie powiedział. Przytrzymał jej dłoń przez króciutką chwilę, jakby

nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Potem cofnął się i wpakował ręce do kieszeni.

- Przykro mi, jeżeli mój pobyt tutaj okaże się dla ciebie

kłopotliwy - powiedziała z uśmiechem. - Obiecuję, że postaram się za bardzo ci nie przeszkadzać.

Jego spojrzenie znów umknęło w bok. Vickie nie wiedziała,

czy jest to oznaka nieśmiałości, czy zażenowania, że widzi ją

w szpitalnym szlafroku.

- W porządku - powiedział w końcu. - To pomysł taty.

- Ja też tak myślałam, ale jednak...

Jake skinął głową, a potem popatrzył na ojca.

- Co mam powiedzieć Kane'owi? Zejdiesz do niego, czy

mam go poprosić, żeby tu przyszedł?

- Już schodzę. - Roan spojrzał na zegarek. - Zresztą i tak

muszę jechać do biura, a Donna potrzebuje odpoczynku.

Wyszli, nie mówiąc już nic więcej. Vickie leżała, patrząc w światło za koronkowymi firankami. Delikatny materiał wy-

ROAN Jennifer Blake 101

dymał się, poruszany powiewami z klimatyzatora, a chłodne powietrze cicho szumiało, unosząc się ze szczelin w podłodze.

Było tu tak spokojnie, tak cicho i tak przytulnie, zupełnie inaczej niż w szpitalu. Prawie czuła, jak opuszcza ją napięcie, i poddała się rozkosznej beztrosce, która ją ogarnęła po zażyciu proszków przeciwbólowych. Było jej dobrze, otaczał ją kokon

absolutnego bezpieczeństwa. Chyba może bez strachu zasnąć

i przespać całą wieczność. Dlaczego jedynie Roan Benedict

potrafi sprawić, by tak się czuła?

Kane czekał na kuzyna na dworze, u stóp schodów. Oparty

o solidny słupek poręczy z kutego żelaza, stał w cieniu wielkiego dębu, który w dzieciństwie też ich osłaniał, gdy bawili się w policjantów i złodziei. Był to wspaniały sposób na spędzanie długich letnich dni. Jakże oni się wtedy wspaniale bawili!

Beau, który łąsił się do Kane'a, odszedł od niego z wyraźnym

wstydem, gdy tylko jego pan zszedł ze schodów. Roan poklepał

psa, a potem, sięgając nad jego głowę, przywitał się z kuzynem.

- No i co u ciebie słychać? - spytał Roan.

- Wszystko idzie świetnie.

- A u Reginy?

- Jeszcze lepiej. - Kane radośnie się uśmiechnął, a jego

niebieskie oczy rozbłysły. - Z każdym dniem jest grubsza

i bardziej niecierpliwa. I, oczywiście, o wszystko wini mnie.

Kane zmienił się, pomyślał Roan. Jest spokojniejszy niż

przed ślubem i częściej się uśmiecha. Wydawał się niemal taki

beztroski jak wtedy, gdy był nastolatkiem i z całą bandą kuzynów ścigał się łodziami, grał w baseball, dłużył przy starych samochodach, dzielił się tajemnicami i opychał rybami, pieczonymi w buchającym pod niebo ognisku na brzegu jeziora.

Roan rozumiał, co przyniosło taką zmianę. Kane był szczęśliwy, a jego żona spodziewała się ich pierwszego dziecka.

102

ROAN Jennifer Blake

- Chyba nie próbujesz uchylić się od odpowiedzialności?

- powiedział z żartobliwą surowością.

- Boże broń, oczywiście, że nie! - zawołał gorąco Kane.

- Przyznaję się do winy, chociaż gdyby nie pełna zapachu współpraca Reginy...

- Nie zapominaj o tym, a wszystko będzie dobrze.

- Już to słyszałem.

- Od kogo? Od cioci Vivian i panny Elise? - Roan wiedział z doświadczenia, że starsze kobiety na ogół udzielają najmądrzejszych rad.

- I babci Mae. Tak, nawet April się wypowiada, chociaż

jedyne doświadczenie, jakie ma z ciążą, to pomoc przy narodzinach kociąt.

Roan uniósł pytająco brew.

- Myślisz, że ona i Luke też pracują nad tym?

- Nie pytałem i nie zamierzam pytać, bo chciałbym dożyć

dnia narodzin mojego pierwszego dziecka - oświadczył Kane

z przekornym uśmiechem. - Nikt z nas nie młodnieje.

Roan odpowiedział mruknięciem, na jakie taka złośliwość

zasługiwała. Zapadła chwila ciszy, szybko więc zaproponował

kuzynowi kawę. Kane podziękował. Powiedział, że Regina szykuje lunch, więc jeżeli nie wróci do domu na czas, będzie się miał z pyszna. Roan przyjął odmowę i usprawiedliwienie do

wiadomości z krzywym uśmiechem pełnym współczucia, ale jednocześnie poczuł ukłucie zazdrości. Jemu nikt nie gotował.

Oparł się o przedni błotnik furgonetki Kane'a. Kane nie przyszedł tu jedynie w celach towarzyskich, bo na to była zbyt wczesna pora. No cóż, skończyli już więc rytualną pogawędkę, i teraz Roan czekał, aż kuzyn powie, co go naprawdę sprowadziło do Dog Trot.

Kane był prawnikiem i ostrożnie dobierał słowa. Miał na sobie strój roboczy, to znaczy eleganckie spodnie i porządnie

ROAN Jennifer Blake

103

uprasowaną płócienną koszulę. Mimo to poszedł za przykładem

Roana, oparł nogę w drogim skórzanym bucie o koło furgonetki

i, nie patrząc na kuzyna, przystąpił do omawiania sprawy:

- Regina zadzwoniła do mnie do biura. Betsy powiedziała

jej to, co sama usłyszała od Johnnie, a mianowicie że pojechałeś do Dog Trot z gościem. To chyba nieprawda?

Roan westchnął. Poczta pantoflowa w Turn-Coupe zawsze

działała szybko, ale była niczym w porównaniu z szybkością,

z jaką tam-tamy roznosiły wieści pośród Benedictow. Jednak

rozumiał, że Kane ma powody, by się niepokoić. Stary palla-

diański dworek, w którym on i Regina mieszkali, stał blisko

jego domu.

- Jeśli boisz się o żonę...

- Wiesz, że nie o to mi chodzi. Boimy się o ciebie, o twoje

bezpieczeństwo... a może nawet o twoje zdrowie psychiczne.

- Kane, nic mi nie grozi i jestem przy zdrowych zmysłach.

Zaprosiłbym cię do domu, żebyś poznał podejrzaną, ale droga ze szpitala bardzo ją zmęczyła i teraz odpoczywa.

Kane ponuro spojrział na kuzyna.

- Masz w domu podejrzaną, być może groźną kryminalistkę, i nie zastosowałeś żadnych środków ostrożności?

- Zapominasz o Beau. - Pies już jakiś czas temu stracił zainteresowanie ich rozmową, położył się i zaczął drzemać z łbem opartym na łapach. Na dźwięk swojego imienia tylko sennie machnął ogonem.

- Ależ skąd - powiedział Kane z ironią. - Beau zapewnia

przecież pełny dozór, chyba że ta kobieta zechce cię zamordować w twoim własnym łóżku, podczas gdy Beau będzie sobie spokojnie wyl do księżycy.

- Ona nigdzie się nie wybiera. Do cholery, ma ranę po kuli.

- I to ty do niej strzelałeś, prawda?

Roan skinął głową.

104

ROAN Jennifer Blake

- Słyszałem o tym, ale nie mogłem uwierzyć. Wyobrażam sobie, że żadne z was nie czuje się z tym dobrze.

Kane milczał przez chwilę, wytrzymując spojrzenie kuzyna.

- Oczywiście, że nie - w końcu odpowiedział sam sobie

Kane, a potem dodał: - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Trzymam podejrzaną w domowym areszcie. Będzie tu przebywać do dnia rozprawy, i tyle.

- Nigdy przedtem tak nie postępowałeś. Jesteś pewny, że

nie kierujesz się poczuciem winy?

- A nawet jeżeli, to co? Ona potrzebuje pomocy.

- I zapewne chcesz mi wmówić, że to nie ma nic wspólnego z Carolyn.

Roan wzruszył ramionami. Wyrzuty sumienia związane

z tym, co stało się w przeszłości, nadal go dręczyły, najmocniej *podczas* urodzin Jake'a, kiedy sobie przypominał, że chłopiec wychowywał się praktycznie bez matki. Do diabła, już nawet

nie pamiętał, jak się żyje bez takiego brzemienia.

- Nie byłeś odpowiedzialny za to, co próbowała zrobić

twoja była żona. Mnóstwo ludzi sądziło wtedy, że gdyby nie

ty, zrobiłaby to o wiele wcześniej. Poza tym uratowałeś jej

życie. - Słońce rzuciło lśniące refleksy na czarne włosy Kane'a, gdy lekko przechylił głowę i zmrużył oczy, broniąc się przed odblaskiem szyb furgonetki. - Jednak ta kobieta, którą

trzymasz w swoim domu, nie jest Carolyn. Mówiono mi, że

celowała do ciebie z pistoletu i to, że do niej strzelełeś, było całkowicie usprawiedliwione.

- Nie myślę tych dwóch kobiet - powiedział szorstko Roan.

- Poza tym Donna jednak do mnie nie strzeliła.

- Nie wiesz jednak, czy nie zrobiłaby tego, gdyby nadarzyła jej się po temu okazja.

- Nikt tego nie wie. No cóż, nawaliłem i podejrzana została ranna, więc teraz opiekuję się nią. I to wszystko.

ROAN Jennifer Blake 105

Kane skinął głową, a potem spojrział w bok, na niebieską

sójkę, która zakrzeczała z gałęzi dębu, ostrzegając wszystkich

intruzów, by nie wchodzili na jej terytorium. Czyżbym postępował tak samo? pomyślał nagle Roan.

Gdy Kane znów się odezwał, jego głos brzmiał tak spokojnie, jak wtedy, gdy wygłaszał mowę w sądzie.

- A co z formalnościami? Czy ta kobieta została zarejestrowana w areszcie? Prokurator powinien wkrótce znaleźć na swoim biurku informację o zarzutach, jakie jej stawiasz. Wiesz,

że to skrupulant, prawie taki sam, jak ty.

Roan wołał nie patrzeć kuzynowi w oczy.

- Nie jest łatwo ustalić zarzuty, skoro podejrzana nie pamięta wystarczająco dużo, by móc odpowiadać na moje pytania. Doktor Watkins mówi, że amnezja prawdopodobnie minie, ale może to potrwać długo, nawet całe tygodnie... lub też Donnie pamięć nigdy już nie wróci.

- To ty jesteś szeryfem - powiedział sucho Kane, - ale

mimo to pogrzebię w kodeksach, żeby sprawdzić przepisy dotyczące aresztu domowego podejrzanych cierpiących na amnezję. Możesz potrzebować tych informacji, zwłaszcza wówczas, jeżeli ona ucieknie albo jej kumple zdołają wykraść ją z twojego domu. - Zaczekał chwilę, jakby spodziewał się odpowiedzi, ponieważ jednak kuzyn milczał, zapytał: - Nie obawiasz się o Jake'a?

Roan odsunął się od furgonetki.

- Twierdzisz, że wystawiam go na niebezpieczeństwo?

- Nie robisz tego celowo, ale musisz przyznać...

- Nie muszę niczego przyznawać. Ta kobieta, którą ochraniam, nie jest niebezpieczna. Postawiłbym na to całą moją reputację. Natomiast jestem w pełni świadomy, że mężczyźni, z którymi była, mogą stanowić zagrożenie, ale ja potrafię ich

powstrzymać. To moja praca, jeśli pamiętasz.

106

ROAN Jennifer Blake

Roan rozumiał, że Kane mówi o tym, czym martwiła się

cała rodzina, i musiał uznać zasadność tych obaw, jednak bolała go niewiara kuzyna, iż on, wyszkolony policjant i szeryf, zapanuje nad sytuacją.

- Zatrudnisz do jej ochrony dodatkowych ludzi?

- Cał obejmie wartość przy niej. Z początku nie był zadowolony, ale teraz okazuje coraz większy entuzjazm. Przypuszczam, że jutro pojawi się tu w kamuflującym stroju, a na twarzy będzie miał rozmazaną czarną farbę, jak jakiś komandos. Zrobi wszystko, by udawać przed Donna bohatera.

Kane popatrzył na niego z niedowierzaniem, a potem zło

śliwy uśmiezek pojawił się na jego twarzy.

- Wiesz co? To zabrzmiało tak, jakby...

- Jakby co? - warknął Roan.

- Po prostu jakbyś był o niego zazdrosny - roześmiał się

Kane. - Albo jakbyś to ty chciał grać rolę bohatera. April zawsze mówiła, że jesteś zbyt łatwowierny w stosunku do kobiet.

- To już taka nasza cecha rodzinna - zakpił Roan czyniąc

aluzję do sposobu, w jaki Kane poznał swoją żonę. Regina

była samotną matką, którą wysłano do Turn-Coupe, by szpiegowała rodzinę Kane'a, a w tym czasie zleceniodawca zatrzymał jej syna jako zakładnika, by upewnić się, że Regina wywiąże się z zadania. Kane, mimo iż żywił poważne podejrzenia co do jej roli, zakochał się w niej. I złamał kilka przepisów

prawnych, spiesząc jej na ratunek, a nawet zarobił kulkę podczas rozpaczliwej próby odbicia syna ukochanej z rąk jej łajdackiego kuzyna, który więził chłopca. Wszystko to skończyło się zagmatwaną walką w sądzie, w której Kane występował

jako prokurator. Również romans Luke'a z April Halstead też

nie był sielanką.

- Och, masz rację - przyznał Kane z cierpkim grymasem,

- ale to jeszcze nie powód, bym uznał, że trzymanie w domu

ROAN Jennifer Blake

107

kobiety, która może być przestępczynią, jest rozsądne, nawet

gdyby była nie wiem jak cudowna.

- Znów Johnnie?

- Tym razem Betsy. Chyba pamiętasz, że widziała ją podczas włamania?

- Przypuszczam, że nawet nie warto się fatygować, by mówić ci, że to, jak wygląda moja podejrzana, nie ma najmniejszego znaczenia.

- Masz rację, nie warto.

Roan westchnął. Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy, potem włożył go znowu na głowę.

- Ona jest tak rozpaczliwie samotna. Doprowadzą mnie do szaleństwa swoimi gierkami i pozami damy z wyższych sfer oraz ciętymi wypowiedziami rzucanymi mi prosto w twarz, ale w innych chwilach ledwo się powstrzymuję, żeby nie wziąć jej w ramiona i nie ukołysać, jakby była dzieckiem. Coś jest z nią nie tak, czegoś mi nie mówi, i póki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi, nie spuszczę jej z oka. Jestem za nią odpowiedzialny i zaopiekuję się nią. Nic innego nie ma znaczenia.

- Och, do diabła - sapnął Kane, potrząsając ze zdumieniem głową. - A więc to tak! Wpadłeś! Już po tobie.

- O czym ty mówisz?

- Jeżeli tego nie rozumiesz, to ja nie zamierzam ci tłumaczyć. Jednak nadal bym wolał, żebyś odesłał ją do więziennego szpitala w Baton Rouge, i niech tam czeka, póki sędzia nie wróci z urlopu. Widzę jednak, że nawet nie chcesz o tym słyszeć.

- Kane, nie mogę się tak po prostu od niej odwrócić. Muszę postępować zgodnie z tym, co uważam za słuszne, nawet jeżeli ludzie w mieście oraz rodzina uważają, że nie mam racji.

- To uczciwe postawienie sprawy - powiedział Kane, kła-

108 ROAN Jennifer Blake

dać mu rękę na ramieniu - ale wiesz, że w razie potrzeby zawsze możesz wezwać nas wszystkich. Nie musisz przechodzić przez to sam.

- Wiem. - Jednak Roan wiedział, że nigdy nie poprosi kuzynów o pomoc. Za długo żył samotnie, nie pozwoli więc, aby rodzina zaczęła wtrącać się w jego życie.

- Miałeś ostatnio wiadomości od swojego taty?

Kanne powiedział to obojętnym głosem i Roan ledwie wyczuł, że próbuje mu na coś zwrócić uwagę. Jednak nie zrozumiał, o co może chodzić.

- Tato? Chyba nadal jest w Vegas. Wiesz, jaki on jest. Nie

pisze ani nie dzwoni, po prostu od czasu do czasu wpada do

domu, gdy najmniej się go spodziewamy.

- Mam nadzieję, że nie znalazł nowego hobby. Wczoraj

mówili w telewizji o starszych ludziach, którzy popadli w nałóg

hazardu. Na ogół zaczyna się od niewinnej rozrywki, na przykład od bingo, a potem dowiadujesz się, że przegrali cały spadek swoich wnuków.

- Tato nie jest taki.

- Miło mi to słyszeć.

- Jak rozumiem, ogródkami zbliżasz się do tematu pływającego kasyna - powiedział Roan, by przyspieszyć sprawę.

- Słyszałem, że burmistrz chce wyznaczyć wcześniejszy

termin referendum, aby opozycja nie zdążyła się zorganizować.

- To możliwe.

- Mnie się to nie podoba.

- Mnie też - zgodził się Roan.

Nie potępiał hazardu z powodów moralnych i niewzruszenie broniłby prawa każdego człowieka do tracenia własnych pieniędzy, oburzało go natomiast to, że ktoś za pomocą chytrych sztuczek próbuje wpłynąć na wynik głosowania. Nie było też Roanowi obojętne, kto otrzyma licencję na prowadzenie

ROAN Jennifer Blake 109

kasyna, ponieważ będzie to miało bezpośredni wpływ na poziom przestępczości w tej okolicy. W Turn-Coupe mieszkali przyzwoici ludzie, wciąż jeszcze można tu było wychowywać

dzieci bez lęku o ich bezpieczeństwo, a średnia wykroczeń

związanych z alkoholem, narkotykami i gangami była o wiele

niższa niż gdzie indziej. Roan chciałby, żeby tak nadał pozostało.

- Niedawno jadłem w Natchez kolację z prokuratorem

okręgowym - powiedział Kane. - Okazuje się, że odkąd zalegalizowano tam kasyna, liczba przestępstw, zwłaszcza kradzie

ży z włamaniem, bardzo wzrosła.

- Za kilka dni rada miejska ma omawiać tę sprawę. Przydałaby mi się pomoc ze strony prawników - powiedział Roan.

- Melville i ja cię poprzemy. Zobaczą, co da się zrobić z

resztą.

Melville był partnerem Kane'a w kancelarii, a sam Kane

miął spore wpływy wśród pozostałych prawników.

- Nie mogę prosić o nic więcej.

- Nie musisz. - Kane usiadł za kierownicą, zatrzasnął

drzwiczki i wystawił głowę przez otwarte okienko. Przez długą chwilę patrzył Roanowi w oczy, a potem łobuzersko się uśmiechnął.

- Jest piękna, prawda?

- Nieprawdopodobnie.

Kane roześmiał się.

- Słyszałem, jak Regina rozmawiała dziś rano przez telefon

z April. Umówiły się, że wpadną do ciebie i sprawdzą, jak ci

się wiedzie. Mówiły coś o rosółku z kurczaka albo gumbo ,

ale niezbyt ostro przyprawionym, żeby nie zaszkodziło twojemu gościowi.

* Gumbo - rodzaj zupy jarzynowej (przyp. tłum.).

110 ROAN Jennifer Blake

Roan zauważył, że jego podejrzana nagle awansowała na

gościa. Kane wiedział, kiedy należy dokonać odwrotu.

- Nie pozwól im tu przychodzić, dobrze? Donna nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, by cieszyć się towarzystwem. Może w przyszłym tygodniu.
- Niedługo April i Luke wydają przyjęcie dla Reginy jako przyszłej matki. Wszyscy tam będziemy i wręczymy jej wyprawkę dla dziecka.
- I bardzo byście się ucieszyli, gdybym przyprowadził na nie kobietę w kajdankach? - zapytał zgryźliwie Roan.
- Biorąc pod uwagę rodzinny zwyczaj porywania kobiet - oczywiście dla ich własnego dobra - byłoby to całkiem właściwe. Twoja Donna nie jest w tej kwestii wyjątkiem.
- Ona nie jest „moją” Donna - zaznaczył Roan ponuro.
- Niech ci będzie. - Kane zapalił silnik i ruszył podjazdem, ale, odjeżdżając, nadał się uśmiechał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Roan nie wrócił do miasta. Jeszcze nie ustalił dyżurów swoich zastępców przy Donnie, więc sam objął straż, by w połowie dnia nie zmieniać harmonogramu zajęć swoich podwładnych.

A poza tym, będąc w domu, mógł zająć się papierkową robotą.

Usiadł przy biurku, stojącym w kącie sypialni, i dokonał

bohaterskiej próby zajęcia się pracą, ale tylko poprzesuwał papiery z jednej strony blatu na drugą. Za każdym razem, gdy już udawało mu się skupić na pracy, piski policyjnego skanera

albo terkot telefonu wybijały go z transu. Kilka razy dzwoniła

Sherry, informując go o drobnych sprawach, którymi zastępcy

już się zajęli. Raz zadzwonił funkcjonariusz pełniący służbę,

by o coś zapytać szefa. Roan wiedział, że z jego winy podwładni czują się tak bardzo od niego zależni. Zawsze trzymał

ich krótko, ale teraz pomyślał, że przekazanie im odrobiny władzy nie byłoby złym pomysłem. Wtedy nie musiałyby zajmować się każdym drobiazgiem i miałyby nieco więcej spokoju.

W jego pokoju, który od pokoleń służył za sypialnię pana domu, centralne miejsce na ścianie zajmował obraz z epoki wojny secesyjnej, przedstawiający przodków Roana. Piękna dama siedziała na prostym, pokrytym brokatem krześle, a na jej kolanach, okrytych sutą spódnicą, spał piesek. Obok niej stał sztywno wyprostowany jej małżonek. Wyglądali tak oficjalnie, że wprost trudno było uwierzyć, by zdolni byli do prawdziwych emocji i intymnego pożycia, a jednak w zgodzie i harmonii spłodzili mnóstwo dzieci, z których aż jedenaścioro

112

ROAN Jennifer Blake

osiągnęło dojrzały wiek i pozakładało własne rodziny. Oto dowód, pomyślał Roan, jak trudno dojrzeć coś pod maskami, które ludzie demonstrują światu.

Weźmy, na przykład, Donnę.

Łatwo mógłby ją sobie wyobrazić w długiej, wydekoltowanej sukni z szeroką spódnicą, w jakich przed wojną secesyjną chadzano na bale, z gęstymi, kasztanowymi włosami uczesanymi w elegancki kok. Doskonale by pasowała do Balu

Piratów Rzecznych, który organizowano co roku w lecie. Szkoda, że tegoroczny już się odbył, bo istniała doprawdy niewielka szansa, by została tu do następnego. A wyglądałaby uroczowo w

wydekoltowanej sukni. Przekonał się o tym, gdy tamtego wieczoru przecinał jej jedwabną bluzkę. Wtedy ledwo spojrzał na ponętnie zaokrąglone piersi, wyłaniające się spod materiału,

ale wspomnienie tego obrazu ciągle nawiedzało go w snach.

Gdy spostrzegł, co te wspomnienia wyczyniają z jego cia

łem, zaklął i wyprostował się na krześle. Już od dłuższego czasu nie doznawał takich bezwiednych reakcji, tłumił bowiem cielesne potrzeby, bez reszty oddając się pracy. Szedł do biura

albo do sądu, załatwiał sprawy, patrolował drogi, wracał do

domu, zajmował się synem, kładł się spać, a potem znów szedł

do pracy. Wmówił w siebie, że jest zbyt zajęty, by mieć czas

na prywatne życie, zwalczył też potrzeby seksualne i stanowczo też unikał kobiet. Jednak zatrzymana

przez niego podejrzana udowodniła, że się mylił, chociaż nic nie zrobiła w tym kierunku poza tym, że po prostu była...

W nagłej irytacji rzucił pióro i z trzaskiem odsunął krzesło od biurka. Potrzebował filiżanki kawy.

Po drodze do kuchni wstąpił do pokoju Donny. Ciągle jeszcze spała. Leżała w tak wdzięcznej pozycji, że na sam widok zabolęło go serce. Nieustanny rozgwar szpitala musiał ją bardzo

zmęczyć. Tu, w Dog Trot, ta udręczona kobieta wreszcie od-

ROAN Jennifer Blake 113

pocznie. To była przyjemna myśl, mimo że wcale nie powinno

go obchodzić, czy Donnie jest wygodnie, czy też nie.

Gdy budowano Dog Trot, kuchnię urządzono na tyłach domu w osobnym budyńeczku. W tamtych czasach zawsze tak postępowano ze strachu przed pożarem, który mógł łatwo wybuchnąć, bo gotowano na otwartych paleniskach, ale pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy piece na węgiel bardzo staniały jako produkt pierwszej potrzeby, prapradziadek Roana zmodernizował część ceglanej przybudówki i przeniósł tam

kuchnię. Teraz całe urządzenia były elektryczne, ale kuchnia

nadal znajdowała się w tym samym miejscu, u podnóża schodów prowadzących z tylnego wejścia do głównego holu.

W kuchni Roan zastał syna. Jake stał przy stole i robił sobie

wielką kanapkę, taką, która zaspokoiłaby apetyt prawdziwego

mężczyzny. Na grzankę położył kawałki szynki, ścięte z wie-

kiego połcia. Jake spojrzał pytająco na ojca i pomachał nożem

w milczącej propozycji przygotowania drugiej kanapki. Roan

uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ciągle śpi? - Jake wskazał głową na sufit.

- Miała w tym względzie duże zaległości - wyjaśnił Roan,

biorąc się do parzenia kawy.

- To fatalnie, bo chyba chciałeś z nią porozmawiać.

Roan nalał kawę do swojego ulubionego kubka, tego, który sześćoletni wówczas Jake dał mu na Boże Narodzenie.

Uszko było pęknięte, a napis „Najlepszy tato na świecie” wyblakł, ale Roan nieodmiennie lubił czuć w ręku to właśnie naczynie.

- Trochę rozmawialiśmy - powiedział.

- Przypomniała sobie coś więcej?

- Nawet jeżeli tak, to się do tego nie przyznaje. - Zamiast wracać na górę, do siebie, Roan usiadł naprzeciwko syna przy stole, którego blat porysowały liczne pokolenia Benedictów.

114

ROAN Jennifer Blake

Wiedział, że Jake chce mu coś powiedzieć, ale na razie tylko krążył wokół sprawy.

- Ona jest wystrzałowa.

- Tak myślisz?

- Pewnie. A ty nie?

Roan szybko uniósł wzrok i zdążył na twarzy syna zobaczyć uśmiech, zanim chłopiec zajął się swoją kanapką.

- Powiedziałbym nawet, że jest w niej coś więcej niż tylko wystrzałowy wygląd.

- Tak myślałem - skomentował młodzieniec.

- To znaczy?

- Twój typ: z najlepszego towarzystwa, niezależna, i ma kłopoty.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo mnie przejrzeć! - wykrzyknął Roan ze zdumieniem.

- Wcale nie jest łatwo - odparł chłopak, odrzucając do

tyłu włosy. - Może tylko ja to potrafię.

To było stwierdzenie typowe dla Jake'a. Był wspaniałym

chłopakiem, chociaż Roan nie bardzo rozumiał, skąd u niego

tyły zalet. Gdy Carolyn odeszła, musiał sam wychowywać syna,

a nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Robił, co mógł, często

zasięgał rady u starszych, mądrych kobiet z rodziny i oczywiście u własnych rodziców, którzy wtedy jeszcze mieszkali w Turn-Coupe. Poza tym stosował się do wypróbowanej teorii

klanu Benedictów, dzięki której dzieci wyrastały na przyzwoitych ludzi: regularna praca, odpowiedzialność i dyscyplina, ale również dużo swobody i mnóstwo miłości.

- A jaki jest twój typ? - spytał w odruchu samoobrony.

- Cyndi Frazier? - Cyndi była córką miejscowego trenera

i hodowcy koni. Roan zauważył, że Jake często znajduje sobie

pretekst, by pójść na aukcję żywego inwentarza, która odbywała się w sobotnie wieczory. No cóż, to było dziedziczne, ROAN Jennifer Blake

115

bowiem Benedictowie od pokoleń znani byli z tego, że zawsze

adorowali najładniejsze kobiety w okolicy.

- Och, tato! - mruknął Jake.

- Oczywiście wiesz, że ważny jest nie tylko wygląd, ale

przede wszystkim liczy się charakter, prawda?

- Tak, jasne. Cyndi jest porządna i lubi zwierzęta tak samo

jak ja.

Roan na tym poprzestał. W końcu Jake nie mało przeżył.

Jego matka była przeuroczą, delikatną dziewczyną, która sprawiała takie wrażenie, jakby borykanie

się z życiem przekraczało jej siły. I tak, niestety, było. Chociaż uczciwie należałoby przyznać, że Carolyn nie tyle opuściła swojego syna, co zrobiła z niego prezent jego ojcu. Jake jest w każdym calu Benedictem,

powiedziała, i zasługuje na to, by być wychowywany jak Benedict. I Roan był jej za to wdzięczny...

Czasami zastanawiał się, czy nie powinien postarać się

o drugą matkę dla swojego syna, ale chłopiec chyba nie odczuwał jej braku, chociaż czasami po rozmowie z Carolyn albo wizycie u niej zachowywał się dziwnie spokojnie.

Jake chodził do szkoły, a w niedzielę do kościoła, ale poza

tym prawie cały czas spędzał przy zwierzętach. Opiekował się

nimi od czasu, gdy skończył siedem lat. Z początku pomagał

mu dziadek, który mieszkał wtedy w Dog Trot, a potem, gdy

wyjechał na włóczęgę po kraju, zajmował się już nimi sam.

Teraz w jego menażerii żyło siedem krów, kucyk, na którym

jeździł z kolegami, spora gromadka kwok, dwa kozły, świnię,

które karmił resztkami ze stołu, i zgraja psów, stanowiących

dumą Dog Trot. Zyski pochodzące z trenowania i sprzedaży

psów przeznaczone były na jego studia w college'u. Chciał

być weterynarzem jak jego kuzyn, chociaż Clay zmienił potem

zawód i w ostatnich latach poświęcił się fotografowaniu przyrody. Miejscowy weterynarz wspominał, że powoli zaczyna

ROAN Jennifer Blake

myśleć o emeryturze i gdyby Jake przejął jego praktykę, mógłby

zostać w Turn-Coupe.

Jake połknął kęs kanapki i popił go potężnym łykiem mleka, a następnie wrócił do poprzedniego tematu rozmowy.

- Jak długo u nas będzie ta Donna Doe?

- Nie wiem. Zostanie tu tak długo, ile będzie trzeba.

- Moim zdaniem nie wygląda na przestępczynię. Naprawdę chcesz ją oskarżyć?

Roan już przedtem wyjaśnił synowi sytuację, ponieważ Jake miał odegrać pewną rolę w tej sprawie.

- Nie ja osobiście, bo to należy do sądu - sprostował.

- Jednak to ty zamkniesz ją w więzieniu.

- Mamy dowody, że była zamieszana w przestępstwo.

- No tak, to twój obowiązek. - Ton Jake'a wskazywał, że nieraz już słyszał to stwierdzenie.

- Masz rację.

- A co zrobisz, jeżeli instynktownie poczujesz, że ona nic złego nie zrobiła? - spytał Jake.

- Moje uczucia nie mają tu nic do rzeczy.

- No tak, prawda - sceptycznie mruknął chłopiec.

- Tak rzeczywiście jest. Moja praca polega na pilnowaniu,

by prawo było przestrzegane, a nie na tym, by nagiąć je według własnego widzimisię. Gdy raz zacznie się postępować w taki sposób, trudno się potem zmienić.

- Ale założmy, że nie kłamie i jest niewinna. Założmy, że naprawdę przecierpiała to wszystko, o czym mówiła, a teraz ty jeszcze to pogorszysz, każąc jej iść do więzienia. Jak się poczujesz, gdy udowodni swoją niewinność?

- To, jak ja się będę czuł, nie ma żadnego znaczenia.

Prawo chroni dobro wielu kosztem dobra nielicznych. Nie jest to może idealny system, ale na ogół skuteczny. Sąd może ją uwolnić, bo prokurator uzna, że działała pod przymusem,

albo z powodu wątpliwości co do jej winy, ale proces musi się odbyć.

Syn przyglądał mu się przez długą chwilę.

- Ciężko ci z tym.

- Tak - przyznał Roan ponuro, słysząc zrozumienie w głosie chłopca. - Pewnych rzeczy w mojej pracy po prostu nie cierpię.

- Ale inne lubisz? Takie, jak, na przykład, opieka nad Donna Doe?

Jake wreszcie dotarł do sedna sprawy. Chciał wiedzieć, dlaczego ojciec przywiózł do domu właśnie tę podejrzaną.

- To może mieć swoje dobre strony - powiedział Roan.'

- Naprawdę? - szorstko mruknął Jake. - Donna jest jeszcze bardzo słaba, więc będziesz musiał ją karmić i pielęgnować, pomagać jej się przebierać, może nawet kąpać.

Roan poczuł, jak na ramionach pojawia mu się gęsia skórka.

Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał?

- Moim głównym celem - powiedział stanowczo - jest zapewnić jej bezpieczeństwo i wygodę. Chociaż zgadzam się, że będziemy mieli przy tym trochę dodatkowej roboty.

- My? - Oczy chłopca nagle stały się czujne.

Roan skinął głową.

- Cal będzie pilnował Donnę, gdy ja będę w mieście. Zacznie od jutra, ale nie oczekuję po nim, że będzie bawić się w pielęgniarkę. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

- Poprosić ciocię Vivian? - zaproponował Jake z nadzieją

w głosie.

Roan pokręcił przecząco głową.

- Och, tato!

- Po prostu myśl o niej tak, jakbyś myślał o którymś ze

swoich chorych zwierząt. Musisz dopilnować, by Donna dostawała jeść i pić, oraz aby w

odpowiednim czasie brała prze-118 ROAN Jennifer Blake

pisane jej antybiotyki. Powinieneś też dotrzymywać jej towarzystwa, jeżeli będzie tego potrzebowała.

- Zauważyłem, że nie wspomniałeś o kąpieli.
- Jesteś zbyt spostrzegawczy - stwierdził Roan cierpko.
- Zwłaszcza jak na swój wiek.

Jake szeroko się uśmiechnął, a w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia.

- Gdyby naprawdę była jednym z moich zwierząt, wezwałbym Claya.
- Lecz ja tego nie zrobię - powiedział Roan. Clay był przystojnym kawalerem do wzięcia, a na dodatek otaczała go aura dzikości, która sprawiała, że kobiety lgnęły do niego jak

pszczoły do miodu. Ostatnio zrobił furorę, podpisując swój album ze zdjęciami na temat ekologii Jeziora Końskiej Podkowy i otaczających je moczarów. Poza tym był oczywiście wspaniałym facetem... Zbyt wspaniałym.

- Tato, to by mu sprawiło prawdziwą przyjemność.
- Nie wątpię - przyznał Roan, cedząc słowa - ale zachowamy tę przyjemność dla siebie. To tylko ranna, bezbronna kobieta. Damy sobie radę.

Jake westchnął.

- Chyba tak.

Zapadła cisza. Gdy się przeciągała, Roan poczuł, jak rośnie

w nim niepokój. Był to instynkt, którego nauczył się słuchać.

I wiedział, jakie jest źródło tego niepokoju. Stawiając kubek na stole, powiedział:

- Synu, żarty na bok, bo to poważna sprawa. Jeśli ci ludzie, którzy byli z Donna, dowiedzą się, że przywiozłem ją do nas, mogą zacząć się kręcić w pobliżu domu.
- Będę miał oczy otwarte i pilnował, by drzwi były zamknięte.

- Wiem, ale to może nie wystarczyć. - Jake często pra-

ROAN Jennifer Blake

119

cował i bawił się na dworze, dzięki czemu był silny i sprawny,

ale nie sprostałby dorosłemu mężczyźnie, który przyszedłby

tu w złych zamiarach.

- Cał będzie jej pilnował w dzień, a ty w nocy - powiedział Jake. - Nie widzę problemu.

- I ja niczego złego się nie spodziewm - odparł Roan szczerze. - Gdyby było inaczej, nie ryzykowałbym. Ci faceci zostali przepędzeni ze szpitala, a wydaje mi się, że pracują na zlecenie i nie będą ryzykowali nowego zamachu, chyba że dostaną taki

rozkaz. Chciałbym jednak, byś był świadomy zagrożenia

Patrząc w okno, Jake zjadł resztę kanapki i popił ją ostatnimi łykami mleka, potem wytarł usta serwetką i spytał:

- Ale nie jestem uziemiony, prawda? Mogę jeździć na motorowerze?

Jake uwielbiał lasy i jezioro znajdujące się blisko domu.

Często wybierał się na włóczęgę po wąskich ścieżkach i zaszywał się w ulubionych kryjówkach, albo odwiedzał kolegów i krewnych. Roan skinął głową.

- Jeżeli będziesz uważał, i jeżeli za każdym razem pozostawisz informację, gdzie jedziesz i kiedy wrócisz. Sytuacja jest wyjątkowa, Jake.

- Jasne.

Roan wiedział, że syn zrozumiał powagę sytuacji i zadba o

swoje bezpieczeństwo. Teraz należało tylko przekonać Donnę.

Vickie wyczuła, że Roan ma do niej jakąś sprawę już w

chwili, gdy pojawił się w progu z kolacją na tacy. Zachowywał

się zbyt uprzejmie i miło, był za bardzo nadskakujący. Przyjęła

tacę z pieczonym kurczakiem, sałatą i mrożoną herbata, ale

nie zgodziła się na następną dawkę środków przeciwbólowych.

Wiedziała, że będzie potrzebowała całej swojej siły i jasnego

umysłu.

120

ROAN Jennifer Blake

Z wyjawieniem celu swej wizyty Roan zaczekał, aż Donna

skończyła jeść. Do tej pory stał oparty o słupek w nogach

łóżka i prowadził towarzyską rozmowę, przeskakując z tematu

na temat. Vickie zachęcała go do mówienia, chociaż starała

się, by tego nie zauważył. Jego opowieści z Południa fascynowały ją, i powodowały, że czuła się bardziej swobodnie. Napięcie powoli ją opuszczało, aż wreszcie prawie uwierzyła, że pomyliła się co do intencji Roana. I wtedy zadał to pytanie.

Zachłysnęła się herbatą. Gdy już mogła mówić, spytała:

- Czy ja... Co?

- Słyszałaś. Zaproponowałem, że przed snem umyję cię w

łóżku gąbką.

Powiedział, że ją umyje. Będzie leżała na plecach, zdana

na jego spojrzenie, a szeryf będzie przesuwiał po jej nagim ciele ciepłą gąbkę w tym najbardziej intymnym ze wszystkich rytuałów. Nawet pielęgniarkom w szpitalu na to nie pozwalała.

-- Dziękuję, ale nie skorzystam z twojej pomocy.

- To bardzo rozsądna propozycja - powiedział z nutką roz

żalenia w głosie. - Możesz sobie sama nie poradzić, a nie ma

tu nikogo innego, kto mógłby ci pomóc. Chyba że wolisz Jake'a.

- Umyję się sama - powiedziała stanowczo. - A najchętniej wzięłabym prysznic i umyła głowę.

Roan pokiwał przecząco głową.

- Gdybym pozwolił ci zmoczyć opatrunek, doktor Watkins

by mnie zabił.

- Ale nie miałby chyba nic przeciw mojej kąpieli.

- Nie znasz go. Jest bardzo staroświecki. Uważa, że jego pacjenci nie powinni wstawać z łóżka, dopóki całkiem nie wydobrzeją, a to trwa czasami bardzo długo. Ma za złe nowoczesnym szpitalom, że tak szybko pozbywają się pacjentów, a jeśli chodzi o ciebie, kazał, byś jeszcze przez kilka dni była myta w łóżku.

ROAN Jennifer Blake

121

- I dodał, że to ty masz mnie myć?

- Niezupełnie, ale skoro cię już tu przywiozłem, mogę przynajmniej ci pomóc.

Powiedział to z lekką kpina, jakby sądził, że oskarża go

o to, że w podstępny sposób chce ujrzeć ją naga. Spojrzała w bok, niezdolna do wytrzymania jego wzroku.

- Wszystko jedno, i tak wezmę prysznic.

- Więc pójdę z tobą do łazienki.

- W żadnym wypadku! - krzyknęła, rzucając mu miażdżące spojrzenie.

- Nie mogę dopuścić, by ci się zakręciło w głowie i żebyś znów upadła. Mogłabyś sobie zrobić krzywdę.

Pomyślała, że drażni się z nią i bardzo mu się to podoba.

- To zajmie mi tylko kilka minut i będę ostrożna.

- A co z ramieniem? - sprzeciwił się. - Przecież nie możesz umyć sobie głowy.

- Zrobię to zdrową ręką. - Uniosła ramię i pomachała dłonią, żeby udowodnić, że bez trudu nią włada.

Roana spojrzał na ślady po taśmie na jej nadgarstku.

- Lecz ja mam dwie zdrowe ręce. Nie uważasz, że dzięki

temu jestem dwa razy zręczniejszy?

- To zależy - powiedziała.

- Tak? A od czego?

- Od twojego doświadczenia. - Przeraziła się już w momencie, kiedy to wypowiedziała. Ostatnią rzeczą, jaka ją interesowała, było jego doświadczenie.

W jego oczach pojawił się wyraz zadowolenia.

- Moje doświadczenie może i jest niezbyt wielkie, ale chyba sobie poradzę. Zastanówmy się, jak bym się do tego zabrał.

Wydaje mi się, że zacząłbym od twarzy, dotykałbym jej delikatnie i lekko, żeby cię nie urazić tam, gdzie są skaleczenia.

- Zatrzymał spojrzenie na jej policzkach, potem powoli prze-

122

ROAN Jennifer Blake

sunął je w dół, na zaokrąglenia pod pogniecioną szpitalną koszulą. - Następnie przesunąłbym miękką, ciepłą, namydloną gąbkę na szyję, a potem w dół, na twoje...

- Już dobrze - przerwała mu szybko. - Jestem pewna, że

przy myciu wszystkie ciała są do siebie podobne.

- To nieprawda. - Serdecznie rozbawiony, Roan zachichotał. - Twoje nie jest takie samo jak moje.

Miał, oczywiście, rację.

- No tak, ale mimo wszystko...

- Wątpisz w moje umiejętności?

- Ja po prostu... nie wiem! - Ta zmiana w jego zachowaniu tak ją zbiła z tropu, że nie wiedziała, co mówi.

- Nie? No więc na czym to ja skończyłem? - Roan podszedł bliżej i usiadł na brzegu materaca, odsunął pasma włosów, które zasłaniało jej twarz, a potem przeciągnął czubkami palców wzdłuż jej ramienia, aż do dłoni. Cofnął rękę i kontynuował: - Już umyłem ci twarz, i co teraz? Szkoda by było opuścić choć jedno miejsce. Dotykałbym gąbką każdego centymetra twojej skóry, palców, wierzchu dłoni, nadgarstka, ramienia...

Serce Vickie oszalało. Przyglądała się spod rzes, jak jego

palce podążają ścieżką, o której mówił, a potem docierają do

jej nadgarstka. Omijając gojące się skaleczenia, przesunął palce wyżej, we wrażliwe miejsce w zgięciu łokcia, i jeszcze wyżej,

ponad łokieć, gdzie na chwilę się zatrzymał, a potem jego palce

podążyły po ramieniu i w dół, ku pełnej, jędrnej piersi.

Vickie nagle oprzytomniała i chwyciła go za rękę.

- Dość. Jeśli posuniesz się jeszcze dalej, będziesz miał mokry mundur.

Przyglądał jej się przez chwilę, a rozbawienie powoli znikało z jego twarzy.

- Mundur można zmienić - powiedział w końcu.

ROAN Jennifer Blake

123

- Ale nie mężczyznę, który go nosi.

Wstał nagle z łóżka.

- Naleję wody do wanny.

To było zwycięstwo, ale Vickie jakoś nie poczuła radości

triumfu. Gdy usłyszała szum wody lejącej się do wanny, usiad

ła, obciągnęła szlafrok i cierpliwie czekała, aż szeryf wróci z

łazienki.

Odezwał się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Na wszelki wypadek zaczekam tutaj.

Sama chciała go o to poprosić i fakt, że okazało się to

niepotrzebne, stanowił dla niej lak wielką ulgę, że poczuła się

słabo. Pewnie dlatego wstając, zachwiała się.

- Możesz iść? - Natychmiast do niej podbiegł i podtrzymał ją.

- Już od kilku dni chodzę do łazienki - odparła ostro.

Nic nie odpowiedział, ale nie puścił jej ramienia. Weszli

do dużej, staroświecko urządzonej łazienki, z wanną na lwich

łapach. Puścił Vickie dopiero wtedy, gdy posadził ją na wiklinowym stołku obok wanny.

- Jest tu wszystko, czego możesz potrzebować, oprócz

szamponu - powiedział - bo naprawdę nie wiem, jak dałabyś

sobie radę z myciem głowy.

Nie chciała posuwać się za daleko.

- Doskonale. Dziękuję bardzo.

Roan skinął głową i wycofał się do sypialni, zostawiając

ciężkie dębowe drzwi nie do końca zamknięte. Vickie usłyszała, jak siada na fotelu stojącym w kącie jej pokoju.

Woda była gorąca i cudowna. Ukośne brzegi starej wanny

doskonale nadawały się do wypoczynku. Vickie ułożyła się wygodnie i zamknęła oczy, woda obmywała ją do pasa, a napięcie topniało w niej jak lód w promieniach tropikalnego słońca.

Potrzebowała tego bardziej, niż jej się wydawało. Jediną rze-

124

ROAN Jennifer Blake

czą, jakiej tu brakowało, to dysze, dzięki którym woda falowała wokół niej. Mogłaby spędzić tak całą noc, ale wiedziała, że Roan zaraz wpadnie sprawdzić, co się z nią dzieje, jeżeli wkrótce nie usłyszy chlupotania.

Mydło, które jej przygotował, było zupełnie zwyczajne, żaden tam fikuśny kosmetyk, ale i takiego z radością użyła. Bardzo chciała umyć włosy, jednak odmówiła sobie tej przyjemności. Kilka dni temu w szpitalu Johnnie pomogła jej umyć głowę, i na jakiś czas musi się tym zadowolić.

Już od tak dawna nie czuła się naprawdę czysta, że gdy

się namydliła i spłukała, zaczęła wszystko od nowa. Gdy przesuwała miękką gąbką po karku i ramionach, nie mogła się powstrzymać przed wspomnieniem delikatnego, lecz tak bardzo elektryzującego dotyku Roana. Dotyk ów działał na jej zmysły,

co było wielce intrygujące. Ciekawe, co jeszcze ten człowiek

ukrywa za surowym poczuciem obowiązku i honoru?

Oczywiście nie miało to najmniejszego znaczenia. Roan Benedict nie interesował jej jako mężczyzna, nie chciała też wiedzieć, czy poza zawodowymi, są jeszcze jakieś inne powody, dla których tak troskliwie się nią zajmował? Nie, nie było to

nic niezwykłego. Dla szeryfa jej sprawa była taka sama jak

wszystkie inne i załatwi ją sprawnie i skutecznie.

Niespodziewanie ta myśl sprawiła jej wielką przykrość

i szybko ją od siebie odsunęła. Lepiej porzucić takie głupie

rozważania, doszła do rozsądnego wniosku.

Usiadła, a potem zaczęła wstawać. Przy tym za mocno

oparła się na chorej ręce. Ból przeszył jej ramię, Vickie straciła równowagę i z wielkim hałasem usiadła na dnie wanny. Wymruczała jakieś przekleństwo, ale nie miała czasu na to, żeby się pozbierać. Natychmiast wstała i sięgnęła po ręcznik, który

leżał na wiklinowym taborecie.

Drzwi otworzyły się z hukiem, uderzając w ścianę.

ROAN Jennifer Blake

125

- Co się stało? - spytał Roan z niepokojem, wchodząc do

łazienki, ale nagle stanął jak wryty, a na jego twarzy wykwitł

ciemny rumieniec.

Vickie również się zaczerwieniła i niemal straciła oddech.

Zobaczyła, że szeryf przygląda jej się z uwagą. Przez długą

chwilę trwali tak nieruchomo, wreszcie Vickie przycisnęła do

siebie ręcznik, by okrył ją od szyi do kolan.

- Nic. Po prostu miałam mały kłopot z wstaniem z wanny.

- Upadłaś.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Jeżeli powiesz, że mnie ostrzegałeś, to przysięgam...

- Na to jest już trochę za późno - mruknął z ponurą miną.

Podszedł do niej, chwycił pod kolana i plecy, podniósł z wanny,

zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku. Wytarł ją ruchami tak szybkimi, że ledwo je czuła, a potem sięgnął po prześcieradło,

uniósł je wysoko do góry, by się wyprostowało, i wreszcie przykrył nim Vickie. W chwili gdy biała płachta opadała na nią, wyszarpnął mokry ręcznik, który nadal kurczowo do siebie przyciskała. No i teraz leżała naga, przykryta tylko cienkim płótnem.

Dzielny szeryf znów udowodnił, że potrafi działać skutecznie.

Jego mundurowa koszula była mokra i oblepiała mu wspaniale umięśniony tors. A przecież go ostrzegała.

- Powinienem wiedzieć, że przy wychodzeniu z wanny będziesz potrzebowała pomocy - powiedział, stojąc nad nią z rękami wspartymi na biodrach. - Jest za wysoka.

- Przecież nie prosiłam cię o pomoc. - To była najlepsza

odpowiedź, jaką potrafiła w tej chwili wymyślić.

- I tak powinienem był pójść z tobą.

Vickie zmarszczyła czoło, zakłopotana wyrazem bólu w jego oczach. Wszyscy powtarzali, że Roan traktuje swoją pracę ze śmiertelną powagą, i mieli rację.

skany: anula43

przerobiła: AScarlett

126

ROAN Jennifer Blake

- To nie była twoja wina. - Vickie z trudem podniosła się

na zdrowym łokciu. - Ostrzegałeś mnie, ja cię nie posłuchałam

i to wszystko. Tylko że zmoczyłam opatrunek. Powinieneś teraz zadzwonić po doktora Watkinsa, by tu przyjechał i zabił

nas oboje.

Roan patrzył na nią przez długą chwilę, a potem lekko się uśmiechnął.

- Lepiej nie ryzykować. Sam ci zmienię opatrunek. I jeżeli ty mu nic nie powiesz, ja też nas nie zdradzę.

- Umowa stoi. - Vickie wyciągnęła rękę, by to przypieczętować. Roan szybko ją uściskał, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Po chwili wrócił z apteczką, którą postawił na szafce nocnej. Widząc, co zamierza zrobić, Vickie przerzuciła nogi przez brzeg łóżka, przytrzymując od góry prześcieradło.

- Ostrożnie! - wykrzyknął. - Nie chcemy przecież, by znów stało ci się coś złego.

Jasne, że nie chcemy... pomyślała Vickie. Roan pragnął

jak najszybciej doprowadzić ją do jak najlepszej formy, by potem zamknąć w więzieniu, natomiast ona zamierzała jak najszybciej wyzdrowieć i wydostać się z tego staroświeckiego domu i prowincjonalnego miasta. A do tego potrzebowała Roana Benedicta, ale potem już obejdzie się bez mężczyzn, a już

zwłaszcza bez tego szeryfa o sztywnym karku, kamiennym sercu i delikatnych rękach.

- Może cię zabołec - uprzedził ją, gdy zaczął odrywać plaster.

- Zupełnie jakbyś zapomniał, że ostatnio ciągle czuję ból

- odparła z ironią, a potem dodała: - Skończyłeś kurs medyczny, prawda?

Spojrzał na nią, a potem oderwał jeden plaster i zabrał się do następnego.

ROAN Jennifer Blake 127

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo widzę, jak sobie radzisz. Zupełnie tak, jakbyś to robił codziennie. - Chodziło jej o to, że teraz zachowywał się o

wiele bardziej profesjonalnie niż wtedy, gdy ratował ją z łazienkowej opresji.

- Mamy u nas ekipę pierwszej pomocy, w której skład

wchodzą policjanci, strażacy i ochotnicza grupa ratowników.

Powinni być pierwsi na miejscu wypadku, podczas pożaru i tak

dalej, ale ja na ogół zjawiam się przed nimi.

Vickie w to nie wątpiła.

- Uratowałeś więc życie wielu ludziom, w tym i mnie.

- Och, dziesiątkom.

Wypowiedział te słowa z żartobliwą brawurą, ale Vickie

nie dała się oszukać. Koniuszki uszy szeryfa zaczerwieniły się.

Znów go speszyła, zmuszając, by przyznał się do swoich umiejętności. Cieszyła ją ta chwilowa przewaga, tym bardziej, że w innych sytuacjach czuła się przy nim taka bezbronna.

- Opowiedz mi o najciekawszych przypadkach - poprosiła.

- To nudne - zaprotestował.

- Pozwól, bym sama to osądziła.

Nadal trochę się krępował, ale spełnił jej życzenie, chyba

tylko po to, by nie zapadła między nimi męcząca cisza. Gawędząc, zdjął mokry opatrunek i nałożył nowy, o wiele lżejszy i wygodniejszy.

Zsunął prześcieradło niżej, żeby móc przykleić plaster, czę

ściowo przy tym odsłaniając jej zaokrąglone piersi. Vickie poczuła się obnażona, ale próbowała nie zwracać na to uwagi.

Na pewno szeryf jest przyzwyczajony do takich widoków, skoro często opatruje rannych, pomyślała. Zresztą on pracował

szybko i pewnie nie zwracał w tej chwili uwagi na jej nagość.

Milczała, ale on też przestał mówić. Spojrzała na niego

128 ROAN Jennifer Blake

i zobaczyła, że jego spojrzenie zatrzymało się na skórze koło

jej pachy, pod samą piersią.

- To wygląda na starą bliznę - powiedział, napotykając jej

wzrok. Ze zdumieniem dotknął słabo widocznej kreski.

Mężczyźni z jej środowiska pominęliby to milczeniem i nie stawiali żadnych pytań. Vickie spodziewała się, że Roan, ze

swoją mentalnością dżentelmena z Południa, będzie na tyle

uprzejmy, by ukryć swoją ciekawość, a już na pewno nie zdobędzie się na komentarz, ale pomyliła się.

- Tak, to blizna.

- Ledwo ją widać - kontynuował. - Chirurg zrobił dobrą

robotę.

Przesunął ręką prześcieradła po ledwie widocznym śladzie po nacięciu. Od tego połaskotania Vickie dostała gęsiej skórki, a brodawki piersi stwardniały, ukazując się wyraźnie

pod materiałem, zaledwie kilka centymetrów od palców Roana.

Odsunęła jego rękę, żeby podciągnąć prześcieradło.

Roan nie stawiał oporu, ale gdy napotkał jej wzrok, jego

oczy pociemniały.

Pragnął tej kobiety. Wprawdzie wciąż panował nad sobą,

lecz napięte rysy twarzy zdradzały jego emocje.

Vickie nerwowo podciągnęła prześcieradło pod samą szyję.

- To była operacja kosmetyczna, prawda? - spytał, siląc

się na obojętny ton.

Czy on się nigdy nie poddaje? Najchętniej wykręciłaby się

brakiem pamięci, ale wystarczająco wiele razy igrała w ten

sposób z Roanem, a ta sprawa nie była warta ryzyka.

- Powiększenie piersi, jak widać - odparła z brawurą.

- Dla kaprysu?

- Ostry jesteś, szeryfie! W naszych czasach mnóstwo kobiet poddaje się temu zabiegowi, a mężczyznom na ogół podoba się jego rezultat.

ROAN Jennifer Blake 129

- Pozwoliłaś uszkodzić sobie ciało tylko po to, by podobać się jakiemuś facetowi?

Vickie wzruszyła ramieniem.

- Czy ja wiem? Ale czyż mężczyźni nie uważają, że im większe piersi, tym ładniejsze?

- Ja nie - powiedział stanowczo.

- Doprawdy? - zadrwiła.

- Mój tato zawsze mówi, że jeżeli coś jest tak duże, że nie można tego wziąć do ręki, nie nadaje się do niczego. I wydaje mi się, że ma całkowitą rację.

- To jest myśl - powiedziała, cedząc powoli słowa, mimo że na jej twarzy znów wystąpił rumieniec. Grała więc coraz lepiej.

- Musiałaś być bardzo młoda, bo inaczej blizna byłaby bardziej widoczna.

- Pewnie w szkole średniej - odparła, mówiąc mu prawdę, ale tak, by nie pomyślał, że odzyskała pamięć.

- Jezu! - mruknął pod nosem.

Całkowicie się z nim zgadzała. Chirurgia kosmetyczna była

modna wśród jej szkolnych koleżanek, które bezmyślnie małpowały swoje wytworne matki, uważając, że to je wprowadzi w dorosły i wyrafinowany świat. Vickie należała do szkolnej elity i była gotowa popełnić każde szaleństwo, byle tylko się

w niej utrzymać i zachować przyjaźń swoich koleżanek. Były

wszystkim, co miała przez długie lata pobytu w internatach.

Oczywiście Paul Vandergraff uznał, że taki zabieg to doskonały

pomysł. Zgadzał się na wszystko, co ją uszczęśliwiało i jednocześnie usuwało mu ją z drogi choć na chwilę.

- Chyba zrobiłam to, by lepiej się poczuć - powiedziała

w końcu. - Zresztą to samo robi większość kobiet.

- Chciałaś być bardziej atrakcyjna?

- Czy widzisz w tym coś złego?

130

ROAN Jennifer Blake

Roan wstał.

- Jesteś piękną kobietą i musiałaś być całkiem ładną

dziewczyną, dlatego nie sędzę, byś potrzebowała korzystać

z usług chirurgów plastycznych. - Jego głos przybrał głębsze

tony. - Nie musisz być doskonała, bo przecież świat nie jest

taki.

W ustach prowincjonalnego szeryfa ta uwaga zabrzmiała

dość niezwykle, a przy tym nie pasowała do współczesnych

poglądów. Wolter twierdził, że do doskonałości dochodzi się

powoli i stopniowo, ale to było aktualne w innej epoce. Dziś

większość ludzi wierzy, że tylko młodzi i piękni są doskonali,

a czas niestety niszczy i jedno, i drugie. Vickie mogłaby się

bronić swoją ówczesną niedojrzałością, ale gdy poddawała się

operacji, dobrze wiedziała, co robi.

Chciała, by ją zauważano. Nie było ważne, kto poświeca

jej uwagę: ojczym, koleżanki, czy chłopcy, którzy kręcili się

przy bramach internatu. Pragnęła być dla kogoś ważna i zrobiłaby wszystko, by to osiągnąć. Teraz już z tego wyrosła...

ale czy do końca?

Roan przyglądał jej się zmrużonymi oczami. Jego wzrok

był agresywny i krytyczny, lecz co ją obchodzą jego myśli?

Szeryf nie jest kobietą i nie miał pojęcia o wyborach, jakich

ona musiała dokonywać.

- Na co patrzysz? - spytała cierpko. - Jesteś ciekawy, czy

miałam też lifting twarzy? No więc nie miałam. A przynajmniej

nie zauważyłam blizn, które by o tym świadczyły.

- Po prostu zastanawiałem się, czy pod tymi wszystkimi

maskami można odkryć prawdziwą ciebie.

Vickie miała szczerą nadzieję, że nie. Jej maska kryła oblicze kobiety o napiętych do ostateczności nerwach, pełną niepewności, co jej przyniosą następne dni, nie mówiąc już o kolejnych latach. Oczywiście on by tego nie zrozumiał. Nie

ROAN Jennifer Blake

131

wiedział, jak bardzo się bała, że skończy jak jej matka, zamknięta z dala od świata w jakimś sanatorium, gdzie w końcu umrze z rozpaczy, że nikt jej prawdziwie nie kochał i ceniono

tylko jej urodę i majątek.

- Chyba raczej nie - odparła.

Roan wziął apteczkę, odwrócił się i poszedł do drzwi. Zatrzymując się w progu, powiedział spokojnie:

- Szkoda. Naprawdę wielka szkoda.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Trzask przekręcanego kontaktu i ostre światło zbudziły Vickie z głębokiego snu. Otworzyła jedno oko. Przy łóżku stał

Roan. Był świeżo ogólny, mundur miał doskonale wykrochmalony. Żaden człowiek nie ma prawa wyglądać tak rześko o tak wczesnej porze. Vickie rozpaczliwie jęknęła i naciągnęła prześcieradło na głowę.

- Czas na kawę - oświadczył z uśmiechem świadczącym o dobrym humorze.

- To część zaplanowanych tortur, prawda? - mruknęła spod prześcieradła. - Myślałeś, że jeżeli będziesz mnie budził co pół godziny, złamię się i powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Byłem tu tylko dwa razy.

Vickie zsunęła prześcieradło z głowy, by na niego spojrzeć.

- Chyba żartujesz! Wchodziłeś do pokoju przynajmniej raz na godzinę.

- Musiałem podawać ci antybiotyk - wyjaśnił - a poza tym sprawdzałem, jak się czujesz.

- No i chciałeś się upewnić, że nie uciekłam, prawda?

- Zupełnie jakby w najbliższym czasie mogła wyjść z domu

Roana o własnych siłach.

- I upewnić się, że nie rozjątrzyłaś sobie rany i nie krwawisz, a także, że nie masz gorączki... albo że znów nie upadłaś w łazience.

Przypomnienie tego incydentu niespecjalnie ją ucieszyło.

ROAN Jennifer Blake

- Bardzo ci dziękuję - mruknęła. Zamknęła oczy, odwróciła się na bok i wcisnęła głowę w poduszkę.

- Czuję się dobrze. A teraz idź sobie!

- Właśnie to mam zamiar zrobić.

Vickie poczuła, że ogarnia ją dziwna panika, nad którą z

trudem zdołała jako tako zapanować.

- Wychodzisz?

- Jadę do pracy, ale nie martw się, bo zostanie z tobą Jake.

Przyjdzie też Cal. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, zawołaj

któregoś z nich.

- Nie martwię się - odpowiedziała odruchowo. Skłamała.

Czuła się tak, jakby Roan ją opuszczał, i wcale nie była tym

zachwycona. Za bardzo się od niego uzależniła.

- To dobrze. - Gdy siadał na brzegu łóżka, filiżanka zachwiała się na spodku.

Vickie uniosła się, żeby widzieć twarz szeryfa, lecz po jego

minie nie mogła niczego poznać. Jednak dziś rano wydawał

się inny, okazywał większą rezerwę i zachowywał się bardziej

oficjalnie. Bardzo różnił się od tego mężczyzny, który w nocy

wchodził do jej pokoju na bosaka, zaspany, z potarganymi włosami i tylko w dzinsach opadających nisko na biodrach. Tamten podobał jej się o wiele bardziej niż ten strażnik prawa, z odznaką na piersi i bronią u pasa.

- Kiedy wracasz? - spytała w końcu.

- Trudno powiedzieć, bo to zależy od tego, co się wydarzy

w mieście, ale od czasu do czasu wpadnę do ciebie.

Vickie nie wątpiła, że tak zrobi, lecz mimo to nadal była

rozzalona.

- Musisz już iść?

Roan przechylił na bok głowę i przyjrzał się jej.

- To zabrzmiało tak, jakbyś uważała, że będziesz za mną tęsknić.

134

ROAN Jennifer Blake

Sądząc po brzmieniu jego głosu, chyba znów ją podejrzewał

o jakąś podstępłą grę. Jeżeli nawet wczoraj zaczął jej troszeczkę wierzyć, dziś znów stracił do swojej podopiecznej całe zaufanie.

- Tego nie powiedziałam - odparła, osłaniając oczy rzęsami.

- Tak ci się wydaje?

- Proszę! - Przeczesała włosy palcami zdrowej ręki i westchnęła. - W przeciwieństwie do ciebie, ja o tej porze nie jestem jeszcze obudzona i nie stać mnie na słowne gierki.

- Ja się budzę na dobre dopiero po wypiciu całego dzbanka

kawy - powiedział. - A skoro o tym mowa, wypij swoją, póki jeszcze jest gorąca.

Vickie z trudem usiadła, a Roan podłożył pod jej plecy

dotatkową poduszkę. Ten uprzejmy gest spowodował, że poczuła się niezręcznie. Wzięła od niego filiżankę.

- Nawet jeżeli marudzę, jestem ci naprawdę wdzięczna za kawę i za to, że zaglądałeś do mnie w nocy.

- Nie przejmuj się. Zresztą dziś cały kłopot spadnie na Jake'a.

Szkoda, pomyślała, podnosząc filiżankę do ust. Odgrywanie

dzielnej, pokrzywdzonej damy, mając za całą widownię tylko

nastolatka, nie będzie zbyt podniecające. Oczywiście świadomie taką właśnie rolę, rannej i

bezbronnej kobiety, grała przy Roanie, ale teraz straciło to swój urok. Zresztą incydent z wanną udowodnił jej, że takie zachowanie niesie pewne zagrożenia.

- Powinienem cię ostrzec, żebyś nie była zbyt wylewna

w rozmowach z Calem.

Powiedział to uprzejmym, spokojnym głosem, ale napięte rysy twarzy i stanowcze spojrzenie oczu zadawały kłam tej obojętności.

- Naprawdę? Boisz się, że go uwiodę?

ROAN Jennifer Blake

135

Roan zbył jej pytanie machnięciem ręki.

- Chodzi mi o to, że Cal może okazać się zbyt wrażliwy,

a chyba nie chcesz żadnych komplikacji.

- Mówisz, że mam się go strzec?

- Mówię, żebyś nie próbowała z nim żadnych sztuczek.

Takie gierki w stosunku do mnie to nic złego, ale jeśli chodzi

o Cala, raczej ci ich nie doradzam.

Vickie bardzo chciała spytać, czy sam Roan nie jest również, przynajmniej troszeczkę, wrażliwy i podatny na jej „gierki”, ale nie odważyła się na to, bo odpowiedź mogłaby ją urazić.

Jednocześnie jednak miała ogromną pokusę, by potargać mu

palcami starannie uczesane włosy i rozpiąć wykrochmaloną

koszulę. Pragnęła zrobić coś, co znów zmieniłoby tego robota

w mężczyznę, jakim czasami Roan się stawał, człowiekiem,

który uśmiechał się i żartował, oraz bardzo się starał, by poczuła się lepiej. Zupełnie jakby miał dwie osobowości, pomy

ślała. Okazuje się, że ona nie jest jedyną osobą, która potrafi

zmieniać tożsamość.

Gdy milczała, Roan podjął rozmowę.

- Cal nie będzie wchodził do domu i jeśli nic się nie wydarzy, nie będzie cię niepokoił. Jake przyniesie ci posiłki i lekarstwa, więc tym się nie martw. Jak na swój wiek jest bardzo odpowiedzialny.

- Można ci zatem pogratulować,

Roan przez chwilę przyglądał się jej zaciśniętym ustom.

- Mógłbym spytać, czy w nocy miałaś jakieś objawienie?

- O co ci chodzi?

- Może przypomniałaś sobie, jak się nazywasz, ile masz lat,

jaki jest numer twojego telefonu, imię ojca, matki, brata albo siostry, czy kogokolwiek innego, kto mógłby okazać się pomocny?

Vickie udała, że głęboko się namyśla, aż wreszcie pokręciła głową.

136 ROAN Jennifer Blake

- Niczego nie pamiętam.

- Nie miałaś ani jednego przebłysku, co tak często zdarzało ci się przy Johnnie?

Vickie zastanawiała się, kiedy jej potknięcia wyjdą na jaw,

a teraz, gdy już się stało, uznała, że najlepiej będzie je zbagatelizować.

- Nie.

- To fatalnie. Gdybyś czegoś potrzebowała albo miała jakieś kłopoty, natychmiast daj mi znać.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął wizytówkę i rzucił ją na

łóżko. Był to zwyczajny biały kartonik, na którym granatowymi

literami zapisano numer do biura szeryfa. Vickie spojrzała na

wizytówkę i pomyślała, że jest dokładnie taka, jak mężczyzna,

który jej używa: skromna i bezpretensjonalna.

- Spodziewasz się jakichś kłopotów? - spytała.

- Proszę tylko, abyś była ostrożna. Cał to dobry policjant.

Inaczej zresztą nie należałby do mojego zespołu. Ale nie trzeba

dostarczać mu rozrywek. Będzie tu dla twojego bezpieczeństwa, ale również dopilnuje Jake'a.

Ponury ton jego głosu niósł ostrzeżenie. Załatwił sprawy

tak, by ustrzec swojego syna przed niebezpieczeństwem, jakie

stanowił jej pobyt w tym domu. Gdyby próbowała zmienić

dyspozycje Roana, konsekwencje nie byłyby przyjemne. Przeraziła ją myśl o tym, czego mogliby się dopuścić Gburek i Gapcio, gdyby się dowiedzieli, że ona przebywa w Dog Trot tylko pod opieką chłopca i zastępcy szeryfa.

Troszczenie się o czyjeś dobro było dla niej czymś nowym,

jako że nigdy nie musiała tego robić. Nie spotkała nikogo, o

kogo mogłaby się troszczyć lub go chronić. Co więcej, większość ludzi, których znała, dbała jedynie o własną wygodę i dobro, natomiast altruistyczne porywy serca zaspokajali za

pomocą pieniędzy. Nigdy nie zrezygnowaliby ze swojej wy-

ROAN Jennifer Blake

137

gody, a co dopiero mówić o wystawianiu na niebezpieczeństwo

własnych dzieci

- Może byłoby lepiej - powiedziała powoli - gdybyś jednak zamknął mnie w więzieniu.

Przez długi czas Roan siedział nieruchomo, a między

hrwiami zrobiła mu się zmarszczka, jakby zastanawiał się nad

lym, co Vickie powiedziała i jakie motywy nią kierowały. Gdy

napotkał jej wzrok, odpowiedział:

- Nie wydaje mi się. Wrócę przed wieczorem.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Gdy doszedł do połowy

pokoju, zawołała:

- Roan!

Zatrzymał się i powoli odwrócił.

- Dlaczego to robisz? To znaczy, dlaczego przywiozłeś

mnie do swojego domu i opiekujesz się mną?

- Myślałem, że już to ustaliliśmy.

- Naprawdę? Pamiętam, jak mówiłeś coś o nieodpowiedniej celi oraz zirytowanym administratorem szpitala, ale to jeszcze niczego nie wyjaśnia. Niewielu ludzi by tak postąpiło.

- To nic takiego.

- Opiekujesz się wszystkimi, których postrzeliłeś? O to

chodzi?

Jego rysy się zaostrzyły.

- Nie było ich znów tak wielu.

- Nie jestem jednak pierwsza. Więc dlaczego?

- Może czuję się za ciebie odpowiedzialny? Może nie chcę
cię mieć na sumieniu, jeżeli przez jakiś dziwny przypadek oka

że się, że mówiłaś prawdę? Może...

- Co? - Mocno zacisnęła rękę na filizance.

- A może jestem zwyczajnym naiwniakiem, który wierzy
w naciągane historie opowiadane przez ładne dziewczyny?

Vickie roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Myśl,

przyjęcia.

- Coś podobnego!

- No dobrze, a jak to ci się podoba? - spytał, a jego szare

oczy się zwężyły. - Chciałem cię zatrzymać jako aresztantkę.

i tylko czekam, aż poczujesz się lepiej, by ci powiedzieć, czego naprawdę od ciebie chcę.

Po usłyszeniu tych słów poczuła dziwny dreszcz. Co takiego powiedział Cal? „W Tunica Parish Roan stanowi prawo”.

Tak, właśnie tak. Mówił to jednak tylko w przenośni... a może

jednak nie?

- No jasne! - zawołała szyderczo. - Wtedy dostaniesz

więcej.

Uśmiechnął się ponuro.

- Musisz tylko poczekać i zobaczyć, co się stanie, prawda?

Ruszył do drzwi szybkim krokiem, jakby miał już dość tej

rozmowy. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym hukiem.

Vickie rozmyślała nad tym, co powiedział, a także nad wydarzeniami poprzedniej nocy, i ogarniał ją coraz większy niepokój. Już miała jakieś przeczucie, ale jeszcze nie potrafiła znaleźć ani początku, ani końca tego splątanego motka.

Nie mogła uwierzyć, że naprawdę pociąga Roana Benedic-

ta, ona, kobieta, którą zapewne gardził za to wszystko, co sobą

reprezentuje. Jeżeli kiedykolwiek znów się ożeni, na pewno

wyberze jakąś niewinną miejscową dziewczynę, noszącą bluzki z kołnierzykami, uczącą dzieci w szkółce niedzielnej i umiejącą robić mięsne zapiekanki. Co by począł z taką biedną bogatą dziewczynką, która nawet wtedy, gdy nie udaje amnezji, nie potrafi ustalić, kim jest i czego chce, i która skończyła

kurs gotowania tylko po to, by móc się porozumieć z kucharzem swojego ojczyma.

Nie powinna pozwalać sobie na marzenia. Jedynym celem

Roana jest zapewnienie jej bezpieczeństwa. W oczach wyborców nie wypadłby dobrze, gdyby jego podejrzana uciekła albo została uprowadzona z jego własnego domu. Nie ufał jej, nie

uwierzył w opowiedzianą przez nią historię. Dopóki pozostanie

pod jego dachem, będzie zachowywał się uprzejmie i troskliwie, ale tylko po to, by nie narobiła mu kłopotów, próbując ucieczki.

Lecz czy jego motyw są aż tak istotne? Liczyło się tylko

to, że chwilowo była bezpieczna.

Uśmiechnęła się cierpko. Jakie to dziwne, gdy się o tym

wszystkim pomyśli. Zamknięta tutaj, w domu Roana, czuła się

lepiej chroniona niż przez te wszystkie minione lata, kiedy jej

największą obawą było to, że skończy jak jej matka, zamknięta

w drogim sanatorium dla bogatych wariatów. Przez krótką

chwilę wydawało jej się, że zrozumiała powody, dla których

matka nie protestowała przeciw swojemu losowi. Pewnie czuła

się bezpieczniejsza w tym sanatorium niż w „normalnym” świecie, przy mężu, córce i przyjaciółach, którzy w poszukiwaniu rozrywek gnali na oślep przez życie? Lecz nie, przecież to nie

mogło być prawdą...

Vickie wypila kawę i gdy odwróciła się, by odstawić fili

żankę na nocną szafkę, jej wzrok padł na wizytówkę Roana.

Wzięła ją i głęboko się zamyśliła. Tak więc ten dżentelmen

myśli, że ona chce podjąć jakieś działania i zamierza się temu

przeciwstawić? No dobrze, ona także potrafi pomieszać mu

szyki. Wkrótce się o tym przekona. Popęłnił poważny błąd,

przywożąc ją tutaj: otworzył przed nią drzwi do swojego prywatnego życia. A ona czuła się tu coraz

lepiej, była coraz silniejsza, a jej głowa pracowała jak dawniej. Była pewna, że potrafi zaaklimatyzować się w domu Roana i zaprzyjaźnić się

z jego rodziną. A potem będzie już za późno. Nie zdoła ani postawić jej w stan oskarżenia, ani odesłać z powrotem na

140 ROAN Jennifer Blake

Florydę. Stanie się jej opiekunem i obrońcą na tak długo, jak długo będzie tego potrzebowała, do czasu, aż sama będzie mogła zająć się swoimi sprawami.

Wkrótce potem Jake przyniósł śniadanie. Gdy ustawiał tacę na jej kolanach, poprosiła go, by usiadł w nogach łóżka.

- A ty już jadłeś? Może byś się do mnie przyłączył?

- Ja... dziękuję, już jadłem - mruknął, wycierając ręce o nogawki spodni. Wyglądał tak, jakby chciał wziąć nogi za pas i uciec.

- To przynajmniej zostań i porozmawiaj ze mną. Już mam dość wpatrywania się w tego głupiego kupidyna.

Chłopiec rzucił okiem na rzeźbę, do której przymocowany był ciężki złocisty baldachim.

- On jest bardzo stary. Jeszcze przed wojną domową jeden z moich pradziadków przywiózł to łóżko rzeką z Nowego Orleanu. W tamtych czasach mnóstwo rzeczy wyglądało tak, jakby pochodziły ze zbiórki dla ubogich, ale musieli to lubić.

- Chyba tak - odparła. Zaimponowało jej, że Jake tak traktuje wiktoriańskie skarby rodzinne. - No cóż, nie miałam racji, mówiąc, że jest głupi. To całkiem ładny kupidynek, ale jego widok już mi się znudził, bo nie mam tu nic więcej do roboty, jak tylko patrzeć mu w oczy.

- Może chcesz, żebym ci przyniósł jakieś pisma? - zaproponował Jake, rzucając jednocześnie szybkie spojrzenie na drzwi. Znalazł doskonałą wymówkę, żeby stąd wyjść.

- Byłoby wspaniale. A co macie?

- Hm, z tym może być kłopot...

Vickie ukryła uśmiech, widząc, że Jake się oblewa głębokim rumieńcem.

- Żadnych pism dla dziewcząt?

- Boże, nie! Tato chyba by mnie zabił. Mamy tylko takie, które by cię nie zainteresowały. - Zniżył głos do ledwo sty-

ROAN Jennifer Blake

141

szalnego szeptu. - O hodowli zwierząt, wędkarstwie, polowaniu, łucznictwie. To pisma...

- Dla mężczyzn?

Jake potwierdził, a jego twarz się rozjaśniła.

- Ale na poddaszu zostało trochę starych magazynów babci. Lubiła czytać o ogrodnictwie, szyciu, urządzeniu domu, no, o takich różnych rzeczach.

- To by mi odpowiadało - zapewniła go Vickie.

- Zaraz wracam - obiecał chłopiec i popędził na korytarz.

Przez długą chwilę wpatrywała się w drzwi, w których zniknął syn Roana, a potem z krzywym uśmiechem potrząsnęła głową i zainteresowała się tacą.

Jedzenie było naprawdę dobre: plastry cudownie uwędzonej szynki z puchatą jajecznicą, pszenne grzanki i domowy dżem z jeżyn. Wprawdzie wolałaby połówkę grapefruta i angielskie pączki, ale nie była w nastroju do grymaszenia. Na pewno potrzebuje białka, żeby odzyskać siły, chociaż gdy już poczuje się dobrze, po takim jedzeniu będzie musiała chodzić na gimnastykę.

Roan miał rację co do swojego syna. Na Jake'u można było polegać. Tak jak obiecał, przyniósł magazyny i ułożył je równo na nocnej szafce, ale najpierw wytarł je z kurzu swoją koszulą. Czasopisma okazały się antykwarycznymi okazami, można było znaleźć w nich sporo rozrywki i mądrych, choć przestarzałych już porad. Gdy Jake wyszedł, zabierając ze sobą pustą tacę, Vickie przejrzała kilka pism, jednak nie potrafiła na niczym dłużej skupić uwagi, wciąż bowiem nasłuchiwała, czy na podjazd nie wjeżdża samochód. Po chwili opuściła otwarty magazyn na pierś i zamknęła oczy.

Gdy się obudziła, w pokoju było bardzo duszno. Kilka minut leżała, wpatrując się w uśmiechniętego kupidynka, a potem sięgnęła po szlafrok. Roan nie mówił, że nie wolno jej wy-142

ROAN Jennifer Blake

chodzić z pokoju. Areszt domowy oznaczał chyba, że może poruszać się po całym budynku, byle nie próbowała uciekać.

W domu panowała cisza, tylko podłoga czasami zaskrzypiała pod jej stopami. Nie słychać było ani ludzkich głosów, ani odgłosów płynących z radia i telewizora. Rzucił się też w

oczy brak nowoczesnych akcesoriów: słuchawek, pilotów, gazet, czy pudełek z jednorazowymi chusteczkami. Mimo zimnego, powiewu klimatyzacji dobiegającego ze szpar w podłodze, czuła się tak, jakby cofnęła się do zeszłego wieku. Staroświeckie obrazy na ścianach i orientalne dywany, wyglądające jak barwne plamy na wyfroterowanej podłodze holu, sto lat temu

pasowałyby tu równie dobrze jak i w obecnej epoce. Tak jak

przed stu czterdziestu laty przez francuskie okna po obu końcach holu wpadało przyćmione światło. Ta niezmienność dziwnie podnosiła na duchu. Przez moment Vickie zapragnęła tu pozostać na zawsze. Była ciekawa, czy takie same uczucia przepełniają Roana i Jake'a, gdy myślą o dawnych czasach, o pokoleniach Benedictów, którzy żyli i kochali wśród tych ścian, w tym samym miejscu, które oni z kolei nazywają domem.

Zajrzała do reprezentacyjnego salonu, znajdującego się na prawo od wejścia. Stąpając bosymi stopami po grubym dywanie, podziwiała ozdobne gzymsy i medalion na środku sufitu, z którego

zwisiał kryształowy żyrandol. Od bezlitosnego letniego słońca ciężkie zasłony na oknach spłwiałały, ale nadal srebrzyście lśniły.

Brokatowe obicie jednego z krzeseł było przetarte na rogach, jakby krzesło to było częściej używane niż inne, bo kiedyś stanowiło ulubione miejsce któregoś z Benedictów. Jednak pomieszczenie

sprawiało wrażenie muzealnej ekspozycji, jakby od dawna nie

było wykorzystywane przez domowników. Brakowało tu takich

drobiazgów jak doniczkowe rośliny, serwety na stołach, różne bibeloty i pamiątki. Najwyraźniej mieszkający tu mężczyźni uwa

żali, że mogą się bez tego obejść, ale Vickie aż korciło, by wnieść ROAN Jennifer Blake

143

do tego pokoju życie. Dekorowanie cudzych domów, ożywianie

ich i nadawanie im ciepła stanowiło jedyną rzecz, w jakiej

była naprawdę dobra. No cóż, z uwagi na częste zmiany miejsca

/zamieszkania miała w tym ogromną praktykę...

Gdy wróciła do holu, spojrzała przez szybę drzwi wejściowych. Na podjeździe, w cieniu wielkiego dębu, stał radiowóz.

Serce podskoczyło jej w piersi, zanim zdała sobie sprawę, że

to musi być Jednostka" Cala, jak nazywał te samochody Roan.

Jednak samego zastępcy nie zobaczyła. Na pewno patrolował okolicę, albo też zajął posterunek w chłodzie tunelu pod domem. Czuła gorąco, jakie płynęło przez stare, pofalowane

niecو szyby, i nie miałyby mu tego za złe. Oczywiście mógł

również zejść do kuchni, by napić się czegoś zimnego.

Gdy o tym pomyślała, szybko się odwróciła i bacznie spoj-

rzała na korytarz. Nic się nie poruszyło. Z zalegających kąty

cieni nie wyłonił się żaden mężczyzna w mundurze ani nie

objawił się duch któregoś ze zmarłych mieszkańców tego domu. Roześmiała się nerwowo. Takie wkradanie się do obcego domu niezdrowo pobudzało wyobraźnię i drażniło nerwy.

Pokój stołowy leżał po drugiej stronie holu. Zajrzała tam, ale nie zobaczyła nic ciekawego, oprócz upstrzonego plamkami lustra z epoki dyrektoriatu. Jednak to nie piękna rama przykuła jej uwagę, lecz jej własne odbicie. Dopiero tu, w jasnym świetle zobaczyła, jak okropnie wygląda z potarganymi włosami, podkrążonymi oczami, pokaleczonymi policzkami i żółtawym siniakiem na brodzie. Dziwne, że tą widmową twarzą nie wystraszyła mieszkańców Dog Trot. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że troska o wygląd jest oznaką powrotu do zdrowia, co znaczy, że naprawdę szybko odzyskuje siły.

Sypialnie znajdowały się na piętrze. W jednej z nich zobaczyła plakaty grup rockowych i zdjęcia psów, zrobione podczas wystaw i konkursów. To na pewno był pokój Jake'a. Drugi 144

ROAN Jennifer Blake

zapewne należał do jego dziadka. Sypialnię pana domu też było łatwo rozpoznać. Mieściła się na tyłach domu, rozciągał się z niej widok na jezioro, była bardzo duża, z ogromnym łóżkiem i szafą, a także portretem któregoś z przodków zawieszonym nad kominkiem. Ostateczną wskazówkę stanowił policyjny skaner, stojący na biurku w kącie pokoju. Było to ładne pomieszczenie, umeblowane tradycyjnymi, praktycznymi meblami, na tyle nowoczesne, by było w nim człowiekowi wygodnie, ale ani odrobinę bardziej. Vickie nie weszła do środka.

Już na pierwszy rzut oka można było określić charakter mężczyzny, który tu mieszkał.

Hol kończył się schodami. Ponieważ z tego kierunku często dobiegały różne odgłosy, przypuszczała, że na dole znajduje się kuchnia, i nie pomyliła się. Obok kuchni znajdował się pokój dzienny. Tu wreszcie znalazła to wszystko, czego mężczyzna potrzebuje, by czuć się wygodnie, a czego nie zauważyła na piętrze: skórzane fotele i sofę, plecione dywaniki i telewizor z wielkim ekranem.

Gdy weszła, Jake podniósł wzrok znad gry wideo. Jednocześnie oglądał jakiś muzyczny film. Ze zdumienia otworzył

szeroko oczy. Zerwał się na równe nogi, a pies, który leżał u jego nóg, zawarczał niskim głosem, ostrzegając, by Vickie nie podchodziła bliżej.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał chłopiec.

- Ja... myślałam o lunchu. - Spróbowała się uśmiechnąć.

Wolała, by się nie zorientował, że myszkowała po domu.

- Jasne. - Odłożył grę i poklepał psa, by go uspokoić. - Co byś zjadła?

- A co mogę zjeść?

- Nie wiem, ale możemy sprawdzić. Ja też jestem głodny.

Podziękowała Bogu za nienasycony apetyt młodych ludzi, bo to bardzo ułatwiło działanie.

ROAN Jennifer Blake

145

Pies poszedł za nimi do kuchni i ułożył się przy drzwiach.

Gdy Jake z natchnioną miną wsadził głowę do lodówki, Vickie

z ulgą opadła na jedno z krzeseł ze skórzanym oparciem, otaczających porysowany drewniany stół zajmujący środek kuchni. Przeceniła swoje siły i, jak na pierwszy raz, za dużo chodziła.

W tej części domu podłogi były z czerwonej cegły, zapewne

niedawno pokryte jakąś ochronną warstwą. Stare cegły były chłodne i śliskie, a ich powierzchnia nierówna. Patrząc, jak Jake wyjmując z lodówki ser, brzoskwinie i coś, co wydawało się całą szynką, pocierała palcami stóp rowki na złączeniach cegieł.

- Dobrze ci idzie - powiedziała. - Pewnie sam sobie szykujesz jedzenie, gdy ojciec jest w pracy. - Starła się mówić lekkim tonem w nadziei, że chłopiec potraktuje jej słowa jako

zwykłą uprzejmość, a nie jako próbę wyciągnięcia z niego jakichś wiadomości.

- Chyba myślą, że jestem na to już wystarczająco dorosły.

- Oni?

- Tato i mój dziadek, Pop. Mówiłem ci, że jeszcze dwa

lata temu mieszkał z nami?

- Tak, oczywiście. To ten podróżnik.

- Tak, można go tak nazwać. - Jake odgarnął włosy z czo

ła, wziął nóż i zaczął kroić wielkie płaty szynki. - Pop załamał

się po śmierci babci, która odeszła od nas sześć lat temu. Długo trwało, zanim zainteresował się czymś innym niż opiekowaniem się mną. Potem kupił sobie dom na kółkach i zaczął zwiedzać świat, to znaczy Stany Zjednoczone.

- Zapewne dobrze się bawi.

Jake uśmiechnął się.

- Najbardziej lubi zachodnie stany, Newadę, Utah. Obiecał,

że przyjedzie po mnie przed końcem wakacji. Pojedziemy do

Wielkiego Kanionu, będziemy się zatrzymywać po drodze tam,

146

ROAN Jennifer Blake

gdzie nam się spodoba, i zobaczymy wszystko, co jest do zobaczenia. Lubisz pikle?

W odpowiedzi na to zniecierpliwione zadane pytanie Vickie pokręciła głową. Jednocześnie poczuła leciutkie ukłucie zazdro

ści. Szosy południowej Florydy zatłoczone były domami na

kółkach, zwłaszcza zimą, gdy turyści uciekali z mroźnych północnych stanów. Zabawne, ale zawsze bardziej myślała o niewielkiej przestrzeni, w jakiej ci ludzie się gniołają, niż o wolności. To była jeszcze jedna sprawa, wobec której musi zmienić swój punkt widzenia.

Jake posmarował chleb majonezem, na to położył plaster

szynki, pokrojone pomidory i plasterki sera, potem przykrył

wszystko drugą pajdą. Zręcznym ruchem przesunął talerz po

blacie w kierunku Vickie, a potem napełnił dwie szklanki mlekiem.

- Nie poprzestaniemy na tym, by obejrzeć kanion tylko

od strony wlotu - kontynuował, szykując kanapkę dla siebie.

- Zamierzamy jeździć od krawędzi do krawędzi. Można wyruszyć wczesnym rankiem i spędzić noc w kanionie.

Vickie uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie nutkę męskiej

brawury i usiłowanie, by nie okazać zbyt wielkiego podniecenia.

- To będzie coś zupełnie innego niż atrakcje w Turn-Cou-

pe, prawda? Wydaje mi się, że w lecie nic się tu nie dzieje.

- Och, nie wiem - odparł pompatycznym tonem. - W zeszłym roku podczas Festiwalu Rzecznych Piratów wyleciał w powietrze jacht. Było super!

No tak, naprawdę „super”, pomyślała rozbawiona Vickie.

- Czy ktoś ucierpiał?

- Nie za bardzo - wyjaśnił Jake, siadając przy stole. - Tato

i kuzyn Luke skoczyli do rzeki i wyciągnęli topiących się ludzi, więc nikt nie zginął. Och, i jeszcze zeszłego lata banda łajdaków porwała kobietę, która potem została żoną Luke'a.

ROAN Jennifer Blake

147

A czasami przyjeżdżają poszukiwacze skarbów, zwłaszcza wtedy, gdy zbliża się festiwal i ludzie zaczynają myśleć o złocie piratów.

- Widzę, że się myliłam - powiedziała Vickie. - Dzieje się

tu mnóstwo interesujących rzeczy. O co chodzi z tymi piratami?

- To piraci rzeczni, a nie morscy. Mówi się, że gdzieś tu

zakopali swoje łupy, złoto, srebro, klejnoty, jednak nie pozwalamy nikomu kopać w pobliżu domu, bo poszukiwacze zostawiają dziury w ziemi, tak samo jak psy.

Vickie była przejęta zarówno tym, że chłopiec tak chętnie

z nią rozmawia, jak i samymi opowieściami o zakopanym skarbie i innych ciekawostkach.

Najwyraźniej uznał, że jej towarzystwo jest do przyjęcia, albo może po prostu nudził się. Czyżby znalazła sobie sojusznika? Jeżeli tak, to musi się jak najszybciej zaprzyjaźnić z tym młodzieńcem.

- A ty szukałeś skarbów? - spytała. - I naprawdę są tu ukryte?

- Gdy byliśmy dziećmi, ciągle kopaliśmy.

Vickie wypłała trochę mleka, żeby ukryć uśmiech. Jake'owi daleko jeszcze było do wieku Matuzalema.

- Ale nic nie znaleźliście?

- Kilka *starych* gwoździ i podków, więc uznaliśmy, że skórka niewarta wyprawki.

- Co takiego?

Jake spojrział na nią ze zdziwieniem.

- To jedno z ulubionych powiedzień Popa. Znaczy tyle,

że rzecz wymaga zbyt dużo zachodu w stosunku do przewidywanych korzyści.

- Aha. Ale dlaczego nie ułatwiście sobie sprawy? Przecież istnieją detektory metalu. - U siebie na plaży widziała ludzi z takimi urządzeniami.

Jake wzruszył ramionami i lekko się zaczerwienił.

148 ROAN Jennifer Blake

- To nie byłoby takie zabawne. Mówi się, że stary Mike Fink

zakopał swój skarb w indiańskich kopcach nad rzeką. Bawiliśmy

się tam przez całe lata, zbieraliśmy groty strzał, kawałki garnków i kości. Kilka lat temu przyjechali tu jacyś ludzie z Urzędu Ochrony Indian z Baton Rouge i powiedzieli nam, że te kopce grobowe to święte miejsca Rdzennych Amerykanów, i jak byśmy się czuli,

gdyby ktoś kopał na cmentarzu, gdzie leżą pochowani Benedic-

towie. Tak więc przestaliśmy się tam bawić.

Była to poruszająca serce postawa. Z większą serdeczno

ścią, niż sądziła, że kiedykolwiek poczuje do syna Roana, powiedziała:

- Czytałam kiedyś, że piraci ukrywali swoje złoto w pobliżu grobów, właśnie po to, by duchy

zmarłych go strzegły.

Wygląda na to, że Mike Fink wykazał się niezłym sprytem.

- Tato mówi, że Fink z lenistwa wybrał najłatwiejszy sposób ukrycia skarbów, oczywiście jeżeli naprawdę je ukrył. Jego zdaniem, ten stary pijak raczej wszystko od razu roztrwonił.

No tak, tego właśnie można się było po Roanie spodziewać.

- Mówiłeś o festiwalu - zmieniła temat. - Opowiedz mi

o nim, dobrze?

Chłopca radośnie się uśmiechnął.

- To naprawdę coś! Luke jest jednym z kapitanów piratów.

Przypływają rzeką i napadają na miasto, chwytają jeńców i zatrzymują ich dla okupu. Oczywiście to tylko zabawa. Luke powiedział, że w przyszłym roku mogę z nim popłynąć.

- A jest ktoś, kogo byś chciał wziąć w niewolę? - spytała

Vickie.

- Kto? Ja? - powiedział z ociąganiem.

- Masz kostium? Będiesz potrzebował czegoś naprawdę

wystrzałowego. - Czegoś, co wywrze odpowiednie wrażenie

na dziewczynie, którą najwyraźniej pragnąłby porwać.

- Na strychu leży sporo takich rzeczy. Przebierałem się w

ROAN Jennifer Blake 149

nie na Halloween. - Otaksował Vickie wzrokiem. - Ty mog

ła byś nosić większość kobiecych strojów, jakie tu mamy, to

znaczy długie sukienki, kapelusze i inne fatałaszkę. Babcia co

roku ubierała się w nie na bal wydawany podczas festiwalu.

Mama zresztą też, przynajmniej czasami. Mam jej zdjęcie. Wygląda na nim jak Kopciuszek.

- Zrobione niedawno? - Vickie była bardzo ciekawa, kiedy

Roan się rozwiódł, chociaż niezbyt dobrze rozumiała, dlaczego

miało to dla niej takie znaczenie.

Jake spojrział na nią zaskoczony.

- Nie. Mama odeszła, gdy miałem dwa lata.

- Ach, tak. - Vickie nie mogła sobie wyobrazić, jak można

zostawić takie małe dziecko.

- To nie była jej wina, bo cierpiała na depresję. Konował,

do którego chodziła, powiedział, że dusiła się tu i że tato stanowi jej największy problem, dlatego powinna uwolnić się od więzów małżeńskich. No i wyjechała. Teraz ma nowego męża

i mieszka we Francji.

Vickie nie wiedziała, co jest bardziej przerażające: to, że

żona Roana tak łatwo porzuciła męża i synka, czy obojętny

ton, jakim Jake jej o tym opowiadał. Oczywiście, gdy stracił

matkę, był o wiele młodszy niż ona, gdy jej własna matka

umarła, więc miał niewiele związanych z nią wspomnień

i pewnie dlatego czuł mniejszy żal.

- Czasami rozwód może okazać się dobrą rzeczą - powiedziała tytułem próby.

- Tak - zgodził się Jake. - Moja mama miała trudne dzieciństwo i młodość. Jej matka przez cały czas była chora, a tato nie potrafił utrzymać się w pracy dłużej niż miesiąc czy dwa.

Był zbyt gwałtowny i zawsze postępował po swojemu. Prowadzał się też z innymi kobietami. Którejś nocy wyszedł i nigdy więcej nie wrócił. Jej matka nie miała pieniędzy, więc po 150 ROAN Jennifer Blake

krótkim czasie przeniosła się do swojego brata. Mojej mamie

tam się nie podobało, więc poprosiła tatę, żeby się z nią ożenił.

Potem, gdy była ze mną w ciąży, jej matka umarła, a tego

samego roku znaleziono jej tatę w lasach, to znaczy została z

niego tylko kupka kości. Ludzie mówili, że był w zbyt bliskich stosunkach z jakąś mężatką i jej mąż go załatwił. W każdym razie gdy ja się urodziłem, mama poczuła się gorzej. Nazywają to depresją porodo... poporo...

- Depresja poporodowa - podpowiedziała mu Vickie.

- Właśnie, i przez całe lata z tego nie wyszła.

Vickie w milczeniu rozmyślała nad tą rodzinną historią.

Nie mogła wyobrazić sobie Roana jako męża nieźrównowa

żonej kobiety. Był taki silny i mocno stąpał po ziemi, byłoby

więc naturalne, gdyby wybrał kobietę podobną do siebie. Oczywiście mógł nie zdawać sobie sprawy z powagi zaburzeń, na jakie cierpiała dziewczyna, z którą zamierzał się ożenić. Depresja może przybierać wiele form i rozwijać się w ukryciu, a potem jest już za późno,

- Ludzie nie mogą wybrać sobie rodziców ani stylu życia,

jakie prowadzą w dzieciństwie - powiedziała spokojnie. - Liczy

się to, jakimi stają się później, czy urządzają swój świat tak, jak by chcieli. - Ona sama nieźle się nacierpiała, przyswajając sobie tę lekcję, a jeszcze miała przed sobą wiele lat nauki.

Jake pokiwał głową.

- Tato mówi to samo.

Miło było się dowiedzieć, że ona i szeryf przynajmniej w

jednej sprawie się zgadzają.

Zjedli kanapki i Vickie pomogła Jake'owi ułożyć naczynia

w zmywarce. Właśnie odstawiała słoik z piklami, gdy chłopiec

zapropozował:

- To jak, idziemy na strych? Może znajdziesz tam coś, co

mogłabyś tu nosić?

ROAN Jennifer Blake

Vickie stanęła w pozie modelki, unosząc do góry rękę, w której trzymała słoik.

- Nie podoba ci się mój strój? Cały Paryż tak się nosi.

- Tak, bardzo ci w nim do twarzy - zażartował. - Ładne

jest zwłaszcza to rozcięcie z tyłu, przez które widać całe plecy.

Przekrzywiła głowę, by spojrzeć na siebie przez ramię.

- Teraz, gdy o tym wspomniałeś, przyszło mi do głowy,

że jednak można dokonać pewnych przeróbek mojej kreacji.

- Pewnie! Zmieściłoby się w niej całe stado słoni - mruknął pod nosem.

- Słyszałam, co powiedziałeś, ale nie jestem pewna, czy

potrafię wejść aż tak wysoko po schodach. Boję się, że na

piętro doczłapię się z trudem, a co dopiero na strych.

- Nawet po tym, jak odpoczęłaś i sobie podjadłaś? - Nadzieję na pomyszkowanie na strychu, którą widziała w jego oczach, zastąpiła troska o jej samopoczucie.

- Sama nie wiem. Dziś po raz pierwszy wstałam na tak

długo.

- Zostaniemy tam tylko parę minut.

Mówił to takim tonem, że nie miała serca mu odmawiać.

Poza tym dodatkowy wysiłek był niską ceną za podtrzymanie

przyjacielskiego nastroju. Wstydziła się swojego wyrachowania, ale cóż, tym razem skórka warta była wyprawki.

Kostiumy okazały się wspaniałe. Były starannie rozwieszane w ogromnej szafie stojącej przy ścianie strychu, skąd roztaczał się zapach kulek na mole. Niektóre pochodziły sprzed co najmniej półtora wieku. Vickie znalazła tam eleganckie wieczorowe suknie o szerokich spódnicach wymagających krynoliny i ze stanikami na fiszbinach, suknie spacerowe o wąskich spódniczkach, fraki i smokingi z atłasowymi wyłogami.

Wszystko było prawdziwe, można to było poznać po tym, że
atłasy zbrązowiały z wiekiem, koronki były ręcznej roboty, mę-

152

ROAN Jennifer Blake

skie koszule nie miały kołnierzyków, a sztywny materiał spodni spłóśniał na zagięciach.

Vickie była zafascynowana tym, że ogląda pamiątki świadczące o dziejach rodziny Benedictów. Bez trudu mogła sobie wyobrazić Roana i jego kuzynów wymykających się w deszczowe dni na strych, by dotykać tych wspaniałych materiałów i bawić się ubraniami, albo matkę, która w ciężkich czasach

wielkiego kryzysu przeglądała stare suknie, by znaleźć coś,

co mogłaby przerobić dla córki, która wybierała się na bal.

Pytała Jake'a o niektóre stroje, ale on niewiele miał do powiedzenia o tym, kto je nosił i przy jakich okazjach. Ze smutkiem pomyślała, że jego babcia na pewno to wiedziała, ale tę wiedzę zabrała ze sobą do grobu.

Jake szybko stracił zainteresowanie ubraniami i poszedł w

inny kąt strychu, gdzie przy ścianie koło schodów stały kufry

z drewna i skóry. Vickie poszła za nim i podniosła wieko jednej ze skrzyń. Była wypełniona puszkami i blaszanymi pudełkami, pomalowanymi na ciemny, oliwkowy kolor.

- Racje żywnościowe z czasów drugiej wojny światowej

- poinformował ją Jake.

- Chyba żartujesz! - Vickie pochyliła się nad kufrem, zęby

w przyćmionym świetle padającym z żarówek u sufitu odczytać

wyblakłe napisy umieszczone na bokach konserw. - Dlaczego

to trzymacie? Chyba nie nadają się już do jedzenia?

- To jest prawie niezniszczalne. - Jake wziął jedną puszkę,

podrzucił do góry i złapał. - Mięsa to bym chyba nie zjadł,

ale mój kumpel dobrał się kiedyś do czekoladowych ciasteczek,

i wcale się po nich nie pochorowaliśmy.

Vickie wykrzywiła się, chociaż bardziej po to, by zobaczyć uśmiech chłopca, niż z obrzydzenia. Idąc wzdłuż kufrów, spytała:

- I co tu jeszcze trzymacie?

- Papiery. Całe mnóstwo papierzysk - odparł Jake, pod-

ROAN Jennifer Blake 153

nosząc kolejne wieko. - Listy, przepisy, księgi rachunkowe, pokwitowania za sprzedane krowy i konie, rachunki z aukcji i /a dostawy maszyn oraz paszy z czasów, gdy Dog Trot było jeszcze farmą. Zabawne, jakie to wszystko było tanie siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu.

- Albo jeszcze dawniej - mruknęła Vickie, widząc datę na górnym liście stosu w jednym z kufrów.

Uwagę Vickie przyciągnęły zdjęcia w ramkach, leżące na starej toaletce. Były na nich dzieci w szkolnych mundurkach; albo pozujące z futbolowym kaskiem lub w stroju do karate, młodzi mężczyźni i kobiety bawiący się na pikniku i podczas wakacji. Wszyscy mieli sympatyczne twarze i duże, wyraziste oczy. Najwyraźniej Benedictowie mogli poszczycić się silnymi genami.

Zainteresowała ją zwłaszcza jedna fotografia. Wzięła ją do

ręki i wytarła kurz ze szkła. Zobaczyła trzech młodych mężczyzn stojących przy samochodzie, który wyglądał na klasycznego plymoutha Super Bird Crazy Purple. Samochód był

tak piękny, że budził nabożny podziw. Pośrodku rozpoznała

Roana, chociaż na zdjęciu był szczuplejszy i wydawał się bardziej sympatyczny niż obecnie. Wyglądał na dwadzieścia lat albo nawet na mniej. Mężczyzna po jego prawej stronie miał ciemniejszą cerę, a wysokie kości policzkowe wskazywały na

pokrewieństwo z Rdzennymi Amerykanami. Miły uśmiech

unosił mu kąciki ust, ale wyraz jego czarnych oczu świadczył

o niespokojnych, tajemnych myślach. Mężczyzna po lewej stronie Roana miał bardziej wyrafinowane rysy i patrzył w obiektyw wzrokiem, w którym pewność siebie i inteligencja mieszały się do tego stopnia, że zmieniały się niemal w arogancję.

Trzeci mężczyzna ubrany był w ognioodporny kombinezon

i pod pachą trzymał jasnożółty kask, natomiast dwaj pozostali

nosili dzinsy i marynarki z emblematami na kieszonkach.

154

ROAN Jennifer Blake

- To tato z Kane'em i Lukiem tego lata, które spędzili na

torze wyścigowym NASCAR - wyjaśnił Jake, zerkając na fotografię.

- Kto by pomyślał? - szepnęła Vickie.

- No właśnie! - roześmiał się Jake. - Okazuje się, że starszerek ukrywa wiele cech swojej osobowości, ale od czasu do czasu niektóra z nich się ujawnia.

- Widzę. - Vickie nie mogła powstrzymać uśmiechu na

widok obrazka, jaki tworzyli ci trzej mężczyźni. Byli młodzi

szczęśliwi i czekali niecierpliwie, by wreszcie podjąć wyzwanie, jakim był wyścig, który pewnie za chwilę miał się rozpocząć. Ich postawa świadczyła o dumie, ufności we własne siły i wierze w zwycięstwo. Wydawali się pełni życia, beztroscy i odważni. Ci trzej dobrze wiedzieli, kim są oraz czego pragną, i na pewno trudno byłoby ich powstrzymać przed osiągnięciem celu.

Vickie zrobiło się przykro, wiedziała bowiem, że nie zostanie w Dog Trot tak długo, by ich wszystkich poznać. Westchnęła i odłożyła zdjęcie na toaletkę.

W tym właśnie momencie na schodach rozległ się łomot

butów i jakiś głos zagrział:

- Do diabła! Kto jest na górze?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Zastępca Riggs!

Vickie, gdy zobaczyła mundur, przez krótką chwilę miała

nadzieję, że przyszedł Roan, dlatego w jej głosie, obok mimowolnego przest్రachu, słychać było też rozczarowanie.

- Szukałem was wszędzie - oznajmił Cal Riggs, marszcząc czoło. - Już miałem zamiar zaalarmować komendę, a szerylowi by się to nie spodobało.

Vickie tylko raz widziała, jak Roan się złościł, co zdarzyło się tamtej nocy, gdy została postrzelona, i wcale nie miała ochoty na powtórkę spektaklu.

- Po prostu szukaliśmy jakiegoś ubrania dla mnie - wyśmiała się szybko.

- Widzę, że czujesz się już dużo lepiej. Dziwne, ale nie powiedziano mi o tym. - Cal czekał na odpowiedź.

- Dlaczego dziwne? - spytała z irytacją.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny, więc muszę wiedzieć, gdzie się w każdej chwili znajdujesz.

- Cal, uspokój się - powiedział Jake, podchodząc do Vickie. - Przecież nas znalazłeś.

Zastępca odwrócił się do chłopca.

- To był twój pomysł, prawda?

Vickie nie mogła pozwolić, by Jake znalazł się w kłopotach tylko dlatego, że próbował jej pomóc.

- To moja wina! Nudziłam się w łóżku i chciałam znaleźć

sobie jakieś ciekawe zajęcie.

f •

156 ROAN Jennifer Blake

- I znalazłaś? - Cal spojrział na nią uważnie, mrużąc powieki.

Fatalnie, że tak opacznie zrozumiał jej słowa.

- Sam przyznasz, że jest tu bardzo spokojnie, a na dodatek

wokół jest tylko las.

- Coś ci się w tym nie podoba?

Teraz na dodatek jeszcze go obraziła, a co gorsza, Jake też

wydawał się urażony. Musiała jakoś z tego wybrnąć, natychmiast więc zaczęła odgrywać przedstawienie. Potarła ręką czoło i zachwiała się.

- Och, źle się poczułam. Kręci mi się w głowie. Muszę...

się położyć.

- Przeceniłaś swoje siły, prawda? - zapytał Cal i ruszył

w jej kierunku.

- Jake, proszę, pomóż mi. - Wyciągnęła rękę do chłopca,

by uniemożliwić zastępcy zbyt bliski kontakt. Jake, tłumiąc

uśmiezek, natychmiast podjął grę. Bez namysłu przełożył sobie przez barki zdrowe ramię Vickie i objął ją w pasie tak naturalnym ruchem, jakby codziennie ratował mdlejące damy.

Kiedyś stanie się ulubieńcem kobiet.

- Ja ci pomogę - powiedział Cal.

- Już ją trzymam. - Jake zamachał wolną ręką, nakazując

Calowi, by się odsunął, i ruszył w dół wąskimi schodami. - Idź

przodem i złap ją, gdyby się potknęła.

Plan okazał się skuteczny. Kilka minut później Vickie była

już w swoim pokoju. Obciągnęła krótką szpitalną koszulę i okręciła ją wokół łydek, natępnie zdjęła szlafrok i podała go Jake'owi, który odłożył go na krzesło, a potem pomógł chorej położyć się do łóżka.

- Chcesz, żebym wezwał doktora Watkina? - spytał Cal od progu.

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko. - Nic mi nie jest.

ROAN Jennifer Blake 157

- Może powinienem skontaktować się z Roanem. Niech on zadecyduje.

- Nie, naprawdę nie trzeba. Po prostu jest bardzo gorąco.

- Jesteś pewna, że nie potrzebujesz lekarza? Bo gdybym dopuścił do tego, żeby coś ci się stało, Roan by mi tego nie darował.

- Proszę, nie dzwoń do niego, to była tylko chwilowa niedyspozycja - nalegała, lecz Cal już pędził korytarzem.

- Zadzwonię z radiowozu! - zawołał jeszcze.

- Kretyn! - mruknął Jake pod nosem, słysząc, jak zatraskują się wejściowe drzwi.

- Wścibski idiota - powiedziała jednocześnie Vickie.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Przez chwilę zapanowała między nimi absolutna harmonia.

Jake jako pierwszy przestał się śmiać.

- Podobasz mu się - powiedział.

- Zastępcy?

- Tak, poczciwemu staremu Calowi. Widziałem, jak na ciebie patrzył.

- Och, daj spokój!

- Przysięgam. - Nakreślił palcem krzyżyk na piersi, a w jego oczach rozbłysły wesołe iskierki. - Chciał cię znieść na dół, a strach pomyśleć, co by mógł zrobić, gdybyś była ubrana jeszcze bardziej... hm, skromniej.

- Nie nabijaj się ze mnie. Całe szczęście, że mam na sobie przynajmniej tyle.

Jake potrząsnął głową tak, że aż włosy opadły mu na twarz.

- Taak, myślałem o tym. Na strychu nie znaleźliśmy dla ciebie nic odpowiedniego, ale chłopcy i dziewczyny noszą takie same szorty i podkoszulki, prawda? Mógłbym ci coś po życzyć, oczywiście jeżeli ci nie przeszkadza, że ja już to nosiłem.

158

ROAN Jennifer Blake

Była to wielce zaszczytna propozycja i Vickie w pełni to doceniła.

- Wcale mi nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie, jestem ci wdzięczna, że o tym pomyślałeś.

- Nie ma za co. - Uśmiechnął się. - Zaraz ci coś przyniosę. Bo widzisz, myślę, że byłoby lepiej, gdybyś miała na sobie coś mniej... przewiewnego.

Vickie uśmiechnęła się.

- Jesteś naprawdę bardzo uprzejmy.

- To nic takiego - powiedział, idąc do drzwi. - Po prostu staram się być pomocny.

Patrzyła za nim, gdy znikał w korytarzu. Naprawdę polubiła

syna Roana.

Czarne szorty, które Jake po chwili przyniósł, były całkiem

przyzwoite, a jaskrawoczerwona koszulka z napisem „Kickin'

Country Y106" trochę za obszerna, ale dzięki temu łatwiej ją było włożyć, mając opatrunek na ramieniu. Mimo wszystko

Vickie ubrała się z dużym trudem i poczuła się bardzo zmęczona. W pierwszej chwili chciała wziąć tabletkę przeciwbólową, ale w końcu ograniczyła się do aspiryny.

Właśnie zasypiała, gdy usłyszała na podjeździe samochód

Roana. Jednak mijała minuta za minutą, a szeryf nie przychodził. Widocznie rozmawia z Calem albo poszedł do kuchni i zatrzymał się tam, by zapytać Jake'a, co się tu właściwie

działo. No cóż, ponieważ nie troszczył się o jej samopoczucie

na tyle, by zaraz do niej przybiec, ułożyła się wygodniej i z

westchnieniem rozluźniła mięśnie.

Znów prawie już zasypiała, kiedy usłyszała cichutkie skrzypienie zawiasów. Ktoś wszedł do pokoju. Instynktownie wyczuła pełną napięcia i gwałtownych emocji aurę, jaką roztaczał

wokół siebie przybysz, i wiedziała już, że to Roan.

Lecz Vickie nie miała siły, by znów się przed nim bronić.

ROAN Jennifer Blake 159

Nie chciała widzieć dezaprobaty na jego twarzy ani wysłuchiwać kolejnych pouczeń i instrukcji, co jej wolno, a czego nie wolno. Nie otworzyła więc oczu i starała się oddychać równo,

jak osoba, która mocno śpi.

Gdy podszedł bliżej, usłyszała szelest jego wykrochmalone-

go munduru. Prawie czuła, jak jego spojrzenie przesuwa się

po niej, i wreszcie zatrzymuje się na twarzy. Mało brakowało,

a zdradziłby ją leciutki zmysłowy dreszcz, ale z wielkim wysiłkiem go opanowała. Kiedy ostatnio się zdarzyło, że była tak wrażliwa na obecność jakiegoś mężczyzny? Nie mogła sobie

przypomnieć, ale chyba nigdy nie czuła tak silnego... pragnienia. Oczywiście to o niczym nie świadczyło. Roan wywierał

na niej tak silne wrażenie po prostu dlatego, że była od niego całkowicie zależna. Gdy już się stąd wydostanie, to uczucie natychmiast minie.

Oczekiwała, że Roan coś powie i dotknie jej, by ją obudzić, jednak nic takiego nie zrobił, ale też nie odchodził. Minuta biegła za minutą, a Vickie miała coraz bardziej napięte nerwy. Jej serce tłukło się w piersi i ledwie mogła opanować drżenie rzęs.

Potem usłyszała, jak Roan się odwraca i odchodzi, zamykając za sobą drzwi.

Otworzyła oczy i wpatrując się w ścianę, czekała, aż jej tętno wróci do normalnego rytmu. Długo potrwało, zanim udało jej się zasnąć.

Kolację przyniósł Jake, a za nim szedł Beauregard. Gdy

Jake stawiał jej tacę na kolanach, pies położył ogromną łapę na łóżku i wpatrywał się w talerze tak, jakby od dawna niczego nie jadł.

- Leżeć, piesku - rozkazała z nadzieją, że zostanie wysłuchana, wciskając się jednocześnie w poduszkę. - Dobry piesek, leżeć.

Beau tylko pomachał ogonem. Wysunął język.

160

ROAN Jennifer Blake

- Jake? - Bała się odwrócić wzrok od psa, żeby ten potwór nie wdrapał jej się na łóżko. - Możesz kazać mu odejść?

- Beauregard, leżeć - powiedział spokojnie Jake.

Vickie pomyślała, że pies wygląda tak, jakby bardzo się zawstydział. Natychmiast zabrał łapę z łóżka i ułożył się na podłodze. Vickie podejrzliwie spojrzała na Jake'a.

- Myślałam, że ten psi potwór nie wchodzi do domu.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Na ogół nie, ale tato wykąpał go w płynie przeciw

pchlóm i kazał mu dotrzymywać ci towarzystwa.

- Aha. - Może nie tyle dotrzymywał towarzystwa, pomy

ślała, co pilnował, bym nie wychodziła z pokoju. Roan na pewno tak postanowił, wiedząc, że ona boi się psów.

- Nie zamierzasz jeść? - spytał Jake. W jego głosie usłyszała dziwną nutkę, jakby próbował zachować pełną obojętność, ale niezbyt mu się to udawało. Patrzył niecierpliwie na jej tacę i starał się nie oddychać zbyt głośno. Vickie spojrzała na to, co jej przyniósł. Potrawy wyglądały na smaczne: tłuczone

ziemniaki z cebulą, gotowana kapusta, kukurydziany chleb

i spora porcja czegoś, czego nie mogła zidentyfikować.

- Nie wiem - odparła, domyślając się, że zrobił jej jakiś

kawał. Pokazała na tajemnicze danie. - Co to jest.

- - Flaczki. - Wzruszył ramionami z wystudiowaną obojętnością. - Tutaj, na tym odludziu, często to jadamy.

- Flaczki! - powtórzyła, a w jej głowie zrodziło się ponure podejrzenie.

- No właśnie.

- A co to właściwie jest?

- Naprawdę nigdy tego nie jadłaś?

- Nigdy.

- No więc to było tak. Po wojnie domowej my, biedacy

z zapadłego Południa, musieliśmy się nauczyć obywać tym,

ROAN Jennifer Blake 161

co akurat było pod ręką. Często jadało się wieprzowinę, bo

świnie potrafią wyżywić się tym, co znajdują w lesie, na przykład żołądźkami. A ponieważ w tamtych czasach nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by cokolwiek się zmarnowało, nauczyliśmy się jeść całe świnie. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

- Razem z łbami - domyśliła się, bo widywała we Francji, a także w nowojorskich restauracjach w kartach potrawy takie jak mózdzek czy ozorek.

- Nie, flaki robi się z...

- Pozwól, że sama zgadnę - przerwała mu, widząc radosne wyczekiwanie na jego twarzy. - Z wnętrzości?

- Chciałem powiedzieć: z kiszek - odparł uprzejmie - ale można i tak to nazwać.

- A kto ugotował to arcydzieło sztuki kulinarnej?

- Oczywiście tato. Na ogół to on pichci, chyba że panie

z kościoła uzalają się nad biednymi samotnymi facetami i przyniosą nam potrawkę z kurczaka albo biszkopt.

- Rozumiem. I bardzo ci dziękuję za kolację.

- Nie ma za co. *Bon appetit!* - zawołał z uśmiechem i wybiegł z pokoju.

Coś takiego! *Bon appetit!* Ten dzieciak sobie z niej kpił!

Zjadła ziemniaki i kapustę, ale flaki oddała psu, który został

z nią po wyjściu Jake'a. To zwierzę je wprost uwielbia, pomyślała, przyglądając się, jak Beau w kilka sekund wyczyścił

talerz.

Przez chwilę zamierzała pójść na dół, by się przekonać, co

na kolację jedzą Roan i jego przemądrzały synalek, bo dałaby

głowę, że na pewno nie flaczki, ale się powstrzymała. Nie

chciała, by ucieszyli się z udanego kawału.

Następnego dnia na śniadanie dostała miseczkę grubo mielonych płatków owsianych.

- No więc owies rośnie na krzakach, sięgających do kolan.

162 ROAN Jennifer Blake

To najlepsza odmiana - powiedział Jake, gdy poprosiła go, by

wyjaśnił pochodzenie takich płatków owsianych. - Słyszałem

też o owsie wysokim jak drzewa. Można go napotkać koło

Nowego Orleanu i żeby go zebrać, ludzie muszą wchodzić na

drabiny. Ja oczywiście nigdy takich owsianych drzew nie widziałem, bo nigdy w życiu nie wyjeżdżałem z Turn-Coupe dalej niż na jakieś sto kilometrów.

- Coś takiego! - Vickie roześmiała się i dodała, udając

wieśniaczkę: - Patrzajta no tylko, ludziska, a ja głupia myślała, że owsiankę robi się ze zwykłego owsa.

- Naprawdę? No więc nasz owies wyrasta na krzakach.,

a potem na klęczkach zbieramy każde ziarenko. Nie masz pojęcia, jaka to ciężka praca, ale efekt jest wart trudu, nie sądzisz?

Tu, w naszych dzikich lasach, uwielbiamy owsiankę z krzewiastego owsa. Mam nadzieję, że tobie też będzie smakowała.

Tapeta byłaby smaczniejsza. Vickie jadała owsiankę na

śniadanie w najlepszych hotelach, gdzie podawano ją z prawdziwym masłem i dżemem. Niestety to, co teraz dostała, nie było nawet posolone. Spróbowała jedną łyżkę i postawiła miskę na podłodze, dla Beau, który spędził noc w jej pokoju.

Jeśli nadal będzie go tak dokarmiać, pies wkrótce się roztyje,

a ona umrze z głodu.

Gdy Roan wyjechał do miasta, a Jake również gdzieś wyszedł, podeszła do frontowych drzwi i ostrożnie spojrzała przez szybę, *aby sprawdzić, gdzie jest Cal. Szczęśliwie siedział w radiowozie i czytał gazetę.* Wtedy szybko pobiegła do kuchni,

usmażyła sobie jajecznicę, zrobiła grzanki, napełniła wielką

szklankę sokiem pomarańczowym i usiadła przy stole. Jedząc,

wyglądała przez okno. W oddali, za drzewami, zobaczyła Jake'a, który karmił myśliwskie psy. Obok niego dostrzegła jeszcze kogoś, pewnie kolegę, bo był podobnej postury i siedział

na motorowerze.

ROAN Jennifer Blake 163

Gdy myła naczynia po swoim śniadaniu, zauważyła w zlewie stos brudnych talerzy, więc również i je umyła, wytarła i odstawiła na miejsce. Potem wyszorowała szafki, drzwiczki

lodówki i inne urządzenia. Gdy szła po schodach do siebie,

czuła się jak uosobienie wszelkich cnót niewieścich.

Gdy usłyszała warkot silników dwóch motorowerów, podeszła

do okna i zobaczyła, jak Jake i jego kolega odjeżdżają drogą wiodącą wzdłuż jeziora. To dobrze, że chłopiec choć na chwilę wyrwał

się z domu, nawet jeżeli przez to zostawił ją samą z Calem. Śmieszne, ale miała ochotę zawołać go, by wrócił.

Tak się tu nudziła. Nie miała nic do roboty ani żadnej ciekawej lektury. W domu zajęłaby się malowaniem albo szyciem, lub też popływałaby w morzu, ale tutaj nie było to możliwe.

Poza tym coś by jeszcze chętnie przekąsiła. Często jadała z

nudów lub gdy była zdenerwowana. I chociaż wiedziała, dlaczego odczuwa głód, nic nie mogła na to poradzić, przymus był zbyt silny. W zamrażarce znalazła opakowanie czekoladowych lodów, nałożyła solidną porcję do miseczki i wyszła na werandę przy kuchni. Dzięki temu, że nad nią znajdowała się

druga weranda, panował tu przyjemny cień.

Nic się nie stało, nie zawyły syreny, nikt jej nie zauważył

ani nie przejął się jej postępkami. Uciekła, przynajmniej na

kilka minut.

Usiadła na bujanej ławce i rozhuściła ją. Było bardzo gorąco i spokojnie, słyszała tylko buczenie pszczoł w ogrodzie.

Daleko, za stodołami, rósł cyprysowy zagajnik, a za nim dojrzała niebieskie wody Jeziora Końskiej Podkowy. Wydawało jej się, że woda ją wzywa, tak jak wtedy, gdy przebywała na

Sanibel.

Uwielbiała coroczne wyjazdy na wyspę, gdzie spędzali zimę. Kochała walącą się, starą rezydencję, którą w latach dwudziestych wybudował jej dziadek ze strony Bridgemanów. Nie-164 ROAN
Jennifer Blake

stety, Paul Vandergraff zburzył dom i wybudował na jego miejscu elegancką, nowoczesną willę, czego, jak wielu innych rzeczy, Vickie nie mogła mu darować.

Teraz, gdy o tym pomyślała, zauważyła, że Dog Trot przypomina tamten dom. Miał takie same szerokie, gościnne werandy i ten sam wdzięk, chociaż był dużo solidniejszy i wytrzymałby każdą burzę.

Szkoda, że jezioro jest tak daleko od domu, a zasłaniające

widok drzewa jeszcze pogłębiały to wrażenie. Może warto by

łoby namówić Roana, by ściał kilka z nich? Westchnęła i pokiwała głową. No cóż, szeryf nie przyjąłby zbyt entuzjastycznie takiej propozycji od swojej aresztowanej.

Zastanawiała się, jak głębokie i rozległe może być jezioro,

nie miała jedna wystarczająco dużo sił, by tam pójść. Poza

tym nie chciała drażnić myśliwskich psów, bo gdyby podniosły

jazgot, natychmiast przybiegłby Cal i położyłby kres tej słodkiej chwili wolności.

Zajadając lody, spróbowała przez chwilę potrzymać miseczkę chorą ręką. Poczowała ostry ból, ale nic więcej się nie stało, naprawdę więc wracała do zdrowia. Doktor Watkins był zadowolony, gdy wpadł tu zeszłego wieczoru, chociaż zrobiła wszystko, by się nie zorientował, jak dobrze już się czuje. Z

każdym dniem była coraz silniejsza. Niedługo będzie już całkiem zdrowa, lecz wciąż nie podjęła decyzji, jak ma załatwić sprawę z Harrellem, jeszcze bowiem nie mogła się zmusić do

głębokiego namysłu, by uporać się z tym problemem.

Nagle z tyłu usłyszała jakieś sapanie. Zamarła w bezruchu,

a serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

Zza huśtawki wyłonił się Beau. Kochany stary Beau, ze

swą zbolałą jak u staruszka miną i wielkim nosem, którym
mógł rozpoznać każdego człowieka wśród miliona innych, jeśli
tylko wcześniej zapoznał się z jego zapachem.

ROAN Jennifer Blake

165

- Beauregard, ty stary, głupi kundlu, na śmierć mnie przestraszyłeś! - powiedziała ze złością.

Pies zatrzymał się, chwilę powęszył, a potem spojrzał na

aresztantkę i jej miseczkę z lodami, po czym podszedł bliżej.

Vickie siedziała nieruchomo, bo bała się, że gdyby się poruszyła, pies zacząłby warczeć i zaalarmowałby Cala. Chociaż karmiła Beauregarda, nie ufała mu i obawiała się, że mógłby ją ugryźć, gdyby zachowała się niewłaściwie. Miał za zadanie pilnować ją i Jake'a, słyszała przecież, jak dziś rano Roan go instruował na temat jego obowiązków, a świetnie wytresowany pies zdawał się wszystko chwytać w lot.

Beau wciąż gorączkowo węszył i zbliżał się coraz bardziej do podejrzanej. Oblizwał się łakomie, a potem podszedł jeszcze o krok.

Aż się zachłysnęła, gdy pies owionął swoim gorącym oddechem jej palce... a potem podniósł łeb, zgarbił szerokie barki i zaczął łakomie wylizywać rozpuszczone resztki lodów z miseczki, którą Vickie ciągle trzymała w ręce.

Wiedziała już, jak wielkim łakomczuchem jest Beau, więc

tylko się uśmiechała, gdy skrupulatnie wylizwał miseczkę. Łyżka, niecierpliwie przesuwana nosem, stuknęła po całym dnie, aż wreszcie nie została nawet odrobina przysmaku. Wtedy skierował uwagę na palce Vickie, starannie wylizwał je jeden po drugim, aż uznał, że są czyste. Wtedy zwinął się u jej stóp, położył łeb między łapami i zamknął oczy.

Vickie wytarła palce o szorty, a potem westchnęła, gdy wokół znów zapanowała cisza. Otepłający poranny upał wprost ją obezwładniał. Było tu tak spokojnie. Vickie nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się taka rozluźniona.

Jednak po chwili upał zaczął ją przytłaczać, więc powa-

chlowała się koszulką, ale to nic nie pomogło. Na czole, a potem na całym ciele wystąpił jej pot. Zmoczył koszulkę wokół

Spojrzała do tyłu, potem rozejrzała się po okolicy i uważnie zlustrowała ciągnący się aż do stodół las oraz gęste krzaki, rosnące w jego cieniu. Ktoś mógł się tu kręcić, a ona wystawiła się na jego widok. Nagle dom wydał się jej nie więzieniem, ale bezpieczną kryjówką.

Pochyliła się i przesunęła palcami po gładkiej, jedwabistej sierści psa.

- Dobry piesek, dobry Beau. Już czas, żeby wrócić do środka, nie sądzisz?

Szeptala, chociaż nie wiedziała, dlaczego. Nie zdziwiło jej więc, że stary pies nie usłuchał jej, a tylko uniósł ciężkie powieki, aż zmarszczyło mu się czoło.

- Naprawdę, kolego, chodźmy stąd! Nie wołałbyś wejść do domu, gdzie panuje miły chłodek? Jeżeli chcesz, możesz sobie pospać w moim pokoju.

Pies się nie poruszył, nawet gdy popchnęła go nogą. Był tak wielki, że trudno byłoby jej przejść nad nim i go nie nadepnąć, zwłaszcza że sztywne ramię utrudniało jej utrzymanie równowagi.

- Beau, proszę, chodź - przymilała się. - Zresztą możesz spać wszędzie, gdzie tylko zechcesz, nawet na moim łóżku, jeśli tylko mnie przepuścisz.

- Ja bym natychmiast skorzystał z takiej propozycji, gdybym był na jego miejscu.

Vickie gwałtownie się odwróciła. Cał stał w rogu, ramieniem opierał się o ścianę, a kciuki zaczeplił o szlufki paska.

Jak długo już się jej przyglądał? Vickie chciałyby to wiedzieć.

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem lasy.

- Beau chyba sądzi, że jest na służbie - powiedziała.

- Na pewno tak. Chcesz, żebym kazał mu się odsunąć?

- A potrafisz to zrobić?

Cal spojrział na psa i przeraźliwie gwizdnął.

- Beauregard, wstań!

Wielki pies spojrział na niego z obrzydzeniem, ale podniósł się i odeszedł kilka kroków.

- Dziękuję - powiedziała chłodnym tonem Vickie, wstając z huśtawki. Mimo że Cal wybawił ją z kłopotu, nie czuła wobec niego wdzięczności.

- Wydaje mi się, że dziś miewasz się o wiele lepiej, prawda? - zauważył Cal.

- Troszkę. - Nagle zaczęła żałować, że w szpitalu wyrzucono jej bieliznę razem z resztą zakrwawionego ubrania, bo pod luźną koszulką jej piersi bardzo się odznaczały.

- Właśnie szedłem po coś do picia - powiedział zastępca

szeryfa, machając ręką w kierunku kuchennych drzwi. - Pójdiesz ze mną?

Niby uprzejmie ją zapraszał, ale widać było, że bał się zostawić Vickie w domu bez dozoru, bo nie ufał jej. Oczywiście miał do tego pełne prawo, ale idąc za nim do domu, po raz

pierwszy od chwili, gdy znalazła się w Dog Trot, poczuła się

naprawdę jak więźniarka.

- Byłoby mi miło, gdybyś tu chwilę została. Moglibyśmy porozmawiać - zaproponował, gdy już dotarli do chłodnej kuchni.

Vickie miała zamiar odejść, ale pomyślała, że popełniłaby

niewybaczalny błąd, gdyby z powodu irytacji zrezygnowała

ze zdobycia dodatkowych informacji, skoro ten nadęty policjant

sam wystawiał się na odstrzał. Dobrze wiedziała, że jeśli tylko

dobrze to rozegra, może od Cala wyciągnąć wiadomości, jakich

Roan nigdy by nie ujawnił.

Nie wiedziała jednak, jak rozpocząć rozmowę. Gdy nalewali mrożoną herbaty z dzbanka, telefon zadzwonił trzy razy.

168

ROAN Jennifer Blake

Raz ktoś dzwonił do Jake'a, a dwa razy dzwoniono do Roana.

Cal załatwił jedną sprawę, a drugiemu rozmówcy obiecał, że

Roan oddzwoni natychmiast po powrocie do domu.

- Nie ma ani chwili spokoju - zauważyła Vickie, gdy Cal

odkładał słuchawkę po ostatniej rozmowie.

- Rzeczywiście, ale on to lubi.

- Trudno w to uwierzyć.

- Ludzie wiedzą, że Roan nie ma żony ani małych dzieci,

więc w domu nie jest zbyt zajęty. Przyzwyczaili się do tego,

że zawsze jest gotów zająć się ich sprawami. To już się stało

dla niego sposobem na życie.

- Ma przecież zastępców.

- Mógłby nas lepiej wykorzystywać, gdyby tylko chciał,

ale cieszy go, że ludzie wolą, by z kłopotów wyciągał ich sam

szeryf.

- Cierpi na tym jego prywatność.

- On nie ma prywatnego życia.

Dla Vickie zabrzmiało to bardzo ponuro. Może i Roan spełnia się w pracy zawodowej, ale to takie smutne...

- Dopóki będzie tak postępował, nie znajdzie czasu na nic

innego - stwierdziła.

- Naprawdę cię to obchodzi? - zdziwił się zastępca. - Chyba

nie jesteś zainteresowana szeryfem?

- Pewnie, że nie - odparła, chociaż czuła, że na twarz

wpływa jej rumieniec - ale dopóki tu jestem, nie mam czym

innym zająć myśli.

- Nie zauważyłem jednak, abyś pytała o kogoś innego. Na

przykład o Jake'a albo o mnie.

- Ucieszyłam się, gdy dziś rano Jake wyszedł z kolegą, zamiast cały czas kręcić się koło domu - powiedziała obojętnie.

Cał chwilę milczał, jakby się zastanawiał, czy kontynuować

rozmowę na ten temat.

ROAN Jennifer Blake 169

- Nie przejmuj się tym chłopcem - powiedział w końcu.

- Wydaje mi się, że dzięki tobie ma prawdziwą frajdę.

- Dlaczego?

- No wiesz, przez ten rozwód nigdy nie miał okazji, by

choć trochę pobyć w towarzystwie kobiety.

To dobrze, że nie przeszkadza Jake'owi, chociaż i tak by

się tym nie przejęła.

- Nie jeździ do matki?

- Rzadko, bo jest zbyt podobny do ojca, przez co przypomina jej dawne błędy. Przynajmniej ja tak to rozumiem.

- Ta kobieta wyrządza swemu dziecku wielką krzywdę.

- Usłyszała smutek w swoim głosie, ale nic na to nie mogła poradzić. Jej własna matka, mimo że próbowała to ukryć, cieszyła się, gdy mogła wysłać swą jedyną córkę do szkoły z internatem albo do swoich znajomych.

- Chyba wszyscy staramy się postępować najlepiej jak potrafimy - stwierdził filozoficznie zastępca.

Zdziwiło ją, że Cala stać na taką uwagę.

- Znałeś ją?

- Przez to małżeństwo została moją kuzynką - wyjaśnił z

krzywym uśmiechem.

- Ale ty nie należysz do rodziny Benedictów?

- Niech Bóg broni! Tu chodzi o powinowactwo ze strony

mojej matki, choć wszyscy jesteśmy tu jakoś spokrewienieni.

Tak więc bądź ostrożna, gdy coś mówisz, bo możesz mieć

kłopoty.

To była dobra rada i Vickie postanowiła się do niej zastosować. Potem, by zmienić temat rozmowy, spytała, czy są jakieś postępy w poszukiwaniach Gburka i Gapcia. Okazało

się, że widziano ich to tu, to tam, ale nic z tego nie wynikło.

W biurze szeryfa uważano, że obaj mają jakiś szczególny

powód, by tutaj się kręcić i dlatego podjęto wszelkie środki

170

ROAN Jennifer Blake

ostrożności. Nie wyjaśnił jednak, co to dokładnie miało znaczyć.

Cał skorzystał z tego, że wzbudził jej zainteresowanie i ze

szczegółami opowiedział jej o swoich sukcesach oraz ulubionych sposobach spędzania czasu. Nie oszczędził jej nawet kilku mało prawdopodobnych historyjek o rybach, które ponoć złowił. Słuchanie tych wywodów nudziło ją mniej, niż się spodziewała. Zastępca potrafił być zabawny, pomimo wyraźnego zadufania w sobie. Gdy wreszcie ruszył na obchód, nie była

już taka zła, że musi przebywać pod jego strażą.

Roan wrócił późnym popołudniem. Vickie leżała na sofie w pokoju dziennym, przeglądając jakieś pismo. Od czasu do czasu przewracała stronę, ale najczęściej wpatrywała się w sufit i rozmyślała, co się stanie, gdy już nie będzie mogła udawać chorej. Zorientowała się, że Roan jest w domu, słysząc zza kuchennych drzwi jego niski głos i Jake'a, który mu odpowiadał. Gawędzili tak sobie przez długą chwilę. Możliwe, że gdy Jake będzie starszy i wejdzie w wiek buntu przeciwko całemu światu, ich stosunki się pogorszą, ale na razie wyglądało na to, że naprawdę lubią przebywać razem. To, że Roan potrafił mimo nawału pracy utrzymać bliskie stosunki z synem, dobrze o nim świadczyło. Oczywiście Vickie zbytnio się tym nie interesowała, ale warto było poznać zalety zarówno szeryfa, jak i jego zastępców.

Potem usłyszała, jak otwierają się kuchenne drzwi. Gdy spojrzała do góry, Roan stał na progu. Wydawał się bardzo zmęczony. W ostatnich dniach zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, jakby nocne czuwanie przy aresztantce sporo go kosztowało.

- Jak się czujesz? - spytał uprzejmie.

Uśmiechnęła się żałośnie.

ROAN Jennifer Blake

171

- Mam już dosyć spania, ale brakuje mi energii, żeby robić coś innego.

- Słyszałem, że rano kręciłaś się po kuchni.

No i przyłapano ją. Powinna była wiedzieć, że Jake to zauważy.

- Tak, bo chciało mi się jeść.

- Nie zamierzaliśmy cię głodzić. Zresztą widziałem, że wczoraj wieczorem i dziś rano zmiotłaś wszystko, co było na tacy.

- Wydaje ci się, że zjadłam to paskudztwo? Oddałam pustą tacę, ponieważ Beau nie jest zbyt wybredny.

Roan spojrział na psa, który leżał koło sofy.

- Teraz już rozumiem, skąd ta nagła miłość. Muszę przyznać, że mnie to dziwiło.

- Jednak to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego uważasz, że powinnam jeść świńskie kiszki.

- Tu, u nas, ludzie bardzo lubią flaczki, a skoro tak

wyraźnie dałaś do zrozumienia, że uważasz nas za zacofanych

provincjuszy, chcieliśmy stanąć na wysokości zadania i dostosować się do twoich wyobrażeń.

Vickie spojrzała gdzieś w bok.

- Przepraszam, to była instynktowna reakcja.

- Niektórym się wydaje, że wystarczy urodzić się w wielkim mieście, by błyszczeć inteligencją i dobrym gustem - powiedział spokojnie. - A przecież to, że ktoś jest bardziej wygadany i nauczył się różnych konwersacyjnych sztuczek, wcale nie oznacza jego wyższości intelektualnej. Wprost przeciwnie,

taki człowiek często tylko ślizga się po powierzchni, bo widzi

jedynie to, co rzuca się w oczy i nie chce mu się zbadać tego,

co kryje się pod spodem. Tacy ludzie uznają tylko własne poglądy i dbają jedynie o własne potrzeby. Szybko nudzą się rozmówcą, zamiast go wysłuchać i zrozumieć, o co naprawdę mu chodzi. Jednym uchem wpuszczają, drugim wypuszczają, i tyle.

172 ROAN Jennifer Blake

- Rozumiem, dlaczego udzieliłeś mi tej lekcji - skwitowała cierpko jego słowa, choć wiedziała, że Roan ma rację.

- Być może, ale mimo to nie powiniem cię pouczać. No

cóż, poniosło mnie i wyszedłem na... - Zamilkł i mocno zacisnął usta.

- Osobę tak samo arogancką jak ja - odpowiedziała.

- Chciałem powiedzieć: tak samo skłoną do powierzchownych sądów. A przecież nie wiem, dlaczego właśnie tak nas odbierasz.

- To nieprawda! - krzyknęła. - A przynajmniej w ostatnich dniach moje poglądy trochę się zmieniły.

Przez długą chwilę bez słowa patrzyli na siebie.

- Cieszę się, że czujesz się na tyle dobrze, by nie leżeć w

łóżku przez cały dzień - odezwał się Roan w końcu. - Masz

dość sił, by zjeść z nami kolację?

- A nie będzie już żadnych flaczków, podrobów i tym podobnych specjałów?

- Obiecuję - powiedział z niepewnym uśmiechem.

Nagle stał się tak bardzo podobny do Jake'a, że nie wytrzymała i też się uśmiechnęła. Tak bardzo chciałyby pomóc im w kuchni, żartować i śmiać się razem z nimi jak pełnoprawny członek rodziny. Niestety, to było niemożliwe.

- Z wielką przyjemnością - odparła więc po prostu.

- Świetnie! Tylko się przebiorę, a potem zobaczymy, co

dziś mamy w lodówce. - Odwrócił się i wyszedł. Chwilę

później usłyszała, jak gwizdże, zbiegając po schodach.

Nie powinna była przyjmować zaproszenia, bo zbyt zbli

żenie z Roanem i jego synem jest zbyt niebezpieczne. Po pierwsze: łatwo może się na czymś potknąć, a po drugie: szybko by się przyzwyczaiła do serdecznych stosunków i do ich miłego towarzystwa, a to mogłoby się okazać fatalne w skutkach.

Spokój i pewność siebie Roana, a także to, że można było

ROAN Jennifer Blake 173

na nim bezwzględnie polegać, przyciągały ją do niego z przemożną siłą. Był tak samo solidny i niewzruszony jak dom, w którym mieszkał. Tutaj zrozumiała, czym jest spokój i całkowite bezpieczeństwo, za którymi boleśnie tęskniła od najwcześniejszego dzieciństwa.

Trudno jej będzie opuścić to schronienie, trudniej niż jeszcze kilka dni temu by się tego spodziewała.

Nie powinna sobie dodatkowo utrudniać życia, za bardzo zbliżając się do

Roana i Jake'a. Po dzisiejszym wieczorze musi znów zacząć

trzymać się na uboczu.

I chyba najlepiej będzie, jeśli opuści Dog Trot i jego mieszkańców natychmiast, gdy tylko okaże się to możliwe.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Roan siedział wygodnie w swoim ulubionym fotelu, a gazeta, którą czytał, opadła mu na kolana. Zamknął oczy i nieuważnie słuchał dudnienia telewizora. To Jake oglądał jakiś swój ulubiony program. Nagle zadzwonił telefon. Jake odebrał

i po chwili przyniósł ojcu przenośny aparat. Na linii był sam

burmistrz. On i jego rządzący radą miejską kumple spotkali

się na nieformalnej naradzie w kawiarni Betsy, i chcieliby, żeby Roan też tam się zjawił i przedstawił swoją opinię. Nie zatrzymają go długo. Czy może przyjechać w ciągu pół godziny?

W pierwszej chwili chciał odmówić, bo wiedział, że czekałaby go jeszcze jedna bezproduktywna dyskusja o pływającym kasynie i wpływie tego lokalu na życie miasta i okolicy.

W ostatnich dniach już dość się o tym nagadali, a przy tym

Roan nie był pewien, czy po raz kolejny zdołałby utrzymać

na wodzy swój temperament. Był zmęczony, a w tej chwili

za swój najważniejszy obowiązek uważał pilnowanie syna

i aresztowanej. Na dziś skończył już służbę, ale nadal miał

prywatne zobowiązania. Albo ktoś o tym nie wiedział, albo

zapomniał.

Z drugiej strony, jeżeli nie przyszło im to do głowy, lepiej

byłoby o tym nie przypominać, bo wprost nienawidził, gdy

miejscowi notable próbowali wpływać na jego decyzje. Poza

tym Gburek i Gapcio, odkąd przywiózł Donnę do Dog Trot,

nie pokazali się w tej okolicy, i to, że przystąpiliby do działania akurat teraz, było naprawdę mało

prawdopodobne.

ROAN Jennifer Blake

175

- Zamknij za mną drzwi i nie wpuszczaj nikogo obcego

- pouczył Jake'a, wychodząc z domu.

- Dobrze - mruknął chłopak, nawet nie spojrzawszy na ojca.

- Mówię poważnie - nalegał Roan, zatrzymując się na progu.

Jake w końcu poświęcił mu chwilę uwagi.

- Wiem, tato - powiedział z ponurym uśmiechem.

I rzeczywiście, wiedział, bo Roan tego dopilnował. Nauczył

go wszystkich zasad postępowania, jakimi powinien kierować

się chłopiec, który często zostaje sam w domu, a teraz codziennie przypominał mu, że ma pilnować Donny. Mimo to Roan się zawahał. Aresztowana była na górze i właśnie brała

prysznic. Wiedział o tym, bo przecież rozpoznawał każdy

dźwięk w swoim domu, ale także dlatego, że rozwinął się w

nim jakiś niezwykły zmysł, informujący go o każdym jej ruchu.

Naprawdę nie sądził, by zamierzała uciec stąd i przy odrobinie

szczęścia zdąży wrócić z narady, zanim ona się zorientuje, że

wyszedł. Na pewno nic się nie stanie, jeśli na krótko wyjedzie

z domu, ale i tak odczuwał wielki niepokój.

Wymruczał przekleństwo pod adresem burmistrza i jego

kumpli, a także dlatego, że wszystkich przyzwyczał do tego,

że zawsze można na niego liczyć. Potem wcisnął na głowę

kapelusz i wyszedł.

W motelowej kawiarni pachniało świeżo parzoną kawą,

hamburgerami, musztardą i cebulą, a także waniliowym domowym ciastem, które zawsze tu podawano. Nieoficjalne zebranie odbywało się w narożnej łoży. Roan przywitał się z obecnymi, wymieniono zwyczajowe uprzejmości, a potem wszystko potoczyło się tak, jak przewidywał.

- Co ty właściwie masz przeciw hazardowi? - spytał wojowniczo „Gruby” Michaels. Ten wiecznie zasapany, brzuchaty rozpusztnik miał skład materiałów budowlanych i znany był z

176

ROAN Jennifer Blake

tego, że lubił gonić swoje księgowo wokół biurka. To, że liczył

na spory zarobek podczas inwestycji budowlanych towarzyszących temu przedsięwzięciu, jednoznacznie ustalił jego punkt widzenia.

- Nic - powiedział Roan, powstrzymując westchnienie.

- Nie jestem strażnikiem niczyjej moralności i nie obchodzi

mnie, kto gra, a kto nie. Poza tym w górę, w dół i na drugim

brzegu rzeki jest wystarczająco dużo kasyn, by gracze bez kłopotu mogli tracić w nich swoje pieniądze. Rozumiem, że gdybyśmy się zgodzili na kasyno, mogliby zostawiać swoje pieniądze u nas, w mieście, zamiast wydawać je gdzie indziej, lecz mnie interesują inne sprawy. Obchodzi mnie, kogo zapraszacie do Turn-Coupe i co stanie się potem.

- Ci faceci z syndykatu przysięgają, że nie spowodują żadnego zamieszania i nawet nie zauważymy, że po jeziorze pływa statek z kasynem.

- Tyle że chcą, abyśmy wybudowali dla nich czteropas-

mową szosę przecinającą plac przed sądem - zauważył ironicznie Roan - a także potrzebują prawie kilometra nabrzeża na parking. Nie trzeba będzie zakładać okularów, by to zauważyć

- dodał z jawną zgryźliwością.

- Proszą nas tylko, żebyśmy się zastanowili, czy to da się

zrobić - sprostował burmistrz, z trudem hamując się przed wybuchem. Był wysoki, a wąsy w kształcie rowerowej kierownicy nadawały mu wygląd operetkowego dandysa. Ponieważ podczas weekendów występował z miejskim kwartetem reweler-sów, uważał się za artystę, a z uwagi na to, że służbę wojskową

spędził w Europie, był święcie przekonany, iż duch Starego

Kontynetu uwzniosił jego duszę i nasycił ją wyrafinowaniem

niedostępnym dla obywateli prowincjonalnego Turn-Coupe.

- Lecz jest to dla nich na tyle ważne, że zamierzają do

nas przylecieć i porozmawiać o tych projektach. - Roan spoj-

ROAN Jennifer Blake 177

rzał na zegarek. Spotkanie trwało za długo i powinien był wysłać któregoś ze swoich zastępców do Dog Trot. Pałaca chęć powrotu do domu jeszcze bardziej podsyciła jego irytację.

- Owszem, i wydaje mi się to bardzo rozsądne - powiedział burmistrz, marszcząc czoło.

- Nie mogę ich powstrzymać - powiedział Roan - ale nie

sądzę, byśmy musieli ulegać ich naciskom i podejmowali decyzję tylko dlatego, że przywiozą ich tu prywatne samoloty i limuzyny. - Właśnie tego obawiał się najbardziej: że ktoś z

syndykatu hazardu przybędzie do nich z wizytą, by przynaglić

radę do szybszego zwołania referendum.

- On ma rację - stwierdził Jensen, prezes lokalnego banku.

Jego hasłem było słowo „Ostrożność”, jak najbardziej stosowne dla bankiera. Roan ucieszył się z tego wsparcia.

- W każdym razie uważam - kontynuował Jensen - że powinniśmy się zastanowić nad ich propozycją, bo dzięki nim zwiększą się wpływy z podatków i powstaną nowe miejsca

pracy, nie widzę jednak powodu, byśmy sami inwestowali wielkie sumy, które zwrócą się nam za wiele lat.

- Ty i szeryf ciągle sprzeciwiacie się postępowi - powiedział Michaels, machając ręką. - Nie chcecie, by nad naszym jeziorem cokolwiek się zmieniało i nie dbacie o to, co myślą

inni.

Cał głośi podobne poglądy, pomyślał Roan.

- Dbam o to - oznajmił stanowczo - i Tom Jensen też.

Po prostu nie uważamy, by syndykat z Florydy mógł rozwiązać

nasze problemy.

- Dzięki ich pieniądzom mielibyśmy więcej radiowozów

i lepsze wyposażenie, na przykład moglibyśmy kupić komputer, a może nawet wybudować nowe więzienie - powiedział

burmistrz. - Nie zastanawiałeś się nad tym?

- Jeżeli zgodzimy się na kasyno, i tak będziemy potrze-

178

ROAN Jennifer Blake

bowali tego wszystkiego - zaproponował Roan. - Badania wykazują, że najpóźniej po trzech latach od powstania kasyna, gdy gracze wyczyszczą już swoje konta, zaczynają gorączkowo

szukać nowych sposobów na zdobycie gotówki. Wtedy liczba

napadów i rabunków dramatycznie wzrasta.

- Mówisz, że twoje biuro nie potrzebuje modernizacji?

- Nasze wyposażenie jest zupełnie wystarczające przy

obecnej liczbie przestępstw - tłumaczył Roan. Czuł się jak

w twierdzy obleganej przez wroga. Liczył na wsparcie Kane'a

i jego wspólnika, Melville'a Browna, ale nie zaproszono ich

na tę nieoficjalną naradę, co ze strony burmistrza było zręcznym posunięciem.

- Dorpawdy? - warknął Michaels. - Słyszałem, że trzymasz w domu aresztantkę, bo w miejskim więzieniu nie ma oddziału dla kobiet.

No cóż, a więc Cal już się wygadał.

- To prawda.

- I jak daleko zamierzasz się jeszcze posunąć, szeryfie?

Jeżeli nasze więzienie jest takie wspaniałe, dlaczego nie umie

ściśleś w nim tej kobiety? Czy też może masz inne powody,

by trzymać ją we własnym domu?

Roan powoli wstał i pochylił się nad stołem, opierając ręce

o blat.

- Co ty właściwie sugerujesz? - spytał lodowatym tonem.

- Och, nic takiego. - Michaels, szukając wsparcia, rozje-

rzał się po kolegach. - Moje pytanie było jak najbardziej uzasadnione, nie sądzisz?

- Ta Jane Doe jest wyjątkowym przypadkiem.

- W to nie wątpię. - Michaels uśmiechnął się fałszywie.

- Ta sprawa dlatego jest wyjątkowa, ponieważ podejrzana

została ranna podczas aresztowania.

- I to ty właśnie ją zraniłeś, prawda? Wiem, że czasy się

ROAN Jennifer Blake

179

zmieniły, a tego wieczora sytuacja była fatalna, ale mimo

wszystko godny ubolewania jest fakt, że została postrzelona

kobieta. Nie potrzebujemy tu takich atrakcji. Ciekawe, kogo

ty albo któryś z twoich zastępców postrzelicie następnym razem. To mogłoby być nawet jedno z naszych dzieci.

Michaels nie miał dzieci, ale i tak jego uwaga zaboląła

Roana, więc z sardoniczną emfazą powiedział:

- Postaram się kontrolować swoje popędy.

- I jeszcze jedno! Codziennie wysyłasz któregoś zastępcę

do swojego domu na specjalną służbę. A co z nami, tutaj, w

mieście? Chodzi mi o to, że rozpraszasz zanadto swoje siły.

A co będzie, jeżeli ci dwaj, którzy włamali się do sklepu Betsy, postanowią wrócić i sprawdzić, czy u nas też nie ma czegoś

cennego?

- Martwisz się o swój skład? - spytał Roan, przyglądając

się Michaelsowi. - Czy też po prostu chcesz wszystkich tak

zagadać, żeby nikt już nie miał cierpliwości słuchać, co ja mam

do powiedzenia przeciwko hazardowi w naszym mieście? Zapewniam cię jednak, że nie masz powodu do obaw. Komendant policji i ja potrafimy zadbać o porządek.

- Słuchaj, Roan... - zaczął burmistrz łagodzącym tonem.

Roan wyprostował się i popatrzył surowym wzrokiem na

każdego rajcę po kolei.

- Na wypadek, gdyby były jakieś wątpliwości, chcę wyjaśnić swoje stanowisko. Nie podoba mi się projekt wpuszczenia pływającego kasyna na nasze jezioro i żadna ilość nowego sprzętu ani wasze, na pozór tak logiczne argumenty, nie wpłyną

na zmianę mojej opinii. Jednak jeżeli już do tego dojdzie, to

trudno, nadal będę wykonywać swoją pracę najlepiej, jak

umiem. Ale nie proście mnie, żebym dołączył do powitalnego

komitetu, gdy przyjadą wasi wspaniali goście. Zresztą zbierze

się taki tłum, że nikt nie zauważy mojej nieobecności.

180 ROAN Jennifer Blake

- Jak sobie życzysz - powiedział burmistrz niechętnie.

- Jednak mam nadzieję, że dopilnujesz porządku podczas ich

obecności.

- Już mówiłem, że wykonam swoją pracę.

Wracając do Dog Trot, Roan ciągle jeszcze kipiał gniewem.

Gdy już znalazł się na miejscu i szedł do kuchennych drzwi,

usłyszał jazgot psów dobiegający z zagrody za stodołą, gdzie

były zamykane od przybycia Donny. Sprawdzi w domu, co

robią Jake i podejrzana, a potem zajrzy do psów. Pewnie szczekają na jakiegoś skunksa lub

pancernika, ale lepiej samemu się przekonać.

Dom był pusty. Światła były wprawdzie zapalone, telewizor włączony, a na kuchennym stole leżały rzeczy potrzebne do przygotowania kolacji, lecz Jake nie odpowiadał na wołanie, a Donny nie było w jej pokoju. Beau też się gdzieś zapodział i nie przybiegł, gdy Roan na niego zagwizdał. Lecz prawdziwa panika ogarnęła go dopiero wtedy, gdy stwierdził, że szafa na broń jest otwarta. Brakowało śrutówki, którą dziadek dał Jake'owi na Boże Narodzenie

Do diabła, gdzie oni są? Co takiego się stało, że wyszli na dwór, narażając się na niebezpieczeństwo? Roan miał na to tylko jedno wytłumaczenie. Przy drzwiach zjawili się Gburek i Gapcio, i Donna namówiła Jake'a, by wpuścił ich do środka. Serce Roana waliło tak głośno, że zagłuszało wszystkie inne odgłosy. Zimny pot spływał mu po karku. Stał nieruchomo i nasłuchiwał, przerażony tym, co mógł usłyszeć. Psy szczekały jak opętane. W pobliżu musiał być ktoś obcy!

Tego było już za wiele! Nikt nie będzie się wdzierał do jego posiadłości, nikt nie tknie jego bliskich. Nie pozwoli na to! Obrócił się na pięcie i wybiegł przez kuchenne drzwi.

Na dworze zorientował się, że szczekanie dochodzi z dwóch różnych miejsc. Psy ze sfory jazgotały zza stodoły, ale rozpo-

ROAN Jennifer Blake 181

znał również głębokie ujadanie Beau dobiegające z gęstego

lasu nad jeziorem. To nagła szczekanie oznaczało, że Beau

jest na tropie.

Roan zagwizdał przez zęby. Był to przenikliwy dźwięk,

który rozpoznawały wszystkie psy. Ujądanie przybrało na sile,

jakby wielki posokowiec doszedł do wniosku, że wreszcie zaczyna się prawdziwe polowanie. Czy Beau jest z Jakiem, czy też ujada dlatego, bo podąża za chłopcem i Donną oraz oprysz-kami, którzy po nich przyszedli? Jedno było pewne: Beau tropił

ludzi, był bowiem nauczony nie zwracać uwagi na zwierzynę.

Pokusa, by pędem rzucić się do lasu, była silna, ale Roan

ją zwalczył i zaczął prześlizgiwać się ostrożnie wśród drzew,

powoli zbliżając się do Beau. Znał swoją posiadłość jak własne

pięć palców i mógł tu chodzić z zamkniętymi oczami, natomiast intruzi, którzy znajdowali się na obcym terenie, musieli gubić się w ciemnościach. Roan miał przewagę i zamierzał ją

wykorzystać.

Obszedł kępę figowców i skierował się w stronę małej polanki. Nagle zatrzymał się.

W mroku zauważył dwie ludzkie postaci, które zbliżały się

do niego, cały czas kryjąc się za drzewami, Roan nie mógł

być tego pewny, ale jedna z tych osób chyba miała broń. Cicho

odpiął kaburę.

Przystanąły. Jedna obejrzała się, a potem obie znów

ruszyły prosto na Roana. Przez sekundę pomyślał, że go zauważyły, a potem rozległo się rozpaczliwe westchnienie.

Głos był kobiecy.

- Jesteś pewien, że wiesz, dokąd idziemy?

Donna! To głos Donny i jej sylwetka. Jest więc bezpieczna,

i nie uciekła.

- Przysięgam, że to gwizdał ojciec. Wszędzie bym jego gwizdanie rozpoznał.

182 ROAN Jennifer Blake

Jake! A więc nic im się* nie stało.

Są bezpieczni.

Ulga była tak wielka, że Roanowi aż zakręciło się w głowie, ale zaraz potem ogarnęła go wściekła furia. Zamknął oczy, by się opanować i dopiero po chwili wyszedł zza cedru, za którym się ukrył.

- Jake, tutaj! - zawołał głosem tak niskim, że ledwo go było słychać. - I postaraj się nie strzelać do mnie.

Postaci zastygły w bezruchu. Jake coś cicho wykrzyknął, zabezpieczył strzelbę i ruszył biegiem, podczas gdy Donna wolno poszła za nim.

- Tato, tak się cieszę, że cię widzę! - zawołał gorączkowo Jake.

- Ja też - powiedział Roan - ale co wy, do diabła, tu robicie?

- Beau narobił takiego hałasu, że musiałem zobaczyć, o co mu chodzi.

- Powinieneś był do mnie zadzwonić. - Beau nadal gdzieś w oddali ujadał, ale chyba nie posuwał się już do przodu tak szybko jak przedtem.

- Byłeś zajęty.

Roan wolał pominąć ten temat.

- A nie przyszło ci do głowy, że mogłeś wpaść prosto w

łapy jakiegoś bandyty?

Jake w odpowiedzi uniósł śrutówkę, którą do tej pory opierał na ramieniu.

- Cudownie! - mruknął Roan z sarkazmem. - A, pędząc

przed siebie, pomyślałeś o Donnie?

- Chciała iść ze mną.

- Nie wątpię.

Vickie podeszła bliżej i stanęła twarzą w twarz z rozsierdzonym szeryfem.

ROAN Jennifer Blake 183

- Nie przyszedłam tu, by się z kimś spotkać, jeżeli właśnie

o to mnie podejrzewasz.

- Po prostu chciałaś pospacerować o północy.

- Nie. Wydawało mi się... - Zamilkła i spojrzała w bok.

- Daj spokój. Chyba potrafisz znaleźć lepszą wymówkę.

W ciemnościach z jej twarzy nie można było nic wyczytać,

ale wyczuwał jej żal.

- Jeśli już musisz wiedzieć, nie chciałam zostać sama. Ba

łam się, że tamci zawrócą i znajdę się w niebezpieczeństwie.

Roan nie zamierza! jej współczuć.

- Dlaczego Beau nie jest na smyczy, skoro szedł za tropem? - spytał syna.

- Wyrwał się - wyjaśnił Jake szybko, zupełnie jakby chciał

odwrócić uwagę ojca od Donny. - Poszliśmy do jeziora, bo

mieliśmy nadzieję, że zobaczymy go, gdy wyjdzie z lasu. A

potem usłyszeliśmy twój gwizd i zawróciliśmy.

- I niczego nie widzieliście ani nie słyszeliście?

- Przecież byśmy ci o tym powiedzieli - obruszył się Jake.

Roan skinął głową.

- Wracajcie do domu, ale nie wchodźcie do środka, jeżeli

coś wyda się wam podejrzane. Zaczekajcie na mnie w radiowozie. Gdybym nie przyszedł w ciągu kwadransa, wezwijcie przez radio pomoc.

Jake nie poruszył się.

- A jeśli są tu Gburek i Gapcio? A jeśli...

- Od tej chwili ja się wszystkim zajmuję - oświadczył Roan

tonem nie znoszącym sprzeciwu.

To Jake'owi wystarczyło. Odwrócił się i ruszył do domu.

Donna przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zamiar się spierać, ale w końcu poszła za chłopcem.

Roan natknął się na Beau w wiązowym zagajniku. Pies

zaplątał się smyczą w gałęzie powalonego drzewa i na widok

184

ROAN Jennifer Blake

swojego pana prawie oszalał ze szczęścia. Ale gdy tylko Roan

go wyplątał, znów popędził z jazgotem do przodu. Gnał prosto

do jeziora.

Roan starał się dotrzymać mu kroku. Biegł, przeskakując

przez kolczaste krzaki, dawał nurka pod gałęzie drzew, ale pies

tak mocno ciągnął smycz, że niemal włókł go po ziemi. Po

kilku minutach pojawił się przed nim zarys indiańskiego wału

ziemnego. Zarastały go wysokie dęby, nietknięte siekierą od

stu lat i podszyte dereniami, mirtami, karłowatymi palmami

i niezliczonym mnóstwem krzaków. Za tym naturalnym szańcem znajdowało się jezioro.

Wydał spokojnym tonem rozkaz i razem z Beau przeczołgali się pod krzakami na górę wału. Wreszcie się zatrzymał i pociągnął psa na miejsce, skąd rozciągał się rozległy widok.

Przycupnął, jako osłony używając gałęzi dębu porośniętej mchem. Znow otoczyły go odgłosy nocy: ochryple granie świerszczy, rechot żab i odległe hukanie sowy. Nad jego głową zatrzeszczała gałąź, poruszona bryzą znad jeziora.

Wtedy usłyszał ciche przekleństwo, a potem głuchy, metaliczny stuk. Popatrzył w stronę, skąd dobiegały dźwięki i zobaczył dwie sylwetki odcinające się na tle lśniącej powierzchni wody. Jedna była wysoka i chuda, druga niższa i bardziej krępa. Nieznajomi pochylali się nad czymś, co wyglądało na lekką aluminiową łódkę osadzoną na brzegu.

Mogli to być zwyczajni biwakowicze albo łowcy skarbów, którzy tu przyjechali na wakacje, by pomyszkować w okolicy w poszukiwaniu złota Mike'a Finka. Mogli też szukać indiańskich wyrobów, a wtedy na pewno by się kryli, bo weszli na prywatny teren.

Jednak Roan był pewny, że nie po to tu przyszli. W ostatnich dniach niepokoił się, że kompani Donny nie dają znaku życia, i czekał tylko, kiedy wyjdą z ukrycia. No i stało się.

ROAN Jennifer Blake 185

To, że przy płynęli jeziorem, było logicznym posunięciem.

Łódź jest cicha, nie zostawia śladów i trudno ją zidentyfikować, bo pływa tu mnóstwo podobnych. Na dodatek do Dog Trot goście często przybywali wodą, na przykład Clay bez prze-i wy się tu kręcił. Jednak tych dwóch mężczyzn wytropił Beau

i narobił przy tym straszego hałasu. Teraz uciekali, łódź już spłynęła na wodę, a oni wdrapywali się przez burty. Jeszcze kilka sekund i się oddalą.

- Bierz ich! - rozkazał Roan, odpinając smycz.

Wielki posokowiec niemal pofrunął, a Roan popędził za

nim.

Krzaki zasłaniały mu widok, ale słyszał podniecone ujadanie Beau i krzyk paniki dochodzący z jeziora. Woda zapluskiała i któryś z mężczyzn zaklął, potem rozległ się głuchy stuk, jakby wpadł do łódki. Zawarczał zaburtowy silnik, potem zgasł,

znów zawarczał i ktoś gwałtownie uruchomił łódź.

Roan wyskoczył spomiędzy krzaków na czas, by zobaczyć,

jak łódka zakręca od brzegu. Beau był już w wodzie, płynął

za uciekającymi, sierść mu się zjeżyła, wyglądała jak grzywa

Iwa. Skulony na przednim siedzeniu mężczyzna wyciągnął zza

paska coś, co zaśniło w mdłym świetle gwiazd. Uniósł przedmiot i wycelował w Beau.

Roan przystanął i strzelił. Kula wyłobiła w wodzie bruzdę,

idącą prosto do łodzi. Uciekający wrzasnęli i ześliznęli się na

dno. Pędząca łódka zakręciła się, wzbijając fontannę wody i pomknęła do przodu.

Roan zmrużył oczy i patrzył na odpływającą łódź. Przy tej

szybkości trudno mu było rozpoznać rysy uciekających, ale

wydawało mu się, że to ci sami dwaj, których napad zarejestrowała kamera w sklepie Betsy. Łódź na pewno została wynajęta w kramie z przynętami na publicznym kotwicowisku.

Sprawdzi to jutro rano.

186 ROAN Jennifer Blake

Opuścił pistolet. Bez trudu mógłby jednego z nich trafić,

ale nie zdecydował się na to. Po pierwsze mógł się mylić co

do ich intencji, a po drugie za nic nie chciał obciążać swojego

sumienia śmiercią jakiegoś opryszka. A przede wszystkim, on

nie zwykł tak postępować.

Zagwizdał na Beau, ale ciągle patrzył na odpływającą łódź

i kipiała w nim złość. Tak bardzo pragnął dostać w swoje ręce

kumpli Donny! Oni znali odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie dręczyły go w związku z kobietą, którą zabrał ze szpitala do swojego domu. Z frustracji, że był już tak blisko sukcesu, lecz w rezultacie nic nie osiągnął, miał ochotę przeklinać i szaleć jak głupi żółtodziób. A przecież był przyzwyczajony do takich niepowodzeń, bo w jego pracy zdarzały się one dość często, lecz ten przypadek był wyjątkowy, ponieważ dotyczył go osobiście. Ci ludzie wdarli się na jego ziemię, co dla każdego Benedicta było ogromną zniewagą, było jednak jeszcze coś, co dodatkowo podnosiło w Roanie poziom adrenaliny. Tylko co? Na razie nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Beau wylaź z wody i energicznie się otrząsnął, sprawiając swojemu panu zimny prysznic. Roan najpierw skarcił go z mieszaniną złości i śmiechu, a potem uszczęśliwił dobrym słowem i szorstką pieśczołą. Zawrócili do domu.

Pies biegł przodem, z nosem przy ziemi, zbaczając nieustannie na lewo i prawo. W chwili gdy już mieli wynurzyć się z lasu i wejść na tylne podwórze, Beau chrapliwie zawarczał i stanął w miejscu.

- Jezu, Beau! - wykrzyknął Jake. - Wciąż nie poznajesz

Donny?

Roanowi przyszło do głowy, że pies jest o wiele posłuszniejszy niż jego syn. Beau rozpoznał Donnę, pomachał ogonem i poszedł na ceglane patio, gdzie czekała z Jakiem.

ROAN Jennifer Blake 187

- Mam was zamykać na klucz, czy jak? - warknął Roan.

Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało mu to wyjątkowo surowo, naprawdę jednak był wściekły, że jego rozkazy są ignorowane.

Jake spuścił głowę, ale nie ustąpił.

- Byliśmy w domu, dopóki nie usłyszeliśmy strzału - wyjaśnił. - Bardzo się przestraszyliśmy, że mogłeś zostać ranny.

Co się stało?

- Oddałem ostrzegawczy strzał, bo mierzyli do Beau. - Powinien wiedzieć, że będą się o niego martwić. Minęła chwila, zanim Roan uświadomił sobie, że włącza w to również Donnę... była taka blada i milcząca. Dałby wiele, żeby się dowiedzieć, co ona naprawdę myśli. I dowie się tego, gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja!

- Uciekali jak niepyszni, co? Wiesz, kim byli i czego tu szukali? - spytał Jake.

- Niezupełnie.

- Ale na pewno nie byli łowcami skarbów. Podeszli za blisko domu. - Jake zmarszczył czoło i spojrzał na Donnę.

- Myślisz, że to twoi kumple?

- Trudno powiedzieć - odparł Roan, zaciskając rękę na pistolecie, którego ciągle jeszcze nie schował do kabury.

- Nie sądzisz, że będą próbowali jeszcze raz się tu dziś wśliznąć, bo może myślą, że skoro ich już odpędziliśmy, to przestaliśmy mieć się na baczności? Muszą być naprawdę bezczelni, żeby tak ryzykować. Albo zdesperowani.

Czasami Jake bywa za bystry i może mu to nie wyjść na dobre, pomyślał Roan.

- Jeżeli wrócą - powiedział, wskazując głową w kierunku psiarni - szybko się o tym dowiemy. Weź Beau i wypuść na noc pozostałe psy.

- Teraz? - zdumiał się Jake.

- Teraz. Potraktujmy to jak system wczesnego ostrzegania.

- Roan powiedział to tonem wykluczającym dyskusję.

Jake spojrzał na niego, a potem na Donnę, a następnie lekko się skrzywił. Był pewien, że ojcu chodzi nie tylko o to, by psy strzegły domu przed napastnikami, lecz również o to, by pewna kobieta nie dała dyla... Jednak odszedł bez słowa.

Roan patrzył za nim, by sprawdzić, czy doszedł bezpiecznie

do psiarni, oraz by się przekonać, że nie słyszy rozmowy dorosłych. Jednak pierwsza odezwała się Donna:

- To był Gburek i Gapcio, prawda?

- Na to mi wyglądało.

- A więc czekali, aż pojedziesz do miasta...

Donna jest spięta, pomyślał, ale spokojna. Dlaczego nie wpadła w panikę, gdy znów próbowali ją napaść?

- Obserwowali dom - powiedział.

Skinęła głową.

- Czyli że w Dog Trot nie jest bezpiecznie.

Miała rację, ale wcale mu się to nie podobało. Wprawdzie nie oskarżyła go wprost, ale oh sam miał sobie wiele do zarzucenia.

- Mógłbym się lepiej przed nimi bronić - usprawiedliwiał się - gdybym wiedział, co tu się w ogóle dzieje. I gdybym, występując w roli twojego rycerskiego obrońcy, nie musiał martwić się o syna.

- Przykro mi, jeśli uważasz, że powinnam była zakazać

mu wychodzić, ale powiedział, że ma broń, a ty uczyłeś go,

jak się nią posługiwać. Wydawało mi się, że wie, co robi.

- Czujesz się winna, prawda? - spytał. Ciekawe, że w ogóle potrafiła doznawać takich uczuć.

- Wcale nie, szeryfie. To był twój pomysł, żebym tu zamieszkała.

ROAN Jennifer Blake

189

Zamieszkała? Czyżby tak właśnie myślała o pobycie w Dog

Trot?

- Więc wszystko, co się zdarzyło, to moja wina? Nawet

to, że musiałem w ciemności polować na cienie?

- Mogłabym ci powiedzieć, że ja też żyję w ciemnościach,

ale i tak byś mi nie uwierzył - stwierdziła z żalem.

W innej sytuacji może nawet by się i wzruszył, ale teraz

nie zamierzał przejmować się jej uczuciami, skoro, jak słusznie

przypuszczała, absolutnie jej nie wierzył.

W niewyraźnym świetle księżyca ledwie ją widział, zauwa

żył jednak, że ma na sobie szorty i czerwony podkoszulek.

Nie nosiła bielizny. Było to widać po sposobie, w jaki miękka

bawełna otulała jej piersi. Świadomość, że pod skąpym strojem

jest naga, podziałała na Roana jak afrodyzjak, co w połączeniu z adrenaliną, która nadal w nim
buzowała, nie było bezpiecznym koktajlem.

Musiał odejść od niej i ochłonać, nim zrobi lub powie coś,

czego będzie potem żałował. Ogarniała go potężna emocja,

podobna do furii, skierowana zarówno przeciwko tej kobiecie,

jak i przeciwko samemu sobie, wynikająca z niezdrowej relacji

więźniarka-strażnik, która łączyła ich nierozzerwalnym węzłem.

Nienawidził tego, co musi zrobić, ale nie miał wyboru. Gdzieś pod powierzchnią czyhało gwałtowne pożądanie, które było mu coraz trudniej opanowywać.

A poczuł je już w chwili, gdy uklęknął tam, na drodze,

i zobaczył twarz kobiety, którą postrzelił. Potem czuwał

przy niej przez długie godziny, zapamiętywał każdy szczegół

jej twarzy, wdychał jej zapach, fantazjował na temat jej ciała

ukrytego pod prześcieradłem. Czuł się za nią odpowiedzialny w jakiś pierwotny sposób, którego nawet nie próbował

zrozumieć.

Lecz to nie wszystko. Pragnął jej, jak niczego dotąd nie

190

ROAN Jennifer Blake

pragnął, a ona, choć tak bliska, była zarazem nieosiągalnie daleka.

Ubranie, jakie miała na sobie, było tym samym, które przed

kolacją wrzucił do suszarki. Musiała je stamtąd wyciągnąć,

gdy wyszedł. Był to znak, że czuje się już dużo lepiej, niż

mógł się spodziewać. Uczepił się tej myśli jak liny ratunkowej.

- Byłaś za bardzo zmęczona, żeby z nami zostać po po

łudniu, ale miałaś wystarczająco dużo siły, by pobiegać z Beau.

Czyżby cudowne ozdrowienie?

- Zdziwiające, ile potrafi dokonać krótki odpoczynek.

Słowa Donny były impertynenckie, ale wyczuł w jej głosie

również napięcie.

- Jesteś pewna, że nie miałaś umówionego nocnego ran-

dez-vous? - spytał, wskazując głową las.

- Z Jakiem dla większej przyjemności? Szeryfie, masz

o mnie okropną opinię. Obejrzałeś kawałek filmu, który zresztą

nic nie znaczy, bo działałam pod przymusem, i już myślisz,

że lubię być perwersyjnie krępowana oraz pasjami uwodzę nastolatków.

- Naprawdę działałaś pod przymusem? Czy też pojechałaś

z nimi, bo to ci się wydawało podniecające? Nie musiałaś jednak do towarzystwa dobierać sobie takich opryszków, jak Gburek i Gapcio.

W świetle kuchennych okien dostrzegł, że jej oczy stały

się czujne.

- Nie rozumiem.

- Możesz to znaleźć o wiele bliżej domu - powiedział wyzywająco.

- Jeśli choć przez chwilę pomyślałeś...

- W ogóle nie myślę - odparł zduszonym głosem. - I na

tym polega cały kłopot.

Miał już dość mówienia. Przyciągnął ją do siebie, instynk-

ROAN Jennifer Blake 191

townie uważając, by nie urazić jej w chore ramię. Wszystkimi

zmysłami odczuł ciepło jej skóry, jej słodki zapach, szybki

oddechem i sposób, w jaki jej piersi przywarły do jego klatki

piersiowej z rozkosznym, miękkim naciskiem. Zakręciło mu

się w głowie. Nigdy jeszcze nic nie było tak dobre, tak cudowne...

Chciał ją stąd zabrać i całować bez końca, badać wykrój

jej ust i z niespieszną czułością obrysowywać miękkie, miodowe łuki warg. Chciał poznać każdy

centymetr jej ciała, aż nasyci ten głęboki głód posiadania tej kobiety.

Boże, chyba zaczynał wpadać w szaleństwo!

Donna odwróciła od niego głowę, srebrzyste światło księ

życa kładło się na jej policzkach, ale nie mógł odczytać wyrazu

jej twarzy. Wydawało się, że zatygła w oczekiwaniu... lub też

nie wrywała się, by nie urazić ramienia. Pochylił głowę i wargami dotknął jej gładkich, zimnych ust.

Przez długą chwilę nieruchomo trwała w jego objęciach.

Potem palce zdrowej ręki zacisnęła na jego ramienia. Coś cicho

szepnęła, przysunęła się bliżej i wtuliła w niego, jakby od dawna tego pragnęła. Pozwoliła Roanowi na krótki i delikatny jak muśnięcie pocałunek.

A potem zacisnęła na jego koszuli palce w pięść i odepchnęła go. Musiał albo pozwolić jej się odsunąć, albo sprawić jej ból. Gdy cofał się, spytała ostro:

- Co ty właściwie robisz?

To było dobre pytanie. Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał tupot psów, które Jake właśnie wypuścił. Nagle otoczyły ich ze wszystkich stron, przepychały się i szturchały ich z radości, że uwolniono je z psiarni.

- Siad! - rozkazał Roan, chwytając Donnę za ramię. Psy

podkuliły ogony i posłusznie usiadły, odsuwając się od nich

tak, że mieli wokół siebie trochę przestrzeni. Roan zawrócił

192 ROAN Jennifer Blake

ze swoją podejrzaną ku światłu padającemu z kuchennych

okien, a jednocześnie z ciemności wyłonił się Jake, który nadal

trzymał na ramieniu strzelbę.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Donna drżącym z nadmiaru

emocji głosem. - Dziwaczne jedzenie, psy, strzelby, niepohamowany szeryf i nocni goście... do diabła, czy tu zawsze tak jest?

- Nie - powiedział Jake z szelmowskim uśmiechem - czasami jest tu naprawdę ciekawie.

- Mam nadzieję, że mnie już tu nie będzie, gdy zaczną się dziać te „naprawdę ciekawe” rzeczy - mruknęła i poszła do domu.

Roan patrzył za nią zmrużonymi oczami. Donna się myli.

Z dobrej woli albo pod przymusem, ale pozostanie tu. On już tego dopilnuje. Jesli jego więźniarką, a nie gościem, i nadszedł czas, by wreszcie to zrozumiała. Miał pomysł, jak to osiągnąć, chociaż może potrwać kilka dni, zanim zdoła go wprowadzić w życie. Lecz kiedy już to zrobi, wszystko wreszcie stanie się jasne jak słońce.

Najwyższy czas, by zaczęli postępować ściśle według określonych zasad. Zanim będzie za późno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez kilka następnych dni Vickie spędzała popołudnia na osłoniętej siatką werandzie pierwszego piętra. Weranda była

chroniona przed palącym zachodnim słońcem, a poza tym docierała tu stała bryza znad jeziora. Na werandzie stał szeslong, a także kilka krzeseł i stolików z kutego żelaza. Z tej wysokości Vickie widziała za drzewami falującą wodę jeziora, od czasu do czasu mignęła też błękitna czapla albo srebrzystobiałv

żuraw. Siatka chroniła przed owadami, stwarzała też iluzję prywatnej kryjówki, z której można było bezpiecznie spoglądać na świat.

Dziś Vickie przysła tu z książką o technikach kryminalistycznych, lecz szybko odłożyła ją na bok, bo nie mogła skupić się na lekturze. Zapatrzona w wodę, myślała o Gburku i Gap-ciu, którym do tego stopnia zależało, by się do niej dostać, że

aż zaryzykowali wtargnięcie do posiadłości szeryfa. Owszem, bała się ich, ale było coś, co napawało ją jeszcze większym niepokojem.

Szeryf ją pocałował. To była ostatnia rzecz, jakiej by się

po nim spodziewała.

Och, czuła napięcie panujące między nimi i dobrze wiedziała, że pociąga go fizycznie, lecz przecież Roan wyraźnie powiedział, że podczas pobytu w Dog Trot nie musi się z jego

strony niczego obawiać. Uwierzyła mu, bo była przekonana,

że ograniczenia, jakie nakłada na niego piastowane stanowisko

i dane słowo, nie pozwolą mu jej dotknąć.

194

ROAN Jennifer Blake

Ale czy ona tego chciała? Nie była pewna.

Roan Benedict pocałował ją. Dotknął swoimi ustami jej

warg, i świat zadrżał w posadach. Ten prowincjonalny szeryf,

niezłomny, prawy i o staroświeckich manierach, swoim poca

łunkiem wywarł na niej większe wrażenie niż ci wszyscy mężczyźni, z którymi flirtowała, a już na pewno większe niż nieszczęsny Harrell zdołał osiągnąć przez wszystkie tygodnie narzeczeństwa.

Jedną z przyczyn, dla których zerwała zaręczyny, było właśnie to, że drażniły go jego wyrachowane próby rozpoczęcia gry wstępnej. Nigdy nie pociągał jej na tyle, by zdecydowała

się pójść z nim do łóżka. Instynktownie nie godziła się na to,

nie mogła bowiem czerpać wiedzy ze swojego doświadczenia,

które nie było zbyt wielkie. Z uwagi na niebezpieczeństwo

zarażenia się była przeciwna wolności seksualnej, ale prawdą

było również to, że niewielu mężczyzn ją pociągało. Potrafiła

flirtować, pozwalała się całować - i nic, żadnej reakcji, puls

nie przyspieszał, w głowie się nie kręciło. W końcu zaczęła

się obawiać, że może coś z nią nie jest w porządku, i tylko

dlatego usiłowała, choć bez efektu, znaleźć rozkosz w poca

łunkach Harrella.

Co więc oznaczał pocałunek szeryfa? A może był to tylko ulotny impuls chwili? Roan kiedyś zasugerował, że miał swoje powody, by przywieźć ją do Dog Trot... Czy właśnie o to chodziło?

A jeżeli tak, to czy ona powinna stawiać opór? Czy też lepiej go zachęcać, bo wtedy szeryf łatwiej uwierzy, że została porwana i wreszcie zwolni ją z aresztu? Zerowanie na panującym między nimi napięciu seksualnym było cyniczne i podłe, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, ale w tej chwili była to dla niej jedyna szansa.

Po głowie krążyły jej niekończące się pytania. Słońce po-

ROAN Jennifer Blake

195

woli chowało się za drzewami, a niebo wypełniło się kolorami zachodu. Od patrzenia na te światła rozboleły ją oczy, więc zamknęła je, starając się jednocześnie wyrzucić z myśli niepokój.

Z lekkiej drzemki obudziła się pod wpływem ciepłego dotyku na kostce u nogi. Beauregard, pomyślała. Pies potrafił

być nachalny, chociaż Vickie w duchu przyznawała, że bardzo polubiła jego towarzystwo, zwłaszcza podczas wieczornych przechadzek koło domu. Nie wiedziała, jak zdołał się dostać na werandę, bo była pewna, że wchodząc tu, zamknęła drzwi.

Słońce już tak nie paliło, a na werandę docierał lekki powiew znad jeziora. Nie chciała, by jej przeszkadzano, przynajmniej jeszcze nie teraz. Zasłoniła ramieniem oczy.

- Idź sobie! Dobry z ciebie piesek, ale daj mi spokój.

Nacisk na jej kostkę stał się silniejszy. Był mocny i otaczał

nogę, w niczym więc nie przypominało to poszturchiwania

Beau ani przyjacielskiego lizania, gdy chciał zwrócić na siebie

jej uwagę. Otworzyła oczy i szarpnęła się do tyłu.

U jej nóg klęczał Roan. Wieczne światło nadało jego piaskowym włosom złoty połysk, a włoski na przedramionach wyglądały jak z brązu. Spojrzenie jego szarych oczu było spokojne, a usta stanowczo zaciśnięte. Opierał się na jej kolanie, a z palców zwiślał mu graby pierścień z czarnego plastiku.

- Co robisz? - spytała ochrypłym głosem.

- Instaluję czujnik.

Spojrzała na urządzenie, które trzymał w ręce. Miało malutki ciekłokrystaliczny ekran, na którym błyskały jakieś światełka.

- I co zamierzasz monitorować?

- Ciebie. Wszystkie twoje ruchy.

Podciągnęła nogi i opasała kolana zdrową ręką.

- Nie zrobisz tego!

196 ROAN Jennifer Blake

- To urządzenie elektroniczne. Nie będzie bolało - powiedział, machając jej czujnikiem przed oczami. - Facet, który kiedyś u nas pracował, otworzył sklep z takimi zabawkami.

To najnowszy model.

Wyglądało to trochę jak zegarek dla nurka, tyle że było

większe. Na plastikowym mankiecie miało równomiernie roz

łożone dziurki dla dopływu powietrza.

- I chcesz to wypróbować na mnie? - spytała z nerwowym

uśmiechem.

- Tak. - Popatrzył na nią wyczekująco.

- Przypomina gadżety z filmów z Bondem. Wysyła laserowy sygnał, czy używa fal radiowych jak walkie-talkie?

- Ani to, ani to. - Roan zważył urządzenie w ręce i jego

oczy spochmurniały. - To są raczej... elektroniczne kajdanki.

- Jak jakaś kosmiczna zabawka z seks shopu? - spytała

sucho.

Na twarzy szeryfa rozlał się rumieniec. Patrzyła na niego

z fascynacją, chociaż nie wiedziała, czy zaczerwienił się z zakłopotania, czy ze złości.

- Widziałaś już takie rzeczy, co?

- Tylko na zdjęciach - warknęła. - Mówiłam ci, co mi

się stało w nadgarstki i kostki nóg, ale jesteś zbyt zaślepiiony, aby dostrzec prawdę, nawet gdy jest oczywista.

Machnął monitorem w jej stronę.

- Jeżeli myślisz, że w ten sposób coś osiągniesz, to bardzo

się mylisz. Zrozum, przez cały czas muszę wiedzieć, gdzie jesteś. A już zwłaszcza wtedy, gdy wychodzisz w nocy.

Patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem nagle zrozumiała. Przecież czytała dziś artykuł o takich właśnie urządzeniach, zakładanych więźniom wychodzącym na przepustkę.

Gdy pozwoli sobie nałożyć to „coś”, nie będzie miała najmniejszych szans na ucieczkę, ba, nie zrobi nawet kroku, by ROAN Jennifer Blake 197

szlachetny szeryf nie wiedział, gdzie ona w danym momencie

się znajduje.

Zerwała się na równe nogi.

- Nie dam sobie tego nałożyć! - krzyknęła, próbując nie

ulec panice.

- To dla twojego dobra - powiedział.

- Jasne! Tylko że posunąłeś się za daleko. To, że ty stanowisz tu prawo, nie oznacza jeszcze, że możesz sobie pozwalać na wszystko.

Roan powoli podniósł się z klęczek i z groźną miną pochylił się nad nią.

- To, czego ja chcę, nie ma tu nic do rzeczy.

- Naprawdę? Rozkazujesz mi, gdzie mam spać, co jeść

i co mogę robić, a czego nie mogę, natomiast teraz chcesz kon-

trolować każdy mój ruch. Co chcesz w ten sposób udowodnić?

I jakie kompleksy wyleczyć? To jest chore! Tak bardzo pragniesz, abym była zupełnie bezbronna i całkowicie poddana twojej władzy? - Powiedziała to z jawną pogardą. Wiedziała,

że potrafi zranić Roana słowem, więc teraz, choć robiła to z

przykrością, wykorzystwała tę jedyną broń, jaką dysponowała.

Śmiertelnie zbladł, a jego twarz stała się podobna do papierowej maski.

- Jesteś tak samo bezbronna jak atakujący skorpion, ale

moim obowiązkiem jest zapewnić ci bezpieczeństwo. A nie

mogę tego robić, jeżeli nie wiem, gdzie jesteś.

- Nie wystarczy ci, że przez całą dobę znajduję się pod

nadzorem? Ledwo pozwalacie mi iść samej do łazienki. Nawet

swojemu synowi kazałeś mnie śledzić!

- Jesteś aresztowana - powiedział spokojnie, obchodząc

szezląg dookoła. - Czego się spodziewałaś? A może dzieje

się tu coś, o czym nie wiem? Może zamierzałaś uciec i dlatego

tak stanowczo protestujesz przeciwko mojemu zamiarowi?

198

ROAN Jennifer Blake

Vickie zrobiła szybki krok do tyłu.

- Nie bądź żałosny. Dokąd miałabym uciec? Po prostu nie

życzę sobie, abyś mi odebrał resztkę prywatności. A tobie by

łoby przyjemnie, gdyby ktoś śledził każdy twój ruch?

- Nie, ale ja nie mam w zwyczaju rabować sklepów.

- Ja też nie! - Był już blisko, a drzwi do holu znajdowały

się gdzieś za nią. Szybko zerknęła przez ramię.

- Nie rób tego! - ostrzegł ją. - Nie zmuszaj mnie, bym

musiał ci zadać ból. Daję słowo, że tej walki nie wygrasz.

- Ty i twoje słowo! - zadrwiła. - Przysięgałeś też, że mnie

nie dotkniesz, gdy będę tu przebywała. No i widać, ile to twoje

słowo jest warte.

- Jak na razie nie sprawiłem ci bólu, ale nie mogę prze--

widzieć, co się stanie, jeżeli zmusisz mnie, bym cię

przygwoździł do ziemi.

Przeraził ją już sam fakt, że mógł o tym pomyśleć. Spojrzała

mu w oczy, i to był błąd. Źrenice miał rozszerzone i czarne,

a przy tym lśniły gorzkim zdecydowaniem, które było bardziej

niepokojące niż wszystkie jego groźby.

Opuściła ją odwaga, nie znalazła już żadnych nowych argumentów. Obróciła się na pięcie i pobiegła do drzwi.

Roanowi wystarczyły dwa długie kroki, by ją dogonić. Zacisnął palce na jej zdrowym ramieniu, zatrzymał szarpnięciem, okręcił wkoło, popchnął na szezlong i zahaczył nogą o jej kolano. Gdy padała na mebel, upadł razem z nią, ale podtrzymał

ją tak, by wylądowała na łokciu, a nie na ramieniu. Mimo to

straciła oddech. Gdy leżała bez tchu, przykrył ją swoim ciałem

i przytrzymał jej kolana nogą. Jej zdrowe ramię uwięzło pod

jego pachą.

- A więc na czym to stanęliśmy? - spytał.

Na jego twarzy nie zobaczyła triumfu, mimo to aż się gotowała z wściekłości. Jeszcze nigdy nikt jej tak nie potraktował, ROAN Jennifer Blake

i teraz pragnęła zrobić temu prostackiemu szeryfowi z zapadłej

dziury, który się na to poważył, coś naprawdę złego.

- Puść mnie - szepnęła chrapliwie.

Odsunął się o ułamek centymetra.

- Nic ci się nie stało?

- Oprócz tego, że mnie zgmiotłeś i zniszczyłeś pracę doktora Watkinsa, wszystko jest w porządku - warknęła.

- Ostrzegałem cię - powiedział spokojnie. Jednocześnie

spojrzał w dół, na opatrunek odznaczający się pod koszulką.

Tak naprawdę nic złego się nie stało i Vickie dobrze o tym

wiedziała, choć upadek sprawił jej pewien ból i to podsyciło

jej wściekłość.

- Jak widzę, lubisz się zabawiać z aresztowanymi kobie-

lami. Honor szeryfa... tfu! - prychnęła z odrazą.

- Niektóre z nich dawały do zrozumienia, że *i* chęcią

dałyby się przypiąć kajdankami do mojego łóżka. Do tej

pory żadna mnie nie skusiła, ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek. - Jego głos stał się trochę niższy. - Kto wie? Może ta pokusa będzie we mnie narastać, aż wreszcie jej nie opanuję?

- Nie przestraszysz mnie. - Uniosła dumnie głowę, ale kłamała. Widziała, że podjął nieodwołalną decyzję. Jego twarz wydawała się wykuta z kamienia. Vickie wyprostowała ramię

i odepchnęła się od szezlongu, usiłując wydobyć się spod Roa-

na, ale on jeszcze mocniej naprężył mięśnie, by nie dać się

jej poruszyć.

- Zabawne, ale chyba jednak trochę cię przestraszyłem. I to

jest bardzo interesujące.

- Cieszę się, że tak sądzisz - powiedziała, nie bardzo wiedząc, co mówi.

- Spodziewałem się innej reakcji.

Vickie przez chwilę się nie ruszała, wytrzymując jego ba-

200

ROAN Jennifer Blake

dawcze spojrzenie. Uświadomiła sobie, że w jego słowach nie ma niczego nieprzyzwoitego, po prostu zastanawiał się, co ona naprawdę myśli.

- Spodziewałeś się... naprawdę sądziłeś, że mi to sprawi przyjemność?!

- Musiałem to sprawdzić.

- A więc to był tylko test? Chciałeś zobaczyć, jak zareaguję na przemoc, przekonać się, czy gustuję w takich lubieżnych

igraszkach?! - Już przedtem była zła, ale dopiero teraz zapłonęła w niej prawdziwa furia.

- Nie, po prostu skorzystałem z okazji.

- Bo powiedziałam, że ten głupi monitor wygląda jak zabawka erotyczna?

- Mhm.

Vickie zamknęła oczy. Słowo, którym nazwała Roana, wcale nie było cenzuralne.

- Przyjąłem do wiadomości - stwierdził lakonicznie.

- Wygląda jednak na to, że spasowałaś i nie zamierzasz dłużej

walczyć, więc opowiedz mi jeszcze raz, skąd masz te skaleczenie na nadgarstkach.

- Od taśmy klejącej i plastikowej liny. I zapewniam cię,

że nie sprawiło mi to przyjemności. - Czy jej uwierzył? Unios

ła powieki i jeszcze raz napotkała jego wzrok. Miała nadzieję

na jakiś znak, na jakąś najmniejszą choćby wskazówkę, że Roan

rozważa taką możliwość, ale zobaczyła tylko własne odbicie

w czarnych zwierciadłach jego źrenic.

- Gardzę stróżami prawa, którzy wykorzystują więźniarki

- powiedział. - Nigdy tak nie postępowalem i na pewno nigdy

nic takiego nie zrobię. Tamtego wieczoru... - Zamilkł na chwilę, wyraźnie speszony, jednak gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał stanowczo i władczo. - Nazwijmy to błędem. A teraz,

jeśli już to wyjaśniliśmy, możemy przejść do następnej sprawy.

ROAN Jennifer Blake

201

Będziesz ze mną współpracować, czy mamy kontynuować to,

co właśnie zaczęliśmy?

Co on miał na myśli? Dałaby dużo, by się tego dowiedzieć.

- Musisz trochę popracować nad swoimi metodami perswazji, a także nad tym, jak odnosisz się do kobiet - oznajmiła tonem przedstawicielki wyższych sfer. - Kilka lekcji dobrych

manier na pewno by ci nie zaszkodziło.

- Manier? - powtórzył. - Chodzi ci o coś takiego, jak:

„Dżentelmen nigdy nie przygniata kobiety, lecz podpira się

na łokciu”? Nie bardzo rozumiem, dlaczego się skarżysz, skoro tak właśnie postępuję.

- Chodzi mi o to, byś zachował się uprzejmie i uwolnił

mnie, gdy już udowodniłeś, że jesteś ode mnie silniejszy - wyjaśniła ze złością, tym większą, że się zaczerwieniła. Jego maniere jako kochanka niezbyt ją interesowały, ale ten żarcik

stworzył jej nowe perspektywy.

- No dobrze, przypuszczam, że akurat w tej sprawie moja

matka by się z tobą zgodziła.

- Twoja matka! - parsknęła.

- Jak większość porządnych chłopców z Południa, od matki
uczyłem się dobrych manier. No, może nie zawsze dotyczyło to...

- Już wyrobiłam sobie o tobie pojęcie - szybko przerwała
mu Vickie, bo nie miała ochoty dalej słuchać o łózkowych
zwyczajach szeryfa. - Więc...

- Więc co? - spytał w roztargnieniu, jakby już zaczął my
śleć o czymś innym.

- Uwolnisz mnie, czy nie?

- Gdy będę gotowy.

- A kiedy to nastąpi? - spytała z gniewem.

' Teraz Roan spojrział na nią z uwagą, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Wreszcie powiedział
głębokim, dźwięcznym głosem:

202

ROAN Jennifer Blake -

- Może wtedy, gdy zgodzisz się zrobić to, czego od ciebie
żądam?

Jej oczy się rozszerzyły. To nie była już męska brawura,
lecz zwykła deklaracja zamierzeń, co prawda nieco złagodzona

czułym, kuszącym tonem. W ten sposób Roan próbował zwrócić uwagę Vickie na humorystyczną
stronę sytuacji, w jakiej się znaleźli, a także na niebezpieczeństwo, jakie z niej wynikało.

Problem polegał na tym, że ona w pełni rozumiała to zagro
żenie, bo w miarę, jak ciężar jego ciała stawał się coraz mniej
brzmieniem, a coraz bardziej źródłem miłych doznań, nastawienie

Vickie do tego incydentu zaczęło niepokojąco się zmieniać. Szeryf przestawał być odpychającym
brutalem i stawał się mężczyzną,

który spełniając jej najskrytsze marzenia usiłuje wtargnąć na jej najbardziej prywatne i intymne

terytorium...

Nie mógł jej tego zrobić! To niesprawiedliwe, że ma nad

nią taką władzę i bez trudu potrafi spętać jej wolę... ale z

drugiej strony on też był podatny na pokusę, jaką ona stanowiła

dla niego, i wcale tego nie krył. Zresztą skoro sani wykorzystywał erotyczne gierki jako broń, ona odpłaci mu tym samym.

Tylko czy nie jest to zbyt wielkie ryzyko? Przecież przed chwilą wyjaśnił jej, dlaczego nigdy nie posunął się za daleko.

Spojrzała w dół, na gwiazdę, błyszczącą zaledwie kilka centymetrów od jej piersi. Wykręciła chore ramię i dotknęła jej czubkami palców, a potem obrysowała wierzchołki odznaki.

- Nie wiem, dlaczego tak się uparłeś, abym nosiła ten idiotyczny monitor - powiedziała. - Przecież ani nie rnam dokąd pójść, ani nie mam żadnego powodu, by od ciebie uciekać.

Długo milczał, wreszcie Vickie pomyślała, że w ogóle nie

zamierza jej odpowiedzieć. Spojrzała mu w twarz i zobaczyła,

że patrzy na nią z ogromną uwagą, aż wreszcie powoli skinął

głową i wycedził z ironicznym uśmiechem:

ROAN Jennifer Blake

203

- No cóż, popełniłem strategiczny błąd - oświadczył.

- Jaki? - spytała, usiłując nie pozkazać po sobie, że go

zrozumiała. Roan Benedict był inteligentym człowiekiem, o

wiele mądrzejszym niż Harrell, który nigdy nie odkrył jej gierki ani nie pojął, jak dobrze go przejrzała. Lecz nawet geniusze rzadko kiedy potrafią docenić siłę kobiecych sztuczek.

- Mniejsza o to. A monitor ci nakładam przede wszystkim

dla twojego własnego bezpieczeństwa.

- Przecież go nie potrzebuję, gdy kręcisz się po domu.

- Nie mogę tu być cały czas, i na tym polega kłopot.

Bezpieczeństwo, powiedział. Gdy teraz leżała pod nim, wyobraziła sobie, jak otacza ją bezpieczny kokon i zamyka ich w sobie. Było to uczucie, od którego mogła się uzależnić, tak

samo jak mogła się przyzwyczaić do tego, by rozmawiać z

Roanem, być z nim, dotykać go z własnej woli...

Opuściła powieki.

- Kto jednak mnie obroni przed zagrożeniami, które czyhają na mnie w tym domu? - spytała ledwie słyszalnym szeptem.

- Na to pytanie - odparł, pochylając głowę tak, że jego

oddech muskał jej usta - musisz sama sobie odpowiedzieć,

ale jeżeli potrzebujesz testu, chętnie ci służyć.

Zbyt późno usłyszała wewnętrzny alarm. Roan delikatnie

dotknął jej ust, smakując je z czułą pieśczołą. Z łagodną natarczywością kusił, by je rozchyliła. Nie mogła się oprzeć. Przy-luliła się do niego i gorączkowo zaczęła szukać ciepła jego

ust. Jego pocałunek był jak złocisty płomień, wyrażał najczystsze pragnienie i kusił żarliwą namową. Zdumiała ją, że Roan nie jest bardziej władczy, lecz szybko przestała myśleć o czymkolwiek i z zapalem poddała się słodkiej pieśczości.

Objęła go za szyję, a od szorstkiego dotyku włosów przebiegł ją rozkoszny dreszcz. Zignorowała narastający ból w ra-204 ROAN Jennifer Blake

mieniu i jeszcze mocniej przycisnęła się do Roana. Zatraciła

się w cudownej chwili, ogarnięta fascynacją tym niezwykłym

szeryfem.

Wysoki dźwięk wystraszył Vickie tak bardzo, że aż drgnęła

gwałtownie. Roan zaczął się od niej delikatnie odsuwać i z

trudem oderwał usta od jej warg. Wreszcie usiadł, wyjął z za

paska pager i przeczytał napis na ekranie. Westchnął, nie wiedząc, z rezygnacją, czy też z ulgą.

- Przepraszam, ale muszę kończyć.

Nie chodziło mu o pocałunek, lecz o monitor. Bez słowa

unieruchomił jej nogę i nałożył plastikowy mankiet. Vickie

szarpnęła się, ale osiągnęła jedynie tyle, że mocniej ją przycisnęła. Spojrzał na nią i w jego oczach wyczytała nieubłaganą stanowczość. Patrzyła w jego stalowe oczy, ale nie zobaczyła

tam wyrozumiałości, wahania, żadnego śladu, że cokolwiek,

co powiedziała lub zrobiła, choćby w najmniejszym stopniu

wpłynęło na jego opinię. Z trudem opanowała łzy, ale już się

nie opierała.

Reszta operacji trwała kilka sekund. Roan zamknął mankiet

specjalnym narzędziem, które wyjął z kieszeni, potem sprawdził, czy nie jest za ciasny oraz czy się nie ześliznie, i w końcu z zadowoleniem skinął głową. Potem wyprostował się i z góry

spojrzał na aresztantkę.

- Niedługo wracam - oświadczył spokojnie.

Vickie nie wiedziała, czy była to groźba, czy też obietnica...

lecz tak naprawdę, jakie to mogło mieć znaczenie? Roan zawsze robił to, co chciał, i nikt ani nic nie mogło go powstrzymać.

- Nie musisz się spieszyć - rzuciła w gniewie. Słowa z

trudem przeciskały jej się przez zaciśnięte gardło.

Chwilę się zawahał.

- Naprawdę mi przykro - powiedział w końcu.

ROAN Jennifer Blake 205

Odwróciła głowę i wpatrzyła się w jezioro. Nie spojrzała

na niego już ani razu i Roan wreszcie sobie poszedł. Słyszała,

jak odgłos jego kroków cichnie w korytarzu. Minutę później

usłyszała jeszcze, jak sprzed domu odjeżdża samochód.

- Jemu jest przykro! - powiedziała do siebie z bolesnym

zdumieniem.

Każdy inny mężczyzna by szalał z radości, że mu uległa,
ale nie Roan, nie szeryf z Tunica Parish. Było mu przykro, że
wbrew jej protestom zrealizował swój plan. Było mu przykro,
że przekroczył granicę, która dzieliła go od aresztowanej i której pod żadnym pozorem nie powinien
był przekraczać. Pozwolił sobie na coś, co było nie do przyjęcia, złamał jeden z głównych zakazów
regulaminu, a także pogwałcił staroświeckie idee, którym hołdował...

A przecież Roan Benedict był dżentelmenem z Południa,
odznaczał się dumą, siłą i poczuciem obowiązku, wierzył, że
istnieje pewien jasno określony ideał mężczyzny i starał się
mu dorównać. Co to jednak oznacza dla niej?

Próbowała oszukać Roana, wykorzystać fizyczny pociąg,
by zrealizować swój zamiar. Nie zachowała się jak dama, lecz
i tak niczego nie osiągnęła.

Na dodatek kryła się za jego plecami, wykorzystywała go
dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, stale go okłamywała,
a przez to wystawiała na niebezpieczeństwo i jego, i jego syna.

Nie zasługiwał na to.

Nie była z siebie zadowolona, zwłaszcza teraz, gdy jej ciało
uspokajało się po żarliwych chwilach z szeryfem, a potężne
jak narkotyk pożądanie ustępowało. Kiedy stała się tak bardzo
nieuczciwa? Kiedy przestała przejmować się dobrem innych
ludzi? Czy zawsze taka była, czy też zmieniła się pod wpływem

Harrella i ojczyma? Czy naprawdę myślała, że, jak to ktoś powiedział, bogaci ludzie należą do
osobnej rasy, są inni niż białe-206

ROAN Jennifer Blake

dacy i przysługują im specjalne prawa? Czy naprawdę w głębi

duszy wierzyła, że nie będzie musiała za to zapłacić?

Och, jakże się myliła!

Jednak, co właściwie mogłaby zrobić? Jeżeli powie Roanowi prawdę i zda się na jego łaskę, czy to coś zmieni? Czy szeryf uwierzy jej, czy też pomyśli, że to jakaś nowa sztuczka?

A jeżeli sprawdzi jej akta i odkryje, że mówi prawdę, może nie będzie się czuł w obowiązku nadal ją chronić?

A do tego za nic nie mogła dopuścić. Jej pierwszy plan był najlepszy. Musi stąd uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji, musi pojechać do Paula Vandergraffa i sprawdzić, na ile jest wmieszany w tę całą intrygę, i dopiero wtedy, gdy naprostuje swoje życie, wtedy może...

Może co? Dla kogoś takiego jak ona nie ma miejsca w życiu Roana. Im szybciej przyjmie to do wiadomości, tym lepiej. Więc co jej pozostało, oprócz kontynuowania tego, co zaczęła, wykorzystując przy tym wszystkie dostępne środki, by wzbudzić zaufanie szeryfa i uspić jego czujność?

Popatrzyła na plastikową opaskę na kostce, potem podniosła nogę i machnęła nią, by wyczuć ciężar urządzenia. Nienawidziła tej rzeczy, nie tylko dlatego, że symbolizowała utratę reszty wolności, ale również z powodu wspomnień, jakie z nią się wiązały.

Gdy opuściła nogę, opaska zadrapała jej drugą kostkę. Była o wiele bardziej szorstka, niż się spodziewała. Zmarszczyła brwi, usiadła i pochyliła się, by ocenić szkody.

To nie monitor ją zadrapał, tylko łańcuszek jej złotej bransoletki. Roan go zapiął na kostce, gdy nakładał monitor. Teraz bransoletka lśniła jej w oczach, ukazując wygrawerowane imię

Donna, którym się do niej zwracał, a które było tak samo fałszywe, jak ona sama.

Brakowało jej tej bransoletki... ale dlaczego Roan ją zwró-

cił? Może uznał, że nie ma wartości jako dowód przestępstwa?

A może rozumiał jej potrzebę posiadania czegoś własnego? Lub

leż chciał jej zrekompensować fakt, że zmusił ją do noszenia

monitora?

Patrząc na bransoletkę, Vickie zastanawiała się, co Roan

pomyśli, gdy pozna jej prawdziwe imię. Czy zrozumie, dlaczego go oszukiwała, czy też będzie nią gardził, bo okazała się oszustką i tchórzem? Czy kiedyś dowie się, kim ona jest

i jaka jest naprawdę? Na to nie miała wielkich nadziei.

Przez kilka następnych dni Vickie była smutna i niespokojna. Przesiadywała w swoim pokoju, czytała, włóczyła się z kąta w kąt, patrzyła, jak Roan wraca do domu i wyjeżdża.

Nawet przed samą sobą nie chciała przyznać, że się przed nim

chowa. Oczywiście była zażenowana swoim zachowaniem, ale

on również obraził jej uczucia. Prawie zapomniała, że nie jest

w Dog Trot gościem, lecz szeryf brutalnie jej o tym przypomniał.

Ciekawa była, czy Allen i Cal, a także inni zastępcy szeryfa, wiedzą o monitorze. Gdyby tak było, czułaby się tak, jakby wiele osób mogło bezkarnie ją podglądać, a poza tym

miała świadomość, że jest to osobista sprawa między nią a Roa-

nem, a nie między podejrzaną Donną Doe i biurem szeryfa.

Nic by się natomiast nie stało, gdyby o monitorze wiedział

Jake, zresztą ojciec najpewniej go w to wtajemniczył.

Jake przynosił jej posiłki tak jak przedtem, ale dużo rzadziej

zostawał na pogawędkę. Chociaż fakt, że nie musi znosić jego

niechcianego współczucia, przynosił ulgę, z drugiej jednak

strony to, że jej unikał, było jak policzek. Roan też prawie jej nie odwiedzał. Zadbał, by nie mogła

uciec, upewnił się, że

szybko wraca do zdrowia i przestał się interesować zarówno aresztantką, jak i jej potrzebami. Nawet Beau czasami dezertował i pędził za Jakiem, gdy ten szedł do swoich zajęć w

208

ROAN Jennifer Blake

psiarni albo wybierał się motorowerem na swoje ulubione przejażdżki. To, że ta samotność i odosobnienie były w wielkim stopniu jej wyborem, nie było istotne, bo i tak wiedziała, że jest w Dog Trot intrazką, niemiłym dodatkiem do codziennego życia.

Jednak jeżeli szeryf Roan Benedict sądził, że może ją tu trzymać w nieskończoność, to bardzo się mylił. Odejdzie stąd, gdy tylko wymyśli, jak uciec, nie alarmując przy tym całego świata.

Kampanię rozpoczęła następnego dnia przed południem.

Był to parny dzień, w oddali słychać było grzmoty, a niebo się chmurzyło, zapowiadając solidną burzę. Jake był w domu, dziś nie wyjechał z kolegami na wędrowną, a o jego obecności świadczyła drażniąca uszy muzyka gry wideo. Vickie włożyła

dżinsy z obciętymi nogawkami oraz koszulkę i poszła poszukać chłopca. Urządzenie monitorujące jej ruchy nie wzniesło alarmu, gdy schodziła po schodach, więc uznała, że przynajmniej wolno jej opuszczać piętro.

Znalazła Jake'a w kuchni. Stał przed spiżarnią ze zmarszczonym czołem. Spojrzał na nią z niepewnym uśmiechem, ale wydawał się zadowolony, że jest ktoś, kto pomógłby mu zdecydować, co zjeść na lunch. W końcu wybrali domową zupę, zawekowaną zeszłego lata przez ciotkę kuzyna Kane'a, Vivian.

Do zupy Jake dodał pyszne serowe krakersy w kształcie rybek,

podał także mleko z lodem. Gdy tak razem siedzieli przy posiłku, napięcie między nimi powoli znikało.

Rozmawiali o tym i owym, o rybach, które Jake ostatnio

złowił w jeziorze, o przyjęciu wydanym dla żony kuzyna Kane'a i o podnieceniu, z jakim wszyscy wyczekują narodzin ich dziecka. Przez cały ten czas Vickie zastanawiała się, jak wypytać Jake'a o to, czego chciała się dowiedzieć. Gdy nastąpiła chwila przerwy w rozmowie, powiedziała:

ROAN Jennifer Blake 209

- Wiesz, to urządzenie, które mam na nodze, naprawdę zaczyna mnie denerwować. Nie mogę sobie wyobrazić, że będę musiała je nosić przez całe miesiące.

Na szczupłej twarzy Jake'a odmalowała się ulga, jako że to Vickie sama poruszyła ów drażliwy i nieprzyjemny temat.

Aż do tej pory patrzył wszędzie, tylko nie na jej nogę. Zachowywał się tak, jakby monitor drażnił i krępował go co najmniej tak samo, jak ją.

- W ogóle nie wiem, po co kazali ci go nosić - zauważył.

- Przecież nie zamierzasz powitać z otwartymi ramionami tych dwóch łajdaków, jeżeli znów by się mieli tu pokazać.

- Twojego tatę chyba bardziej martwi, że mogłabym uciec i ich odszukać - stwierdziła ponuro. - On niezbyt mi ufa.

- Próbowałem wytłumaczyć mu, że jesteś w porządku, ale uraczył mnie swoim zwykłym: „Lepiej to zrozumiesz, gdy będziesz starszy”. - Jake z obrzydzeniem pokiwał *głową*.

Vickie była mu wdzięczna za to, że się na nią wstawił,

równocześnie jednak zaniepokoiło ją to. Patrzyła, jak na policzki chłopca wypływa rumieniec i pomyślała ze strachem, że chłopiec może do niej czuć coś więcej niż tylko zwykłą

sympatię. Był w odpowiednim wieku, by ulec pierwszemu zadurzeniu, lecz za młody, by wiedzieć, jak krótko ono trwa.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To samo czuła tamtego dnia,

gdy siedziała na werandzie. Gdyby przywiązała do siebie

chłopca i zwróciła go przeciw ojcu, postąpiłaby wyjątkowo

perfidnie i ohydnie... lecz czy miała jakiś inny wybór? Potrzebowała pomocy, a nie było tu nikogo innego, kto mógłby jej udzielić.

- To tak, jakby mnie bez przerwy obserwowano - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Jakby jakiś zboczony mały człowieczek wciąż za mną łaził i nieustannie podglądał,

- Nikt cię nie obserwuje - uspokajał ją Jake. - To nie jest

210

ROAN Jennifer Blake

kamera wideo albo jakieś zmyślne oko połączone z satelitarnym

systemem nadzoru. Chcesz, żebym ci pokazał, jak to działa?

Nic lepszego nie mogło jej spotkać.

Urządzenie kontrolne postawiono w pokoju dziennym, gdyż

było to centralne miejsce domu, z osobną linią telefoniczną.

Nie zauważyłaby tego zwyczajnego plastikowego pudełka,

mieszczącego komputerowy moduł, gdyby Jake jej go nie pokazał. Stało na stoliku przy sofie. Przyjmowało sygnał radiowy wysyłany przez monitor na określonej częstotliwości, a potem

telefonicznie przekazywało do stacji monitoringu w Baton

Rouge dane dotyczące wszystkich jej poruszeń. Według Jake'a

personel tej stacji mógł stwierdzić, czy monitor i nosząca go

osoba znalazły się poza zasięgiem, czy manipulowano transmitters, czy bateria jest odpowiednio naładowana, oraz czy linia telefoniczna nie jest uszkodzona. Człowiek noszący monitor mógł się poruszać w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Jeżeli ona i monitor znajdą się w większej odległości od domu,

stacja monitoringu połączy się z domowym telefonem, a urządzenie do rozpoznawania głosu potrafi ustalić, czy ktoś, kto podejdzie do telefonu, jest tą samą osobą, która nosi monitor.

Jeżeli nie, albo jeżeli osoba nosząca monitor nie podejdzie do

telefonu w określonym czasie, stacja natychmiast powiadomi

o tym biuro szeryfa.

- A wtedy twój ojciec przyjedzie natychmiast do domu

- stwierdziła Vickie ze złością.

- Tak. - Jake skinął głową, pełen uznania dla Vickie, że

tak szybko zrozumiała, w jaki sposób to wszystko działa.

- Nie rozumiem tylko, jak komputer może rozpoznać mój

głos, skoro nigdy go nie słyszał - powiedziała po chwili.

- Tak, z tym mają problem. Tato twierdzi, że stanowisz

specjalny przypadek, bo nie ma na twój temat żadnych akt

policyjnych. Dlatego ustawiono stację monitoringu tak, by roz-

ROAN Jennifer Blake 211

poznawała jego głos zamiast twojego, tylko więc on może odwołać alarm.

Roan nie pozostawił nic przypadkowi. Wzbudziło to w Vickie mimowolny podziw, ale jednocześnie jeszcze bardziej zapragnęła znaleźć sposób na to, by stąd uciec.

Popatrzyła na Jake'a i westchnęła.

- Wiem, że twój tato chce dobrze, ale nie ma pojęcia, jak ja

się czuję, nosząc to urządzenie. Świadomość, że jacyś zupełnie

obcy ludzie są bez przerwy informowani o moich ruchach, jest

wprost nie do zniesienia. Wydaje mi się, że oni mnie nie odstępują na krok, mam przez to zupełnie zszarpane nerwy. A chyba nie

ma sposobu, by to draństwo od czasu do czasu zdjąć, na przykład

wtedy, gdy wchodzę pod prysznic?

- Absolutnie nie! - wykrzyknął Jake. - Musiałabyś mieć

odpowiednie narzędzie, bo inaczej uznają, że próbujesz zniszczyć monitor. Poza tym woda go nie uszkodzi.

Teraz jej to powiedziano! Vickie z irytacją pomyślała o

tym, jak niewygodnie było jej się myć z jedną nogą na krawędzi

wanny, ale jednocześnie zastanowiła się nad dużo poważniejszą

sprawą. Owym „narzędziem”, o którym wspomniał Jake, niewątpliwie był ów mały kluczyk, którym Roan zamknął mankiet.

- Twój tato stale nosi przy sobie klucz od monitora? - spytała

w końcu.

- Niezupełnie.

Czyli że ów klucz do wolności najpewniej znajduje się

w tym domu. Jake tyle wiedział o monitorze, więc na pewno

również się orientuje, gdzie znajduje się kluczyk.

Przymilnie uśmiechnęła się do chłopca.

- Gdzie on jest? Daj mi choć najmniejszą wskazówkę. Jake, proszę cię. Bardzo cię proszę. Wtedy sama go znajdę. Nawet nie będziesz musiał o tym wiedzieć. Obiecuję, że tylko czasami

212

ROAN Jennifer Blake

będę zdejmowała ten cholerny mankiet, żeby mieć trochę ulgi,

nie dłużej niż na kilka minut.

- Tato by się wściekł.

W to nie wątpiła.

- Nie dowie się. Przysięgam! To będzie nasz sekret.

Jake spojrzał w bok, zagryzł wargę, potem wyprostował

ramiona i znów spojrzał na Vickie.

- Nie mam tajemnic przed tatą - powiedział stanowczo.

- My sobie ufamy.

No tak! Zmuszony do wyboru, wobec kogo ma być lojalny,

chłopiec opowiedział się po stronie ojca. Powinna była wiedzieć, że tak się stanie. No cóż, młodzieniec odebrał staranne wychowanie. Prawda, sprawiedliwość, uczciwość. Amen. Taki już był sposób Benedictów na życie.

- Nieważne - stwierdziła, starając się, by jej wzruszenie

ramion było beztrioskie. - Zapomnij, że cię o to prosiłam. - Zamilkła na chwilę, a potem zapytała z uśmiechem: - Co będziemy robić w to deszczowe popołudnie?

- Nic. To znaczy, teraz nie mam czasu - mruknął Jake,

czerwieniąc się i odwracając wzrok. - Muszę iść do psów. Jeden z nich od kilku dni nic nie je i muszę sprawdzić, co mu jest.

To była wymówka. Jake nie chciał z nią zostać. Już jej

nie lubił tak bardzo, jak przedtem. Wiedziała, że tak się kiedyś stanie, zwłaszcza wówczas, gdy odjedzie z Dog Trot, ale i tak

zrobiło jej się smutno. Cieszyły ją symptomy sympatii Jake'a,

która w jej sytuacji wiele dla niej znaczyła, a teraz i tego została pozbawiona.

Deszcz zaczął padać krótko po tym, jak chłopiec wyszedł

do stodoły. Vickie włączyła się od okna do okna, przyglądała

się kołysanym wiatrem drzewom i kroplom skapującym z okapów, dopóki nie zobaczyła Allena. Siedział w radiowozie sto-ROAN Jennifer Blake 213

jacym na podjeździe i patrzył na nią. Pomachała mu, gdy pozdrowił ją uniesieniem ręki, i wycofała się do holu. W swoim pokoju nie znalazła nic, co mogłoby ją zainteresować, nie

chciało jej się też ani czytać, ani oglądać telewizji. Zniechęcona, poszła na strych i zaczęła myszkować w starych pudłach.

Deszcz uderzał w dachówki, w wilgotnym powietrzu wisiał

zapach kurzu i kulek na mole. Nie było trudno wyobrazić sobie, że duchy zmarłych Benedictów kryją się po kątach i szepczą do siebie, próbując rozpoznać intruza i zastanawiając się, jakim prawem szpera w ich rzeczach.

Zajrzała do starych kartonów z choinkowymi ozdobami,

a potem przejrzała kilka innych. Uśmiechnęła się na widok

ubranek niemowlęcych i dzieciennych zabawek sprzed co najmniej sześćdziesięciu lat, obejrzała stare siedemdziesię-

cioośmioobrotowe płyty i ośmiościeżkowe taśmy magnetofonowe. Od unoszącego się kurzu kichnęła raz, potem drugi.

Nagle zawstydziała się, że znów bezceremonialnie wdziera

się w cudze życie. Odwróciła się, by szybko stąd odejść, i wtedy obok schodów dostrzegła stertę pudełek. Nie były oznaczone i stały w kącie tak, jakby ktoś je tu pospiesznie wrzucił i więcej się nimi nie interesował. Był to tak duży kontrast z porządkiem, jaki panował na całym strychu, gdzie troskliwie odkładano

dawne rzeczy, że ogarnęła ją ciekawość.

W pudłach znalazła pamiątki z małżeństwa Roana. Zostały

wrzucone jak popadło, bez ładu i składu. Były tu zasuszone

kwiaty, zapewne pochodzące ze ślubnej wiązanki, dwa obwiązane białymi wstążeczkami kieliszki do szampana z wyrytymi napisami: „Panna Młoda” i „Pan Młody”, a także skręcona podwiązka, serwetki z nadrukowanymi imionami i datami,

i ślubna fotografia w zmatowiałej srebrnej ramce. Uśmiechnięta panna młoda była delikatną blondynką, a panem młodym był Roan.

214

ROAN Jennifer Blake

Vickie zdawała sobie sprawę, że bez zezwolenia grzebiąc

w tych pamiątkach, wtrąca się w prywatne życie Roana, tak

samo jak tego dnia, gdy znalazła zdjęcie z wyścigów samochodowych, ale pokusa była zbyt silna. Wzięła zdjęcie w srebrnej ramce, obróciła je do żarówki, przyjrzała mu się uważnie

- i ogromnie się zdumiała.

Te rzeczy, porzucone bez żadnej troski, były pamiątkami

ze ślubu Roana, i zostały tu odłożone zapewne już po odejściu

żony. Vickie, oczywiście, wiedziała, że Roan kiedyś był żonaty.

że odbył się ślub i wesele, na którym bawili się liczni Benedictowie oraz ich przyjaciele. Teraz jednak trzymały materialne dowody, że tak było naprawdę, i małżeństwo Roana stało się dla niej o wiele bardziej realne. Musiała się zmusić do rozluźnienia palców ściskających ramkę, by mogła wyjąć z niej fotografię.

Zdjęcie niczym się nie różniło od tysięcy innych, wykonywanych przy takiej okazji. Zrobiono je w kościele, młoda para stała między ozdobionymi wstążkami świecznikami, a w tle widać było czyste szyby okna. Jednak gdy Vickie na nie patrzyła, wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia

Dziewczyna była ładna i ujmująca, szczupła, o rysach twarzy jeszcze niezupełnie dojrzałych, jak u nastolatki, w długiej do ziemi koronkowej sukni, z bukietem trzymany kurczowo przy talii i nerwowym uśmiechem na ustach przypominała lalkę. Roan, wysoki, dzielny i pełen powagi, patrzył prosto w obiektyw. W jego oczach malowało się niemal wyzwanie. Miał na sobie biały smoking, na pewno wypożyczony, ale mimo to idealnie dopasowany. Uchwycona w tamtej sekundzie sprzed lat para wydawała się bardzo młoda, ale jednocześnie dziwnie dojrzała.

Musieli marzyć o wspólnej przyszłości, przysięgali sobie, że będą razem, póki śmierć ich nie rozłączy, a jednak doznali

ROAN Jennifer Blake 215

rozczarowania. Marzenia się rozwiały, przysięgi nie zostały dotrzymane, małżeństwo nie przetrwało.

Vickie westchnęła, odłożyła zdjęcie z powrotem do pudła i zamknęła wieczko. Potem, zanim jeszcze doszła do swojego pokoju, zrozumiała, co ją tak zaniepokoiło w tym ślubnym zdjęciu.

Chodziło o wyraz twarzy pana młodego. Nawet jeżeli dzień

ślubu był dla niego radosną chwilą, nie pokazał tego po sobie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy zbliżała się pora kolacji, którą w Dog Trot jadano wcześniej, Vickie poszła do kuchni i zasiadła przy stole. Roan, który właśnie smażył kurczaka, spojrzał na nią. Vickie wytrzymała jego wzrok i popatrzyła na niego pytająco. Pochylił głowę na ramię,

jakby się zastanawiał, a potem spokojnie poprosił Jake'a, by wyjął

jeszcze jedno nakrycie. Vickie poczuła się tak, jakby wygrała ważną bitwę w niewypowiedzianej wojnie.

Gdy jedli, ostrożnie przyglądała się nieprzyjacielowi, porównując w myśli dziesiętę Roana z panem młodym ze zdjęcia. Z jego twarzy, gdy rozmawiał z synem o chorym psie

i wypadku, jakiemu w mieście uległa jakaś ciężarówka, niewiele można było wyczytać. Uznała wreszcie, że Roan jest z natury poważny, a przynajmniej nie uśmiecha się zbyt często.

Do tej pory myślała, że jest taki ponury, bo musi trzymać

w domu kobietę podejrzaną o popełnienie przestępstwa, jednak

przyczyna mogła być inna: może po prostu nie zaznawał w życiu zbyt wielu przyjemności? Być może był to uboczny efekt nieustannego kontaktu z najgorszymi stronami ludzkiej natury,

spowodowany jego pracą, ale mogło też tak być, że zwyczajnie

był nieszczęśliwy, bo nie spełniły się jego marzenia i oczekiwania. Potrafiła to zrozumieć.

Zaoferowała się z pomocą przy zmywaniu, ale jej propozycja została stanowczo odrzucona. Albo Roan nie życzył sobie, by mu się kręciła pod nogami, albo wolał nic dopuszczać jej zbyt blisko do siebie. Jakakolwiek była tego przyczyna,

ROAN Jennifer Blake

217

Vickie poczuła się bezużyteczna, zwłaszcza że on i jego syn

poruszali się z bezwiedną rutyną, jakby już tysiące razy sprzą- , tali kuchnię po posiłku. Nie potrzebowali jej pomocy, w ogóle

była im zbędna. Było to wyraźnie widać.

Mimo to stała przy drzwiach, niepewna, czy ma odejść,

czy zostać. Nie miała ochoty wracać do pustego pokoju, gdy

jeszcze nawet nie zaszło słońce. Gdy tak stała, spod okna podniósł się Beau, podszedł do niej i przytulił do niej swoją wielką głowę. Zrozumiała aluzję i pogłaskała go po krótkiej, jedwabistej sierści na głowie oraz podrapała między uszami, rozmy

ślając jednocześnie nad tym, że Roan uważa ją za osobę niekompetentną. Nie znała się na większości domowych zajęć, ale za to doskonale gotowała. Na przykład mogłaby go wiele

nauczyć, jeśli chodzi o pieczenie i smażenie kurczaków. Gdyby

jednak teraz zaczęła się wymądrzać na tematy kulinarne, nic

by to nie dało. Po prostu sama coś ugotuje... oczywiście, jeżeli zostanie tu wystarczająco długo.

Pies, patrząc na nią szczerym, płynącym z głębi duszy spojrzeniem, zaczął obwąchiwać jej nadgarstek, potem polizał ociekającym śliną językiem jej dłoń. Wytarła rękę o szorty, lecz przy tym uśmiechnęła się. Jednak jest w Dog Trot ktoś, kto

ją lubi i pragnie jej towarzystwa.

- Beau, chodź - powiedziała. - Pójdziemy na spacer.

- Nie odchodź daleko - odezwał się Roan, który właśnie wycierał patelnię.

Nie zdawała sobie sprawy, że na nią patrzył. Jego słowa, pomyślała, były przypomnieniem, lub raczej ostrzeżeniem, bo pewnie wyczuwał, że ona coś planuje. Gdy otwierała drzwi, spojrział na nią chłodno, a ona zignorowała go zupełnie.

Roan wyszedł na tylną werandę i podszedł do poręczy.

Oparł na niej ręce i zaczął obserwować ogród i las rosnący

218 ROAN Jennifer Blake

między domem a jeziorem w poszukiwaniu Donny. Nie odeszła

daleko, chociaż minęła już dobra chwila, odkąd wyszła z kuchni. Oczywiście wiedział o tym, bo monitor milczał, lecz nawet gdy zobaczył ją i Beau między drzewami, nie poczuł ulgi.

Stała oparta o pień dębu, a ręce trzymała w kieszeniach

obciętych džinsów. Miała pochylone ramiona i opuszczoną głowę, jakby głęboko o czymś myślała. Wyglądała jak osoba bardzo samotna, pogrążona w wielkim smutku i pełna rozterek.

Nagle wyczuła, że Roan ją obserwuje. Zawołała Beau, odsunęła się od drzewa i ruszyła do domu.

Przynajmniej nie będzie musiał siłą jej tutaj ciągnąć. Dobrze, że go do tego nie zmusza.

Nie była zadowolona, że kazał jej nosić monitor, i nie mógł

jej mieć tego za złe, zauważył jednak, że od jakiegoś czasu

Donna przestała uskarżać się, a nawet wspominać o tym. Bardzo chciał, by oznaczało to, że przestała żywić do niego urazę, ale to wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Czuł się z tym

nieswojo, zupełnie tak, jakby trzymał petardę z zapalonym lontem i nie był pewien, czy wybuchnie mu w rękę, czy też spokojnie się wypali.

Deszcz ustał po jego powrocie do domu. Burzowe chmury

odchodziły na północny wschód, pozostawiając na niebie ró

żowe i purpurowe pasma, zabarwione ostatnim wieczornym

światłem. Orkiestra owadów właśnie stroiła instrumenty na

nocny koncert. Roan wziął głęboki oddech, wdychając przesiąknięte deszczem świeże powietrze. Poruszył ramionami, żeby pozbyć się sztywności w karku.

Do diabła, co on ma zrobić ze swoją aresztantką?

Donna zakłóciła rutynę jego życia, kradła mu sen i wszystko komplikowała. Dziesiątki razy w ciągu dnia musiał się porozumiewać z Allenem przez radio, jeszcze częściej rozmawiał

z synem. Całymi dniami wysyłał na wszystkie strony zapytania

ROAN Jennifer Blake

219

w związku z jej sprawą. Kilka osób zatelefonowało, okazując

obywatelską troskę, w tym dwie starsze kobiety, które wprost

dyszały z ciekawości, jak rozwiązał problem nocnego wypoczynku Dog Trot. A do tego dochodziły jeszcze przestrogi dawnego nauczyciela Jake'a, który był oburzony tym, że Roan kontaktuje syna z „elementem przestępczym”. Ciotka Vivian nękała go propozycją, że będzie przynosić ugotowane

jedzenie, a burmistrz przypominał mu o konieczności zorganizowania

policyjnej eskorty z lotniska, gdy przyjadą goście z syndykatu.

Wszystko to jednak było na tyle nieważne, pomyślał, że równie

dobrze mógłby zostać w domu i osobiście pilnować swojej

podopiecznej i syna.

Niedługo musi podjąć jakąś decyzję w sprawie Donny, bo

w końcu zabraknie mu zarówno czasu, jak i wymówek. Jednak

z jakichś powodów nie potrafił się zmusić, by przekazać podejrzaną władzom sądowym. Jeszcze nie teraz.

Gdy podeszła z Beau do schodów, pies niemal ją zgniół,

wciskając się w jej kolana. Dawał w ten sposób do zrozumienia,

że należy mu się solidne pogłaskanie za to, że towarzyszył jej

na przechadzce.

- Nie wiedziałem, że staliście się takimi przyjaciółmi - zauważył Roan.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Doszliśmy do porozumienia. Ja karmię go lodami, a on

nie gryzie mnie po łydkach.

- Bardzo rozsądnie. Trafiłaś w jego gusta.

- Nie miałam złych intencji - odparła ostro.

Najwyraźniej sądziła, że oskarża ją o sabotaż.

- Oczywiście. Jeżeli chcesz znać prawdę, myślę, że Beau

uwielbia zarówno kobiety, jak i lody.

- Naprawdę? - Przeszła obok niego i szybko usiadła na

bujanej ławce, podwijając pod siebie jedną nogę, ponieważ

Beau uwalił się tak blisko niej, że huśtawka bujała się nad

nim w tę i z powrotem.

- Został sierotą, gdy miał cztery tygodnie - mówił dalej

Roan, zwracając się do niej twarzą. - Nim trochę podrósł, Carolyn, matka Jake'a, karmiła go z butelki co cztery godziny.

Vickie przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Więc on już jest stary - powiedziała w końcu. - Nie

wiedziałam.

- Tak. - Roan nie dodał nic więcej, żałował bowiem, iż

poruszył ten temat. Założył nogę na nogę i oparł się o poręcz.

- Nie wiem, dlaczego, ale wydawało mi się, że twoja żona

nie interesowała się psami.

Jego niechęć do rozmów o przeszłości brała się nie tylko

z tego, że zawsze wolał zachowywać własne sprawy dla siebie,

ani też z typowo męskiej skłonności do unikania osobistych

tematów, lecz było to głęboko zakorzenione przekonanie, które

przyswoił sobie od ojca jeszcze jako dziecko: o sprawach rodzinnych rozmawia się wyłącznie z krewnymi. Jednak nie chciał odpychać Donny od siebie, skoro już zaczęła się do niego

odzywać, bo przecież wiedział, jak bardzo jest na niego zła z

powodu monitora. Chociaż, z drugiej strony, był również świadomy, że bawienie się w takie subtelności wobec aresztantki nie jest niczym dobrym.

- Carolyn lubiła szczenięta i malutkie dzieci tak długo, jak

długo były bezbronne i szczęśliwe - wyjaśnił, krzyżując ręce

na piersi. - Problemy powstawały dopiero wtedy, gdy maleństwa zaczynały okazywać się samodzielne... ale najważniejszym jej problemem było to, że nie mogła wytrzymać w Dog Trot i Turn-Coupe. I, oczywiście, ze mną.

Na werandzie przez dłuższy czas słychać było tylko skrzypienie łańcuchów huśtawki. Gdy Roan już

zaczął myśleć, że Donny nie interesuje jego życie, znów się odezwała.

ROAN Jennifer Blake 221

- Widziałam na strychu wasze zdjęcie ślubne. Nie uważasz,

że postąpiłbyś bardziej rozsądnie, stawiając je w miejscu, gdzie Jake mógłby na nie patrzeć, zamiast chować je wśród rupieci,

jakby jego matka nigdy tu nie przebywała?

Właśnie dlatego nie należy rozmawiać o rodzinnych sprawach

z obcymi, pomyślał. Ludzie zawsze wyobrażają sobie, że wiedzą

lepiej niż ty sam, co jest dla ciebie najlepsze.

- Znalazłaś jeszcze coś ciekawego, gdy już wściubiłaś tam

nos? - spytał.

- Nie wścibiałam nosa, tylko... poszłam na wyprawę badawczą.

- Z Jakiem?

- Byłam sama. Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu.

- Myliłaś się. - Wzruszyło go, że oczyszcza jego syna z

zarzutów, choć nie rozumiał, dlaczego Donna uważa, że musi

bronić chłopca przed jego własnym ojcem.

Vickie zatrzymała huśtawkę i wyciągnęła do niego nogę,

do której miała przymocowany monitor.

- Zdejmij mi to, a nie będziesz musiał się zastanawiać, co

robię, gdy wychodzisz z domu. Będą mogła się zająć ciekawszymi sprawami niż grzebanie w twoich rzeczach.

- Jak, na przykład, ucieczka.

- Nie jestem taka głupia.

- Gdybym cię zamknął na klucz w twoim pokoju, też nie

musiałbym się o ciebie martwić.

- Nie zrobisz tego!

Wcale nie był taki pewny. Ta kobieta miała niezwykłą umiejętność dotykania go do żywego, więc robił i mówił rzeczy absolutnie dla niego zaskakujące. Wbił wzrok w czubki butów

i starał się uspokoić oddech. W końcu westchnął, pochylił się

nad Vickie i oparł ręce po obu stronach huśtawki.

222 ROAN Jennifer Blake

- Może tego jednak nie zrobię - oświadczył. - A przynajmniej jeszcze nie dzisiaj wieczoru.

- Ale mógłbyś - rzekła sucho. - Zwłaszcza wówczas, gdybym spróbowała trochę upodobnić to miejsce do domu, bo teraz wygląda raczej jak muzeum.

- Jest dobrze tak jak jest - powiedział, jakby się bronił.

- Nie potrzebujemy tu wiecznie zakurzonych i niepotrzebnie zajmujących miejsce ozdóbek.

- Większość ludzi nie uważa rodzinnych pamiątek za zawadę.

- Kiedyś, bawiąc się piłką w korytarzu, Jake stłukł dwie piękne figurynki. To było wkrótce po śmierci mojej mamy.

Tato i ja postanowiliśmy odstawić wszystkie cenniejsze rzeczy na strych.

- Teraz twój syn już nie jest dzieckiem.

- Wzrusza mnie twoja troska o jego dobre samopoczucie, albo raczej wzruszałaby mnie, gdybym w nią wierzył, lecz, niestety, nie jesteś ze mną szczerą. Co właściwie chcesz teraz osiągnąć?

- Nic. - Znow zaczęła się huśtać. - Z oczywistych przyczyn rozmyślałam o tym, czym jest pamięć. Zdjęcia są nieocenioną pomocą, gdy chcemy przypomnieć sobie przeszłość, pomagają również utrzymywać związki między ludźmi, a także

dzięki nim możemy zrozumieć to, co się wydarzyło. Gdybyś tu postawił ze dwa zdjęcia matki Jake'a, może nie stanowiłaby dla niego takiej tajemnicy.

- Nie ma ich aż tyle.

- No to jedno. Matka Jake'a tak ładnie wygląda na ślubnym zdjęciu, ale jednocześnie bardzo młodo i... krucho.

To nie była zrzeczna uwaga, ale Roan się nie pogniewał.

- Właśnie. Chciała wyjść za mąż, tyle że małżeństwo było dla niej czymś w rodzaju bajki. Sama ceremonia i wesele spr-

ROAN Jennifer Blake

223

wiły jej radość, ale potem znienawidziła to wszystko, co się

wiąże z prawdziwym życiem, a już zwłaszcza ciężę i zajmowanie się dzieckiem. Lubiła bawić się z synkiem, gdy się uśmiechał, ale natychmiast go komuś oddawała, mnie, mojej matce, ojcu, gdy tylko zaczynał płakać. Tak więc, twoim zdaniem,

co dobrego przyniesie Jake'owi ciągle przypominanie, że po

jego narodzinach matka próbowała popełnić samobójstwo,

a potem go porzuciła, gdy stał się rozbrykanym dwulatkiem?

Vickie popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Jake mówił, że cierpiała na depresję, ale nie wiedziałam, że próbowała się zabić.

- Moim pistoletem - wycedził Roan z tłumioną rozpaczą.

- Przykro mi!

- Przykro ci, że to się stało, czy że poruszyłaś tę sprawę?

Zresztą, to nieważne. Skoro już tyle wiesz, możesz równie dobrze usłyszeć resztę. To się stało tutaj, w tym domu, w pokoju, który ty teraz zajmujesz. Mieszkaliśmy z moimi rodzicami...

to duży budynek, a Carolyn nie zależało specjalnie na tym,

by ponosić odpowiedzialność za własny dom. Byłem po służbie, więc zostawiłem kaburę przewieszoną na krześle w sypialni. Tato i ja poszliśmy do psiarni, trenowaliśmy nowego tropiciela. Usłyszałem strzał i pobiegłem do domu. Gdy ją znalazłem, leżała na podłodze w białej koszuli, którą miała na sobie w noc poślubną. Próbowwała strzelić sobie w głowę, ale

pewnie jej drgnęła ręka i ja... - Zamilkł, niezupełnie wiedząc,

co jeszcze powiedzieć, ani dlaczego tak się uparł, by podać

Donnie te wszystkie straszne szczegóły.

- Udzieliłeś jej pierwszej pomocy - skończyła za niego w

nagłym zrozumieniu. - Dlatego byłeś taki wzburzony, gdy ja

zostałam postrzelona.

- Gdy ja do ciebie strzeliłem - poprawił ją. Przeszył go

dreszcz. Spojrzał ponad głowę Vickie, na wieczorne cienie za-

224

ROAN Jennifer Blake

legające pod drzewami, chociaż widział tylko czerwone plamy

na białym materiale. Krew, tyle krwi!

Vickie wstała, podeszła do Roana i położyła mu rękę na

ramieniu.

- To nie była twoja wina. Żaden z tych wypadków nie

zdarzył się z twojej winy.

Napotkał jej spojrzenie, pełne sympatii i kobiecej mądrości.

Lecz odrzucił to współczucie.

- Skąd wiesz? - spytał.

- Wskoczyłam z furgonetki i tak bardzo chciałam dobiec

do ciebie, że nie zastanawiałam się, jak to może wyglądać.

Potem przeżyłam szok, bo moja ucieczka zmieniła się w koszmar, za który sama byłam odpowiedzialna, no i mówiłam rzeczy, których wcale nie myślałam. To samo zdarzyło się z

Carolyn. Jake wspominał mi, że przed ślubem przeżywała trudne chwile. Nic nie mogłeś na to poradzić.

- Ale wydawało mi się, że mogę - powiedział, a potem roześmiał się smutno. - Myślałem, że mogę zabić wszystkie jej demony.

Dotyk jej ręki na ramieniu przyniósł mu więcej pociechy, niżby to uważał za możliwe. I miał takie wrażenie, jakby jej niski, kojący głos rozpuszczał jakąś gorzką kroplę, tkwiącą gdzieś głęboko w jego duszy. Dziwne, ale naprawdę pragnął jej wytłumaczyć, jak naprawdę było z Carolyn. Może dlatego, że Donna, jako obca osoba, nie miała wyrobionego zdania o tej sprawie, a może dlatego, że obie te kobiety jakoś się łączyły w jego myślach. Więc podjął swoje opowiadanie.

- Kiedy mieliśmy po dwanaście czy trzynaście lat, często pomagałem Carolyn wymknąć się z domu, żeby ojciec jej nie zbił, gdy wróci pijany. Gorzej było w piątkowe wieczory, więc zaszywaliśmy się w forcie, który zbudowaliśmy nad rzeką. Carolyn była moim księżkowym. Żyła w bajce, w świecie ze ROAN Jennifer Blake

225

snu. Nazywała mnie sir Roan, mówiła, że jestem jej rycerzem

w lśniącej zbroi, który zawsze będzie jej bronił. Wtedy wydawało mi się to wspaniałe, ale również napełniało mnie lękiem. Starałem się być tym, kim byłem w jej oczach, naprawdę się starałem, lecz teraz myślę, że popełniłem błąd. Staczając

bitwy w jej imieniu, nie pozwalałem jej stanąć na własnych nogach i dorosnąć.

- A potem, gdy jej ojciec odszedł, sytuacja się polepszyła?

- Niespecjalnie - odparł, zastanawiając się jednocześnie,

co jeszcze Jake powiedziały Donnie. - Jej matka nie była zdolna

do pracy, a opieka społeczna nie dawała im wiele. Ona i Carolyn były za dumne, by przyjmować pomoc od charytatywnych organizacji działających przy tutejszym kościele, a tym bardziej o nią prosić. Zawsze udawały, że prowadzi im się lepiej

niż w rzeczywistości, albo że wkrótce ich położenie się poprawi. Robiłem dla nich, co mogłem, wozilem Carolyn i jej matkę do sklepów w mieście albo do lekarza. Wykonywałem

cięższe prace, malowałem ich stary dom i naprawiałem, co by

ło trzeba. Któregoś roku urządziłem im ogródek, ale nie zebrały

jarzyn, bo to mogłoby wyglądać tak, że muszą uprawiać to,

co jedzą. Carolyn przyjmowała ode mnie po kilka dolarów,

gdy jej matka potrzebowała lekarstw albo jakiejś innej rzeczy.

I to wszystko.

- Więc miałeś je obie na swoich barkach, i Carolyn, i jej

matkę - powiedziała Donna ostrożnie. - Musiało to być dla

ciebie ciężkim brzemieniem.

Zdziwił się, bowiem nigdy tak na to nie patrzył. Po prostu

uważał, że jego obowiązkiem jest pomagać przyjaciółce.

- W każdym razie wszyscy widzieli, jak bliscy sobie jesteście i uważano, że stanowimy parę. Ja chyba też tak my

ślałem. Carolyn lubiła przychodzić tu, do Dog Trot, i przebywać z moimi rodzicami. Po tym, jak ona i jej matka musiały 226

ROAN Jennifer Blake

się przeprowadzić do wuja Carolyn, wydawało się dobrym pomysłem, byśmy się pobrali. Więc wzięliśmy ślub i myślałem, że wszystko jakoś się ułoży.

- Ale tak się nie stało.

Nie, nie mogło się ułożyć, z wszystkich tych powodów, o których mówił przedtem. Spojrzał na Donnę. Coś w jego oczach musiało ją poruszyć albo też uświadomiła sobie, że ciągle dotyka jego ramienia, bo cofnęła rękę i odstepiła o krok.

Przyglądał się jej rysom, jej oczom, w których chłód ustąpił współczuciu, miękkim wargom, a także uniesionej głowie, świadczącej o tym, że ta kobieta panuje nad sobą. Miała kłopoty, ale w niczym nie przypominała Carolyn. I dzięki Bogu!

Powiew wiatru przyniósł mu jej zapach. Chłonał go, nim zdołał się powstrzymać. Był to zapach czystości, mydła i ciepłego ciała kobiety, od którego zakręciło mu się w głowie, bo nawiedzał go od czasu, gdy podczas pierwszych dni jej pobytu w Dog Trot siadywał przy jej łóżku. Tak bardzo pragnął tej kobiety, która od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał, zawładnęła jego wyobraźnią.

Lecz wtedy było to tylko pożądanie, a teraz... marzył o czymś dalece subtelniejszym i delikatniejszym.

Jego nastrój udzielił się Donnie. Przechyliła głowę i uniosła pytająco brwi, gdy jednak nic nie powiedział, zapytała:

- Więc twoja żona próbowała popełnić samobójstwo dlatego, że cierpiała na depresję poporodową, jak powiedział mi Jake, czy też z innego powodu?
- Przypuszczam, że złożyło się na to wiele rzeczy. Jej matka umarła, ojca znaleziono w płytkim grobie na odludziu, i potem nigdy już nie była taka sama. Chyba wreszcie zrozumiała, że sprawy nigdy nie ułożą się dla niej dobrze, jeśli sama czegoś z sobą nie zrobi.
- Ponieważ nie umarła, odeszła stąd... To tragiczne.
- Może, ale niekoniecznie. - Roan odepchnął się od po-

ROAN Jennifer Blake

ręczy i stanął troszkę dalej. Nie potrzebował jej współczucia.

Chciał, żeby Donna znów go dotknęła, była z nim, zajęła jego umysł tak, by o niczym innym nie mógł już myśleć, by przyniosła mu spokój, którego prawie nigdy nie zaznawał.

Było to jednak niemożliwe. - Może stało się najlepiej, jak

mogło - powiedział to z takim przekonaniem, że sam się

/dziwił.

- To znaczy?

- Carolyn potrzebowała profesjonalnej pomocy. Nie rozumiałem tego, bo nie mogłem się pogodzić z faktem, że sam nie mogę nic dla niej zrobić. Że nie jestem wszystkim, czego

ona potrzebuje.

Głos zamarł mu w krtani, jakby dopiero teraz w pełni pojął

to, co właśnie powiedział. Przyznał, że był w jakimś stopniu

odpowiedzialny za kłopoty żony. To było coś, czego jeszcze

nigdy nie zrobił.

- Chyba za bardzo się obwiniasz - odezwała się Donna

w zamyśleniu, jakby zastanawiała się nad czymś innym niż ta

przygnębiająca historia. - Decyzję podjęła twoja żona.

- Tak się mówi. Terapeuta powiedział jej, że nigdy się nie

odnajdzie, jeżeli będzie kurczowo się mnie trzymała i że musi

odejść. Przypuszczam, że miał rację, ponieważ właśnie to zrobiła. - Roan spojrzał na Donnę. - Ale ty chyba nie po to tu jesteś?

Donna roześmiała się.

- Uważasz, że przyjechałam tu, by się odnaleźć? By dojść

z sobą do ładu po jakichś traumatycznych przeżyciach? Na

pewno nie, ale wydawało mi się, że, twoim zdaniem, jestem

zwykłą kryminalistką.

Miała rację! Czy zmienił zdanie, czy też po prostu zaczął rozważać inne możliwości? Nie mógł pozwolić, by zauważyła, że zmiękł, bo nie wiedział, jak by to wykorzystała. W każdym

228

ROAN Jennifer Blake

razie jedyne, co miało znaczenie, to przestrzeganie prawa, a nie to, co on sobie myśli.

- Chodziło mi o to, że może właśnie dlatego uciekłaś ze swoimi kumplami, Gburkiem i Gapciem. Może jesteś biedną skrzywdzoną bogatą dziewczynką i masz kłopoty, które starasz się rozwiązać, wybierając życie bez zasad i obowiązków?

Rzuciła mu smutne spojrzenie.

- Czy to by było takie złe?

- Każdego z nas od czasu do czasu kusi takie życie, ale

to nie jest remedium na kłopoty. W pewnym momencie człowiek albo musi zawrócić, albo idzie dalej, lecz w obu wypadkach kłopoty nadal na niego czekają. Więc jakie jest rozwiązanie? - Czekał na odpowiedź, ciekawy, czy Donna powie mu prawdę, czy też kurtyna znów pójdzie w górę, by ukazać scenę,

ma której rozegra się kolejne przedstawienie.

Odsunęła się od niego niezręcznym ruchem i przeszła parę kroków wzdłuż poręczy. Bezwiednie ruszył za nią. Chciał być blisko niej i sam przeklinał siebie za tę słabość. Donna była pod jego opieką. Musi o tym pamiętać, nawet gdyby miało go to drogo kosztować.

- Może po prostu nie pamiętam, co było przedtem - powiedziała w napięciu.

Istniała niewielka szansa, że mówi prawdę, ale nie dałby za to złamanego centa. Pozwolił, by jego milczenie starczyło

za odpowiedź.

- I chyba wcale bym się nie martwiła, gdybym już nie odzyskała pamięci - kontynuowała. - Myślę, że mogłabym się przyzwyczać do takiego miejsca jak to, gdzie rytm życia wyznaczają kolejne pory roku. Pewnie polubiłabym pracę w ogrodzie i pokochałabym krainę, gdzie w nocy widzi się gwiazdy.

- Sądząc po twojej bransoletce na nodze, powiedziałbym,

ROAN Jennifer Blake 229

że w twoim świecie gwiazdy lśniły o wiele jaśniejszym blaskiem - odrzekł z celową ironią.

- Gwiazdy ze sztucznych brylantów? - parsknęła, zmuszając się do śmiechu.

- Nasz jubiler twierdzi, że to brylanty czystej wody, srebrzystoniebieskawe. Wysłałem już ich zdjęcie do krajowej sieci, ale nikt ich nie rozpoznał.

- Jako zgubione lub ukradzione?

- Tak. Projektant też się nie zgłosił.

- Myślisz o wszystkim - powiedziała niechętnie.

- Przynajmniej się staram. - Przerwał, a potem dodał:

- Istnieją sposoby, by pobudzić pamięć, na przykład za pomocą hipnozy. Zgodziłabyś się na to?

Wyprostowała się, a w jej oczach zabłyśło wyzwanie.

- Spodziewasz się, że pozwolę ci grzebać w swojej pamięci?

- Nie robiłbym tego osobiście. Doktor Watkins ma uprawnienia w tym zakresie, a ty nie mogłabyś się znaleźć w lepszych rękach.

- Nie, dziękuję.

- Boisz się tego, co mógłby odkryć?

- Jak powiedziałam, wolę moją pamięć taką, jaka jest, nawet jeżeli niespecjalnie mi dopisuje.

Miała odpowiedź na wszystko. Wbrew sobie, podziwiał ją za to.

- Mogłabyś sobie przypomnieć coś, co by cię oczyściło z podejrzeń.

- Och, sir Roanie, czyżbyś teraz dla odmiany próbował rozwiązywać moje problemy?

To go ubodło. Wiedział, że zwierzając się ze swoich prywatnych spraw, daje jej do ręki broń, ale spodziewał się, że będzie miała więcej taktu i nie użyje jej. A może zareagowała

230 ROAN Jennifer Blake

tak agresywnie, bo zbyt zbliżył się do tego, co ukrywała? To

była obiecująca myśl, by jednak nie spłoszyć Donny, niczego

nie pokazał po sobie.

- Próbuję tylko wykonywać dobrze moją pracę - powiedział obojętnie - a do moich obowiązków należy również rozwiązywanie twoich problemów, skoro mają wpływ na obecną sytuację.

- Innymi słowy, chcesz się mnie jak najszybciej pozbyć.

- Przecież dobrze wiesz, że jesteś tu tylko tymczasowo

- przypomniał jej.

- Rzeczywiście. To fatalnie - odparła, zaciskając usta.

- Nie rozumiem.

Vickie zatrzymała wzrok na gwiazdzie przypiętej do jego

koszuli, zupełnie jakby ją fascynowała. Przez chwilę pomyślał,

że dotknie jej, tak jak przedtem. Gdy się odezwała, mówiła

cichym, troszkę drżącym głosem.

- Gdybyśmy mieli dość czasu, moglibyśmy dojść do porozumienia.

Czy myślała o tym samym, co on? To stawało się naprawdę niebezpieczne.

- Wydaje mi się, że rozumiemy się wystarczająco dobrze
- powiedział ostro, wręcz z gniewem.
- Naprawdę? Jednak zawsze może być lepiej.

Był to test, czy dotrzyma przysięgi, że jej nie dotknie. Kusila go, wabiła do siebie, bo dobrze wiedziała, jak jej pragnie. Wydawało jej się, że może wykorzystać najstarszą sztuczkę świata, a on zapomni, dlaczego ją aresztował, zapomni o wszystkim prócz słodkiej rozkoszy, jaką ta kobieta może mu dać. I miała rację, niech to szlag!

- Przestań! - rozkazał z gniewem wymierzonym w siebie.
- Co mam przestać robić?
- Tak na mnie patrzeć. I nic już nie mów. Idź do domu,

skany: anula43

przerobiła: AScarlett

ROAN Jennifer Blake

231

teraz, natychmiast, zanim wpadniesz w takie kłopoty, że sobie z nimi nie poradzisz.

Uniosła buntowniczo głowę i spojrzała na niego z wyzwaniem.

- A jeżeli nie pójdę?

W jednej chwili oboje stali nieruchomo, a w następnej Roan

trzymał Donnę w ramionach. Podniósł ją, posadził na poręczy, przytrzymał w pasie i wszedł między jej rozchylone uda, a ona przytrzymała się jego ramion. Potem zastygli w bezruchu.

- Jeżeli nie - wydyszał - to zobaczysz, jak łatwo byłoby

mi zapomnieć, kim jestem. Zobaczyłabyś, co to znaczy gorąca

miłość z mężczyzną z Południa. A wtedy odkryłabyś, że ten

eksperyment nie przyniósłby żadnej zmiany w twoim położeniu, ponieważ nie dopuściłbym do tego. Nie mógłbym tego zrobić, bo potem sam bym się zniecierpliwiał.

Patrzył na nią płonącymi oczami.

- Myślałam... - szepnęła - myślałam, że masz ochotę na

tę próbę...

- Tak powiedziałem, ale się myliłem - odparł, oddychając

z trudem. - Nie zaprotestuję, jeśli uznasz, że jestem przerwa-

żliwiony, ale zawsze zgłaszam sprzeciw, gdy otrzymuję fałszywą informację. Protestuję, bo rozumiem, że nie mnie pragniesz, lecz liczysz na coś, co możesz ode mnie otrzymać.

- Myślisz, że o to mi chodzi?

Poczuł, jak Donna zadrżała, co uderzyło w niego z potężną

siłą. Ostatnią resztką sił powstrzymywał się, by nie włożyć rąk

pod jej miękką bawełnianą koszulkę, objąć dłońmi jej piersi.

Nie była sprytną cali girl, jak z początku myślał, lecz przerażoną kobietą. Niektórzy ludzie tak właśnie się zachowują, gdy się boją: nie mogą zebrać myśli i tylko instynktownie reagują na kolejne zdarzenia, a gdy już raz wybrali niewłaściwą

ROAN Jennifer Blake

drogę, nie potrafią z niej zawrócić. Dałby wiele, by się dowiedzieć, w czym Donna się przeliczyła i jak daleko już doszła.

Gdyby to wiedział, być może mógłby naprostować jej ścieżki.

Była o wiele za uczciwa w postępowaniu, w tym co mówiła

i w sposobie prowadzenia walki, by jej błędy były nie do naprawienia.

Do diabła, znów ją usprawiedliwi! Mogłoby to być zabawne, gdyby nie było takie żalosne. A kto jego usprawiedliwi.

jeżeli zachowa się niegodnie?

Z największym wysiłkiem oderwał się od Donny, odstąpił o krok i postawił ją na podłodze, podtrzymując do chwili, aż przestała się chwiać. Potem ją puścił. Jednak to zrobił! Mógł albo się odsunąć, albo nie myśląc o jutrze, kochać się z nią tutaj, w zapadających ciemnościach, wziąć ją z namiętą czułością, a potem zabrać do swojego łóżka i mieć ją jeszcze raz. I jeszcze.

- Nie ma znaczenia, o co ci chodziło - oznajmił z ponurą stanowczością. - To już koniec.

Chwycił ją pod łokieć i skierował do kuchennych drzwi.

Poszła za nim, potem posłusznie ruszyła do schodów, gdy ją

lekko popchnął w ich kierunku. Jednak zanim weszła na pierwszy stopień, zatrzymała się i odwróciła. Jej oczy na bladej twarzy wydawały się ogromne i tajemniczo lśniły.

- Koniec? - powiedziała spokojnym, niemal kontemplacyjnym tonem. - Mnie się wydaje, że to dopiero początek.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Vickie dowiedziała się o zbliżającym się przyjeździe ludzi

z syndykatu gier hazardowych z policyjnej krótkofalówki. To

był przypadek. Akurat przechodziła koło drzwi Roana, gdy

krótkofalówka na jego biurku ożyła.

Była sama w domu i okropnie się nudziła. Jake wyszedł

na cały dzień do swojego kolegi, Terry'ego, a ona uznała, że

podsluchiwanie policyjnych raportów uchroni ją od bezsensownego włączenia się po domu albo od zaproszenia Cala, który dziś miał dyżur, na kawę.

W krótkofalówce usłyszała, jak pracownik z biura Roana,

który właśnie jechał za miasto na pogrzeb jednego z ławników,

przekazuje mu wiadomość od burmistrza. Burmistrz życzył sobie, by w drodze powrotnej wstąpił do niego, aby omówić zbliżającą się wizytę grubych ryb od hazardu, Evana Battersea

i Harrella Melanki. Słuchając tej rozmowy, Vickie zatęskniła

za dotychczasową nudą.

Harrell przyjeżdża do Turn-Coupe!

Gburek i Gapcio pewnie w końcu przyznali się, że ją zgubili, musieli też powiedzieć Harrellowi, że została ranna i teraz znajduje się pod ścisłą policyjną strażą. Jeżeli zebrali wiadomości w okolicy, mogli go również poinformować, że straciła pamięć i nikt w Turn-Coupe nie ma pojęcia, kim jest. ,

A więc przyjeżdża tu jej były narzeczony. Na pewno znajdzie jakiś sposób, by się z nią zobaczyć i zainscenizuje wzruszającą scenę rozpoznania. Natychmiast potem przedstawi do-234 ROAN Jennifer Blake

wody jej tożsamości i żądanie, by oddano ją pod jego opiekę,

zwoła też stado wpływowych prawników, który załatwią

wszystkie formalności związane z uwolnieniem jej od podejrzeń. A jeżeli to nie zadziała, przywiezie tu Paula Vandergraffa, który, nim jeszcze na dokumentach wyschnie atrament, zabierze ją na Florydę.

Nie pojedzie z nimi.

Tak, ale przecież tutaj też nie może zostać. Roafl nie wierzył

w nic, co mu mówiła. Jeżeli teraz zaczęłaby udawać, że odzyskała pamięć i spróbowała mu powiedzieć, że za jej porwaniem stał Harrell, tylko jeszcze bardziej by się upewnił, że jest wyrafinowaną kłamczucha. Nie uwierzyłby ani jednemu jej słowu.

Z tego, co teraz usłyszała, wynikało, że wizyta grubych

ryb ze świata hazardu była planowana już od jakiegoś czasu.

Przez krótką chwilę Vickie zastanawiała się, czy Roan nie powiedział jej o tym dlatego, że wiedział o jej związkach z nimi i czekał na jej ruch, zaraz jednak znów zaczęła myśleć logicznie. Nic jej nie mówił, bo nie miał pojęcia, że jest zainteresowana tą sprawą. Byłoby czystą paranoją myśleć inaczej, chociaż sytuacja była na tyle trudna, że każdego by przyprawiła o lekkie szaleństwo.

Już nie mogła beczynna czekać. Musi dowiedzieć się, kiedy Harrell przyjedzie, i wiedząc, ile czasu jej pozostało, opracować jakiś plan. Musi podjąć decyzję, czy podejmie walkę, czy też ucieknie. Nie chciała tak po prostu stąd odejść, jednak

ucieczka wydawała jej się najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogła

zrobić. Oczywiście, jeżeli uda jej się pozbyć monitora, by czujny szeryf nie zatrzymał jej, zanim jeszcze zdąży się oddalić choćby na kilometr od Dog Trot.

Przez cały dzień wracała, by śledzić przekazywane Roanowi za pomocą krótkofalówki wiadomości, a w wolnych chwila-

ROAN Jennifer Blake

235

lach przygotowała na kolację zapiekankę z mięsem i brokułami. Szybko nauczyła się rozróżniać głosy w krótkofalówce i rozumieć, co dzieje się w okolicy. Przeważnie mówiono otwartym tekstem, a kody były tak podobne do tych, których używano

w ulubionych programach Jake'a w telewizji, że nie miała z nimi kłopotu.

Kilka razy słyszała szeryfa, który przekazywał raporty z różnych miejsc. Przyszło jej do głowy, że, uważnie słuchając krótkofalówki, mogłaby zawsze ustalić, gdzie Roan jest i co robi, a wtedy nie tylko o wiele trudniej byłoby mu wpadać niepostrzeżenie do domu, ale wiedziałaby również, czy w danej chwili może podjąć jakieś kroki, które by mu się nie spodobały.

Sprawiło jej prawdziwą satysfakcję, że wymyśliła sposób, dzięki któremu będzie mogła śledzić jego poczynania, i to prawie tak samo dobry, jak ów nieszczęsny monitor, który wciąż miała na nodze.

Późnym popołudniem tak się skupiła na słuchaniu wiadomości z krótkofalówki, że nie usłyszała ani tego, jak otwierają się kuchenne drzwi, ani szybkich kroków na schodach. Zaalarmował ją dopiero Beau, który leżał u jej nóg. Uniósł głowę i z jego gardła dobyło się głębokie, ostrzegawcze warczenie.

Vickie gwałtownie się wyprostowała i zaczęła nasłuchiwać.

Beau nie warczałby na Jake'a lub Roana, natomiast Cal powinien patrolować okolice domu, nie oddalając się na tyle, by stracić go z oczu, ale przez większość czasu pozostawał na dworze. Nikt inny nie mógł tu wejść, jednak intruz

najwyraźniej dokładnie wiedział, dokąd się kieruje.

Wielki posokowiec wstał z podłogi, naprężył łapy i patrzył na drzwi. Sierść na karku mu się zjeżyła, warczał coraz niższym głosem. Vickie położyła mu rękę na łbie.

Kroki w holu szybko ucichły, gdy obcy wszedł na dywan, potem już słyszeć je było w pobliżu pokoju. Obcy szedł spo-

236 ROAN Jennifer Blake

kojnie, nigdzie się nie zatrzymywał. Nie wydawało się, by się bał, że warczący pies go zaatakuje.

Vickie rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Okno pokoju wychodziło na tylną werandę, ale nie zdążyłaby go otworzyć.

Mosiężna klamka już się poruszyła, drzwi zaczynały się otwierać. Beau ochryple zaszczekał. Vickie sięgnęła po małą mosiężną statuetkę stojącą na stoliku.

Mężczyzna zatrzymał się w progu z ręką na klamce. Vickie go nie знаła. Miał czarne włosy ostrzyżone przy samej skórze, by zapobiec układaniu się w loki, i najjas'niejsze niebieskie

oczy, jakie w życiu widziała. Kombinacja tych kolorów, jasnego i ciemnego, przywoływała na myśl letnią burzę nad zatoką: czyste, spokojne niebo po jednej stronie plaży, i ponure ciemne chmury po drugiej.

- Kim pan jest? - spytała, ściskając kurczowo statuetkę.

Mężczyzna rzucił na nią okiem, ale skupił uwagę na szczekającym psie.

- Beau, leżeć! - zawołał, przekrzykując ujadanie. - Jak

będziesz tak na mnie szczekał, to nie przyniosę ci w zimie jelenich kości.

Pies uspokoił się, zamachał ogonem i spojrzał w bok, jakby się zawstydził. Było oczywiste, że zna tego mężczyznę, który

nadal do niego przemawiał, na pół żartobliwie, na pół z irytacją.

Jednak Vickie wciąż była przestraszona.

Mężczyzna spojrzał na nią bacznie, zmierzył spojrzeniem

jej broń, a potem wykonał elegancki ukłon.

- Madame, nie chciałem pani przestraszyć. Jestem Clay,

Clay Benedict. Roan do mnie zadzwonił i powiedział, że jeszcze przez parę godzin będzie w pracy. A ponieważ Cal skończył już dyżur, a Jake nadal się gdzieś włóczy, poprosił, abym, że tak powiem, przejął wartę.

- Mógł pan zapukać.

ROAN Jennifer Blake ; 237

- Pukałem, ale wydaje mi się, że pani była zajęta. Roan

opowiedział mi o wszystkim, więc wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeżeli zajrzę do domu i sprawdzę, czy nic się pani nie stało. Drzwi otworzyłem zapasowym kluczem, który

schowany był w stodole.

- I mam tak panu uwierzyć na słowo?

Uśmiechnął się, a oczy mu rozblęły.

- Byłbym bardzo zobowiązany.

Miał melodyjny głos i niewątpliwie był Benedictem. Widziała rodzinne podobieństwo: wysoki wzrost, szerokie ramiona, gęste brwi i spokojne spojrzenie szeroko rozstawionych oczu. Wydawał się o kilka lat młodszy od Roana, ale miał tę

samą pewność siebie i śmiałość, którą zauważyła u tamtych

trzech mężczyzn na fotografii z toru wyścigowego. Mimo to

nadal była czujna.

- Proszę mi to udowodnić.

- Hm... Mógłbym pokazać prawo jazdy, ale nie mam przy

sobie portfela, bo przybyłem na „Jenny”.

- Na „Jenny”?

- To moja motorówka - wyjaśnił i szybko wskazał na telefon. - Niech pani zadzwoni do Roana, by potwierdził moje słowa.

Nie zamierzała przeszkadzać Roanowi w pracy. Nagle poczuła się głupio z tą statuetką w ręku, więc szybko odstawiła ją na stolik. Beau, jakby otrzymał od niej jakąś wskazówkę, ułożył się z powrotem na dywanie koło jej nóg.

- Może mógłby mi pan powiedzieć o swoim kuzynie coś, co by mnie przekonało, że jest pan tym, za kogo się podaje?

- zaproponowała po chwili zastanowienia.

- Mam wyjawić sekrety kuzyna Roana? - Clay przechylił

głowę na bok i w jego błękitnych oczach pojawiła się żartobliwa iskierka. - To byłoby dla mnie zbyt trudne.

238 ROAN Jennifer Blake

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien, czy Roan w ogóle ma sekrety.

Spojrzała na niego posępnie.

- Jednak przypuszczam, że jest coś, co mógłby mi pan powiedzieć.

- Rzuca mi pani wyzywanie? - Clay oparł się plecami o

framugę drzwi i skrzyżował nogi w swobodnej pozie. - No

dobrze, zastanówmy się. Niedługo skończy trzydzieści cztery

lata, a ponieważ Jake ma czternaście, Roan miał zaledwie dwadzieścia, gdy urodził się jego syn. Od zawsze jest szeryfem i za ciężko pracuje, bo uważa, że musi się wszystkim opiekować. Co pani na to?

- Proszę kontynuować. Słucham. - Vickie założyła ręce na piersi.

- Staruszek Roan lubi chodzić na ryby, chociaż rzadko ma

na to czas. Jego ulubiona potrawa to smażony biały okoń. Nie

cierpi słabego piwa, ale uwielbia frytki. Syn jest dla niego

najważniejszy, ale jego ogromną miłością jest samochód marki

Plymouth Super Bird 1970.

- Co?

- Klasyczny Samochód - wyjaśnił Clay. - Te słowa pisze

się wielkimi literami i wymawia z namaszczeniem. To elegancka maszyna, chrom i stal. Takich już teraz nie robią. Precyzyjne mechanizmy i cudowna linia, sam wdzięk. Wygląda tak, jakby jechała nawet wtedy, gdy stoi w miejscu.

Opisywał samochód z fotografii, którą Vickie widziała na strychu.

- Jakiego koloru?

- Purpurowy. I ma jakąś głupią nazwę.

- Plum Crazy - powiedziała i uśmiechnęła się.

- O, właśnie! - W jego oczach rozbłysły figlarne iskierki uśmiechu.

ROAN Jennifer Blake 2 3 9 ,

- Oryginalny lakier?

- Jasne.

Postąpiła krok ku niemu.

- Nadal ma tylne błotniki?

- Samochód jest w idealnym stanie. Żadnego zadrapania,

pędzi jak wiatr, nie potrzebuje ani kropli oleju. - Popatrzył

na Vickie. - Ale jeżeli tyle wiesz o klasycznych Samochodach,

to jak to się dzieje, że nie słyszałaś o ukochanym dzieciątku

Roana?

Wzruszyła ramionami, osłoniła oczy rzesami, jakby chciała

powstrzymać entuzjazm.

- Jakoś nigdy nie omawialiśmy tego tematu.

- No to nic straconego. Na pewno kiedyś nie wytrzyma.

- Mówisz o tym tak, jakby ciebie ten samochód też bardzo interesował.

- To się udziela, gdy człowiek razem z braćmi włóczy się za trzema kuzynami, którzy mają bzika na punkcie silników

spalinowych. Oczywiście było to całe lata temu. Teraz mamy

rodziny i pracę, więc brakuje nam czasu. Zresztą ja się przesiadłem na łodzie, no i zająłem się fotografią.

- I to są teraz twoje pasje?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Można tak powiedzieć. Roan ma łódź, z której łowi okonie,

z silnikiem o mocy stu pięćdziesięciu koni. Próbowałem ją od

niego odkupić, przecież on jej nie potrzebuje, bo nie ma czasu

na wyprawy na ryby. To też klasyk w swoim gatunku. Tak podrasowana, że przegoni każdą łódź na jeziorze. Roan kupił ją wkrótce po tym, jak stracił swoją łódź wyścigową, przegrywając wyścigi z Lukiem i Kane'em, a na dodatek musiał im gotować i podawać

śniadanie tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Vickie spojrzała na Claya ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć, że... nago?

240

ROAN Jennifer Blake

- Trudno w to uwierzyć, co?

Co prawda, to prawda, pomyślała Vickie.

- Więc kupił tę superszybką łódź, bo chciał zwyciężyć w następnym wyścigu?

- Tak, z tego powodu też, bo nasz Roan bardzo nie lubi przegrywać.

Vickie zdążyła to już zauważyć. Powolny uśmiech uniósł w górę kąćki jej ust. Podeszła do Claya i wyciągnęła rękę.

- W porządku, przekonałeś mnie.

Clay wyprostował się i z uśmiechem serdecznie uściął jej dłoń.

- Nie powtarzaj Roanowi, że tyle wypaplałem, dobrze? Bo on na dodatek nie lubi, jak ludzie gadają o nim za jego plecami,

- Naprawdę się tym przejmujesz?

Clay wzruszył ramionami.

- Chętnie mu dokuczam, ale jednak zdradzanie ci jego młodzieńczych wyczynów mógłby uznać za nielojalność.

- Rozumiem.

- Wątpię - stwierdził Clay, nie spuszczać z niej spojrzenia. - O takich rzeczach mężczyzna woli opowiadać osobiście.

- Odwrócił się do drzwi. - Jak myślisz, czy Roan ma jakieś

piwo w lodówce? Skoro zastępuję go na dyżurze, mógłby przynajmniej zaopatrzyć mnie w napoje orzeźwiające.

Zrozumiała, że Clay celowo zmienił temat rozmowy.

Okazało się, że Clay jest prawdziwą kopalnią wiadomości

na temat rodziny Benedictów. Zabawiał ją opowiastkami o braciach, którzy osiedlili się w Turn-Coupe, a także dokładnie omówił historię swojego odgałęzienia rodziny, uzupełniając to,

co już powiedziała jej w szpitalu Johnnie. Sam miał dwóch

braci, Adama i Wade'a. Jego matka miała talenty artystyczne.

Wspomniał też o bliźniętach, które zginęły w wypadku kilka

lat temu. Jego historyjki czasami wydawały się przesadzone,

ROAN Jennifer Blake

241

ale opowiadał żywo i z wycuciem. Vickie ucieszył ten kole

żeński stosunek, który się między nimi nawiązywał. Nie musiała specjalnie zachęcać nowego znajomego do mówienia i udało jej się wypełnić kilka luk w swojej wiedzy o Roafli.

Clay nie poruszał tematów zbyt osobistych, ale chętnie opowiadał o jego ulubionych zajęciach, pracy i obowiązkach.

Było już dość późno, gdy zaczął jej opowiadać o tym, jak

Roan podrasował swój radiowóz, co doprowadzało do rozpaczy

nastolaktów, którzy uwielbiali się ścigać po ulicach.

- Nigdy byś nie uwierzyła, co Dale Rathson zrobił, gdy

Koan wyciągnął go z wozu, którym się ścigał nad jeziorem.

Poszedł prosto do domu i zaczął rozmontowywać swojego nowiutkiego mustanga, przysięgając, że następnym razem wygra z szeryfem. Tato Dale'a mało nie dostał ataku, gdy zobaczył

rozbebeszony samochód.

- Kuzynie, miałaś piłować Donny, a nie zanudzać ją na

śmierć. - Z progu nagle rozległ się głos Roana.

Vickie gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Jak długo

tu stał? Czy wie, że wyciągała z Claya informacje na jego

temat? I czy zdaje sobie sprawę, że powiedział to tak, jakby

przysłał tu kuzyna dla jej bezpieczeństwa, a nie po to, by uniemożliwić jej ewentualną ucieczkę?

Clay wstał i wyciągnął rękę do Roana.

- Bardzo późno wracasz.

- A ty, jak sądzę, właśnie zamierzałeś wyjść - powiedział

Roan spokojnie. - To znaczy, jeżeli chcesz wrócić do domu, gdy będzie jeszcze na tyle widno, byś nie wpadł łodzią na jakieś drzewo.

- Stary, przecież łodzie mają reflektory.

- Lepiej nie ryzykować.

Clay pochylił głowę na bok i przesunął spojrzenie od Roana do Vickie. Powtórzył ten manewr kilka razy.

242 ROAN Jennifer Blake

- Usiłujesz się mnie pozbyć? Powiedz tylko słowo i jui mnie tu nie ma.

- Nie idź jeszcze! - zawołała Vickie, zanim Roan zdążył się odezwać. - Zostań na kolacji. Już nakrywam do stołu.

Pomyślała, że dzielny szeryf zachowuje się dziwnie, wprost zaborczo, a przecież sam przysłał tu Claya.

Roan zacisnął usta, okazując wyraźnie niezadowolenie.

- A kto ją przygotuje? Jake jeszcze nie wrócił, a ja nie zamierzam brać się do gotowania - burknął.

- Kolacja jest gotowa - powiedziała z uśmiechem. - Przygotowałam wszystko wcześniej.

- Ty?

- Tak. Deser też będzie.

- No to lepiej zostań - zwrócił się Roan do kuzyna. - Wezwiesz pomoc, gdyśmy się z Jakiem przypadkiem otruli.

- Jeżeli cię otruję - powiedziała Vickie słodziutko - to na pewno nie będzie to przypadek.

Clay świetnie się bawił.

- Chyba rzeczywiście zostanę - powiedział. - Wygląda na to, że potrzebujecie rozjemcy.

Roan rzucił mu wściekłe spojrzenie, lecz kochany kuzynek wytrzymał je z podniesionym czołem. Po chwili szeryf się roześmiał.

- No dobrze. Weźmiemy sobie po piwie i wyjdziemy na werandę, żeby nie pętać się Donnie pod nogami. Zawoła nas, gdy kolacja będzie na stole.

Vickie mogłaby się obrazić, że Roan traktuje ją jak wynajętą pomoc domową, gdyby nie przypuszczała, iż stara się za wszelką cenę odsunąć od niej Claya. Ta myśl była tak intrygująca, że Vickie stała nieruchomo przez chwilę i patrzyła za mężczyznami, gdy wychodzili przez siatkowe drzwi. Potem potrząsnęła głową i wzięła się do roboty. Włożyła zapiekankę do ROAN Jennifer Blake

243

kuchenki mikrofalowej, a gdy się podgrzała, postawiła ją na stole.

Poszła po Roana i Claya, ale na ich widok przystanęła w drzwiach. Gdy tak leżeli rozwaleni na leżakach i popijali piwo, stanowili idealny przykład dwóch serdecznych kumpli. Jake właśnie wrócił. Zsiadł z motoroweru, wykrzyknął pozdrowienie

i dołączył do nich. Vickie pomyślała, że emanuje z nich poczucie trwałości i bezpieczeństwa, bo znajdują się w miejscu, do którego przynależą i dobrze o tym wiedzą.

Nagle przez męskie głosy przebił się cichy dzwonek. Roan

/ obrzydzeniem uniósł ręce, a potem wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni koszuli. Wstał i odszedł kilka kroków na bok. Zadał parę krótkich pytań, od czasu do czasu kiwał głową

i odpowiadał. W końcu szybkim ruchem wyłączył telefon i odwrócił się do kuzyna i syna.

- Na żelaznym moście zdarzył się okropny wypadek - powiedział. - Muszę jechać.

Vickie otworzyła siatkowe drzwi i wyszła na zewnątrz.

- Kolacja jest gotowa, więc może najpierw coś zjesz.

- Nie mam czasu - mruknął, rzucając jej tylko jedno spojrzenie, zanim zwrócił się do kuzyna. - Tam panuje straszny chaos. Samochód pełen nastolatków zderzył się z osiemnasto-kołową ciężarówką wiozącą chemikalia. - Krótko opisał wypadek, dodał kilka słów na temat starego mostu, który, tak jak wiele innych w tym stanie, czekał, aż znajdą się fundusze na

remont, mimo że wciąż zdarzały się tam wypadki.. Potem dodał: - Już wezwano ratowników. Możesz jechać ze mną, skoro nie masz tu samochodu.

- A ja mogę? - spytał Jake, patrząc na ojca oczami pełnymi nadziei.

Clay nie poruszył się, tylko zerknął na Roana.

- A co z Donna? - spytał.

244

ROAN Jennifer Blake

- Jake tu zostanie. Każę też przyjechać Allenowi i czekać,

póki nie wrócę. Na moście potrzebują każdego ratownika, jakiego zdołają wezwać.

- Och, tato! - jęknął Jake. Po jego minie było wyraźnie

widać, jak bardzo chciał wziąć udział w akcji ratowniczej.

- A dopóki Allen nie przyjedzie? - spytał Clay.

- Zaraz tu będzie. To właśnie on do mnie dzwonił. - Roan

pochylił się i podał rękę Clayowi, by wyciągnąć go z leżaka.

Był to niezbyt subtelny sygnał do odwrotu.

- Zabezpieczyłeś się bardzo starannie, co? - Clay postawił

to pytanie rzeczowym tonem i wstał. Vickie wydało się jednak,

że w jego niebieskich oczach rozblęśla iskierka rozbawienia.

Roan nie odpowiedział, tylko okręcił się na pięcie i pomaszerował do radiowozu, stojącego na podjeździe przed domem.

Wsiadł, zapalił silnik i gdy tylko Clay opadł na fotel pasażera, ruszył pełnym gazem.

I tyle zwojowałam, jeśli chodzi o łapanie mężczyzn na haczyk kulinarnych umiejętności, pomyślała Vickie, wracając do kuchni. Roan mógł zjeść później, ale to już nie to samo, bo

zapiekanka nie będzie tak świeża i smaczna jak teraz. Szkoda,

bo zadała sobie mnóstwo trudu, przygotowując farsz i kruche

ciasto, a także creme brulee na deser. Oczywiście zmarnowany

posiłek to nic w porównaniu z ratowaniem życia ludzi, którzy

ucierpieli w wypadku drogowym. Mimo to była rozczarowana.

Naprawdę chciała udowodnić, że potrafi być użyteczna.

Znów zaczęła rozmyślać, czy nie powinna powiedzieć Roa-

nowi o Harrellu, wyjawić mu uczciwie i otwarcie, kim jest,

i co się do tej pory zdarzyło.

Jednak nie odważy się na to, ma bowiem zbyt wiele do

stracenia. Poza tym nie zniosłaby pogardy w oczach Roana,

jaką by w nich zobaczyła, gdyby się dowiedział, że tyle czasu

go okłamywała.

ROAN Jennifer Blake

245

Z drugiej strony, od kiedy jego opinia tak się dla niej liczy?

I dlaczego w ogóle się liczy?

Co za bzdura! Jego zdanie nie ma dla niej żadnego znaczenia. Oczywiście, że nie.

Potrząsnęła głową i postawiła na stole kolację dla Jake'a

i dla siebie. Chłopiec, który nadal się dąsał, że go tu zostawiono, wziął talerz i poszedł do pokoju.

Vickie nalala sobie kieliszek merlota, wzięła z lodówki sałatę i usiadła przy stole, by zjeść w samotności to, co z taką radością przygotowywała

dla Roana.

W słoneczny sobotni poranek Vickie obudził głośny warkot.

Brzmiał tak, jakby ktoś jeździł w kółko po podjeździe samochodem o wielkiej mocy, przyspieszał, potem dławił sinik, i wsłuchiwał się w jego pracę. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła

/ łóżka i szybko ubrała się w szorty i koszulkę.

Na podjeździe stał super bird Roana. Ten jego Plum Crazy

Purple był naprawdę piękny, wysmukły i wymuskany, a lakier

lśnił w słońcu jak śliwka Santa Rosa. Prezentował się tak samo

idealnie jak w dniu, w którym zjechał z taśmy produkcyjnej

i stanowił świadectwo ogromnej troski, z jaką obchodzono się

z nim od tamtego czasu.

Roan stał z głową ukrytą pod uniesioną maską. Gdy Vickie

obeszła dom i zbliżyła się do niego, usłyszał szelest żwiru.

Wyprostował się i odwrócił do niej.

Gdyby nie to, że znajdował się przed swoim domem, mog

łyby go nie poznać, wydawał się bowiem dużo młodszy i bardziej beztroski. Miał na sobie obcięte džinsy, które spłóziały prawie do białości, a postrzępione nitki zwiślały mu na muskularnych udach, podarty podkoszulek z obciętymi rękawami i stare, gumowe sandały. Jego włosy były wilgotne i potargane,

a nie, jak zwykle, starannie uczesane. Widocznie po myciu tyl-

ROAN Jennifer Blake

ko przeczesał je palcami. Na silnych ramionach lśniły krople potu.

Vickie nigdy nie widziała, by uprawiał jogging, zaś w domu

nie było sprzętu do gimnastyki, a to oznaczało, że siłę zawdzięcza ciężkiej pracy. Była pod wrażeniem, gdy przesunęła wzrokiem po jego długich nogach, minęła wąskie biodra i płaski brzuch, aż wreszcie zatrzymała spojrzenie na szerokiej piersi.

- Dzień dobry - powitał ją, przeciągając słowa, i uniósł pytająco brwi.

Zaczerwieniła się ze wstydu, bo Roan przyłapał ją, jak się w niego wpatrywała. By to ukryć, podeszła do niego, zajrzała pod maskę i natychmiast zapomniała o zażenowaniu.

- 426 Hemi - szepnęła i cicho zagwizdała. - Założyłabym się, że naprawdę fruwa.

Nie odpowiedział. Cisza trwała tak długo, że Vickie uniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Patrzył na nią ze zdumieniem.

Jednak gdy ich spojrzenia się spotkały, zamrugał powiekami i potrząsnął głową.

- Kiedyś na torze rozpędziłem się do ponad trzystu kilometrów na godzinę i na szybkościomierzu nie starczyło skali.

Bo, jak może wiesz, na torze NASCAR ścigaliśmy się właśnie super birdami. Przednie szyby z włókna szklanego nie wytrzymały i darły się na strzępy.

Vickie postukała kostkami palców w s z y b ę . '

- Tym wtedy jeździłeś? - spytała.

Zmrużył oczy, pewnie dziwiąc się jej wiedzy

- Przez jakiś czas.

- Jak go zdobyłeś?

- Wygrałem.

- Żartujesz!

Pokręcił przecząco głową i na czoło spadł mu kosmyk włosów.

ROAN Jennifer Blake

247

- Jak to się stało?

Jego oczy rozbliły srebrzyście, gdy opowiadał jej o tamtym lecie, które spędził z kuzynami na torze NASCAR. Swoją samochód nazwali Tornado, bo ciągle się obracał wokół własnej

osi, ale i tak zdobyli główną nagrodę, właśnie tego super birda.

- Widziałam na strychu zdjęcie z wyścigów - powiedziała,

gdy zamilkł, by złapać oddech.

- Kane był w kombinezonie, prawda? To on zawsze prowadził, podczas gdy Luke i ja zajmowaliśmy się serwisem technicznym.

- Tak więc byliście mechanikami. - Uśmiechnęła się na

tę myśl.

- Prawdziwymi mistrzami - sprostował, ujmując się pod

boki. - Luke prowadził ciężarówkę z przyczepą, chociaż wła

ściwie wszystko robiliśmy na zmianę.

- Kane i Luke pozwolili ci wziąć super birda? Muszą być

wspaniałymi facetami.

- Są najlepsi, chociaż ich splaniałem.

Oczywiście, że zapłacił. Nie należał do ludzi, którzy biorą sobie coś cudzym kosztem. Z jakiegoś niejasnego powodu ta myśl spowodowała u Vickie skurcz żołądka. Odwracając się, by znów zajrzeć pod maskę, powiedziała:

- No, mistrzu mechaniki, sądząc po zapachu, trzeba tu coś .
poprawić.

- W gaźniku? - Otarł się o nią ramieniem, gdy pochylał się obok niej.

- Zapal jeszcze raz, jeśli mi nie wierzysz.

- Och, wierzę ci, bo sam też to zauważyłem. - Spojrzał na nią. - Ale skąd ty się znasz na samochodach wyścigowych?

Co mu odpowiedzieć? Powinna coś wymyślić, czy też udawać, że wróciła jej odrobina pamięci? By zyskać na czasie, rzuciła mu swoje najlepsze, pełne konfuzji, spojrzenie.

248 ROAN Jennifer Blake

- Nie jestem pewna. Prawie wydaje mi się...

- Co takiego? - Oparł się o zderzak i cierpliwie czekał.

- Wydaje mi się, że miałam podobny samochód, tyle że czerwony, i był tam też... mężczyzna.

- To możliwe - mruknął pod nosem. - I co jeszcze?

Spokojny ton jego głosu był jak przyjacielskie zaproszenie do zwierzeń, dzięki temu miała odwagę kontynuować.

- Jakoś tak to widzę... Chyba dostałam go na urodziny, gdy byłam nastolatką.

Miała szesnaście lat, a samochód był czerwonym jak wóz strażacki oldsmobilem 1969 z białym odsuwającym dachem. Ojczym dał go jej z poczucia winy, albo

może po to, by ją przekupić, gdy zamknął matkę w eleganckim sanatorium. Wiedział, że uwielbiała chodzić na wystawy klasycznych samochodów

i pewie pomyślał, że to jest sposób na to, by przyznała, że postąpił z jej matką najlepiej jak tylko było można. Niczego nie osiągnął, ale długo trwało, zanim sobie to uświadomił.

- Czy to właśnie ten mężczyzna, o którym wspomniałaś, nauczył cię wszystkiego o gaźnikach?

Był trenerem tenisa w klubie. Przystojny, opalony, miał

duże powodzenie u kobiet, a już zwłaszcza u młodych głupich dziewczyn. Zniszczył zarówno jej ufność, jak i samochód. I to, i to rozbił w drobny mak, gdy prowadząc po wariacku po Key West Causeway, wypadł z drogi na pobocze. Tego jednak nie mogła Roanowi powiedzieć. Spojrzała w bok.

- Kto wie? - mruknęła.

- Właśnie.

Czy ten lakoniczny komentarz oznaczał, że Roan uwierzył

w jej kłamstwo, czy też wręcz przeciwnie? Tego nie była pewna, ale wiedziała jedno: posunęła się wystarczająco daleko. Je

żeli nie będzie ostrożna, powie Roanowi Benedictowi wszyst-

ROAN Jennifer Blake

249

ko. Jak razem z Markiem wymieniali amortyzatory na mocniejsze, rozmontowywali silnik, wymieniali tłoki na wykonane ze specjalnych stopów, a nawet przeszlifowywali głowicę silnika dla zwiększenia jego mocy. Mark miał wszystko, o czym może marzyć każdy mężczyzna: urodę, doświadczenie, związane w porządy koński ogon długie, wybielone słońcem włosy, cudowne turkusowe oczy i mnóstwo wolnego czasu. A ona miała jego. Przez kilka krótkich tygodni.

- To był ten facet, dla którego powiększyłaś sobie piersi?

Szybko podniosła wzrok, przestraszona, że Roan potrafi

wysnuwać wnioski z tych niewielu słów, które się jej wymknę

ły. Naprawdę musi zacząć doceniać jego instynkt. I oczywiście,

w pewien sposób miał rację. Powiększyła sobie piersi tego samego roku, podczas ferii bożonarodzeniowych.

Przez długą chwilę wytrzymywała jego spojrzenie, patrząc

mu w oczy. W jego twarzy dostrzegła wyraz tolerancji i akceptacji ludzkich słabości. Sam traktował siebie z wielką surowo

ścią, ale od innych nie wymagał, by byli doskonali.

Nagle znenawidziła barierę, którą zbudowali między nimi

jej kłamstwa. Pragnęła powiedzieć mu wszystko, cokolwiek

tylko chciałby wiedzieć... ale nie mogła tego zrobić. Ta świadomość bolała. Pomyślała też o tym, że wkrótce będzie musiała odejść od Roana i na myśl o tym w oczach wezbrały jej łzy.

Czekał na odpowiedź, lecz Vickie mogła tylko wzruszyć

ramionami, szukając jednocześnie innego tematu do rozmowy.

Szybko go znalazła, bo cały czas nurtowało ją pytanie o termin przyjazdu Harrela.

- A więc masz wolny dzień - powiedziała, odwracając się,

by znów zajrzeć pod maskę. - Rozumiem z tego, że w Turn-

-Coupe nic się dzisiaj nie dzieje, żadnych kradzieży, morderstw, pogrzebów ani defilad policji?

- Nie dzisiaj.

250

ROAN Jennifer Blake

Był ponad wszelkie wyobrażenie małomówny, musiała więc dokonać jeszcze jednej próby.

- Czyżby nie wydarzyło się nic podniecającego?

- No dobrze, zastanówmy się. Bobby Crofton rąbnął syna

Joego Myersa w nos, gdy grali na podwórzu w piłkę, wskutek

czego ich matki zaczęły się szarpać za włosy, a ojcowie wymienili obelgi i wymierzili sobie kilka kopniaków. Babcia Bobby'ego, która akurat podlewała ogródek, była tak zdegustowana tym spektaklem, że skierowała mocny strumień wody na ten cały tłumek, przez co drobna potyczka zmieniła się w

prawdziwą walkę toczoną w błocie. Libby Meyers nie tylko

upadła i ubrudziła białe dżinsy, lecz także zrujnowała sobie

nową trwałą, więc oskarżyła starą damę o napad i...

- Bujasz.

- Naprawdę tak było. Przysięgam z ręką na sercu. - Roan

spojrzał roześmianymi oczami na Vickie. Stali tak blisko siebie, że czuła ciepło jego ciała. Otoczył ją zapach ziołowego szamponu, którego używał, zmieszany z zapachem oleju silnikowego. Zajrzała mu w oczy i w jego źrenicach ujrzała swoje odbicie.

Budziły się w niej jakieś instynktowne emocje, chociaż wiedziała, że nie powinna się im poddać, bo ani jemu, ani jej nie wyszłoby to na dobre. Patrzyła na Roana, a jej myśli podążały

dziwnymi ścieżkami. Jak by to było kochać się z nim? Czy

to możliwe, że również w sypialni dozna tego wszechogarniającego szczęścia, które teraz czuje w jego obecności? Czy może śmiać się z nim i żartować, ufać mu, mimo że ich po

żądanie staje się coraz bardziej gorączkowe, a ona sama ma

przecucie, że grozi jej najgorsze z niebezpieczeństw? Gdzieś

w zakamarkach jej umysłu, powoli rodziła się pewność, że

owszem, jest to możliwe.

Była to tak bardzo kusząca myśl, że prawie słyszała, jak

ROAN Jennifer Blake 251

w jej głowie biją na alarm dzwony. Jeżeli pójdzie za głosem

serca, może się to dla niej bardzo źle skończyć.

Wyciągnęła rękę, by musnąć palcami maskę auta, nawo-

skowaną i wypolerowaną tak, że lśniła jak lustro.

- Może gdy po jeziorze zacznie pływać kasyno, ludzie dostaną pracę i nie będą już mieli czasu na

awantury - powiedziała. - Czy w tej sprawie słyhać coś nowego?

- Niedługo kilka grubych ryb ze świata hazardu przyjedzie

porozmawiać z ojcami miasta. Chcą też sprawdzić, czy można

przyspieszyć referendum.

Nareszcie.

- I, jak przypuszczam, ty również będziesz uczestniczył

w tych rozmowach. Kiedy przyjeżdżają?

- Za dwa dni.

A więc zostało jej bardzo niewiele czasu, tak naprawdę tyle,

co nic. Musiała szybko wymyślić jakiś plan uciezki. Uświadamiając sobie nagle, że samochód, przy którym właśnie stoją, może się okazać użyteczny, jeszcze raz przesunęła palcami po

masce.

- Gdzie trzymasz to swoje cudo, że zachowało się w tak

idealnym stanie? - spytała z wymuszoną nonszalancją, jakby

wracała do poprzedniego tematu.

- W stodole - odrzekł Roan z zimnym błyskiem w oczach.

- Pod kluczem.

Powinna była wiedzieć.

Ich uwagę przyciągnął warkot motoru. Odwrócili się, by

zobaczyć ogromny srebrzysto-turkusowy domek na kółkach,

który właśnie skręcał na podjazd. Potoczył się ku nim i zatrzymał obok super birda, a boczne drzwiczki otworzyły się z sykiem. Z pojazdu wysiadł mężczyzna i ruszył w ich stronę.

Był wysoki i szczupły, ciemne włosy miał przyprószone

srebrem, a szerokie ramiona i wąskie biodra nadawały mu wy-

gląd mężczyzny o połowę młodszego niż w rzeczywistości.

Oczy, patrzące przenikliwie spod krzaczastych brwi, były szare, a uśmiech rozjaśniał opaloną twarz.

- Nic mi nie mów! - wykrzyknęła Vickie. - Wiem, że to jeszcze jeden Benedict.

- Ta dama zasługuje na nagrodę! - roześmiał się nowo przybyły. - Sam też chętnie bym wypił filiżankę jawańskiej kawy, skoro już o nagrodach mowa. Jechałem bez odpoczynku od chwili, gdy otrzymałem twoją wiadomość, czyli prawie całą dobę.

- Cokolwiek sobie życzysz, Pop - powiedział Roan, podchodząc do ojca i obejmując go niedźwiedzim uściskiem.

- Dobrze znów mieć cię w domu.

- Tak, jasne, musiałeś to powiedzieć po tym, jak odciągnąłeś mnie od najśłodszej kobietki, jaką ostatnio poznałem.

- Starszy pan walnął syna w ramię i odstąpił o krok.

- Powinienem być wiedzieć, że masz kogoś na oku.

- Tak, powinieneś wiedzieć, bo życie mnicha nie jest w stylu Benedictów. No, może większości z nas. Lecz mniejsza z tym. Jeżeli właśnie to jest ta dama, z której powodu zwołujesz klan, to rzeczywiście było warto wrócić.

- Zwołał cały klan? - spytała Vickie, unosząc brwi. Clay był tu jeszcze raz, a wczoraj po południu wpadł Luke i przez chwilę rozmawiał z Jakiem, gdy ona ucinała sobie drzemkę.

Czy te wizyty miały jakiś cel?

Roan ograniczył się do machnięcia ręką w jej kierunku,

nie zwracając żadnej uwagi na pytanie ojca.

- Pop, poznaj Donnę - powiedział.

Ojciec Roana najwyraźniej był człowiekiem, który w ciągu

długiego życia dobrze nauczył się oceniać ludzi. Przesunął

wzrokiem po całej jej postaci tak szybko i nieznacznie, że Vickie ledwo zdążyła to zauważyć. W jego spojrzeniu nie było ROAN Jennifer Blake

253

nic lubieżnego, jedynie baczna ocena tego, co widzi. Jeżeli

spozregł monitor na jej kostce, był na tyle uprzejmy, by nie

zatrzymywać na nim wzroku.

- Donno, miło mi cię poznać. - Ujął jej rękę i podniósł

ją do ust. W jego ciemnoszarych oczach, tak podobnych do

oczu syna, widać było podziw.

- Dziękuję, panie Benedict - powiedziała, a potem zaczer-

wieniła się na myśl, że wdzięczność za uprzejme powitanie to

absurdalne uczucie.

- Mów do mnie Pop. Wszyscy tak mnie nazywają.

Coś w jego galanterii i ciepłym uśmiechu spowodowało,

że chciała okazać się równie miła.

- Przykro mi, jeżeli przeze mnie musiałeś zmienić swoje

plany.

- To żaden kłopot.

- Wykorzystałem cię, by go ściągnąć do domu - wyjaśnił szybko Roan i uśmiechnął się do ojca. -
Bardzo długo tym razem cię nie było.

- Ot, tylko parę miesięcy - zaprotestował ojciec.

- Wyjechałeś zaraz po Bożym Narodzeniu. To wystarczająco długa nieobecność, żeby jutro urządzać zebranie rodzinne i powitać cię w domu.

- Tak myślisz? - Pop spojrział na niego z uwagą. - A więc

to z mojego powodu odbędzie się narada rodzinna? Czy też

chodzi ci o kogoś innego?

- Trzeba trochę ożywić to miejsce - wyjaśnił Roan.

- Wiesz, że Donna nas zadziwiła któregoś dnia swoją umiejętnością gotowania? Zrobiła wspaniałą zapiekankę w kruchym cieście.

- *Creme brulee* - skorygowała Vickie. Komplement bardziej by ją ucieszył, gdyby nie podejrzewała, że Roanowi głównie zależało na skierowaniu rozmowy na inny temat. Wydawało 254 ROAN Jennifer Blake

się jej, że Pop również spostrzegł tę taktykę. Zmrużył oczy w

sposób tak podobny do tego, jak to robił jego syn, że Donna

z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- *Crime brulee*? Och, no to musi być mistrzynią kuchni,

a nie tylko zwykłą kucharką - stwierdził. Puścił jej rękę, którą do tej pory trzymał, objął ją za ramiona i skierował się do

domu. - A skoro już o tym mowa, po prostu umieram z głodu.

Zaprzyjaźnimy się podczas śniadania. Co ty na to?

- Zaprzyjaźnimy się?

- Oczywiście. Jeśli tylko potrafisz usmażyć przyzwoity

omlet, natychmiast cię zaadoptuję i przyjmę do klanu.

Vickie spojrzała na Roana, ciekawa, jak przyjął te słowa.

Przysięgłaby, że na jego twarzy zobaczyła zadowolenie... ale

to przecież było niemożliwe, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rodzinne spotkanie zostało zaplanowane w mgnieniu oka.

Zanim Vickie zdążyła się zorientować, już przydzielono jej przygotowanie kurzych piersi w czosnku i jeżynowej leguminy, a zaraz potem rozjazgotał się telefon. Kuzynki i żony kuzynów wszystkich stopni pokrewieństwa dzwoniły z pytaniem, jakie potrawy mają przynieść.

Najczęściej telefony przyjmowali Pop albo Jake, ale od czasu do czasu również Vickie załatwiała sprawę. Słyszała ciekawość w głosie dzwoniących kobiet, gdy uzgadniały swój wkład w przyjęcie, ale żadna z nich nie spytała wprost, dlaczego Vickie została włączona w wir przygotowań do zgromadzenia klanu Benedictów, zamiast siedzieć w więzieniu, gdzie było jej miejsce. Mogłaby pomyśleć, że przed takimi

pytaniami chroni ją jej chłodny ton, ale wiedziała, że nie o to chodzi. Gdy usłyszała, jak Roan, jego syn i ojciec rozmawiają

przez telefon, zrozumiała, że szacunek wobec nich oraz ochronny kordon, który wokół niej rozciągnęli, każe wszystkim omijać ten temat. Gdy w rozmowie wspomniano o niej, ich głosy stawały się ostre i niechętne. Nie zachęcały do stawiania pytań, a gdy już one padły, nie odpowiadali na nie. Pop i Jake, pomyślała, postępowali tak, ponieważ ją polubili, a także dlatego, że szli za przykładem Roana. Dlaczego jednak Roan nie chciał

nic o niej mówić, to była już zupełnie inna sprawa.

Zastanawiała się nad tym długi czas, lecz nie mogła znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Czy to po prostu kwestia zasad?

ROAN Jennifer Blake

A może ktoś w mieście miał mu za złe, że trzyma ją w Dog

Trot, więc musiał udowodnić, że nie stanowi to żadnego niebezpieczeństwa? A może po prostu bronił swojego domowego sanktuarium?

Przyszła jej do głowy również inna przyczyna: Roan mogt

jej używać jako przynęty na Gburka i Gapcia. To z całą pewnością wyjaśniałoby tę niezwykłą czujność, jaką szeryf nieustannie okazywał.

Kłopot polegał na tym, że z Roanem absolutnie wszystko

było możliwe. Jak prawdziwe jest to stwierdzenie, przekonała

się jeszcze raz, gdy późnym popołudniem zbierała jeżyny na leguminę. ,

Krzaki rosły niedaleko domu, wzdłuż drogi za stodołą, ale dalej niż mogłaby pójść, nie wzbudzając alarmu. Roan zgodził się, by tam poszła i jakoś załatwił sprawę nadzoru. Wkrótce potem pojechał do miasta, zostawiając Jake'a, by pomógł jej zbierać jeżyny, a Popa postawił na straży.

Pop powiedział jej, że jeżyny zasadzono w latach pięćdziesiątych w miejscu, gdzie przedtem znajdował się duży kuchenny ogród i sad. Wprawdzie Roan od czasu do czasu peł tam chwasty, lecz żadnych innych zabiegów tam nie robiono. Krzaki były ogromne, wyrosły na splątaną masę kolczastych gałęzi z owocami we wszystkich stadiach dojrzewania, od zielonych

przez czerwone do tak czarnych, że niemal smolistych. Vickie

już czuła na języku ich słodko-cierpki, rozgrzany słońcem

smak. Wielkie jak śliwki i słodkie jak ambrozja jeżyny wspaniale nadawały się na leguminę.

Vickie i Jake zrywali je w przyjacielskim milczeniu, wokół

nich latały pszczoły, a od czasu do czasu zaskrzeczała sojka,

broniąca swojego gniazda osadzonego wśród gałęzi. Chwilami

powiew wiatru przynosił słodki zapach jerychońskich roz rosnących na zbutwiałym pniu. Stary ogród chroniły od słońca ROAN Jennifer Blake 257

wysokie drzewa, ale mimo to panował tu upał. Vickie było

gorąco, czubki palców miała purpurowe od soku jeżyn, a ręce

podrapane przez ciernie, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Z

radością wyrwała się z czterech ścian, cieszyła ją też obecność

Jake'a,, i to, że wreszcie jest użyteczna. Doznawała prawie nieznanego jej dotąd uczucia szczęścia.

Kiedy ostatnio czuła takie niemal euforyczne zadowolenie?

Nie pamiętała tego. Jeżeli kiedykolwiek tak było, to na pewno

dawno temu. Nie chciała jednak myśleć o przyczynach, dla których wiodła tak żalosne życie, a przynajmniej nie teraz i nie w najbliższej przyszłości.

Jej koszyk nie był jeszcze napełniony nawet do połowy, gdy z podjazdu dobiegł warkot silnika domku na kółkach. Pop dokądś pojechał. Spojrzała pytająco na Jake'a.

- Pop chyba nie zrozumiał - powiedział Jake, wskazując w stronę odjeżdżającego pojazdu. Miał na myśli to, że ojciec Roana programowo ignorował fakt, że Vickie przebywa w Dog Trot w charakterze aresztantki. Ona również to zauważyła i było jej z tego powodu miło.

- Wcześniej mówił coś o tym, że musi porozwozić zaproszenia - przypomniała sobie.

- Tak. Najpewniej jedzie do domu Kane'a poplotkować z jego dziadkiem, Cromptonem. Słyszałem, jak umawiał się przez telefon. Ale nie przejmuj się, tato niedługo wróci, a stary Beau ostrzeże nas, gdyby ktoś chciał się tu wkraść.

Jake miał dobre intencje, ale skoro Beau rozwalił się w cieniu i uciał sobie drzemkę, trudno było czerpać pociechę z jego obecności. Zresztą Vickie przecież nie o to chodziło. Ważne było to, że nikt jej nie pilnował, bo Allen i Cal nie przyjeżdżali w weekendy, a jej monitor został wyłączony. Nie mogła sobie wymarzyć lepszych warunków do ucieczki.

Jedyne, czego jej brakowało, to środka transportu, ale znaj-

258

ROAN Jennifer Blake

dzie go w stodole. Musiała tylko wymyślić, jak się do niego dostać.

Wplątanie Jake'a w jej ucieczkę nie wchodziło w grę, bo już wiedziała, że nie będzie działał przeciw ojcu. Gdyby się zorientował, że próbuje uciec, najprawdopodobniej postara się ją powstrzymać, a Vicky nie była pewna, czy jest dosyć silna, by z nim walczyć. Mógłby też poszczuć na nią Beau, a mimo że pies bardzo ją polubił, był wytresowany tak, by ślepo słuchać rozkazów.

Zbierając jeżyny, walczyła z niemiłymi myślami. Czas uciekał, a jej umysł był jak sparaliżowany. W rozpacz przyszło jej do głowy, że chyba popadła w obłąd, skoro zastanawia się, czy w ogóle odejść z Dog Trot. Powinna po prostu wziąć się w garść i uciekać, a wszystkie problemy rozwiązywać po kolei, w miarę jak będą się pojawiały.

Czego naprawdę potrzebuje, żeby uciec? Kluczy do stodoły i kluczyków do samochodu. Roan, po umyciu i nawoskowaniu swojego cacka, znów zamknął auto w stodole, a przed wyjazdem do miasta zmienił szorty na spodnie. Klucze mogą nadal być więc w kieszeni jego spodenek.

Powinna to sprawdzić, by zaś tego dokonać, najpierw musi znaleźć jakąś wymówkę, która pozwoliłaby jej się oddalić od Jake'a.

- Mój kosz staje się trochę za ciężki. Trudno mi go nosić bez urażenia ramienia - zawołała do chłopca, który zrywał jeżyny trochę dalej. - Pójdę go opróżnić, a przy okazji przygotuję dla nas jakieś zimne picie.

- Dobrze! - odkrzyknął Jake takim tonem, jakby myślał o czymś innym.

Spokojnym krokiem ruszyła w stronę domu. W kuchni wsypała jeżyny do miski, a potem popędziła do sypialni Roana.

Szorty i koszula, które nosił rano, nie leżały w żadnym

widocznym miejscu, pewnie więc Roan wrzucił je do kosza na

brudną bieliznę. Wątpiła, by klucze nadal tam były, lecz nie zobaczyła ich ani na biurku, ani na blacie toaletki, ani w żadnej z kilku szuflad, które przeszukała. Stała pośrodku pokoju i rozejrzała się, próbując powstrzymać narastającą frustrację.

Szafka nocna? Oczywiście!

Kilka minut później siedziała już w fotelu super birda, z jedną

ręką na kluczyku włożonym do stacyjki. Drzwi stodoły stały otworem. Nogę trzymała na sprzęgle, a drugą rękę na kierownicy. Musiała tylko przekręcić kluczyk, wrzucić bieg i odjechać.

Lecz nie mogła tego zrobić.

Roan wziął ją do swojego domu, chociaż wcale nie musiał

tego robić, narażając tym własnego syna na niebezpieczeństwo.

Opiekował się nią, bronił i traktował niemal jak członka rodziny. Gdyby teraz uciekła, zachowałaby się wyjątkowo podle i zdradziecko. Wystawiłaby go na krytykę wszystkich ludzi,

których znał, może nawet straciłby stanowisko. Musiałby ją

ścigać. Gdyby ją schwytał, a na pewno tak by się stało, byłby

zmuszony oskarżyć ją o próbę ucieczki.

Poza tym, dokąd właściwie ma jechać? Z powrotem do

ojczyzny? Wtedy Harrell zmierzyłby się z nią na Florydzie,

zamiast tutaj. Nadal musiałaby dać sobie radę z kłamstwami

i machinacjami, tyle że tam byłaby sama.

Vickie wypuściła kluczyk z ręki i osunęła się, by położyć

głowę na oparciu fotela. Z ponurą miną patrzyła na swoje odbicie w bocznym lusterku. Zrozumiała, że tym razem chce uciekać od własnych gier. Gdyby na samym początku powiedziała prawdę, nie musiałaby odjeżdżać. Żaden Benedict nie wpakowałby się nigdy w takie położenie z powodu kłamstw.

To nie był ich sposób na życie. O ile łatwiejsza, na dłuższą

metę, jest prosta droga uczciwego człowieka.

Wiedziała, co teraz powinna zrobić: iść do kuchni po ko-

ROAN Jennifer Blake

szyk i wrócić do zbierania jeżyn, a potem postarać się, by w jej umyśle wyryła się każda minuta, którą jeszcze spędzi w Dog

Trot, bo niedługo potrwa ta jej niezwykła więzienna idylla.

Tak musi być i nic tego nie zmieni.

Nagle drzwiczki samochodu gwałtownie się otworzyły.

Roan stał z jedną ręką zaciśniętą na klamce, drugą oparł na dachu samochodu.

- Wybierasz się dokądś?! - spytał ochryple.

- Jak widać, nie - odparła, odwracając powoli głowę, by

napotkać pełne gniewu spojrzenie jego szarych oczu. - Bo gdybym się wybierała, już by mnie tu nie było.

Przez długą chwilę trwali nieporuszeni. Żadne się nie odzywało. W końcu Roan powiedział spokojnie:

- Ale myślałaś o tym.

- Jeżeli myślenie jest zbrodnią, wszyscy ludzie byliby recydywistami... ale masz rację - dodała. Coś ją popychało, by wypróbować metodę Benedictów i stawić czoło kłopotom, które wydawały się być nieuniknione. - Chciałam odjechać. Przeszukałam twój pokój, żeby znaleźć klucze, chociaż teraz jest mi z tego powodu przykro.

- Co cię powstrzymało?

Zwilżyła usta, próbując znaleźć w sobie odwagę, by powiedzieć mu o wszystkim, ale ostatecznie powiedziała mu zaledwie połowy prawdy.

- Odkryłam, że nie mam dokąd uciec.

Milczał przez chwilę.

- I co teraz? - spytał.

- Chciałabym wrócić do zbierania jeżyn - odparła, uśmiechając się niepewnie. Wysiadła z samochodu. - Chyba że masz jakiś inny pomysł.

Patrzył na nią surowo i długo milczał. Już myślała, że rozkaże jej iść do domu, lecz on powiedział ostrożnie: ROAN Jennifer Blake

261

- Mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy ci się spodoba.

- Co takiego? - Czekwała, patrząc na niego badawczo.

Cicho westchnął, potrząsnął głową i odstąpił o krok, by zrobić jej przejście.

- Nieważne. Wiesz, że straciłaś pomocnika?

- JaKe'a? Dlaczego?

- Właśnie dlatego wróciłem do domu. Musiałem go posiać do Kane'a, bo Pop wystraszył jedno z kociąt cioci Vivian, gdy podjeżdżał swoim domkiem na kółkach. Słyszac warkot silnika zwierzątko uciekło na drzewo. Ciocia zadzwoniła do nas, bo się bała, że Pop spadnie z drzewa, ratując kociaka. Prosiła, żeby Jake przyjechał i zdjął to biedactwo z gałęzi.

Wydawało się, że Roana zirytował ten dodatkowy kłopot, którego wcale dziś już nie potrzebował, ale Vickie zdążyła go dobrze poznać i wiedziała, że wcale tak nie jest. Ludzie nie dzwoniliby do niego tak często z prośbą o pomoc, gdy nie lubił jej udzielać. Owszem, na tym polegała jego praca, ale również miał to w swoim charakterze. Demonstracja niechęci służyła tylko temu, by ludzie nie zorientowali się, jak łatwo jest nim manipulować.

Był takim porządnym człowiekiem. Czy rozumiałby, jak ona czuje się samotna i przerażona, gdyby potrafiła mu to opowiedzieć? Czy zapanowałby nad

złością i przebaczył jej kłamstwa, jakimi przez ostatnie tygodnie go częstowała? Czy poczucie honoru pozwoliłoby mu udzielić jej pomocy, czy też by ją opuścił?

Aż do bólu pragnęła się tego dowiedzieć. Odczułaby taką ulgę, gdyby mogła się przed nim otworzyć i wreszcie stać się sobą. Tak wspaniale byłoby nareszcie powiedzieć mu o wszystkim...

Byłoby... Lecz nie będzie.

Patrzył na nią. Musiała wymyślić jakiś żarcik, zanim spyta,

262

ROAN Jennifer Blake

o czym teraz myśli. Spojrzała na jego niepokalanie czysty mundur, w który się przebrał przed wyjazdem do miasta.

- Więc kto zastąpi Jake'a? - spytała. - Ty?

- Nie zebrałaś wystarczająco dużo jeżyn? - mruknął niechętnie.

- Na leguminę dla całego klanu potrzeba ich naprawdę du

zo - poinformowała go. Ciekawa była, jak sobie da radę, by

się nie posmarować sokiem i nie spocić przy tak niewdzięcznym zajęciu.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, wyraźnie świadczyło, że wie,

o czym pomyślała, ale się nie sprzeciwił.

- Im szybciej zaczniemy - powiedział, idąc w kierunku

krzaków - tym szybciej skończymy.

Kilka minut pracowali w milczeniu. Słońce paliło tak samo

mocno, pszczoły były tak samo zapracowane, ale powietrze

niemal wibrowało od napięcia. Czy emanowało ono z niej, czy

z Roana? A może z nich obojga?

Wreszcie Roan przerwał milczenie.

- Jak Pop się od tego wymigał? Myślałem, że legumina

z jeżyn była jego pomysłem.

- Niezupełnie, chociaż ją uwielbia.

- A ty chętnie naraziłaś się na ataki węży i udar słoneczny,

żeby mu sprawić przyjemność? Polubiliście się, prawda?

- Pop jest kochany - odparła swobodnie. - Poza tym jak

mogłabym nie polubić mężczyzny, który obiecał, że kupi mi

bieliznę, przybory do makijażu i wszystko, czego potrzebuję?

- Sam chciałem cię zabrać do sklepu, ale właśnie postanowiłaś wybrać się na przejażdżkę - oświadczył.

Vickie podejrzewała, że Roan celowo nie sprawił jej żadnego ubrania, traktując to jako jeszcze jedno zabezpieczenie przed ucieczką, ale nie miała ochoty z nim dyskutować.

- W każdym razie - kontynuowała - twój tato jest inny.

ROAN Jennifer Blake 263

To dobry człowiek i w ludziach widzi tylko to, co najlepsze,

i dzięki temu wszyscy starają mu się pokazać z najlepszej strony.

Popatrzył na nią, a potem cicho się roześmiał.

- Wiesz, że chyba masz rację.

- Przykro ci, że musiałeś mi to przyznać, prawda? - Zerwała owoc jeżyny i wrzuciła go do jego koszyka. - Już nie mogę się doczekać, kiedy poznam resztę Benedictów, żeby

przekonać się, jacy są.

- Niektórzy wspaniali, inni tacy sobie, a jeszcze inni to

prawdziwe wrzody na... To znaczy, są okropni, jak to się dzieje

we wszystkich rodzinach.

Ucieszyło ją, że powstrzymał się od wulgarnego słowa. Stawiało to ją na innej płaszczyźnie, nawet

jeżeli sama w chwilach zdenerwowania używała słów, które zaszokowałyby pirata.

- Uwielbiam słuchać, jak rozmawiacie ty, Jake i twój tato.

Czujecie się ze sobą tak dobrze.

- Nie jesteś przyzwyczajona do takich stosunków?

Unikała jego wzroku, nie chcąc, by zobaczył ból w jej oczach.

- Chyba nie. Może dlatego, że nie mam wielu krewnych.

- Skąd wiesz?

- Bo chyba by mnie szukali, prawda? - Paul Vandergraff

już na pewno zastanawia się, gdzie ona jest, a może nawet

trochę się niepokoi, jednak za długo chodzili osobnymi ścieżkami, by mogła między nimi powstać rodzinna bliskość.

Roan przez chwilę stał w milczeniu, a potem sięgnął po

jeżynę rosnącą zbyt wysoko, by Vickie mogła ją zerwać.

- Ciekawe, jaki jest twój dom i jakie życie w nim pędziłaś

- odezwał się.

Z żalu aż jej się ścisnęło gardło. Nie miała nic, co mogłaby

z nim dzielić, nic, co mogłoby stanowić pomost między nimi.

264 ROAN Jennifer Blake

- Może nigdy się tego nie dowiem - powiedziała w końcu.

- Będzie tak, jakbym się na nowo narodziła tu, w Turn-Coupe.

Popatrzył na nią badawczo, jakby bał się sarkazmu z jej

strony, a potem spojrzał na jej bluzkę i szorty.

- Naprawdę? Nie wyglądasz na osobę stąd, nawet w tym przebraniu.

- Sądzę, że mogłabym zamieszkać - stwierdziła, czerwie-

nać się. - Zaczynam lubić życie na wsi. Świeże jarzyny, zwierzęta, wolne przestrzenie...

- Lecz jest też mnóstwo roboty, chyba że się ma dużą rodzinę, na którą zwali się większość swoich obowiązków.

- To znaczy tak liczną, jak Benedictowie?

- To znaczy mnóstwo dzieci. No wiesz, mam na myśli

takie stworki, co to wdrapują się na zasłony i zrywają je oraz

pasjami podkradają cukier. Małe ludziki, pętające ci się cały

czas pod nogami, wyjadające ci wszystko z talerza, żądające

bez przerwy mrożonej herbaty...

- Ach, chodzi ci o te małe szkodniki. - Ten zabawny opis

jeszcze jakiś czas temu mógłby ją zwieść, ale teraz słyszała

w głosie Roana czułość i tęsknotę. Mimo wszystko musiał być

szczęśliwy, gdy Jake był mały.

- Twoje dzieci będą piękne, o gładkiej skórze i wielkich

czarnych oczach - mówił Roan na poły z zadumą, na poły z

niechęcią. Chyba zapomniał, że ma zbierać jeżyyny.

- To będzie też zależało od ich ojca - zażartowała, unikając jego wzroku.

- Na pewno... Prawda?

Mówił jeszcze ciszej, a ukryte znaczenie jego słów przestraszyło ją. Czyżby czytał w jej myślach? Czy też tylko sprawdzał, jak głęboko jest oczarowana opowieścią o dzieciach. Za głęboko, zdała sobie sprawę z nagłą jasnością. Wizja dzieci

niemal wprawiła ją w trans, ale wiedziała, że nigdy nie będzie

ROAN Jennifer Blake 265

mogła cieszyć się spokojnym życiem w Dog Trot, łowieniem

ryb na jeziorze, pracą w ogrodzie i przynależnością do tej tak

licznej rodziny. Nigdy nie wejdzie do klanu Benedictów.

To się nigdy nie stanie. Niezależnie od muru, jaki jej kłamstwa zbudowały między nimi, za bardzo się różniła od Roana.

Nie potrafiłaby się tu zaaklimatyzować. Roan zaś dla niej nie zdecydowałby się na opuszczenie swojego domu i społeczności, w której tak go szanowano. Było to nieosiągalne marzenie, tak samo nieosiągalne jak te dojrzałe jeżyny, które rosły zbyt wysoko, by mogła po nie sięgnąć.

Weszła głęboko w kolczastą plątaninę, bo zobaczyła tam wyjąłowo wielką jeżynę. Prawie już ją miała, ale zabrakło kilku centymetrów. Podeszła jeszcze bliżej, a wtedy twarda, sucha gałąź uderzyła ją w ramię. Owoc ciągle jej się wymykał, bo nie mogła utrzymać równowagi, przyciskając do siebie chorą rękę. Wsunęła się jeszcze dalej w gęstwinę.

Sandał na gumowej podeszwie ześliznął jej się z nogi, zachwiała się i poczuła w ramieniu kłujący ból, gdy kolec rozorał jej skórę. Krzyknęła.

- Nie ruszaj się! - zawołał Roan z tyłu.

- Nie mogę... -jęknęła, ale nie zdołała skończyć zdania.

Roan przedarł się przez gałęzie, gołą ręką odepchnął kolczaste pędy. Zanim zdążyła odetchnąć, wyciągnął ją z plątaniny i postawił na ziemi. Potem wzmocnił uścisk na jej ramieniu, pochylił się, podjął ją pod kolana i uniósł, mocno przytulając.

Ten kontakt był tak niespodziewany, i tak bliski, że przebiegł ją dreszcz. Lekko się odchyliła i położyła rękę na piersi Roana, jakby chciała go odsunąć. Jej poplamione sokiem

z jeżyn palce zostawiły purpurową plamę na wykrochmalonym

brunatnym materiale jego koszuli. Zabawne, ale wcale nie wydawało się, by Roan przez to utracił cokolwiek ze swojej schludności i elegancji.

Vickie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Twój mundur...

- Nie szkodzi - powiedział. - Co z twoim ramieniem?

- Nic mi się nie stało, ale te plamy od soku mogą nie zejść w praniu.

Uśmiechnął się, chociaż jego oczy patrzyły posępnie.

- Wiele rzeczy nie schodzi w praniu.

Nie chodziło mu, rzecz jasna, o ślady soku z jeżyn. Vickie wiedziała o tym, ale postanowiła tego nie komentować.

- Postaw mnie. Mogę sama iść.

- Te cholerne sandały Jake'a są na ciebie za duże. - Okręcił się na pięcie i ruszył w stronę domu.

- Roan, jeżyny!

Zawrócił i podniósł koszyk.

- Oszczędzam twoją energię - wyjaśnił, ponownie ruszając do domu. - Nie powinnaś zresztą zbierać jeżyn tak długo.

Jeszcze jest na to za wcześnie.

- Dziękuję, doktorze Benedict, ale sam wiesz, że nie masz racji. Doktor Watkins mówi, że mogę robić wszystko, na co pozwolą mi odzyskiwane siły.

- To wiele oznacza, prawda?

Oczywiście miał rację. Mogła robić nawet rzeczy, o których pewnie nie pomyślał.

- Wydaje mi się, że lubisz mnie kontrolować - powiedziała z gniewem. - Chcesz, żebym była znów w domu i pod kontrolą monitora tak, abyś przez cały czas wiedział,

gdzie jestem.

- To prawda - odrzekł, patrząc jej w oczy.

Przynajmniej był uczciwy. Nie wiedząc, co mu na to odpowiedzieć, opuściła rzęsy, sięgnęła do koszyka, wyjęła jeżynę i włożyła ją do ust. Słodko-cierpki smak pobudził jej zmysły.

Wzięła następną jeżynę, i jeszcze jedną. Jedząc, nie musiała

ROAN Jennifer Blake

267

z nim dyskutować, mogła po prostu zatonać w silnych ramionach i płonących szarych oczach.

Powodowana impulsem, wybrała najbardziej soczystą je

żynę z koszyka i włożyła ją Roanowi do ust. Chwilę się wahał,

ale wreszcie ją wziął. Gryząc owoc, zwolnił kroku, ale nie

spuścił wzroku z jej twarzy. Rysy miał napięte, całą siłą woli

starał się nie ulec pożądaniu. Vickie spuściła wzrok, a jej serce tłukło się jak oszalałe.

Owoc zostawił małą purpurową plamkę na dolnej wardze

Roana. Patrzyła na nią jak zahipnotyzowana i gorąco zapragnęła przywrzeć do niej ustami...

Niczego nie planowała, to po prostu stało się samo. Poczwała

przymus i nie miała żadnego wyboru. Musiała położyć ręce

na mocnym karku Roana i przyłgnąć ustami do jego warg.

Miał napięte mięśnie, pochylał głowę sztywnymi, niewielkimi ruchami, jakby nie był pewny, czy spełnienie jej życzenia jest rozsądne. Jednak nie zdołał się przeciwstawić łagodnej presji, jaką Donna na niego wywierała. Potem nagle jego opór ustał.

Pachniał jeżynami i świeżym wiejskim powietrzem, promieniami słońca i upałem. Smakował tym wszystkim i jeszcze czymś, co było po prostu Roanem. Vickie poczuła, jak jego

pierś się unosi, a uścisk wzmacnia. Zaczął ją całować. Aksamitna twardość jego ust wywołała w całym jej ciele rozkoszny dreszcz. Vickie chciała, by tak trwali przez wieczność, niepomni na wszystko, kołysząc się w ciepłe luizjańskiego popo

łudnia, aż wreszcie nadejdzie noc, a z nią koniec świata.

Dlaczego? Czemu ten właśnie mężczyzna tak doskonale zaspokaja jej potrzeby? Dlaczego musi to być tutaj, tak daleko od życia, które zna? Czemu musiała znaleźć go właśnie teraz, gdy wszystko poszło źle?

Na te pytania nie było odpowiedzi. Odsunęła je od siebie

268

ROAN Jennifer Blake

i delectowała się bliskością Roana. I nic więcej jej nie obchodziło.

Roan, niosąc ją, ruszył niespiesznie w kierunku domu. Niedługo znów otoczą ich telefony i inni złodzieje prywatności.

Znajdą się tam, gdzie będzie działał monitor i gdzie stanie się więźniarką.

Odrywając wargi od jego ust, ukryła twarz we wgłębieniu jego szyi. Z ustami przyciśniętymi do jego słonej, aksamitnej skóry, szepnęła:

- Czy musimy wracać?

W odpowiedzi skręcił do stodoły, którą zostawił otwartą,

i znaleźli się w wielkim pomieszczeniu. Szerokie wrota zamknęły się za nimi.

Pachniało tu sianem, zwierzętami, które dawno stąd odeszły, kurzem i myszami, wysuszonym nawozem, rozdrobnionym na pył, olejem silnikowym i oponami. Owady buczały wśród krokwi, a promienie słońca przedostawały się przez

dziury w ścianach, oświetlając purpurową karoserię samochodu,

który lśnił w półmroku jak jakiś gigantyczny klejnot.

Roan postawił Vickie na ziemi i otworzył tylne drzwi samochodu. Nie popychał jej do środka, nie próbował jej do niczego namawiać, tylko czekał na jej decyzję. Wiedziała dobrze, że jeżeli wsiądzie, będzie to oznaczało zgodę na wszystko... ale przecież przysięgła sobie, że każda minuta, jaką jeszcze spędzie w Dog Trot, będzie szczególna...

Przez chwilę patrzyła na Roana, potem odstawiła koszyk z jeżynami i wsiadła do samochodu. Przesunęła się na koniec kanapki, żeby zrobić mu miejsce. Drzwi zamknęły się z takim solidnym i ostatecznym hukiem, że przebiegły po niej ciarki. Nie pomogło, gdy Roan opuścił kilkoma szybkimi ruchami okna, żeby do samochodu mogło wpadać powietrze. Znow za- drażała, gdy sadowił się koło niej.

ROAN Jennifer Blake 269

- Jest ci zimno - zauważył spokojnie, kładąc rękę na jej ramieniu.

Potrząsnęła głową.

- Jest gorąco. Za gorąco.

- Nie aż tak, jak mogłoby być - mruknął ochryple.

- Lubię upała - powiedziała, opierając się o niego. - Dlaczego wydaje mi się, że mogłeś to już robić wcześniej? Może w szkole średniej?

- Ja nie, ale w ostatnich latach nieraz przepłazałem syreną radiowozu nastolatków parkujących w odludnych miejscach.

- Powinieneś się wstydzić - szepnęła, przysuwając się bliżej.

- Jasne, że się wstydzę - powiedział. - W przyszłości dam im trochę więcej czasu.

- Pamiętaj o tym. - Znalazła palcami guziki jego koszuli i zaczęła je rozpinąć, potem zabrała się do wyciągania koszli zza paska spodni. Trochę się odsunął, żeby było jej łatwiej.

Radio, przyłączone do rękawa koszuli, osuwało mu się po ramieniu.

- Co z tym?

- Zdejmij - powiedział z saską satysfakcją w głosie.

- A to? - Odczepiła od paska pager.

- Roan wziął go od niej i rzucił na przedni fotel razem z paskiem, który już zdążył rozpiąć. Potem wyciągnął ręce do Vickie i posadził ją sobie na kolanach, uważając, by nie urazić jej chorego ramienia.

Pogłaskał ją po ręce, potem uniósł jej koszulkę, uważając na opatrunek, który nadal nosiła.

- Ciągle jeszcze cię boli? - spytał.

- Tylko czasami, gdy się zapominam i zrobię coś, czego jeszcze robić nie powinnam.

- Jak dzisiaj?

Potrząsnęła głową.

270

ROAN Jennifer Blake

- Teraz w ogóle mnie nie boli.

- To dobrze - szepnął Roan. Jego oddech musnął jej skórę, gdy nachylał się, żeby pocałować miejsce nad bandażem, a potem obsypał drobnymi, krótkimi pocałunkami wzniesienie piersi. Przyciągnął ją bliżej, aż gorący ciężar jego ciała prawie ją przygniótł. Chwyliła go w pasie i przywarła do niego z całych sił.

Nie wiedziała, skąd bierze się ta jej zuchwałość. Nigdy nie

była agresywna seksualnie, a teraz śmiało sięgnęła po to, czego pragnęła, po prawdziwe życie i miłość, tak do tej pory nieosiągalne... bo po prostu trafiła na właściwego mężczyznę.

Roan był takim partnerem, o jakim zawsze marzyła. Silny,

dobry, uczciwy i troskliwy. Przyciąga! ją z potężną siłą, mimo

swoich niewzruszonych zasad, albo może właśnie z ich powodu. To, że mogła być tu z nim, stanowiło cudowną nagrodę za uwięzienie. Szokowało ją i niepokoiło to nieubłagane pragnienie, by czuć go przy sobie... mieć go w sobie... Zerwała z siebie bluzkę i rzuciła na podłogę.

- Uspokój się - szepnął Roan. - Zrobimy to powoli.

Miał rację. Czas spowolnił swój bieg. Szepcząc i dotykając

się dla zachęty, podróżowali razem, szukając miejsc dostarczających największej rozkoszy. Gorąco i głęboko, dziko i swobodnie. Ich pieszczoty oddaliły ich od wszelkich miejsc i od biegu czasu. Pili nawzajem swoją esencję, wyczuwali każde

zagłębienie i wilgotne, jedwabiste otchłanie. Vickie było tak

gorąco, że zagubiła się w doznawaniu dotyku cudownie wra

żliwej skóry wspaniałego mężczyzny.

Ociężałymi ruchami zdjęli resztę ubrań. Przez otwarte okna

owiał ich lekki wietrzyk i ochodził skórę. Wtedy Roan zanurzył

się w Vickie, spełniając to, o czym oboje, na początku nie

świadomie, marzyli od chwili poznania. Ich ciała połączyły się

w jedno.

ROAN Jennifer Blake

271

- Roan... - To wyszeptane słowo zabrzmiało jak jak najczulsza, a przy tym pełna ekstazy pieśń.

- Donna...

I wtedy ogarnęła ich dzika, niepohamowana miłosna furia.

To wszystko, co w ich duszach i ciałach było piękne i czyste,

objawiło się w swej nieskalanej krasie, a to, co bolesne, umilk

10. Nie był to zwyczajny seks, lecz modlitwa o szczęście, którego życie tak im dotąd skąpiło.

Obanażeni, pierwotni i dzicy, lecz przy tym w jakiś szczególny sposób uduchowieni, znaleźli się w królestwie dostępnym wyłącznie dla istot, które potrafią kochać. Przeszli jego próg i osiągnęli stan, w którym dawanie i branie jest jedynym

prawdziwym cudem wszechświata.

A później, gdy już odpoczywali, ból powrócił. Milczeli,

bo słowa nic tu pomóc nie mogły.

Już niedługo będą musieli się rozstać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Luke i April Benedictowie przyjechali pierwsi, ale Kane

i Regina ze swoim synem, Stephanem, następowali im na pięty.

Z Kane'em przyjechał jego dziadek, Lewis Crompton. Ze starszym panem była oczywiście jego żona, Elise, którą przedstawił z czułą iskierką w pięknych oczach jako swoją pannę młodą. Wkrótce pojawił się doktor Watkins i Pop Benedict zaraz zabrał go na przejażdżkę domkiem na kółkach po to, by omówić jakąś mechaniczną usterkę. Potem nastąpił prawdziwy wysyp gości. Pojawiło się jednocześnie tylu Benedictów, Benedictowych i Benedictówien, że Vickie straciła nadzieję, by kiedykolwiek zdołała zapamiętać ich imiona i stopień pokrewieństwa. Jedynymi osobami, jakie udało się jej wyłuskać z tłumu, to byli Clay i pielęgniarka ze szpitala, Johnnie.

Oczywiście nie było to przyjęcie na jej cześć, lecz z powodu

powrotu do domu ojca Roana. Pop, wyciągnięty ze swojego

pojazdu przez Jake'a, witał gości przy drzwiach, energicznie

potrząsał prawicami mężczyzn i czule obejmował wszystkie

kobiety, które radośnie tłoczyły się, by go powitać. Zresztą

każdy ścisnął każdego, bo wszyscy byli szczęśliwi, że znów

się widzą. Wymieniano nowiny o tych, którzy nie mogli

przyjść, a także o narodzinach, ślubach i zgonach, jakie zdarzyły się w ostatnim czasie.

- Coś okropnego, prawda? - spytał Clay z uśmiechem.

Przepchnął się do kolumny koło drzwi wejściowych, gdzie Vic-

kie znalazła schronienie, i wypił spory łyk piwa z butelki, którą przyniósł ze sobą.

- Co jest takie okropne?

Clay pomachał butelką w kierunku Luke'a i April, którzy rozmawiali z Kane'em i Reginą.

- Przede wszystkim ten dowód płodności Benedictów oraz publiczne okazywanie małżeńskiej miłości.

Oczy mu się śmiały, ale Vickie zauważyła w nich również cień zazdrości. To uczucie nie było jej obce.

- Chyba nie masz im tego za złe - spytała z cierpkim uśmiechem.

- Jasne, że mam. Luke jest tak cholernie szczęśliwy, że aż się chce zgrzytać zębami, a jeśli chodzi o Kane'a i jego słodką Reginę, wygląda na to, że to właśnie oni wynaleźli ciążę.

Mam nadzieję, że ich biedne dziecko okaże się na tyle rozsądne, by jeszcze przez pół roku pozostać w bezpiecznym schronieniu, nim dopadną go jego szaleni rodzice.

- Och, wątpię. - Vickie spojrzała na Reginę, ubraną w elegancki ciążowy strój. Była już mocno zaokrąglona, ale piękna i spokojna. Miała wyjątkowo zdrowy wygląd, jakim często mogą się pochwalić kobiety w jej stanie.

- Tak, chyba masz rację. Myślę że Kane, jako prawnik, postara się o nakaz sądowy, by zmusić dziecko do terminowego pojawienia się na świecie.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze żyje z zegarkiem w ręku?

- Jest równie niecierpliwy jak Regina, która niedawno mówiła, że chciałyby mieć to już z głowy, zamiast czekać całe dwa tygodnie. To jest jak z przyjściem Świętego Mikołaja.

Wszystkich świerzbią ręce, by otworzyć prezenty i zobaczyć, co się dostało.

- Nie zrobili ultrasonografii? - zdziwiła się Vickie.

- Mieliby popsuć sobie niespodziankę?

274 ROAN Jennifer Blake

Taką decyzję zrozumiałoby niewielu znajomych Vickie, bo prawie każdy z nich oczekiwał od życia natychmiastowego spełnienia życzeń. Miło było spotkać mężczyznę, który potrafił cieszyć się oczekiwaniem. Roan też jest taki, pomyślała Vickie.

- A ty? - spytała. - Nie zamierzasz zwiększyć liczebności klanu Benedictów?

_ Boże, moja droga, skąd! Nie jestem żonaty.

- Wiem - odparła cierpkim tonem. - Chodziło mi o to, czy masz kogoś na oku.

_ Nie licząc kobiety, z którą akurat rozmawiam?

Oczywiście - powiedziała dobitnie, a potem sama się zdziwiła, że tak odruchowo go o tym zapewniła. Clay był nie-

' zwykle przystojny, jeżeli lubiło się takich beztroskich mężczyzn, którzy jednak nie byli w jej typie. Ona wolałaby kogoś poważniejszego, stałego jak opoka, kogoś, kto będzie z tobą zawsze i bez względu na okoliczności.

- To znaczy, że upatrzyłaś sobie kogoś innego? - spytał Clay.

_ Co takiego? - Spojrzała na niego, a on puścił do niej

oczko z uśmiechem, dając do zrozumienia, że odkrył jej tajemnicę. Vickie natychmiast uświadomiła sobie, że przed chwilą wpatrywała się w Roana. To zły nawyk, napomniała się. - Nie,

oczywiście, że nie. To byłoby szaleństwo, skoro jestem tylko

więźniarką, prawda?

- Zawsze jednak można sobie pomarzyć.

_ To w niczym nie pomoże - mruknęła pod nosem.

- Słucham?

- Nic takiego.

- Powiedz, co się stało - poprosił.

- Po prostu... czuję się tu nie na miejscu. - Z zażenowaniem odwróciła się, bo wiedziała, o czym pomyślał... ale nie miał racji. Od wczorajszego popołudnia prawie nie widziała

ROAN Jennifer Blake 275

Roana. Szeryf spał w swoim pokoju, a ona w swoim, a dziś

większość czasu poświęciła przygotowaniom do przyjęcia. Stawało się jasne, że to, co się zdarzyło na tylnym siedzeniu super birda, znaczyło dla Roana o wiele mniej, niż sobie wyobrażała.

Ani nie zamierzał rozmawiać o tym, ani tym bardziej kontynuować ich... bliższej znajomości.

- Tak właśnie jest, uwierz mi - próbowała przekonać Cla-

ya, gdy ten milczał.

- No dobrze, ale dziś przecież rozmawiałaś z ludźmi, prawda?

- Z kilkoma osobami. - Wszyscy oni: Roan, Jake i Pop

Benedictowie przedstawiali ją różnym kuzynom i kuzynkom, ale nie miała im wiele do powiedzenia. Nie dziwiła się więc, gdy po paru uprzejmych słowach przyłączali się do rozgadanych grup i natychmiast z ożywieniem włączali się w tok rozmowy.

Obserwowała tych, o których najwięcej słyszała od Roana

i Jake'a, lecz zabrakło jej śmiałości, by do nich podejść. Kane

wydawał się na swój sposób tak samo przerażający jak szeryf,

a jego żona, Regina, olśniewająca rudowłosa piękność z uroczyimi piegami na nosie i oszałamiającym

kompletem kamei, była wprost oblegana przez ciotki, wujków, kuzynki i kuzynów.

Luke'a też otaczano ze wszystkich stron, a jego żona, April

Halstead, znana autorka romansów, ubrana w brzoskwiniowe

jedwabie, pięknie harmonizujące z brązowozłotymi włosami

uczesanymi w elegancki kok, prowadziła tak błyskotliwą rozmowę, że Vickie ani przez chwilę nie sądziła, by mogła jej dorównać. Nawet pan Crompton i panna Elise, ze swoimi mi

łymi uśmiechami i czarującymi manierami, w tak oczywisty

sposób należeli do miejscowej elity i byli tak lubiani przez

wszystkich, że nie odważyłaby się zagadać do nich.

- Chodzi mi po prostu o to, że choć muszę, to nie mam

prawa tu być - dodała z westchnieniem.

276

ROAN Jennifer Blake

- O tym decyduje Roan, prawda?

- Nie sądzę, by specjalnie martwił się moim samopoczuciem. Na pewno nawet nie przyszło mu do głowy, że to, o czym teraz mówimy, mogłoby dla mnie stanowić problem.

- Nie oszukuj się - odparł Clay. - Naszemu Roanowi niewiele umyka, a już zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o ciebie. Na przykład, właśnie w tej chwili zastanawia się, o czym rozmawiamy z takim zapałem i jak mógłby nam przerwać, aby jednocześnie nie zdradzić się, że chce sprawować nad tobą pełną kontrolę. Albo może nade mną.

- Żartujesz! - szepnęła, spoglądając we wskazanym przez

Claya kierunku.

- Nie patrz tam! - ostrzegł ją cicho. - Chyba że chcesz,

by dzielny szeryf przyznał tu jak do pożaru. A może właśnie

o to ci chodzi?

- Powinno się ciebie zamknąć w domu wariatów. Wiesz

o tym? - krzyknęła. Nieważne, że miał rację, ona i tak się do

tego nie przyzna.

- No tak - mruknął. - Dlaczego nikt nie bierze mnie poważnie?

- Biedny chłopczyk. - Ze zdenerwowania zaczęła szczebiotać jak rozkoszna panienska z towarzystwa, co kiedyś robiła znakomicie. - Przypuszczam, że chętnie biorą cię, za co tylko

zechcesz.

Spojrzał na nią zszokowany, a potem drwiąco się uśmiechnął.

- Och, Donno, cukiereczku, kotku, dziecinko, co chciałaś

przez to powiedzieć?

- Nic, zupełnie nic. Czy mogę cię na chwilę przeprosić?

Muszę zajrzeć do pieczeni i porozstawiać na stole półmiski

i salaterki z jedzeniem, które przynieśli goście.

- Tchórz! - zawołał za nią, gdy już odchodziła.

ROAN Jennifer Blake 277

Obejrzała się na niego.

- Zgadłeś - przyznała z uśmiechem.

Zaczęła rozpakowywać naczynia z folii aluminiowej, gdy

do kuchni weszły April i Regina. Vickie się do nich uśmiechnęła, ale nie przerwała pracy.

- Pomyślałyśmy, że może potrzebujesz pomocy - oznajmiła żona Luke'a, obrzucając Vickie taksującym spojrzeniem.

- Tylko powiedz, co trzeba zrobić - poparła ją przyszła

matka, Regina, i uśmiech rozjaśnił jej delikatne rysy.

Vickie poczuła się przez sekundę tak, jakby wreszcie

gdzieś znalazła swoje miejsce, co po raz ostatni zdarzyło

się jej w internacie. Nie była pewna, czy odezwały się jej

najskrytsze marzenia, czy też rzeczywiście te kobiety uwa

żały, że ma z nimi coś wspólnego i wiedziały, że ją i Roana

łączy coś więcej niż tylko relacja więźniarka-strażnik. Zarumieniła się.

- Naprawdę nie wiem. Nie bardzo mogę sobie z tym poradzić - powiedziała. I mówiła prawdę. Była przyzwyczajona do bufetowych przyjęć, organizowanych dla wielkich tłumów,

a jej udział w przygotowaniach na ogół polegał na ustaleniu

menu z szefem firmy kateringowej i wypisaniu czeku.

- To nic takiego - zapewniła ją April. - Po prostu postaw

wszystko na stole, połóż w dostępnym miejscu sztuce i więcej

nie zwracaj sobie tym głowy.

Oczywiście nie było to aż tak proste, ale dużo mniej skomplikowane, niż na początku myślała. Najpierw położyła na stole stos papierowych talerzy, sztuce i serwetki, potem kolejno

ustawiała naczynia z sałatkami, mięsami, jarzynami i deserami.

Kieliszki i szklanki umieściła na osobnym stoliku, by każdy

mógł je sobie wziąć, gdy będzie odchodził od stołu z pełnym

talerzem, nie wprowadzając bałaganu do kolejki. Vickie i April

najpierw zdecydowały, które potrawy wymagają podgrzania,

278 ROAN Jennifer Blake

a następnie wszystko rozstawiły wedle uzgodnionego porządku, natomiast Regina powkładała do plastikowych szklanek kostki lodu i napełniła je herbatą oraz innymi zimnymi napojami.

Przez cały czas prowadziły niezobowiązującą rozmowę, ale

Vickie zauważyła, że April kilka razy spojrzała na nią ze skrywanym uśmiechem. Po kilku minutach, gdy znów ją na tym przyłapała, uniosła pytająco brwi.

- Przepraszam. Nie śmieję się z ciebie - powiedziała April,

potrząsając głową. Właśnie kroić szynkę. - Po prostu ta sytuacja jest zabawna, bo kiedyś przepowiedziałam Roanowi, że się pojawisz.

- Co takiego?

- To było na przyjęciu weselnym Reginy i Kane'a. Dokuczałam Roanowi, że nie jest z nikim

związany. Powiedział, że nie ma na to czasu, a ja zażartowałam, że znajdzie czas,

gdy jakaś kobieta podejdzie do niego i przyłoży mu pistolet

do głowy. Musiałam chyba zwariować.

- Albo Roan - powiedziała Regina ze śmiechem. - Powiedz Donnie, co ci na to odpowiedział.

April spiorunowała ją wzrokiem.

- Och, chyba nie chciałyby tego usłyszeć.

- Właśnie że chcę! - zaprotestowała Vickie. Była naprawdę zaintrygowana.

April zagryzła usta, a potem szybko skinęła głową.

- Powiedział, że każda kobieta, która by tak postąpiła,

wyłądowałyby na plecach. Na to ja odparłam...

- „Może, gdybyś miał odrobinę szczęścia, właśnie tego by

pragnęła" - podpowiedziała Regina, chichocząc.

- I co on na to? - spytała Vickie z niezwykłym spokojem.

- Jeśli dobrze pamiętam, coś w rodzaju: „Miejmy nadzieję!”. - April spojrzała na Vickie. - To był po prostu żart.

- Oczywiście... - Vickie spojrzała na ciasto, które właśnie

ROAN Jennifer Blake

279

odpakowywała. - ... aie jakoś nie wydaje mi się zbyt dowcipny.

Regina podeszła i położyła Vickie rękę na ramieniu.

- Naprawdę jest nam przykro. Wtedy, gdy April mi opowiadała, co Roan powiedział, było to takie nieprawdopodobne, tak niezgodne z jego charakterem, że gdy naprawdę coś takiego

się wydarzyło, zbieg okoliczności wydał nam się po prostu

zabawny. Roan może i wygląda na faceta posępnego, ale jest

najserdeczniejszym i najtroskliwszym spośród wszystkich Be-

nedictów, i bądź pewna, że uwodzenie kobiet za pomocą pistoletu nie jest jego zwyczajem.

- Rzeczywiście, trudno to sobie wyobrazić.

Obie kobiety patrzyły na nią tak serdecznie, że nie mogła się na nie gniewać.

- Jednak myślę, że źle to wszystko rozumiecie. Nie jestem tu z powodu jego zalotów.

- Jeżeli tak sądzisz - powiedziała April, wymachując nożem, - to musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o mężczyznach z rodziny Benedictów.

- Masz rację - przyznała Regina. - Zakochują się szybko

i bez pamięci, a gdy już to się stanie, nie uznają żadnej przeszkody. Zrobią wszystko, by zdobyć kobietę, której pragną, nawet jeżeli muszą w tym celu złamać kilka najświętszych zasad, a nawet prawo.

- Och, daj spokój. Roan Benedict to najbardziej uparty, obsesyjnie szanujący prawo i niezdolny do wybaczenia błędów człowiek, jaki się kiedykolwiek urodził! Nie złamałby żadnego z przepisów nawet wtedy, gdyby od tego zależało jego życie.

- Nie? - powiedziała Regina z zastanowieniem. - Zgodnie

z tym, co mówił Kane, nasz drogi szeryf trzyma cię tu nielegalnie, bo nie wysunięto przeciwko tobie żadnych zarzutów.

A nie zrobiono tego, bo Roan przekonał kuzynkę Betsy, by

280 ROAN Jennifer Blake

nie wносиła oskarżenia. A teraz, gdy już tu jesteś, każe swoim zastępcom pilnować swojego własnego domu, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, co jest najczystsza prywatą, a więc jawnym pogwałceniem prawa. Poza tym stara się ukryć, że całkiem

już doszłaś do sił po zranieniu, żeby nikt nie kwestionował

jego postępowania. Tyle na początek.

- Ale chyba nie ryzykuje stanowiska, prawda? - spytała

Vickie z widocznym lekiem.

- Och, jak wspaniale! - April spojrzała z radością na Reginę. - Ona też wpadła.

- Musisz jednak przyznać, że znalazła się w dobrym towarzystwie.

- Masz rację. - April westchnęła, lecz natychmiast się się

rozpogodziła. - Mówiłam ci, jaki wspaniały pomysł przyszedł

mi do głowy dziś w nocy?

- Wiesz, że nie - odparła Regina, rozcierając zmarznięte

od lodu ręce.

- W jakiś dziwny sposób sytuacja się powtarza. Pamiętasz

historię o czterech braciach Benedictach, którzy jako pierwsi

osiedlili się w Turn-Coupe? Jeden ożenił się z Indianką, która

ich tu przyprowadziła, drugi z rudą Szkotką z rodziny pionierów, trzeci porwał Hiszpankę, która nie była temu za bardzo przeciwna, a ostatni ożenił się z Francuzką, którą znalazł w

lasach.

- No i? - Regina kpiąco mrugnęła do Vickie i wskazała

wzrokiem na skupioną April.

- To przecież jasne jak słońce. Ty zajęłaś miejsce tej Szkot-

ki, która przybyła ze Wschodu, ja jestem tą, która została porwana, a Donna - zakończyła triumfalnie - została znaleziona w lasach, nie wiedziała, kim jest, ani skąd przybyła, zupełnie

jak ta Francuzka.

- Wstrząsające! - roześmiała się Regina.

April nie obraziła się, słysząc kpinę.

- Żartuj sobie z tego, ile chcesz, ale musisz przyznać, że to interesująca teoria.

- Nie muszę, i nie przyznaję. Nawet jeżeli moja praprabacia była Szkotką...

- No widzisz? - ucieszyła się April. - A mój przodek sprzed siedmiu czy ośmiu pokoleń był hiszpańskim kupcem.

Przyjechał do Nowego Orleanu, bo obraził w Hiszpanii jakiegoś granda i postanowił wybrać się w podróż.

- Teraz potrzebujemy już tylko Rdzennej Amerykanki dla jednego z naszych mężczyzn.

- Dla Claya - nie mogąc się powstrzymać, bez wahania stwierdziła Vickie. Zresztą przecież to były tylko żarty.

- Doskonale - pochwaliła ją Regina.

- Indianka może go oskalpować za to, że jest takim latawcem - zauważyła April.

- Kim? - nie zrozumiała Vickie.

- Motylim samcem. No wiesz, facetem, który fruwa od jednej kobiety do drugiej, bo boi się, że któraś na dobre go

złapie. Kiedyś Luke był taki sam. Zresztą Clay często przypomina mi Luke'a, oczywiście z jego kawalerskich czasów.

Teraz jednak Luke naprawdę się ustatkował.

- Co zazwyczaj robią mężczyźni z rodziny Benedictów po

ślubie - powiedziała Regina. - Gdy już się ożenią, stają się

takimi domatorami, że będziesz szczęśliwa, jeżeli uda ci się

choć raz wyjechać z Turn-Coupe, i to na krótko.

- Dziękuję za otrzeżenie - odparła Vickie cierpkim tonem

- ale wątpię, abym kiedyś miała tego rodzaju kłopoty.

April i Regina wymieniły spojrzenia, ale żadna z nich nie

skomentowała usłyszanych słów. Mimo to Vickie, przestraszona, że mogą kontynuować ten temat, skierowała rozmowę na sprawy, które bardziej ją obchodziły.

282

ROAN Jennifer Blake

- Jake coś mi wspomniał o tym, co się wydarzyło zeszłego

lata między tobą a Lukiem, ale nie znam całej historii.

Z iskierką w oku, wskazującą, jak bardzo było to dla niej

ważne, April uraczyła Vickie opowieścią, jak to postanowiła

napisać powieść o Benedictach. Rodzina nie była zadowolona,

że jej dzieje zostaną wzięte pod mikroskop, a już zwłaszcza

niezadowolony był Luke. W tym czasie doszło do jeszcze innych komplikacji. Ich efektem były telefony od zbrojńców, strzały o północy i wybuch na jachcie, co o mało nie zakończyło się śmiercią kilku osób. W końcu Luke, mimo jej gwałtownego sprzeciwu, wywiózł April na bagna za jeziorem, w jedyne miejsce, które uważał dla niej za bezpieczne.

Ton głosu, jakim April opowiadała o dniach spędzonych

na moczarach, wyraźnie świadczył, że doznała tam prawdziwego objawienia. Vickie była absolutnie pewna, że jest to następny przykład pewnego fenomenu, a mianowicie że gdy któryś z Benedictów, łamiąc prawo i dobre obyczaje, uprowadza kobietę wbrew jej najszczerzej woli, tym samym ją uszczę

śliwia.

- No cóż, przez ten nasz pobyt na bagnach Roan stracił

sporo nerwów - powiedziała April. - Musiał wkroczyć w kluczowym momencie i pomóc złapać snajpera, którym okazał

się ktoś, kogo oboje kiedyś znaliśmy.

- Biorąc pod uwagę, jak bardzo poświęca się pracy - stwierdziła Vickie z przekąsem - nie sądzę, by

zrobił to niechętnie.

- No cóż, praca jest jego całym życiem - wyjaśniła April.

- A już w zupełną przesadę popadł, odkąd pobraliście się z Lukiem - zauważyła Regina, marszcząc czoło. - Czasami wydaje mi się, że czuje się... samotny.

- Ma Jake'a i Popa - stwierdziła krótko Vickie.

- Tak, ale nie ma w jego życiu żadnej kobiety.

Vickie zrobiła wszystko, by nie pokazać, jak wielkie wra-

ROAN Jennifer Blake

283

żenie zrobiła na niej ta uwaga i natychmiast skupiła się na wyjmowaniu ciasta z plastikowego pudełka.

- No to niech sobie kogoś poszuka. Na pewno niejedna kobieta chętnie zostałaby żoną szeryfa - odezwała się po chwili.

- Kiedyś Roan mi powiedział, że kobiety wprawdzie nie są mu obojętne - rozmyślała April na głos - ale nie ma dla nich zbyt wiele czasu. Poza tym chyba je onieśmiela, zwłaszcza te trochę młodsze.

- Boże, tylko nie to! Jakaś młoda trzpiotka po tygodniu doprowadziłaby go do obłędu. Co nie znaczy - dodała Vickie pospiesznie - że interesują mnie romanse Roana.

- Oczywiście, że nie - przyznała April z poważną miną.

- Z całą pewnością - zawtórowała jej Regina.

Starannie unikały swoich spojrzeń, bo z trudem utrzymywały powagę.

Wreszcie zaprosiły gości do poczęstunku. Jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki natychmiast ustawiła się długa kolejka

i nie minęło wiele czasu, a wszyscy z pełnymi przysmaków

talerzami rozeszli się w poszukiwaniu jakiegoś wygodnego kąta, by w spokoju delektować się smakołykami. Największe zagrożenie stanowiły dzieci, które, niczym wataha oszalałych wilcząt, w towarzystwie kilkunatu psów biegały po całym domu.

Wreszcie umęczone matki łowieckim sposobem zdołały osaczyć swoje pociechy, wysłały je do łazienki, by umyły ręce, i usadziły do poczęstunku. Ktoś zawołał, że jeszcze nie odmówiono modlitwy i zapadła cisza, poświęcona nabożnemu skupieniu.

Potem nastał czas względnego spokoju, gdy wszyscy w skupieniu poświęcili się jedzeniu. Jedynymi dźwiękami, poza szcękaniem sztućców i stukotem lodu w szklankach, były pochwały kierowane pod adresem kucharek. Donna też usłyszała 284

ROAN Jennifer Blake

wiele słów uznania, najpierw za pieczeń z piersi kurcząt, a potem za ciasto jeżynowe z domowymi lodami waniliowymi.

Usiadła w pobliżu panny Elise i pana Lewisa, i spojrzała

na Roana, który właśnie zaczynał jeść ciasto z jeżynami. Ona sama nawet tego ciasta nie spróbowała, bo słodki zapach jeżyn przywoływał wspomnienia, od których robiło jej się gorąco.

Roan włożył do ust pierwszy kęs i zamknął oczy... a chwilę później znów je otworzył i popatrzył na Vickie. Jego spojrzenie było zamglone, a twarz blada. Odwrócił się i odstawił talerzyk na stół.

Jego też nawiedziły wspomnienia.

Najwcześniej skończył jeść Clay, głównie dlatego, że jako jeden z pierwszych przedtem się obsłużył. Odstawił talerz, wziął gitarę i zaczął śpiewać popularne ballady country and

western i stare ludowe piosenki. Głębokim, dobrze wyszkolonym barytonem śpiewał żywo i z humorem. Jego zabawne wykonanie "Myszy w stodole" i „Trudne jest życie farmera" przyciągnęło do niego dzieci, które otoczyły go i błagały o dalsze popisy.

Pozbierano i wyniesiono do kuchni brudne naczynia, ale

nikt jeszcze nie wybierał się do domu. Ktoś poszedł do samochodu po skrzypce, ktoś inny przyniósł akordeon. W salonie odstawiono meble pod ściany i zwinięto dywan, żeby zrobić

miejsce dla tańczących. Vickie zniknęła w kuchni pod pretekstem, że musi posegregować potrawy i włożyć je do lodówki.

Gdy nie miała już absolutnie nic do roboty, weszła na piętro

i usiadła na schodach prowadzących na strych, usuwając się

wszystkim z drogi.

Goście kręcili się po całym domu, pary nastolatków czule

szeptaly po kątach, a starsze kobiety usadowiły się na krzesłach stojących wzdłuż ściany holu i z ożywieniem oddały się plotkowaniu. Vickie wydawało się, że jest przez wszystkich ob-ROAN
Jennifer Blake 285

serwowana i obgadywana. Dla niej naprawdę nie było tu miejsca... i nigdy go nie będzie.

Poczuła ulgę, gdy podszedł do niej Clay.

- Zatańczysz? - spytał.

Gdy spojrzała w jego roześmiane niebieskie oczy, poczuła

pokusę, by przyjąć zaproszenie i włączyć się do towarzystwa.

W końcu potrząsnęła jednak głową.

- Chyba nie.

- Daj spokój. Spod tej długiej spódniczki nie widać monitora, jeżeli to cię krępuje.

Pop Benedict kupił jej trochę ubrań w miejscowym sklepie

i pomyślał o tym, by wybrać długie spódniczki, kryjące monitor. Vickie nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu nosiła rzeczy nie pochodzące od najlepszych projektantów mody, ani

by coś jej się bardziej podobało niż te skromne ciuszki kupione

przez Popa. Jednak jeszcze raz potrząsnęła głową.

- To nie byłoby właściwe.

- Kto by się tym przejmował? Każdemu wolno się bawić.

- Clay czekał z wyciągniętą ręką. - Jeśli chcesz, zostaniemy

tutaj, w holu.

Jak mogła sprzeciwić się tak logicznemu wywodowi? Zresztą nie chciała odmawiać sobie tańca, naprawdę nie chciała.

Cały dzień marzyła o tym, by chociaż na chwilę włączyć się

we wspólną zabawę i stać się częścią tej rodziny. Wiedziała,

że jej marzenie nigdy nie stanie się rzeczywistością, ale nie

mogła nic na to poradzić. Podała Clayowi rękę.

Tańczył dobrze, tak jak się tego spodziewała. Ktoś, kto

tak ładnie gra i śpiewa, po prostu ma taniec we krwi. Entuzjastycznie pogratulowała mu wcześniejszego występu i ze zdumieniem spostrzegła, że się zaczerwienił. Ten brak zblazowania zdecydowanie dodawał mu uroku i jeszcze bardziej go polubiła.

286

ROAN Jennifer Blake

Gdy zaczęli tańczyć teksańskiego walca, ktoś klepnął Claya

w ramię. Vickie podniosła wzrok i zobaczyła Luke'a.

- Och, nie! - zaprotestował Clay, zatrzymując się. - Ty

masz żonę, więc ją zaproś do tańca.

- Już z nią tańczyłem - wyjaśnił Luke. Wszedł między

nich i objął Vickie w pasie. - A teraz ona tańczy z Popem,

który jest honorowym gościem.

- No to idę ustawić się do niej w kolejce - ostrzegł go

Clay.

Luke tylko się roześmiał i zawirował z Vickie, lecz po

chwili uważnie na nią spojrział.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Nie mogłem pozwolić, by Clay adorował kobietę, którą wszyscy się interesują.

- Wątpię, by tak było - odparła obojętnie, unosząc głowę,

by spojrzeć na męża April. - Czuję się jak duch, który nagle

znalazł się na bankiecie.

- Ale piękny duch. Mówię to jako obiektywny, bo żonaty,

sędzia.

- Rozumiem. - Rozbawiła go jego obawa, że mogłaby potraktować ten komplement niewłaściwie.

- Nie chodzi mi o to, że April byłaby zazdrosna, bo dobrze

wie, że nie ma do tego żadnych powodów, ale z Roanem to

zupełnie inna sprawa.

Vickie natychmiast zamieniła się w słuch.

- Przysłał cię, abys mnie rozdzielił z Clayem?

- Niezupełnie. To był mój pomysł, bo nie chciałem, żeby

moi dwaj ulubieni kuzyni rzucili się na siebie z pięściami.

Vickie była już nieco znużona tym, że wszyscy tak bardzo

interesują się jej stosunkami z Roanem.

- Jeżeli nawet Roan tym się przejmuje, to tylko ze strachu,

bym nie namówiła Claya do pomocy w ucieczce z Dog Trot.

- A zrobiłabyś to?

ROAN Jennifer Blake

287

- Dlaczego miałabym się powstrzymać? - spytała, odsuwając się na tyle, by móc spojrzeć Luke'owi w oczy.

- Z uprzejmości, a może z wdzięczności?

- Bo Roan zabrał mnie do swojego domu? Przecież nie prosiłam go o to... Lecz ta rozmowa i tak jest bezprzedmiotowa, bo wątpię, by Clay kiedykolwiek zwrócił się przeciw niemu.

Luke uśmiechnął się z aprobatą.

- Mądra jesteś. A to prowadzi mnie do interesującego

wniosku, że Roan, gdy chodzi o ciebie, musi mieć klapki na oczach, albo postawił się na miejscu Claya i nie jest całkiem pewny, czy ten zdoła się opanować.

- Nie masz racji! - oburzyła się. - On po prostu zabezpiecza się na wszystkie strony.

- No tak, znając Roana, jest to możliwe - uznał Luke _ ale mimo wszystko wątpię.

Najlepszą reakcją było godne milczenie, ale nim cisza stała się krępująca, Vickie wyczuła za sobą jakiś ruch.

- Kuzynie, teraz moja kolej. Już dość długą tańczyłaś z tą panią.

To był Kane, o którym Roan wspominał najczęściej, bo prawie codziennie spotykali się służbowo w sądzie.

- Przecież to jeszcze ciągle ten sam choler... przepraszam... piekielny walc! - wykrzyknął Luke ze złością.

- Przykro mi, ale wykonuję polecenie szeryfa.

- No, widzisz? Mówiłem ci. - Luke krzywo uśmiechnął się do Vickie i wypuścił ją z objęć.

Nie zmieniła zdania o intencjach Roana, lecz mimo to również się uśmiechnęła. Nawet ona zauważyła humorystyczny aspekt tej całej sprawy.

Właśnie w tej chwili skończył się walc i zastąpiła go wolna,

tęskna ballada o kowboju, który zakochał się w kobiecie, słysząc tylko jej głos.

ROAN Jennifer Blake

- To jest o wiele lepsze - zauważył Kane, ruszając do tańca. - No więc, co wolisz? Mam być dyskretny, czy dolać oliwy do ognia?

- Nie wydaje mi się, byś miał jakiś wybór - odparła. Nie udawała nawet, że go nie zrozumiała. - Jeżeli Roan w ogóle komuś ufa, to chyba tylko tobie.

- Tak ci się wydaje? No cóż, pewnie masz rację, bo kazał mi dopilnować, żeby nikt się koło ciebie nie kręcił. Innymi słowy chodzi mu o to, byś jak najprędzej osiadła na koszu, jak jakaś brzydka i niechciana stara panna.

Vickie po prostu się wściekła.

- Twój kuzynek jest po prostu bezczelny! Jeżeli nie chce, by ktoś ze mną tańczył, to dlaczego sam mnie nie zaprosi na parkiet?

- Niestety, rozmawia z burmistrzem. W innej sytuacji na pewno by to zrobił.

Vickie nie wiedziała, że mężczyzna, z którym o czymś dyskutował Roan, jest najważniejszą osobą w mieście.

- Jak to: rozmawiają ze sobą? Jake mówił, że się nie znoszą.

- Wydaje się nam, że ktoś z syndykatu gier hazardowych wśliznął się incognito do miasta, więc wielka parada z lotniska do Turn-Coupe, którą planował burmistrz, nie odbędzie się.

Roana proszono o zorganizowanie policyjnej eskorty, i zgodził

się na to, ale oznajmił, że sam nie będzie uczestniczył w powitaniu gości. Burmistrz uważa, że Roan albo wiedział o przyjeździe tego człowieka, lecz nie zdradził się z tym, albo

też nie wiedział, co oznacza, że nie dopełnił swoich obowiązków. \

- Ten cały syndykat... - powiedziała w napięciu - ...ilu

ludzi do niego należy? To znaczy, ilu tutaj przyjechało?

- Chyba dwóch. Zjawili się w motelu koło południa, przy-

ROAN Jennifer Blake

289

najmniej tak mi powiedziała Betsy. To nasza kuzynka, właścicielka motelu i sklepu. Och, chyba o niej słyszałaś, prawda?

- Spotkałyśmy się, jeśli można tak powiedzieć - odparła

Vickie, myśląc o czymś innym. Prawie nie zauważyła skruszonego uśmiechu Kane'a. W jej głowie panował chaos. Była przerażona. Harrell może już być w Turn-Coupe. Jej czas się

skończył.

A może nie? Może nie zjawił się tu z powodu infomacji

jakie otrzymał od Gburka i Gapcia? Może i tak przyjechałby

do Tom-Coupe ze względu na sprawy związane z kasynem

i właśnie dlatego ci dwaj łajdacy przywieźli ją do Luizjany?

Nagle wejściowe drzwi otworzyły się i do pokoju wbiegła

energiczna kobieta. Zaczęła wylewnie witać się ze wszystkimi

zarazem przepraszając za spóźnienie. Była przyjemnie pulchna,

miała jasne włosy z białymi pasemkami i wyglądała zupełnie

inaczej niż wtedy, gdy Vickie widziała ją ostatnio. Wtedy stała

za ladą sklepu i pełnymi garściami wyjmowała pieniądze z kasy. Kobieta odwróciła się, by zachęcić do wejścia idącego za nią mężczyznę, i tłumaczyła jednocześnie zebranym, że do jej

motelu zawitał gość, który w gorące sobotnie popołudnie nie

miał co ze sobą zrobić.

Gościem tym był Harrell Melanka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Roan denerwował się. Krótko zbył burmistrza, który odszedł, obrażony, a teraz uważał, by się na niego nie natknąć.

Dziś nie był na służbie i nie musiał ponosić za nikogo odpowiedzialności. Stanowiłoby to przyjemną odmianę, gdyby potrafił przestać myśleć o Donnie i o tym, co ona robi, kto z nią jest i o czym rozmawia.

Lecz mimo wszystko została w jego domu. Nie potrafił

podjąć żadnej decyzji, nie mógł spać ani jeść, bo ciągle tylko

o niej myślał. Bez przerwy powracało wspomnienie namiętnych chwil w stodole, i wciąż marzył, by znów wziąć tę cudowną kobietę w ramiona, i kochać się z nią aż do utraty

świadomości.

Nie może się jednak temu poddać. Donna jest jego aresztowaną, kobietą znajdującą się pod jego opieką. Raz się zapomniał, ale to się nie może powtórzyć, bo wtedy sprzeniewierzyłby się swojemu powołaniu, czyli chłodnemu, bezosobowemu spełnianiu obowiązków stróża prawa. Jednak czuł na barkach ciężar winy. Wykorzystał swoją pozycję, by rozkoszować się kobietą, którą nie mogła się przed nim obronić.

We własnych oczach upodobił się do ludzi, którymi najbardziej pogardzał.

A jednak... wspomnienie chwili, gdy Donna tak rozkosznie mu uległa, było słodkie i cudowne, zupełnie jak jeżynowa legumina, którą przygotowała, i tak samo kuszące.

Kobieta i legumina tak się zmieszały w jego umyśle, że sa-

ROAN Jennifer Blake

291

ma myśl o jeżynach wywoływała bolesną tęsknotę. Już nigdy

nie będzie mógł ich jeść, dla własnego dobra musi się bez

nich obyć.

Z zamyślenia wyrwało go jakieś zamieszanie wśród gości.

Odgłosy dochodziły od drzwi, gdzie ostatnio widział Donnę.

Pozostawił ją pod opieką Kane'a, ale kuzyn miał teraz inne troski, bo termin porodu Reginy się zbliżał. Roan spojrzął w kierunku, skąd rozlegały się podniesione głosy.

Donna zastygła w bezruchu przy drzwiach, natomiast kuzynka Betsy przedstawiała gościa, z którym przyszła. Mężczyzna był dobrze ubrany i jak każdy przybysz z wielkiego miasta bardzo pewny siebie, ale po bliższym przyjrzeniu wydawał się

tak samo mało interesujący jak męski model. Rozejrzał się, zobaczył Donnę i otworzył usta, nieudolnie udając niesłychane zaskoczenie.

- Vickie! - wykrzyknął, ruszając do niej z szeroko otwartymi ramionami. - Boże, co ty tu robisz?

Roana ogarnęło poczucie triumfu. Wreszcie dowiedział się, kim naprawdę jest Donna Doe... i natychmiast się przeraził, bo to oznaczało bliskie rozstanie.

Spojrzał na Donnę. Twarz miała tak białą jak bluzka, którą

nosiła, a jej oczy wydawały się ogromne i puste. Było oczywiste, że zna tego dandysa, ale uniknęła jego uścisku, wystawiając obronnym gestem rękę, by nie pozwolić mu zbyt blisko podejść.

Roan ruszył ku nim, a wszyscy szybko ustępowali mu z drogi, wymieniając przy tym ciche uwagi.

- Co tu się dzieje? - spytał, przywołując całą władczość, na jaką mógł teraz się zdobyć.

- Roan, dzięki Bogu! - zawołała Betsy. - Nie zamierzałam nikogo denerwować ani powodować zamieszania, ale gdy pan Melanka powiedział, że nigdy nie widział przyjęcia na cześć

292 ROAN Jennifer Blake

krewnego powracającego z podróży, namówiłam go, by ze mną

tu przyszedł.

- Melanka?

- Harrell Melanka, zatrzymał się u mnie w motelu. Przyjechał z Florydy z...

- Syndykatu hazardowego - skończył za nią Roan ponurym tonem.

- To prawda - oznajmił Melanka, unosząc głowę. - A kim

pan jest?

Betsy głośno się roześmiała, pokrywając zażenowanie.

- Och, Harrell, to nasz gospodarz, szeryf Roan Benedict.

Opowiadałam ci o nim.

Roan odruchowo podał mu rękę, przy okazji testując przybysza. Mężczyzna o silnej osobowości wykonuje krótki, niezbyt mocny, lecz pewny uścisk. Nie zmienia zwykłego przywitania w próbę sił, ani nie czuje potrzeby przekonywania nikogo o swojej wyższości. Roan założył, że Melanka nie należy do tego rodzaju mężczyzn, i miał rację. Uścisk jego ręki był

tak narzucający się i mocny, jakby Melanka chciał coś udowodnić, ale Roanowi to nie zaimponowało.

- Zna pan aresztowaną? - spytał, odstępując krok do tyłu.

- Aresztowaną? - Harrell tak mocno zmarszczył czoło, że nad upiękuszonym przez chirurga nosem zeszyły mu się brwi.

- Tę panią, którą pan nazywa... Vickie. - Zdumiewające, jak trudno było mu wymówić to imię.

- Jeżeli pan ją aresztował, to musiała zająć jakaś okropna pomyłka - powiedział Melanka twardo i agresywnym krokiem podszedł bliżej. - To Victoria Molina-Vandergraff, pasierbica przemysłowca Paula Vandergraffa i dziedziczka włoskich książąt Trentalara. Jest także moją narzeczoną.

Roan poczuł się tak, jakby otrzymał straszliwy cios i przez

długie sekundy nie mógł dojść do siebie. Wiedział, że kobiera

ROAN Jennifer Blake

' 293

którą nazywał Donna, musi mieć gdzieś jakieś własne życie,

ale nigdy nie sądził, że stoi aż tak wysoko w społecznej hierarchii. Stało się jasne, że nikt w Turn-Coupe nie mógłby jej dorównać, a już na pewno nie on.

- Byłą narzeczoną.

To wypowiedziane zimnym tonem sprostowanie wyszło z

ust aresztowanej. Roan wcale się nie zmartwił, słysząc je, ale

wolał nie zastanawiać się, dlaczego. Zresztą nadal był niezwykle oszołomiony.

Potem Vickie zwróciła ku niemu miękkie, orzechowe spojrzenie. Była w nim prośba o wybaczenie, ale i pełna świadomość. Natychmiast zrozumiał, że jego... podopieczna przez cały czas wiedziała, kim jest i co robi.

- Victoria. - Chciał tylko usłyszeć w myślach jej prawdziwe imię, ale ze zdumieniem odkrył, że wypowiedział je na głos.

- Vickie - poprawiła. - Ci, których dobrze znam, mówią

do mnie Vickie.

- Dobry Boże, Vickie! - wykrzyknął Melanka. - Nie mów

mi, że ukrywałaś się pod przybranym nazwiskiem. Nie wiem,

w co grasz z tymi poczciwymi ludźmi, ale to już się skończyło.

Wracamy do domu.

- Nigdzie nie jadę! A już na pewno nie z tobą!

- Kochanie, wiem, że z mojego powodu byłaś trochę wzburzona, ale obiecuję, że to już jest za nami.

- Nie dla mnie.

Roan pomyślał, że już najwyższa pora, by wprowadzić Me-

lankę w sytuację.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział uprzejmie - ale nie
zwolniłem tej pani z aresztu. To ja zdecyduję, czy i dokąd
pojedzie.

- Doprawdy? - spytał Melanka i roześmiał się. - Gdy po-

294 ROAN Jennifer Blake

informuję Paula Vandergraffa, że jego pasierbica jest przetrzymywana w jakimś nędznym
południowym miasteczku, podczas gdy on myślał, że opala się na Riwierze, przyśle tutaj tylu
prawników z nakazami i pozwami, że pan poczuje się jak treningowy worek.

- Ma pełne prawo tak postąpić, ale powinienem pana
ostrzec, że w ten sposób jedynie doprowadzi do tego, że pani
zostanie formalnie oskarżona i trzeba będzie ją zamknąć w
więzieniu.

- A więc nie przedstawiono jej formalnego oskarżenia?

- spytał Melanka, podchwytyjąc to, o czym Roan wolałby nie
wspominać. - No to co właściwie pan usiłuje osiągnąć? Pani

North opowiedziała mi jakąś historyjkę o panu i pańskiej aresztowanej, kobiecie, którą pan
postrzelił, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że chodzi o Vickie. Lecz jeśli to prawda, nie
tylko ją stąd zabiorę, ale również dopilnuję, by z pana piersi
zerwano gwiazdę szeryfa.

Roan tylko się zaśmiał.

- Proszę spróbować. Jednak postawię sprawę jasno. Tak

się pan troszczy o swoją rzekomą narzeczoną, że aż grozi mi

pan procesem, a przecież, gdy przez kilka tygodni nie było

jej w domu, pan nawet nie zainteresował się, gdzie ona przebywa?

- Pan nie zna Vickie. Nieraz już uciekała z domu, nie zostawiając nikomu wiadomości, jednak potem
wracała i znów dobrze się rozumieliśmy.

- To nieprawda! - krzyknęła Vickie. - A przynajmniej...

może i wyjeżdżam od czasu do czasu, ale zawsze dobrze wiedziałam, co robię i w jakim celu tak postępuję.

Ciekawe, dlaczego była z tymi złodziejami w sklepie Betsy, pomyślał Roan, i dlaczego z nimi uciekła? Może chciała w ten sposób odzyskać narzeczonego? Nie podobała mu się ta myśl,

ROAN Jennifer Blake

295

ale była dość prawdopodobna. Jednocześnie poczuł ogromną pogardę do mężczyzny, który ukochaną kobietę publicznie piętnuje jako osobę lekkomyślną i zepsutą.

- Mówi, że została uprowadzona - powiedział spokojnie

- ale nie sądzę, by pan coś o tym wiedział.

- Oczywiście, że nie - odparł Melanka, a na jego twarzy odmalował się ból.

- Więc uważa pan, że jest to niemożliwe?

- Mówię tylko, że nic o tym nie wiem.

- O kradzieży popełnionej wtedy, gdy była z mężczyznami, którzy rzekomo ją uprowadzili, pan też nic nie wie?

- Co za pomysł! Dlaczego miałyby kraść w jakimś tandetnym sklepie skoro jej roczny dochód z majątku matki idzie w miliony? Czy to w ogóle miałoby jakiś sens?

- Miliony? - wykrzyknęła Betsy, a z tyłu ktoś zagwizdał, wyrażając podziw dla tak pięknej fortuny.

- A więc żaden z was nie zgłosił, że zaginęła? Ani pan, ani ten Vandergraff?

- Jak widać, nie - wycedził Melanka.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego nie znalazł jej rysopisu w policyjnych kartotekach.

- I nie wydaje się panu, że to co najmniej dziwne?

- Musiałby pan ją znać.

Melanka mówił protekcyjnym tonem. Chciał, żeby Roan

wyszedł na głupca i poczuł się jak prowincjonalny prostaczek,

ale przeliczył się, bo nie znał swojego przeciwnika.

- Z drugiej strony mógł pan nie zgłosić jej zniknięcia, bo

pani mówi prawdę i nie jest już z panem zaręczona.

Melanka zastanowił się nad tym przez chwilę, potem skinął

głową.

- Rzeczywiście tak to może wyglądać, ale, szeryfie, zarówno pan, jak i ja dobrze wiemy, jak się to wszystko skończy.

296

ROAN Jennifer Blake

Przekazując ją mnie, oszczędzi pan sobie kłopotów. Zabiorę

ją do domu, a tam już jej ojczym może wszystko załatwić.

- Nie! - Vickie podeszła do Roana i położyła mu rękę na

ramieniu. - Roan, proszę!

- Słyszał pan? Nie chce z panem jechać, tak więc nie ma

o czym mówić. A teraz proszę, by pan stąd wyszedł.

Melanka odwrócił się do kobiety stojącej obok Roana.

- Vickie, skarbie, to już zaszło za daleko, nie sądzisz? Wiem,

że mieliśmy małe nieporozumienie, ale daj już temu spokój. Jedź

ze mną do domu, bo tam jest twoje miejsce. Możesz nawet w

ogóle się do mnie nie odzywać, jeżeli nie chcesz, ale gdy już

wrócisz na Florydę, wszystko się jakoś ułoży. Zobaczysz.

- Nie! - powtórzyła Vickie ostrym tonem.

- Słyszał pan - powiedział Roan, podchodząc do niego.

Nagle Melanka podbiegł, chwycił Vickie za chore ramię

i pociągnął do drzwi. Krzyknęła, przyciskając rękę do piersi.

W szeryfie coś pękło. Rzucił się na Melankę i zącisnął palce

na jego ramieniu tak mocno, że ten musiał puścić Vickie, i wtedy prawy sierpowy Roana wylądował na jego twarzy.

Melanka zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę.

Twarz wykrzywiła mu się z wściekłości. Roan zablokował jego

zamaszysty cios, a potem jeszcze raz go uderzył. Melanka coś

mruknął, obrócił się wokół własnej osi, padł z hukiem na próg

- i tak już pozostał.

Roan stanął nad nim, a Melanka wsparł się na łokciu, jakby

spodziewał się następnego ciosu. Gdy to nie nastąpiło, dotknął

swojego nosa i zzieleniał na widok krwi.

- To tyle, jeśli chodzi o słynną gościnność Południowców

- zaśmiał się ochryple, łapiąc oddech.

- Owszem - zgodził się Roan. - Masz dwie minuty, żeby

się stąd wynieść, albo dowiesz się, jak to wygląda, gdy Południowiec ma dość nieproszonego gościa.

ROAN Jennifer Blake ' 297

- Aresztujesz mnie? Wątpię, czy burmistrz by cię pochwalił albo czy spodoba mu się sposób, w jaki mnie potraktowałeś.

- Burmistrz nie stanowi tu prawa.

- Ty też już niedługo będziesz je stanowił. Gdy tylko dobrobyt tego miasteczka zacznie zależeć od kasyna, dopilnuję, żeby twoje miejsce zajął nowy szeryf.

- Świetnie. - Roan pochylił się, podniósł Melankę za poły

koszuli i popchnął go na schodki. - Radzę ci jednak, trzymaj

się jak najdalej od Dog Trot.

Harrell Melanka znów się potknął, ale zdołał utrzymać równowagę. Gwałtownymi ruchami obciągnął ubranie, nienawistnie spojrzął na wszystkich zgromadzonych wokół Benedictów, potem odwrócił się i pomaszerował do samochodu. Wsiadł, z

hukiem zatrzęsnał drzwiczki i ruszył tak ostro, że spod kół

wytrysnął żwir.

- Och, Roan, przepraszam - jęknęła Betsy. - Słowo daję,

że nie wiedziałam, kto to jest. Naprawdę nie chciałam wsadzać

kija do gniazda szerszeni.

- To nie twoja wina - uspokoił ją, a potem nerwowo przeczesał palcami włosy, odwrócił się i spojrzął na Donnę. Nie, nie na Donnę. Na Vickie. Obok niej stała April.

- Zaopiekuję się nią - obiecała. - A ty zajmij się gośćmi.

Nie tego chciał Roan. Najchętniej odesłałby gości do diabła,

a potem wziął Vickie w ramiona i tulił ją, póki nie minie jej

ból. Jednak to by nikomu nie pomogło, a już najmniej kobiecie,

która przybyła tu z wyżyn społecznych, gdzie ludzie mieli

wszystko: pozycję, tytuły i pieniądze.

- Dobrze - mruknął, a potem rozejrzał się po pokoju.

- No, moi drodzy, wracamy do zabawy.

Tak się jednak nie stało. Najpierw wszyscy oddali się plotkom i domysłom, a potem zaczęli zbierać się do wyjścia. Nie minęło pół godziny, a dom Roana opustoszał. Nawet Jake

i Pop skorzystali z zaproszenia Claya i popłynęli motorówką do jego domu na bagnach. Obiecał im świetną zabawę podczas

obserwowania komicznych podskoków malutkiego niebieskiego żurawia, którego uratował od utonięcia i nadał mu imię Kogucik, bo piskłę chowało się wśród kur.

Roan zebrał naczynia i sztuce, wytarł szmatą kilka lepiących się plam na podłodze w kuchni i wyrzucił śmiecie. Gdy już nie mógł dłużej wytrzymać, poszedł do pokoju Donny...

Vickie. Myślał, że będzie spała, bo April dała jej kilka aspiryn, lecz ona siedziała na łóżku z jakąś powieścią na kolanach

i wpatrywała się w ciemność za oknem.

Wyglądała tak cudownie, a przy tym była tak delikatna,

wręcz krucha, i ogromnie samotna. Poczłł dzikie pragnienie,

by zapomnieć o tym, co się wydarzyło, nie pamiętać, czym

jest dobro i zło, odrzucić brzemie swoich obowiązków, i po

prostu położyć się koło niej. Chciał trzymać ją w ramionach,

czuć bicie jej serca, słuchać jej oddechu i nie wypuścić jej z

uścisku aż do czasu, gdy stanie się bardzo starym człowiekiem.

Co za głupiec z niego! Przecież to absolutnie niemożliwe...

Odwróciła głowę od okna i czujnie spojrzała na niego. Milczała.

- Jak twoje ramię? - spytał, zamykając drzwi. - Bardzo

boli?

Potrząsnęła głową.

- Nic się nie stało. Po prostu... potrzebowałam chwili samotności. Czy już wszyscy poszli?

- Tak, wreszcie. - Podszedł do łóżka.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale naprawdę się ucieszyła,

bo, podobnie jak Roan, ona też nie lubiła tłumów.

- Przykro mi, że Harrell zepsuł przyjęcie na cześć twojego

taty - powiedziała po chwili.

- Och, to był gwóźdź programu. - Roan roześmiał się po-

ROAN Jennifer Blake

299

nuro. - Benedictowie jeszcze długo będą dyskutować o tym

przyjęciu. - Zamilkł, a potem wyrzucił z siebie to najbardziej

dręczące pytanie: - Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- O czym? Że byłam zaręczona?

- O tym, że w moim domu mieszkała księżniczka, spała

w wolnym pokoju i myła podłogę w mojej kuchni. Pomyśl,

ile straciłem, nie wiedząc o tym. - Odetchnął, starając się opanować narastający w nim gniew.

- Myślisz, że pamiętałam o tym drobnym szczególe?

- spytała ochryple.

- Pamiętałaś - powiedział ponuro. - Przecież ty w ogóle

nie miałaś amnezji i cały czas dobrze wiedziałaś, kim jesteś.

Przez długą chwilę wytrzymała jego spojrzenie, potem jednak odwróciła głowę.

- Masz rację... chociaż wolałabym nie wiedzieć.

Zaklął cicho. Miał nadzieję, że Vickie zaprzeczy jego następnemu pytaniu, bo to bardzo by mu ułatwiło sprawę-

- Więc co się stało? Pokłóciłaś się z Melanką i uciekłaś z

tymi dwoma bandziorami, którzy cię tutaj przywieźli? Czy też

była to gierka obliczona na to, by twój kochany ojczym zwiększył ci kieszonkowe?

Zacisnęła usta i spojrzała na niego ze złością.

- Mówiłam ci, co się stało! Uprowadzono mnie z plaży

na Sanibel. Gburek i Gapeio zostali wynajęci, żeby mnie porwać i przywieźć tutaj. Z tego, co wiem,

to Harrell im za to zapłacił.

Roan skrzyżował ręce na piersi.

- Po co miałyby to robić?

- A jak myślisz? Mam wielki majątek. Moja matka była

jedyną wnuczką Angusa Bridgema, tego od sieci sklepów.

Mój ojczym dzięki jej pieniądzom zbudował swoje imperium,

dzięki czemu stał się wielkim przemysłowcem. Wszystkim się

300

ROAN Jennifer Blake

wydaje, że cudownie jest być jego pasierbicą, ale on sprawował

nade mną tylko prawną opiekę, póki nie stałam się pełnoletnia,

a od śmierci matki zarządzał moim kapitałem. I tego właśnie

chciał Harrell: przejąć zarząd nad majątkiem. Dlatego był taki

wściekły, gdy zerwałam zaręczyny.

- Więc postanowił się zemścić?

- Oraz upewnić, że nie przeszkodzę mu w zawarciu umowy z ludźmi od hazardu. Wykorzystał moje nazwisko i nasze narzeczeństwo jako gwarancję, że może wpłacić swoją część

pieniędzy, jednak gdy przyszło do spisania umowy, zażądali

mojego podpisu. Harrell wiedział, że nigdy się na to nie zgodzę, więc sfałszował go. Dowiedziałam się o tym, zerwałam zaręczyny i byłam na tyle głupia, by mu powiedzieć, iż zamierzam skontaktować się z jego partnerami i zawiadomić ich, że nie

wchodzę w *ten interes*. Jak się *domyślasz*, *nie był zadowolony*.

- Oddałaś mu pierścionek, bo sprawy finansowe nie uło

żyły się po twojej myśli? Czyli chyba nie kochałaś zbyt mocno.

- Pustka, jaką poczuł w sobie, gdy ją o to pytał, stanowiła

poważne ostrzeżenie, ale wołał je zignorować.

Wrzuciła niechętnie ramionami.

- To fałszerstwo stanowiło najlepszy dowód, że Harrellowi

chodziło tylko o moje pieniądze i że gotów jest zrobić wszystko, by je zdobyć. Lecz to już nie miało większego znaczenia.

Wcześniej się zorientowałam, że nasze zaręczyny były błędem.

Harrell stara się sprawiać wrażenie kogoś, kto sam do wszystkiego doszedł, jest niezależny w sądach i nie dba o opinię innych, ale myliłam się. W chwili, gdy został przyjęty do mojego towarzystwa, stał się bardziej wyniosły niż ludzie pochodzący z rodzin o długich tradycjach. Patrzył na wszystkich z góry, tak że nawet najbardziej afektowany i zarozumiały absolwent Harvardu by mu w tym nie dorównał. Przypominał

mi Paula Vandergraffa. On, mój ojczym i ja... zupełnie nie

ROAN Jennifer Blake

301

pasowaliśmy do siebie. Gdy zamknął moją matkę w eleganckim

sanatorium, znienawidziłam go, ale milczałam, lecz w dniu jej

śmierci postawiłam, że przynajmniej raz w miesiącu będę go

obrażać.

Roanowi nie podobało się ogarniające go uczucie ulgi, mimo to drażył dalej.

- Nie wydaje mi się to najbardziej dojrzałym i skutecznym

sposobem na zemstę - zauważył.

- Masz rację - przyznała natychmiast - ale byłam wtedy

nastolatką... i szybko weszło mi to w nawyk. Zresztą niedawno

doszłam do wniosku, że od nienawiści istnieją lepsze powody,

by żyć.

Z trudem powstrzymał się od pytania, jakie powody ma

na myśli. No cóż, nie będzie uczestniczył w jej przyszłości,

nie wolno mu więc drażnić tego tematu.

- No dobrze, więc Melanka kazał cię uprowadzić, żebyś

nie zaszkodziła mu w interesach. A co miało się stać potem?

- O co ci chodzi?

- Przecież chyba nie zamierzałaś milczeć po odzyskaniu wolności.

- Miałam umrzeć. Ofiary uprowadzeń często giną.

Roan zadrżał, gdy usłyszał w jej głosie śmiertelny spokój.

Musiała żyć w takim napięciu od lat, może nawet od dziecka,

skoro bez wielkich emocji przyjmowała każde zagrożenie. No

cóż, gdy wreszcie wyrwała się z łap bandziorów i pełna nadziei, że jej gehenna się skończyła, ufnie biegła ku niemu, on, dzielny i wspaniały szeryf, strzelił do niej... To straszne wspomnienie zapiekło go żywym ogniem.

Nagle uświadomił sobie, że gdy tak rozkliwia się nad sobą,

Vickie wcale nie jest bezpieczna i nadal potrzebuje jego pomocy. Do diabła, wciąż jest szeryfem... i przede wszystkim nim.

302

ROAN Jennifer Blake

- - Opowiedz mi jeszcze raz o tym porwaniu - zażądał najbardziej spokojnym i oficjalnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. - Chcę znać każdy szczegół od chwili, gdy wyszłaś stamtąd, gdzie, jak twierdzisz, przebywałaś, aż do momentu, gdy z pistoletem w ręku wyskoczyłaś z tej pokancerowanej pół-

ciężarówki. I uważaj, żeby niczego nie pominąć, żadnego drobiazgu. Minuta po minucie, godzina po godzinie. Zaczynaj.

Już.

- Czy to znaczy, że mi uwierzyłeś?

- Jak mogę ci uwierzyć, skoro od tylu tygodni nieustannie

kłamałaś? To, że jesteś bogata, wcale nie dowodzi, że pod przymusem wzięłaś udział w napadzie. Poza tym nie ma żadnego dowodu, że Melanka jest tym, za kogo się podaje. Mogliście

przecież odegrać komedię, dzięki czemu z podejrzanej stałabyś

się osobą godną zaufania i współczucia. Będę musiał to wszystko sprawdzić, zanim uwolnię cię od niektórych zarzutów, a tym bardziej w ogóle je wycofam.

Obdarzyła go cierpkim uśmiechem.

- Cieszę się, że przynajmniej nie wzięłaś za dobrą monetę

słów pierwszego lepszego człowieka, który mnie szkaluje.

- Czyli, twoim zdaniem, jestem głupi, ale nie jestem męskim szowinistą, tak? - Mówiąc to, zbliżył się do niej.

- Mniej więcej - przyznała.

- Możesz sobie o mnie myśleć co chcesz, bylebyś tylko

zaczęła wreszcie mówić. No, proszę. Chcę poznać całą historię

o tym, jak dostałaś się tu z Florydy.

Opowiadanie zajęło jej prawie godzinę. Słowa wypływały

z niej wartkim strumieniem, tak że chwilami stawały się prawie

niezrozumiałe, zupełnie jakby od dawna pragnęła wyrzucić je

z siebie. Roan przez chwilę łudził się, że czekała z tym właśnie na niego, ale zachowywała się ze zbyt wielkim dystansem, aby

było to możliwe. Słuchając, przyglądał się jej twarzy: widział

ROAN Jennifer Blake

303

patrycjuszowski nos, delikatnie ukształtowane usta, wyrafinowane rysy. Powinien był już dawno się zorientować, że jest kimś wyjątkowym. A może i wiedział o tym, lecz uparcie odsuwał to od siebie, z tych samych powodów, dla których nawet teraz nie potrafił uwierzyć w jej niewinność.

W końcu zamilkła i zapanowała cisza. Zastanawiał się nad

tym, czego dowiedział się, łącząc to z tą garścią faktów, które

już znał. Mężczyzna, którego nazywała Gburkiem, telefonował

kilka razy z automatów, ale słyszała tylko odległy szmer głosu.

Czasami gansterzy wspominali o grubej rybie, człowieku, który im płacił, ale nigdy nie wymienili jego nazwiska. Gburek był sprytny, bardziej szczerwany niż się to wydawało możliwe, jeżeli zamierzał ją zabić. Oczywiście proponowała im pieniądze, większe od tych, jakie mieli dostać od rleceńodawcy, i może tylko dlatego jeszcze żyła. Jednak osobną kwestią było to, czy oferowała im dosyć, by rzeczywiście ocalić życie.

Wpatrywała się w Roana z takim napięciem, jakby chciała odczytać jego myśli.

- No i co o tym sądzisz? - spytała w końcu.

- Może i jest w tym trochę sensu, ale niewiele.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Po co miałabym cię teraz okłamywać?

- Żeby uchronić się od więzienia po tym, jak narobiłaś sobie kłopotów, z których nie potrafisz wybrnąć.

- Och, daj spokój. Czy od chwili, gdy mnie tu przywiozłeś, zrobiłam coś, co by sugerowało, że jestem narwaną poszukiwaczką przygód, albo niezrównoważoną psychicznie kobietą, która pasjami strzela do ludzi? Albo przynajmniej z lubością w nich celuje? To czyste szaleństwo! Po prostu z uporem nie chcesz przyznać, że to wszystko wydarzyło się wbrew mojej woli. Że jestem ofiarą, a nie zbrodniarką.

Ujrzał jej oskarżycielskie spojrzenie.

304

ROAN Jennifer Blake

- Masz rację - zgodził się.

Jej napięte rysy rozluźniły się, na policzki wypłynął rumieniec.

- Co takiego?

- Jeżeli ci uwierzę, będę musiał oskarżyć siebie o próbę morderstwa.

- Ty przecież tylko spełniałeś swój obowiązek!

- Jeżeli uznam, że mówisz prawdę - ciągnął bezlitośnie

- muszę pozwolić ci odejść.

- Myślałam, że tego właśnie chcesz. Miałbyś z głowy mnie i kłopoty, jakich ci przysporzyłam. Może nawet załagodziłbyś spór z burmistrzem.

- Wydaje ci się, że obchodzi mnie, co myśli burmistrz, albo że zależy mi na tym, by się z nim pogodzić?

- Pokłóciliście się przez mnie, prawda? A przynajmniej Jake powiedział...

- Jake za dużo mówi - stwierdził Roan z niechęcią. - Szeryfem zostałem dlatego, że wygrałem wybory i nie mam nic wspólnego z burmistrzem Turn-Coupe. On mnie ani nie zatrudnił, ani nie może mnie wyrzucić. Dla zachowania dobrych stosunków mogę iść mu na rękę i robić to, o co prosi, chyba że mam inne zdanie o tym, co jest dobre i korzystne dla miasta i okolicy. Wtedy postępuję po swojemu.

- Nie wiedziałam...

- Tak, ale teraz już wiesz. Zrozum też, że sprawę Melanki i hazardu trzeba będzie rozwiązać niezależnie od tego, czy tu zostaniesz, czy wyjedziesz.

- Tak - powiedziała powoli. - Rozumiem to.

Czy naprawdę rozumiała? Czy wiedziała, że tak długo, jak

długo ten mężczyzna będzie jej zagrażał, on, Roan, zrobi wszystko, by została w Dog Trot, gdzie może może zapewnić jej bezpieczeństwo, natomiast gdy wyjedzie stąd, będzie szalał

z niepokoju o jej życie? Dobrze wiedział, do czego zdolni są tacy ludzie. Mogą znów ją porwać i użyć do tego, by on zgodził się z nimi współpracować. A może tak się stać, gdy Melanka lub ktoś z jego otoczenie dowie się, jak bardzo mu na niej zależy.

- No dobrze - powiedział, jakby wszystko zostało ustalone. I rzeczywiście było, przynajmniej jeśli o niego chodzi.

- Możliwe, że media jutro poznają twoją historię. Jestem pewny, że nikt z mojego biura nic nie powie, ale mnóstwo ludzi snuło domysły na twój temat i zapewne znajdzie się ktoś,

kto z radością powiadomi o tym prasę i telewizję. Może

więc chcesz, aby twoja rodzina dowiedziała się, że jesteś cała

i zdrowa?

- Jeśli chodzi ci o mojego ojczyma, to już do niego dzwoniłam - wyjaśniła cichym głosem. - Wydawało mi się, że to najlepszy sposób na powstrzymanie jego prawników.

- Więc przyjeżdżają, czy nie? Chciałbym wiedzieć, czy jutro do Torn-Coupe przyfruną te wszystkie sępy.

- Paul zgodził się zaczekać, chociaż nie utrzyma ich na

smyczy zbyt długo. Powiedział...

- Co? - spytał Roan widząc, że Vickie nie zamierza skończyć zdania.

Westchnęła.

- Powiedział, że wystarczy, bym rzekła słowo i w ciągu

kilku godzin będę wolna.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Bo byłam pewna, że wreszcie zaczniesz myśleć rozsądnie.

Roan spojrział na nią spod zmrużonych powiek.

- Naprawdę sądzisz, że w to uwierzę?

- Dlaczego nie? Przecież jesteś uczciwym człowiekiem.

- Dziękuję, mam nadzieję, że tak. Jednak nurtuje mnie jedno pytanie. Dlaczego tak długo zwlekałaś z telefonem do Van-306

ROAN Jennifer Blake

dergraffa? Jeżeli on aż się pali, by przybyć ci na ratunek wraz

z całą zgrają prawników, dlaczego tak długo siedziałaś tutaj

i udawałaś amnezję? Czemu pozwoliłaś, by raną twojej piersi

zajmował się doktor Watkins, skoro mogłaś mieć do dyspozycji

najlepszych lekarzy w całym kraju?

- Bo... - Umilkła, zacisnęła usta.

- Bo boisz się, że Vandergraff był w to wszystko wmieszany? - odpowiedział. - Czy chodzi o coś innego? Może podobało ci się, że wszyscy biegaliśmy na wypródkę, by ci

usłużyć, i dbaliśmy o twoje bezpieczeństwo i wygodę?

Vickie uniosła rękę, a potem zmęczonym gestem znów ją

opuściła.

- Jakie to ma znaczenie? Sprawa dobiega już końca. Niedługo wyjadę, a wy wszyscy będziecie mogli wrócić do normalnego życia i zapomnieć o mnie. Ponieważ jednak jakiś czas jeszcze tu pobędę, byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zajął

mi monitor. Nawet ty musisz przyznać, że nie jestem aż tak

zdesperowaną kryminalistką, abyś musiał znać każdy mój ruch.

Wyciągnęła ku niemu nogi w bezwiednie wdzięcznym ruchu. Roan podszedł i wsunął mały palec pod mankiet monitora.

Mimo że tylko sprawdzał, czy nie jest za ciasny i czy dobrze

się trzyma, lecz dotyk jej jedwabistej skóry wprost go oszo

łomił.

Odsunął się gwałtownie.

- Byłbym spokojniejszy, gdybyś go ponosiła jeszcze dzień

lub dwa - powiedział.

- Więc go nie zdejmiesz?

Pokręcił przecząco głową.

Na jej twarzy pojawił się wyraz desperacji.

- No cóż, skoro trzymanie mnie w elektronicznych kajdankach sprawia ci aż tak wielką przyjemność, nie będę ci jej psuła... ale jeżeli dzięki temu wyobrażasz sobie, że w każdej

ROAN Jennifer Blake 307

chwili mnie kontrolujesz, to niezbyt mi się to podoba. Czy

mógłbyś zaspokoić moją ciekawość? Powiedz, dlaczego mnie

unikasz od czasu, gdy razem zbieraliśmy jeżyny?

- Niezbyt trudno się tego domyślić - odparł, cofając się

o kolejny krok i chowając ręce do kieszeni.

- Czyli o czymś nie wiem, bo nie mogę się domyślić. Chyba że zrobiłam coś złego...

- Nie ty - przerwał jej szybko. - Chodzi o mnie. Jestem

szeryfem, a ty moją więźniarką. Wykorzystywanie ciebie jest

nieetyczne.

- Nie pamiętam, żebyś mnie wykorzystywał - odparła.

- Sama tego chciałam.

- Nie mówiłem dosłownie - wyjaśnił, próbując zignorować jej słowa. - Lecz moim obowiązkiem jest zachować dystans, by nie powstało podejrzenie, że wykorzystuję swoje stanowisko...

- Zmuszając mnie do szalonego, namiętnego seksu?

- Jest mi wystarczająco ciężko, więc nie utrudniaj wszystkiego jeszcze bardziej - poprosił, unikając jej wzroku. To była najtrudniejsza rozmowa w jego życiu. Czuł się ogromnie za

żenowany, lecz najgorsze było to, że ogarniało wszechpotężne

pragnienie, by sprzeniewierzyć się wszelkim moralnym przysięgom, jakie w życiu składał.

- Nie przypuszczałam, że coś ci utrudniam. Nie sądziłam

też, że kochając się z tobą, w jakiś sposób mogę na ciebie

wpłynąć. Nawet gdybym tego chciała, i tak nic bym nie osiągnęła, a przecież nie miałam takich intencji.

- Nie, ale to nie wystarczy, by nie brać pod uwagę takiej

możliwości. Muszę unikać wszelkich pozorów, mogących

świadczyć o tym, że na mnie wpływasz. I użyję wszelkich sposobów, by tak się stało.

- Mówisz, że twoim obowiązkiem jest unikać mnie.

308

ROAN Jennifer Blake

- Właśnie - powiedział i z ulgą się uśmiechnął, bo Vickie

wreszcie go zrozumiała.

- W twoim rozumowaniu są dwa błędy - oznajmiła uroczyście i szybko usiadła na łóżku, spuszczaając nogi na podłogę.

Wiedział, że powinien zachować ostrożność, ale przemożna

ciekawość zwyciężyła.

- Mianowicie?

- Po pierwsze, mieszkałam w twoim domu od prawie

trzech tygodnie, i dzięki Calowi wszyscy już podejrzewają, że

miałeś tylko jeden powód, by mnie tu przywieźć. A po drugie...

- Po drugie?

Vickie wstała i podeszła do niego, a jej spojrzenie było

tak bardzo niewinne, że szeryf natychmiast zwietrzył niebezpieczeństwo.

- Nikt teraz na nas nie patrzy - powiedziała cicho.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Roan pomyślał, że Vickie go sprawdza, a przy okazji okrutnie torturuje. Czy nie rozumiała, jak bardzo pragnął przepędzić na cztery wiatry tę cholerną moralność Benedictów? Czy w ogóle miała pojęcie, jak cudowną jest kobietą, i jak działa na niego? Czy wiedziała, że jeszcze nigdy w życiu nie był w tak trudnym położeniu, bo walczyły w nim o lepsze honor i miłość?

Miał nadzieję, że nie wie. Bo jeśli tak, to już przepadł.

- To, czy postępujemy słusznie, nie zależy od tego, czy ktoś nas obserwuje - powiedział drżącym głosem. - To kwestia osobistej uczciwości i nie ma nic wspólnego z tym, czego się chce albo potrzebuje. Należy się zastanowić, co dla wszystkich jest najlepsze, włączając w to ludzi, którzy głosowali na mnie przez te wszystkie lata i dzięki którym jestem szeryfem.

- A jeżeli ty jesteś tym, czego ja potrzebuję, to czy poświęcisz mnie tak samo jak siebie?

Wyciągnęła rękę, dotknęła jego piersi i przesunęła palcami po koszuli. Wydawało mu się, że koniuszki jej opuszki zostawiają na jego skórze gorące ślady.

- Właśnie tak to działa.

- Na jak długo? - Podniosła rękę i przesunęła palcami po zaroście na jego policzku.

- Jak długo będzie trzeba - powiedział, albo tylko tak mu się wydawało. Po prostu odchodził od zmysłów.

- Nie pocałujesz mnie ani nie dotkniesz, nie zabierzesz

mnie gdzieś w ciche miejsce w domu albo na twoje jezioro

lub na bagna?

- Nie. Gdybym to zrobił, kochałbym cię tak długo, aż stracilibyśmy -przytomność.

Spojrzała mu w oczy.

- Podoba mi się ten pomysł.

Pomyślał, że jest to gra, w której uczestniczą oboje.

- Mnie też - szepnął. - Gdybym tylko mógł, zabrałbym

cię na strych, gdzie jest kurz i spiekota, a przy tym tak cicho

i spokojnie, że można usłyszeć, jak w słońcu topią się gonty.

I tam bym się z tobą kochał w południe. Albo o północy zawiózłbym cię na drugi brzeg jeziora, gdzie nawołują się wielkie żaby i krzyczą nury, a księżyc żegluje po niebie, trzymając

nad wszystkim straż. Zabrałbym cię na łódź i kołysałbym się

z tobą na wietrze i falach, aż słońce ozłociłoby swoimi promieniami nasze skóry. Albo poprowadziłbym cię ścieżką między drzewami, aż znalazłbym łoże z sosnowych igieł... Lecz najbardziej chciałbym cię zabrać do mojego wielkiego łóżka.

Trzymałbym cię w ramionach podczas snu, a potem wczesnym

rankiem obudziłbym się przy tobie, i wtedy, o świcie, kochalibyśmy się znowu.

Vickie szepnęła z zachwytem:

- Naprawdę byś to zrobił?

- To nie jest najbardziej wyrafinowany program, ale nic

by mnie bardziej nie zadowoliło.

- Nie potrzebuję wyrafinowanych sztuczek.

Jej ton był tak posępny, że chyba mówiła prawdę.

- Żadnej Wieży Eiffla, żadnego Paryża w deszczu? Nie

chcesz przejażdżek wenecką gondolą albo pachnących lawendą płóciennych prześcieradeł w pięciogwiazdkowym hotelu Mayfair?

- Romans jest tam, gdzie są zakochani. I miłość też.

ROAN Jennifer Blake

311

- Jeżeli właśnie tego się szuka - odpowiedział.

Vickie przez chwilę milczała, przypatrując mu się badawczo.

- Lecz nie wydaje ci się, bym tego właśnie pragnęła?

- Może w tej chwili tak, ale co będzie potem, gdy dni

przesną się od siebie różnić, i noce też, a jedynym podniecającym wydarzeniem może się okazać to, że perski kot starej pani Adams wybrał się na włóczęgę z jakimś dachowcem? Co

będzie, gdy dowiesz się, że w Turn-Coupe nie ma deptaka,

a najlepszy zakład fryzjerski prowadzi kobieta, która uwielbia

batoniki Twinkies, nazwała swój lokal „U Millie” i nie potrafi robić pedikiuru?

- Przeżyłabym to - oznajmiła z lekkim wyzwaniem. - Bo

wolę robić zakupy przez Internet, a swoim pedikiurem od lat

sama się zajmuję.

- To by się nie udało.

- Bo urodziłam się bogata?

- Bo jesteś bogatą kobietą, która zna wielki świat, a ja jestem małomiasteczkowym szeryfem o prowincjonalnych poglądach na życie. Nigdy byś się tu dobrze nie poczuła.

- A ty boisz się, że znów ktoś cię porzuci, więc wolisz,

bym nawet nie próbowała być z tobą - powiedziała i zacisnęła

usta w cienką linię.

- Vickie, to cios poniżej pasa! - Czy trafiła w sedno? Nie

wiedział. Nie łączył jej w myślach z Carolyn i z tym, co zrobiła jego była żona. Przede wszystkim nie miał na to czasu ani

ochoty, gdy w umyśle sklasyfikował ją jako przestępczynię,

ale też zbyt różniły się między sobą, by móc dokonywać porównań. Vickie, mimo całej swojej niepewności i lęków, była wojowniczką, Carolyn nigdy nie walczyła.

- Nie potrzebuję wymyślnych rzeczy i nie potrzebuję zmian - powiedziała. - Natomiast potrzebuję rzeczy i ludzi, którzy się nie zmieniają.

312

ROAN Jennifer Blake

Uwierzył jej, lecz kłopot polegał na tym, że on nie mógł zrewanżować się jej tym samym i też powiedzieć prawdę. Nie może, póki to wszystko się nie skończy... jeżeli w ogóle kiedykolwiek tak się stanie.

- A ja potrzebuję - powiedział ostrożnie - żebyś pozwoliła mi wykonywać moją pracę. Potrzebuję twojego zaufania.

Cofnęła rękę.

- To takie trudne.

Roan odetchnął głęboko.

- To dla nikogo nie jest łatwe, ale bez zaufania nic nie można zrobić.

Chyba nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi, więc wrócił do jej przeszłości.

- Jeśli chodzi o twoje zaręczyny, ciekaw jestem, czy spisaliście umowę przedślubną?

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Słucham?

- Po prostu zastanawiałem się, czy w tej umowie zawarłaś

swój testament albo jakąś inną decyzję, co należy zrobić z twoim majątkiem na wypadek, gdyby coś ci się stało.

- Nie, niczego takiego nie zrobiłam. Harrell sugerował, że powinniśmy ustalić, że nawzajem po sobie dziedziczymy, ale ponieważ było bardziej prawdopodobne, że ja będę żyła dłużej niż on, bo tak wynikało ze statystyk demograficznych, a nie potrzebuję jego pieniędzy, nie widziałam powodu, by to robić.

Roan skinął głową.

- Lecz nie sądziłaś, że on potrzebuje twoich pieniędzy,

prawda?

- Wydawał mi się całkiem dobrze sytuowany.

- Więc kto dziedziczy po tobie? - spytał po chwili zastanowienia.

- Kilka instytucji dobroczynnych i mój ojczym - odparła,

ROAN Jennifer Blake 313

wzruszając obojętnie ramionami, albo przynajmniej udając, że jest jej to obojętne.

- Czy to nie jest trochę dziwne, skoro raczej go nie lubisz?

- Testament spisali prawnicy rodzinni i w zasadzie stanowi kopię ostatniej woli mojej matki. Poza tym, nie mam nikogo innego.

- Ale po ślubie zmieniłabyś testament?

- Oczywiście, zwłaszcza gdyby urodziły się dzieci.

- Tak myślałem - powiedział i wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Wiadomość o wypadku przyszła następnego dnia wieczorem. O tej porze Roan był już w domu, natomiast Pop i Jake wybrali się na cały dzień na ryby z Lewisem Cromptonem

i jeszcze nie wrócili. Roan zadzwonił do Cala, kazał mu przyjechać do Dog Trot, zczekał na niego i dopiero wtedy pojechał.

Miejszem zdarzenia znów był stary żelazny most nad głębokim strumieniem, wpadającym do jeziora. Pojazd runął do wody i leżał na boku zanurzony tak głęboko, że widać było

tylko czerwoną oponę. Gdy Roan się pojawił, samochód holowniczy już tu był, a kierowca właśnie spuszczał linę. Ratownicy zdążyli już parę razy zanurkować. Powiedzieli szeryfowi, że chodzi o czerwonego pikapa z dwoma mężczyznami w środku. O ile zdołali sprawdzić, żaden z nich nie przeżył.

Roan zbadał w świetle latarki ślady hamowania i odłamki,

potem porozmawiał z funkcjonariuszami stanowej policji, którzy robili pomiary. Wyglądało na to, że pikap jechał bardzo szybko i został uderzony z tyłu tak mocno, że przeleciał nad

poręczą. Ślad hamowania był bardzo krótki, co wskazywało

na to, że kierowca nie spodziewał się zderzenia. Odpryski lakieru sugerowały, że sprawca tragedii jechał białym samocho-314

ROAN Jennifer Blake

dem, ale w tej okolicy auta o takim kolorze lakieru stanowiły około czterdziestu procent wszystkich pojazdów, bo jasny kolor nieco chronił wnętrze przed palącym słońcem.

Roan przeczuwał, kim byli pasażerowie pikapa. Wysnuł

swój wniosek po tym, kiedy zobaczył, że w bieżnikach wystającej z wody opony jest błoto, oraz gdy dowiedział się, że pikap jest czerwony, a ofiarami wypadku są dwaj mężczyźni.

Teraz czekał, aż ratownicy wyciągną pojazd z wody.

Gburek i Gapcio? Tak, jak myślał! Rozpoznał ich z opisu

podanego przez Vickie, ale miał także zdjęcie wykonane z filmu wyciągniętego ze sklepowej kamery. Uprawdzili Vickie, a teraz nie żyli. Ktoś nie tylko zepchnął ich z drogi, ale stał

tu wystarczająco długo, by, zanim pikap osiadł na dnie strumienia, postać w jego kieranku kilka serii z automatycznego pistoletu.

Właśnie rozmawiał z jednym z policjantów stanowych o

czasie wypadku, gdy zobaczył na drodze dziupa, który zwolnił

i zatrzymał się na poboczu przy samym moście. Wysiedli z

niego Luke i Kane, a za nimi Pop. Zanim Roan zdążył spytać

o Jake'a, jego syn wyskoczył z samochodu. Wszyscy czterej

podeszli do niego, tak zafascynowani wypadkiem, jakby byli

dziennikarzami, którzy snują się po szosach, wypatrują wypadków, a potem piszą o nich artykuły drukowane przez brukowce.

Luke zagwizdał, Kane zaklął, a Jake zzieleniał na twarzy

i nie wyrywał się, gdy dziadek objął go za ramiona.

- Czy to ci, o których myślę? - spytał Kane, rzucając Roanowi wymowne spojrzenie.

- Tak.

- Masz świadków? - spytał Luke i jednocześnie przesunął

się tak, by zasłonić widok Jake'owi i kobiecie, która właśnie przejeżdżała obok.

ROAN Jennifer Blake

315

- Niestety, nie. No więc, chłopcy, po co tu przyjechaliście?

Odpowiedział mu Jake.

- Wróciliśmy z nad jeziora jakieś dziesięć minut po twoim wyjściu. Vickie opowiedziała nam o wypadku. Wiedziała o wszystkim, bo słuchała krótkofalówki.

Roan pomyślał, że powinien był się tego spodziewać. Próbował sobie przypomnieć, czy ktoś podał przez radio rysopis ofiar. Było to całkiem możliwe, a wtedy Vickie już by wiedziała, że nie musi się obawiać Gburka i Gapcia, lecz w zamian

/,a to grozi jej niebezpieczeństwo ze strony tej samej osoby, która zepchnęła jej porywaczy z drogi i ostrzelała.

- Cal jest u nas w domu? - spytał, nie próbując wcale

/łagodzić ostrości tonu.

- Tak. Wścieka się, że został wysłany do Dog Trot, podczas gdy o wiele bardziej wolałby być tutaj, gdzie coś się dzieje

- powiedział Pop. - A gdy już o tym mowa...

- Jeżeli pytasz, kim są ofiary, twój domysł jest równie dobry jak mój - przerwał mu Roan.

- No, tak - przyznał Pop ponuro. Wiedział, co to może znaczyć.

- To ma coś wspólnego z Vickie, prawda? - spytał Jake.

- Jake! - ojciec spojrzał na niego ostrzegawczo.

- No, tak, na pewno ma - mruknął Jake i zamilkł.

Kane nie był taki dyskretny.

- Jeżeli Jake ma rację, wypadek rzuca nowe światło na tę sprawę z twoją aresztowaną. Wydaje się, że ktoś zaciera ślady, a to oznacza...

- Wiem, co to oznacza - przerwał mu Roan. Nie chciał o tym myśleć, jeszcze nie teraz.

- Już przedtem ktoś próbował usunąć naszą Vickie ze swojej drogi, a teraz chce tego jeszcze bardziej.
- Pop postawił

kropkę nad „i”. - Jeżeli tak im na tym zależy, że, mimo wiel-316

ROAN Jennifer Blake

kiego ryzyka, przerabiają dwóch mężczyzn na hamburgery, spychając ich z drogi i strzelając do nich w publicznym miejscu, nawet sobie nie wyobrażam, co mogą jej zrobić.

- To ma coś wspólnego z kasynem, prawda? - spytał Luke.

- Na to wygląda. - Roan podzielił się z nimi szczegółami, to znaczy powiedział im tyle, ile sam wiedział.

- To mi o czymś przypomina - powiedział Pop w zamyśleniu. - Może cię dziwi, dlaczego zgodziłem się wrócić do domu, gdy zwołałeś zebranie klanu. No więc miałem pewien powód...

- Pop... - zaczął Roan, starając się ukryć irytację.

- Synu, wytrzymaj chwilę! Ostatnio kręciłem się trochę po

kasynach, głównie dlatego, że moje przyjaciółki lubią sobie pograć na automatach. Któregoś dnia wdałem się w pogawędkę z krupierem, który, jak się okazało, pochodził z Natchez i zaczynał pracę na pływających kasynach na Missisipi. Rozmawialiśmy o

różnych rzeczach i między innymi powiedział mi, że kilka grubych ryb zamierza umieścić wielki stary

statek na Jeziorze Końskiej Podkowy, a wtedy, oczywiście, nastawiłem uszu.

Roan też natychmiast zrobił to samo.

- Mów dalej - poprosił.

- Dziękuję, synu. No więc wydaje się, że ta grupa inwestorów ma bardzo nieciekawe powiązania, co, naturalnie, niezbyt mnie zdziwiło, ale nie mają nic wspólnego z naszym Luizjańskim odgałęzieniem Cosa Nostra. Wydaje się, że pochodzą

z Florydy, gdzie zarobili krocie na handlu narkotykami. Potem

prali pieniądze, przepuszczając je przez wielkie sklepy z meblami, gdzie przepływ gotówki jest największy, kupowali też stare statki handlowe, bo mają ogromne ładownie, w których

można wszystko ukryć. Poza tym zainteresowali się hazardem,

ale do Vegas czy Atlantic City nie potrafili się wkręcić. Dlatego wybrali sobie nasze małe Turn-Coupe. Liczyli na to, że tu, na

ROAN Jennifer Blake « 317

zapadłej prowincji, nikt nie zauważy ich machlojek, póki nie

będzie za późno. A gdy już założąliby sobie tutaj bazę, mogliby

wziąć się za poważniejsze interesy.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? - spytał Roan

ze złością.

- Do chwili, gdy ludzie zaczęli ginąć, tak jak ci dwaj, wydawało mi się, że masz wszystko pod kontrolą.

Roan spojrzał na Kane'a i Luke'a. Na ich twarzach zobaczył takie samo obrzydzenie, jakie czuł również on sam. Jeżeli ci łajdacy myśią, że panują nad sytuacją, to szybko odkryją

swoją pomyłkę. Hazardowe przedsięwzięcie w Turn-Coupe już

przeszło do historii, tyle że oni jeszcze o tym nie wiedzą.

- Słuchajcie, ten facet, który przyszedł do nas, mężczyzna,

za którego Vickie miała wyjść... - powiedział Jake i zmarszczył czoło - ... czy przypadkiem on nie zajmuje się handlem meblami?

- Masz rację. - Roan nie wiedział, ile z tego, co powiedział

jego ojciec, powinien potraktować poważnie, ale wydawało się,

że Harrell Melanka należał do organizacji przestępczej i starał

się zyskać więcej, niż zainwestował. Sądził, że wykorzysta pieniądze Vickie na kupno udziału w hazardowym interesie, a gdy mu się to nie udało, uciekł się do przestępczych poczynąń. A

teraz chyba uwija się i robi wszystko, co może, aby interes

rozwinął się zgodnie z planem. Pytanie brzmi: co zamierza

zrobić z Vickie?

Właśnie w tym momencie zobaczyli na drodze światła radiowozu. Syrena zaryczała, a potem kierowca zjechał na pobocze i stanął za dżipem.

Cal? To może być tylko Cal! Roan poczuł, jak zaciskają

mu się pięści, a twarz tężeje w napięciu.

- Kane! - zawołał Cal. Wsiadł z samochodu i podszedł

do nich swobodnym krokiem. - Właśnie ciebie szukałem.

318 • ROAN Jennifer Blake

Roan nie dał kuzynowi wiele czasu na odpowiedź.

- Co ty tu robisz? - spytał głosem, w którym dźwięczała

wściekłość. - Miałeś być w moim domu.

- Przestań się wściekać. - Cal podniósł ręce w geście zarówno obronnym, jak i błagalnym. - Przysłała mnie tu twoja więźniarka. Wydaje się, że...

- Do diabła! Dlaczego od razu tak nie powiedziałeś!

- krzyknął Roan, idąc już do swojego radiowozu.

- Poczekaj! Nie bądź taki narwany - zawołał Cal. - Chodzi o Kane'a. To jego szukała.

- Regina! - wykrzyknął Kane, ruszając biegiem. - Zaczęła

rodzić! Wiedziałem, że nie powinienem był wyjeżdżać z domu.

- Nic złego się nie stało. Po prostu nie można było cię

znaleźć, gdy twoja żona pojechała do szpitala, więc spróbowali

skontaktować się z Roanem, ale telefon przyjęła Vickie. Kazała

mi tu przyjechać i powiedzieć ci, żebyś go poszukał.

- Boże - jęknął Kane i pobiegł do dżipa.

- Zaczekaj na mnie! - Luke popędził za nim, ale nie zdążył. Kane już odjeżdżał.

W innych okolicznościach Roan też pognałby do szpitala, ale nie teraz.

- Do cholery, dlaczego po prostu nie połączyłeś się ze mną przez radio albo nie skontaktowałeś się z Sherry? - warknął.

- W Dog Trot panował spokój. Naprawdę nic się tam nie działo - tłumaczył się Cal - a przecież chyba nie sądzisz, że twoja aresztantka zamierza uciec. To znaczy, chcę powiedzieć, że mogła to zrobić w każdej chwili...

- Nie tego się obawiam. A jeżeli ten, kto wynajął porywaczy, teraz przyjechał tu po nią?

- Chyba nie wracasz znów do tej teorii? No, naprawdę pomyślałem, że przyjadę tu, bo była szansa, że po drodze natknę się na Kane'a.

ROAN Jennifer Blake 319

Roan poczuł, że furia niemal go oślepia.

- Pomyślałeś - powiedział groźnym, cichym głosem - że

dla jakiegoś widzimisię kazałem ci tkwić na posterunku, podczas gdy wszyscy inni mają tu mnóstwo świetnej zabawy. Więc, jak najgłupszy rekrut, który ma trociny zamiast mózgu, uznałeś,

że możesz opuścić stanowisko. I tobie się wydaje, że jesteś w

pracy na tyle dobry, by wygrać wybory i zostać szeryfem?

Cal stanął dumnie wyprostowany.

- A ty co sobie wyobrażasz, mówiąc do mnie w ten sposób?

- Nadał jestem szeryfem Tunica Parish i jak długo będziesz moim podwładnym, będę mówił do ciebie tak, jak mi się podoba. Ci dwaj, których dopiero co wyciągnięto ze strumienia, to ci sami którzy uprowadzili Vickie, a osoba, która ich zabiła, może teraz to samo próbować zrobić z nią. A to

oznacza, że wystawiłeś jej życie na niebezpieczeństwo. Czy

w akademii niczego cię nie nauczyli?

Cal spojrział na ciała i jego twarz poszarzała.

- Tak - powiedział w końcu. - Nauczyli. Albo przynajmniej próbowali. Roan, przepraszam. Naprawdę cię przepraszam.

To był dobry początek. Cal zostanie odpowiedzialnym stróżem prawa, pomyślał Roan.

- Dobrze. A teraz wracaj do radiowozu, spróbuj dogonić Kane'a i Luke'a i eskortuj ich do szpitala. Wolę, żeby Kane nie przejechał kogoś, albo sam się nie zabił, gdy będzie tam pędził.

Cal odstąpił o krok, wykonał niezręczny salut i pobiegł.

Roan patrzył za nim przez sekundę, a potem zawołał syna.

- Tak, tato, myślę, że powinniśmy wracać do domu - stwierdził Jake.

Luke wskazał głową na swojego dżipa, który właśnie zniknął w oddali.

320

ROAN Jennifer Blake

- Pojadę z wami, skoro zabrano mi mój samochód - powiedział,

- Mnie chyba też tu nie zostawicie - dodał Pop.

- No to jedziemy - oświadczył Roan.

Vickie odczuła ulgę, gdy udało jej się pozbyć Cala. Gdy zobaczyła, że aż się pali, by jechać do wypadku, nie zachęcała go do pozostania w domu. Od tygodni nie była naprawdę sama, bo ciągle ktoś się koło niej kręcił i sprawdzał, co robi. Teraz poczuła się dziwnie.

Dom wydawał się nienaturalnie cichy. Pokoje były tak wysokie, że światło lampy ledwo docierało w wyższe rejony i wyglądały jak jaskinie, a odgłos kroków odbijał się echem od stiukowych ścian. Było tu za dużo okien i ciemność czaiła się

zaraz po drugiej stronie szyb. Niekończący się pisk skanera wydawał się tak głośny, że działał jej na nerwy.

Beau był dziwnie niespokojny. Pewnie dlatego, że wszyscy wyszli, pomyślała Vickie. Nie ma ani Jake'a, ani jego ojca.

Wielki pies chodził za nią z pokoju do pokoju i kulił się koło niej, gdy przysiadła. Od czasu do czasu podnosił łeb, jakby nasłuchiwał, a dwa razy wstał i poszedł do drzwi, głośno

szczekając. Pomyślała, że może chce wyjść na dwór i otworzyła drzwi, ale Beau tylko obserwował ciemność. Gdy zamknęła je z powrotem, trwał przy jej boku.

Minęło pół godziny od wyjazdu Cala. Byli w sypialni Roa-

na. Vickie siedziała w nogach łóżka i nasłuchiwała przez krótkofalówkę, co dzieje się przy żelaznym moście, a Beau leżał

skulony na dywaniku koło niej. Nagle zerwał się ze zjeżoną sierścią i zaszczekał ostrzegawczo. Vickie popatrzyła na niego uważnie.

- Piesku, o co chodzi? Usłyszałeś coś? Może to znów Clay, albo kot April?

ROAN Jennifer Blake

Żona Luke'a opowiadała jej o swoim wielkim czarnym kocurze, Midnightcie, który lubił włóczyć się nad jeziorem. Vickie wiedziała, że lepiej byłoby dla kota, gdyby nie zbliżał się do

Dog Trot, gdzie mieszkało tyle psów, i obiecała April, że będzie na niego uważać.

Beau zawył, a jednocześnie rozległo się ostre pukanie do

kuchennych drzwi. Vickie drgnęła jak oparzona. Nie słyszała

samochołu na podjeździe. Oczywiście mógł go zagłuszyć ciągły jazgot krótkofalówki.

Najchętniej zignorowałaby to pukanie, jednak przedtem zaryglowała drzwi, a nie była pewna, czy Pop i Jake mają przy sobie klucze. Mógł to też być Cal z wiadomościami o Reginie.

Polubiła żonę Kane'a i niepokoiła się o nią.

Lecz za drzwiami czekał Harrell. W świetle padającym

przez szybkę w drzwiach zobaczyła, że stoi z rękami w kieszeniach i zamyślonym uśmiechem na twarzy.

- Czego chcesz? - zawołała, a Beau zawarczał wściekle.

- Vickie, musimy porozmawiać. Otwórz drzwi.

- Nie mamy o czym mówić. - Nie zamierzała mu otwierać,

gdy prawie na pewno wiedziała, że ciała Gburka i Gapcia są

właśnie wyciągane z wraku furgonetki, którą ukradli. A informacja o licznych śladach po kulach stanowiła raczej oczywistą wskazówkę, że ich śmierć nie była przypadkowa.

- Kochanie, proszę! Musisz mnie wpuścić! Wiem, że masz

wątpliwości co do dokumentów, które podpisałem, ale jestem

pewny, że potrafię ci to wytłumaczyć, jeżeli tylko zechcesz

mnie wysłuchać.

Zawsze był pewny, że potrafi jej wszystko wmówić. Kiedyś

może i tak było, ale teraz już nie.

- Harrell, odejdz! Nie interesuje mnie nic, co miałbyś mi

do powiedzenia.

- Dobrze, skoro tak chcesz to rozegrać.

322

ROAN Jennifer Blake

Przez chwilę poczuła ulgę, gdy nagle zobaczyła, że Harrell

wyjmuje z kieszeni chustkę i owija ją wokół pięści. Odsunął

się o krok, a potem z całej siły uderzył w szybkę, która rozpadła się z suchym trzaskiem, a okruchy szkła poleciały pod nogi

Vickie. Harrell włożył rękę do środka i wymacał zamek. Dwie sekundy później już stał w otwartych drzwiach.

Vickie cofnęła się o kilka kroków, ale zatrzymała się, gdyż

nie zobaczyła broni. Harrell pewnie nie sądził, by była mu

potrzebna, miał przecież rozprawić się jedynie ze słabą kobietą.

Beau stanął między nimi, a z jego gardła wydobywało się

groźne warczenie. Vickie położyła mu rękę na łbie.

- Na twoim miejscu nie szłabym dalej - ostrzegła Harrella.

- Jest tresowany do walki z ludźmi.

Lecz Harrell sam się zatrzymał.

- Możemy tu porozmawiać - powiedział, nie spuszczając

wzroku z psa. - Tak długo szukałem okazji, by spotkać się z

tobą, że teraz nie zamierzam jej tracić.

Szukał okazji. I znalazł ją, gdy po raz pierwszy od dawna

została sama w domu.

- Więc się streszczaj.

- Wtedy nie chciałem sprawić ci bólu. Wyglądałaś tak dobrze, że nie pomyślałem...

- Nieważne. Nie bolało mnie długo.

- Dzięki Bogu! Przykro mi, że to wszystko się wydarzyło,

bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Tak bardzo pragnęłam

ci to powiedzieć.

- Harrell...

- Naprawdę przepraszam cię za wszystko, chociaż wiem,

że nie chcesz mnie słuchać. Przestało ci na mnie zależeć, prawda? Aż dziwne, jak szybko do tego doszło, jak szybko mnie odrzuciłaś, gdy spiknęłaś się z tymi łajdakami, którzy cię uprowadzili.

ROAN Jennifer Blake

323

- Harrell, nigdy cię nie kochałam. Powiedziałam ci o tym, gdy oddawałam ci pierścionek. Od samego początku popełni

łam błąd i nie ma powodu, by się nad tym rozwodzić. A jeśli

chodzi o to, że spiknęłam się z tymi łajdakami, jak to ująłeś,

to sam wiesz najlepiej, jak było naprawdę. Rozmawiamy bez

świadków, więc nie musisz udawać.

Roześmiał się.

- Doskonale. Byłaś zbyt wyniosła, żeby się we mnie zakochać, prawda, księżniczko? Ale twój szeryf to zupełnie coś innego. Gdybym wiedział, że najlepszy afrodyzjak, jaki na ciebie działa, to po prostu spróbować cię zabić, dawno już bym tego popróbowował.

- Ależ ty jesteś chamski - powiedziała Vickie z pogardą.

- Ale jakoś mnie to nie dziwi.

Zaczerwienił się pod opalenizną.

- Wiesz, prasa będzie miała prawdziwą gratkę. Znam

dziennikarza, który uwielbia historie o uprowadzonych dziedziczkach, postrzelonych przez prowincjonalnego szeryfa. Nawet się nie obejrzyście, gdy już w całym tym miasteczku aż się będzie roiło od ekip telewizyjnych i pismaków. Nikt nie

będzie mógł iść do łazienki bez tego, by jakiś dziennikarz nie
podał mu zaraz papieru toaletowego. Ukrzyżują tego twojego
Rambo, człowieka, który strzelał do ciebie, poddał cię praniu
mózgu, a potem zamknął w swoim własnym domu i wykorzystywał w łóżku jak niewolnicę. Co to
będzie za historia!

Już nie mogę się doczekać. A ty?

- Jesteś o-brzy-dli-wy - powiedziała, wymawiając wyraźnie

i osobno każdą sylabę.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się chytrze. - Co ty możesz

o tym wiedzieć po tym wszystkim, przez co przeszłaś? To znaczy, kto by ośmielił się kwestionować,
gdybyś po tym całym okropnym szoku potrzebowała dobrego terapeuty? A może na-324

ROAN Jennifer Blake

wet pobytu w luksusowym sanatorium, gdzie zajmowałyby się

tobą tabuny doskonale opłacanych psychiatrów?

Beau, wyczuwając groźbę w głosie Harrella, podszedł o

krok bliżej i warknął. Vickie pogłaskała go po wielkim łbie,

by go powstrzymać i zauważyła, że ręce jej drżą. Gdy się odezwała, jej głos też nie był całkiem
spokojny.

- To śmieszne.

- Nie wydaje mi się. Wprost przeciwnie, tym swoim ro-

mansikiem bardzo mi ułatwiłaś sprawę. Twojemu ojczymowi

taki rozgłos wcale by się nie spodobał. Już się zgodziliśmy,

że musisz być bardzo podobna do matki, zanadto roztrzepana

i frywolna, niezdolna do radzenia sobie z obowiązkami, jakie

masz wobec swojej rodziny. Myślę, że zrozumie mój punkt

widzenia, gdy zaproponuję długi powrót do zdrowia i podawanie środków nasennych, mnóstwa

środków nasennych. A może jednak wolisz zapomnieć o naszym malutkim nieporozumieniu i wyjść za mnie?

- Oszalałeś - szepnęła.

- Nie, wcale nie! Po prostu zamierzam osiągnąć swoje cele.

Możemy od razu wyjechać. Dopilnuję, by nie było rozgłosu. Żadnej prasy, żadnej telewizji. Weźmiemy cichy ślub, może tylko cywilny. Zapomnisz o dokumentach, w związku z którymi narobiłaś tyle zamieszania, i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Vickie roześmiała się.

- Och, cudownie! Ty będziesz dysponował moimi pieniędzmi,

a ja będę w sanatorium.

- Kochanie, zawsze będę się tobą opiekował. Razem będziemy się tobą opiekować, i ja, i twój ojczym.

- Nie wydaje mi się, byś tak łatwo przekonał do tego Paula

Vandergraffa.

- Nie doceniasz mnie - powiedział ze złością. - A to wielki błąd, jak zresztą chyba już się przekonałaś.

ROAN Jennifer Blake

325

- Mogłabym to samo powiedzieć o tobie - parsknęła.

- Nie doceniałeś mnie już wtedy, gdy wydawało ci się, że zgodzę się na sfalszowanie mojego podpisu.

- Zamierzasz ze mną walczyć? - spytał groźnie. - Nie rób tego! Wcale nie jest konieczne, żebyś została moją żoną. Tak naprawdę potrzebuję tylko twojego podpisu na tych papierach.

Groził, że ją zabije. I mógł to zrobić, bo była bezbronna.

Od samej myśli robiło jej się słabo, ale także zaczął budzić się w niej potężny gniew.

Porwano ją, związano i zakneblowano, rzucono do samochodu, oskarżono o popełnienie przestępstwa, uwięziono, kazano nosić upokarzający monitor, publicznie przedstawiono jako kłamczynię, a teraz jeszcze grożono zamknięciem w domu wariatów. Miała tego dosyć!

- Posłuchaj - powiedziała, mrużąc oczy tak, że zamieni

ły się w szparki. - Jestem Victoria Molina-Vandergraff, księżniczką Trentalara. Wydaje ci się, że jesteś wielkim człowiekiem, ale mój włoski prapradziadek pociął kiedyś swoich wrogów na plasterki, żeby praprababcia mogła z nich upleść

dywanik. Naraż mi się, a zrobię z ciebie wycieraczkę do butów.

Dosłownie.

Beau warknął, słysząc jej ton. Harrell przez chwilę wpatrywał się z nią ze zdumieniem, ale zaraz roześmiał się ironicznie.

- Ale mnie przestraszyłaś!

- Nie łudź się. Nic mi nie zdołasz zrobić. A teraz już idź.

Precz!

Chciał ją chwycić, tak jak kiedyś, ale teraz była na to przygotowana. Odskoczyła i uciekła za stół. Pies niezwruszenie zagradzał mu drogę, stał na sztywnych łapach i odsłonił zęby.

Jego szczekanie przypominało nieustający grzmot.

- Dobrze, ty mała dziwko... - zaczął Harrell.

326

ROAN Jennifer Blake

Wtedy Beau skoczył. Jego wielkie, długie ciało wygięło

się w powietrzu, gdy przypadał Harrellowi do gardła.

W obronnym geście podniósł rękę, i zawył, gdy zęby Beau

wbiły mu się głęboko w nadgarstek. Pies i człowiek wytoczyli

się przez drzwi i na patio. Przy upadku na ziemię Beau wypuścił rękę Harrella, który, przeklinając, odtoczył się jak najdalej, w szoku patrząc szeroko rozszerzonymi oczami. Beau warczał i gotów był do następnej akcji.

- Beau! - krzyknęła Vickie i podbiegła do niego. - Beau,

leżeć!

Pies nie usłuchał, bo jego szczekanie i jęki Harrella zagłuszyły rozkaz Vickie. Potem Harrell chwycił się słupka, podniósł

się na nogi i spojrzał na Vickie z bezsilną złością.

- Jeszcze pożałujesz! - krzyknął. - Zmienię twoje życie

w piekło! Umrzesz i ty, i ten twój wiejski szeryf!

Wykrzyczawszy te groźby, wziął nogi za pas i zniknął za

rogiem domu. Beau popędził za nim. Chwilę później Vickie

usłyszała warkot silnika. Beau szczekał jeszcze kilka minut,

a potem przybiegł po pochwałę.

Vickie głaskała go i tuliła, drapała za uszami, przyglądała

jego najeżoną sierść, lecz jednocześnie w gorączkowym po

śpiechu rozważała całą sytuację.

Nie mogła zostać w Dog Trot ani chwili dłużej, bo jej obecność doprowadzi media do szaleństwa. Mogłaby bardzo zaszkodzić Roanowi. Media unurzają w błocie wszystko, co dla niej zrobił lub próbował zrobić. Ośmieszają go, albo jeszcze gorzej, oskarżają o wszelką podłość, jaką takie niskie umysły potrafią wymyślić. A gdy to się skończy, pozostanie na zawsze opluty i pohańbiony, on i jego senne, ciche miasteczko. Rozpocznie się straszliwa nagonka i najprawdopodobniej straci swoje stanowisko.

Nie może mu tego zrobić, nie może pozwolić, by to się

ROAN Jennifer Blake

327

stało jego rodzinie, którą lubiła i szanowała. Benedictowie nie

zasłużyli na to.

Roan też nie zasłużył sobie na to, by mu zrujnowała życie.

Nie zniosłaby, gdyby coś złego się stało jemu, a przy okazji

także Jake'owi i Popowi. Sama musi załatwić swoje sprawy

z Harrellem. Nadszedł czas, by stawić mu czoło. Godzina wybiła. Musi wrócić do domu.

Dziwne, ale była na to gotowa. Zmieniła się w ciągu ostatnich tygodni, wreszcie stała się w pełni samodzielna. Wiedziała, czego chce od życia, czuła, co jest dla niej ważne. Była gotowa, by skończyć z dryfowaniem, skończyć z tym, że inni za nią

o wszystkim decydują. Była gotowa, by przestać uciekać.

Oczywiście, oprócz tego ostatniego razu.

Wiedziała, gdzie jest kluczyk do monitora, oraz gdzie Roan

trzyma kluczyki do samochodu. Znała też drogę na Sanibel.

Nie wiedziała tylko, czy jeszcze kiedyś zobaczy Tum-Coupe.

I mężczyznę, który jest szeryfem Tunica Parish.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Vickie odeszła!

Gdy Roan i pozostali przyjechali do domu, nie paliło się

żadne światło, a tylne drzwi były zamknięte na klucz. Beau

czekał zaraz za progiem, powitał ich, skomląc i tańcząc wokół

ich nóg, jakby był zaniepokojony. Roan zapalił światło w kuchni i zaraz zauważył wybitą szybę.

Jake przepchnął się przed nim i popędził na piętro, wołając

Vickie, lecz odpowiedziało mu tylko echo. Nikt się nie odezwał, nikt nie wyszedł mu na spotkanie.

Beau wreszcie przywarł do nóg Roana.

- Piesku, gdzie ona jest? - pytał, głaszcząc go. - Gdzie

jest Vickie?

- Synu! - zawołał Pop z patia. Głos mu drżał. - Chodź

i zobacz!

Pop ostatni wszedł na werandę i przystanął przy kuchennych drzwiach. Roan zobaczył, że pochylił się i patrzy na pod

łogę.

Przecucie położyło się zimnym ciężarem na jego sercu.

Zapalił zewnętrzną lampę.

- Co takiego?

Pop spojrzał na niego niespokojnie, a potem wskazał ciemną plamę.

Roan opadł na kolana i dotknął plamy czubkami palców.

Była wilgotna i trochę lepka. Poderwał się na nogi, żeby wystawić palce do światła.

ROAN Jennifer Blake

329

To była krew!

Poczuł się tak, jakby ktoś go uderzył w brzuch. Nie mógł oddychać, nie potrafił myśleć. Wydawało mu się, że jego mózg jest gorący i nie mieści się w czaszce. Ogarnął go taki strach i wściekłość, że musiał przez chwilę stać zupełnie nieruchomo, by się opanować.

- Uspokój się - powiedział Pop. - To nie musi być jej krew.

Oczywiście, że nie, ale przecież była tu sama. Kto inny mógłby zostać ranny?

- Jest tego więcej? - spytał takim głosem, że nawet w jego własnych uszach zabrzmiał dziwnie. Plama była niewielka, jak ćwierćdolarówka, a wokół rozprysło się kilkanaście kropli.

- Chyba jeszcze tu, przy ścianie. Dalej, w trawie, już nic nie widać.

- Przynies latarkę, dobrze? Moja jest w samochodzie.

- Roan już biegł na trawnik, badając dokładnie każde miejsce.

Widział trochę lepiej, bo Jake zapalił światła na piętrze i ich blask padał na ziemię.

- Tato! Tato!

To Jake wołał z balkonu. Roan szybko spojrzał w tamtą stronę. Jake był sam.

- Znalazłeś ją? - Czekał na odpowiedź z zaciśniętymi pięściami.

- Nie ma jej tu, ale...

Jake'owi głos się załamał. Słysząc w nim było napięcie i lęk, lęk o Vickie. Roan wiedział, że syn zaprzyjaźnił się z nią, ale teraz wyczuł jeszcze coś, czego nie zrozumiał.

- O co chodzi? - zawołał, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. - Co się stało?

- To - powiedział Jake i wychylił się przez balkon, żeby rzucić jakiś ciężki, okrągły przedmiot. Roan instynktownie

330 ROAN Jennifer Blake

wyciągnął rękę, żeby go złapać. Po chwili już wiedział już, co to jest.

Monitor. Monitor Vickie.

- Gdzie był? W jej pokoju?

- Nie, w twoim.

Jake odpowiedział niechętnie, jakby od razu wiedział, gdzie

szukać Vickie, lecz najpierw musiał pójść do jej pokoju. Widząc, że tam jej nie ma, ruszył w następne miejsce, gdzie mogła zasnąć. Roan powinien był się domyślić, że nie ma sposobu,

by zachować w tajemnicy ich uczucie, jeżeli w ogóle to, co

między nimi zaszło, można tak nazwać.

Szeryf podbiegł do światła wpadającego przez kuchenne

drzwi. Spodziewał się, że mankiet został przecięty, ale nie było to prawdą. Po prostu otwarto zamek. Przyglądał się urządzeniu,

bezwiednie gładził opuszką kciuka jedwabistą powierzchnię

urządzenia, wypolerowaną przez skórę Vickie.

Czy znalazła kluczyk i sama się uwolniła? Lecz jeżeli było

to takie łatwe, dlaczego czekała z tym aż do dziś? Dlaczego uciek

ła? Czy ktoś ją do tego zmusił? I gdzie, na litość boską, pojechała?

Nagle w pobliżu rozbłysło światło latarki i oświetliło monitor. Pop nie podszedł bliżej i cicho zapytał:

- Myślisz, że był tu Melanka?

- Tak, przyszło mi to do głowy, bo...

- Bo gdybyś uznał, że odjechała z własnej woli, zaniechałbyś pościgu, prawda? Lecz gdyby w rzeczywistości porwał

ją ten drań, ona może zginąć. O to chodzi, prawda?

- Właśnie.

- A ty byś tego nie zniósł.

Roan roześmiał się ponuro. Przypomniawszy sobie poranione

ciała, które niedawno widział na moście.

- Jeżeli spadnie jej choć jeden włos z głowy, zabiję Me-

lankę własnymi rękami.

ROAN Jennifer Blake

331

- Tak myślałem - powiedział Pop z zadowoleniem. - W

takim razie co zamierzasz zrobić?

To było dobre pytanie. Roan na chwilę zamknął oczy, starając się przemyśleć następne kroki, ale widział przed sobą tylko dwie drogi: mógł pojechać śladem Vickie albo mógł tu zostać, rozesłać list gończy i czekać, co się wydarzy.

Jednak czekanie nie leżało w jego naturze.

- Tato?

To z werandy wołał Jake. Roan rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

- Słucham.

- Nie widzę dobrze w ciemnościach, ale wydaje mi się, że drzwi stodoły są otwarte.

Stodoła! I samochód, który tam stał!

A teraz już go nie było. Ciemna stodoła była pusta. Zabrano

mu jego samochód, jego wypieszczony klasyczny wóz z idealnie zachowanym oryginalnym lakierem, lśniącymi chromami i silnikiem marki Hemi.

Tym razem Vickie nim odjechała. Wzięła jego samochód

i pojechała do domu, na Florydę.

A jeżeli nie? Jeśli ukradła go ta sama osoba, która tu przyszła po Vickie? Nieważne. Niezależnie od tego, co się stało, on chce mieć swojego super birda z powrotem. Odbierze go,

nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu robi.

Nie było czasu do stracenia. Podjąwszy decyzję, Roan zabrał się metodycznie do przygotowań. Upewnił się, że Vickie nie zostawiła żadnej wiadomości, sprawdził jej szafę, by zobaczyć, co ze sobą wzięła, a okazało się, że prawie nic, i zadzwonił do jej ojczyma na Florydę tylko po to, by usłyszeć, że on o niczym nie wie. Następnie tak ustawił sprawy w swoim

biurze, by toczyły się gładko podczas jego nieobecności, a tak

że poprosił o zorganizowanie poszukiwań wypożyczonego sa-

332 ROAN Jennifer Blake

mochodu Melanki, którego numer rejestracyjny zanotował sobie

wcześniej. Zostawił instrukcje Jake'owi i ojcu na wypadek, gdyby Vickie się odezwała, a potem poszedł do siebie, napchał kieszenie dodatkową amunicją do pistoletu i wrzucił kilka rzeczy do torby.

Właśnie zasuwał zamek, gdy na progu stanął Pop.

- Więc co zaplanowałeś? - spytał. Widać było, że jest zmartwiony i niespokojny.

- Dlaczego wyjeżdżam? Chyba już to ustaliliśmy.

- Och, wiem, że jedziesz za Vickie, żeby ją bronić, ale co potem? Naprawisz stosunki między wami, czy też ze zwykłej, upartej dumy przyciągniesz ją tu z powrotem, bo uciekła, a twoim obowiązkiem jest postawić ją przed sądem?

- Pop! Do cholery...

- Nie odzywaj się do mnie takim tonem, synu. Może nie jestem już młody, ale nadal wiele rozumiem. Ta kobieta jest dla ciebie tak samo ważna, jak ty jesteś ważny dla niej.

- Tak, byłem dla niej ważną personą - przyznał Roan, nie przerywając pakowania. - Byłem jej dozorcą.

- Bo tego właśnie chciałeś i tylko tak potrafiłeś ją zatrzymać. Dopóki kontrolowałeś to, co się między wami działo, czu

łeś się dobrze, ale w chwili gdy zacząłeś tracić kontrolę, wycofałeś się tak bardzo, że już prawie cię nie widać.

- Tu nie jest miejsce dla Vickie, Pop, nigdy nie było i nie

będzie. Ona ma wspaniałe życie gdzie indziej, jestem pewien,

że w końcu do niego wróci. A nas łączyło bardzo mało i pewnie

nie ma to dla niej żadnego znaczenia. Po prostu pragnęła odrobiny rozrywki, bo bardzo się tu nudziła.

- Wbiłeś sobie do głowy, że ona cię opuści tak samo jak

Carolyn, więc już z góry się poddałeś.

- To nie tak! - Roan spojrział na ojca, ale nie mógł skoncentrować na nim wzroku, tak bardzo wstrząsnęły nim jego słowa.

ROAN Jennifer Blake

333

- Nie wszystkie kobiety potrzebują absolutnej swobody, eleganckich sklepów, restauracji i ciągłych rozrywek. Niektóre lubią spokój, ciszę i widok na jezioro. Synu, nie wszystkie kobiety są takie jak Carolyn i jeżeli w popłochu wyjeżdżają, to muszą mieć ku temu bardzo ważny powód.

- Świetnie! Więc porozmawiamy o przyszłości, gdy już coś będzie wiadomo. - Roan nie mówił prawdy, ale jego ojciec najwyraźniej to właśnie chciał usłyszeć, a on nie miał czasu na dłuższą dyskusję.

- Nareszcie zmądrzałeś! Będziemy tu czekać, Jake i ja, na wiadomości od ciebie. I od Vickie.

Roan się nie odezwał, bo i co właściwie miał powiedzieć, gdy sam ze sobą nie doszedł jeszcze do ładu.

Jake czekał na niego przy samochodzie.

- Tato, chcę jechać z tobą - powiedział tak cicho, że Roan

ledwo go usłyszał. - Nie mogę tu zostać i wciąż się zamartwiać, co stało się Vickie.

Najpierw jego ojciec, teraz syn. Victoria Molina-Vandergraff znalazła sposób, by zająć za skórę każdemu osobnikowi płci męskiej, jakiego tu napotkała, łącznie z Beau, i długo potrwa, zanim ją zapomną. Roan wrzucił torbę na tylne siedzenie, zatrzasnął drzwiczki i odwrócił się do syna.

- Słuchaj... - zaczął, zbierając całą cierpliwość, jaka mu jeszcze została.

- Wiem, co mi powiesz - przerwał mu Jake. - Że jestem

za młody i że będę ci przeszkadzał, bo musisz jechać szybko.

Nie obchodzi mnie to! Chcę coś zrobić, pomóc Vickie. Ona

może gdzieś leży ranna, albo znów ją porwano i uwięziono.

Ona bardzo nas potrzebuje, wiem o tym. I jest moją przyjaciółką! Mam takie samo prawo jak ty, żeby jej szukać.

Chłopiec miał rację, co więcej, Roan był z niego dumny.

Ta rycerska gotowość do chronienia Vickie świadczyła, że jego

334

ROAN Jennifer Blake

syn staje się mężczyzną i prawdziwym Benedictem. Mimo to

nie mógł go ze sobą zabrać.

- To oczywiste, że się o nią martwisz - powiedział i po

łożył rękę na jego ramieniu. - Ja też się martwię, ale nawet

nie wiem, czy nie gonię jej na próżno. Poza tym ktoś musi tu

zostać na wypadek, gdyby zadzwoniła, i przekazywać wszelkie

wiadomości, jakie mogą nadejść.

- Pop tu będzie.

- To prawda, jednak jest jeszcze jedna sprawa. Nie będę

mógł walczyć z mordercą, jeżeli jednocześnie będę musiał uwa

żać i na ciebie, i na Vickie.

- Potrafię dać sobie radę w walce - stwierdził Jake.

- W uczciwej walce na pewno, ale ten facet nie walczy

uczciwie. Gdybym musiał wybierać między uratowaniem ciebie a uratowaniem Vickie, nie... - Roan gwałtownie zamilkł, niezdolny do skończenia zdania.

- Tak - mruknął Jake. - Rozumiem.

Roan skinął głową, odchrząknął.

- Jeżeli zdarzy się coś, czego Pop nie będzie mógł załatwić,

wezwij Claya albo Luke'a, bo Kane jest teraz bardzo zajęty.

Tym razem Jake skinął głową.

- Dobrze. - Odwrócił się, żeby odejść, lecz jeszcze się

obejrzał. - Tato? Proszę... uważaj na siebie.

Roan uśmiechnął się.

- Przysięgam, że będę uważał. Nie martw się o mnie.

- Przywieź Vickie z powrotem.

Tego Roan nie mógł obiecać, tylko objął syna niedźwiedzim

uściskiem, potem odstąpił, walnął go po ramieniu tradycyjnym

gestem mężczyzn wstydzających się swoich uczuć, ale i tak wyrażających je w oczywisty sposób. Zaraz potem wsiadł do radiowozu i odjechał. Gdy dotarł do końca podjazdu, zobaczył, że Jake jeszcze stoi przed domem i patrzy za nim.

ROAN Jennifer Blake

335

W drodze do miasta zadzwonił do szpitala i spytał o Reginę. Zatrzymał na chwilę samochód, pogratulował Kane'owi, że został ojcem pięknej córeczki, oraz dowiedział się, że Regina wprawdzie jest zmęczona, ale czuje się doskonale. Słyszając troskę w głosie kuzyna, nie powiedział mu, że jedzie za Vickie, lecz tylko jeszcze raz pogratulował i odłożył słuchawkę.

Gdy wyjechał na drogę, po raz ostatni zadzwonił do biura,

by sprawdzić, czy wiadomo coś o wynajętym samochodzie Me-

lanki. Okazało się, że został odnaleziony. Melanka zwrócił go

na lotnisku i odleciał na Florydę. Był sam, bo jego kartę kredytową obciążono kosztem zakupu tylko jednego biletu, a na liście pasażerów nie figurowało nazwisko Victorii Moliny-Vandergraff.

Przez krótką chwilę Roan poczuł niejaką ulgę. Melanka wyjechał z miasta, a Vickie z nim nie było.

Lecz pozostawała plama krwi. O czym świadczyła?

Załóżmy, że Melanka zabił Vickie i gdzieś ukrył jej ciało.

Załóżmy, że wziął super birda, żeby w wypożyczonym samochodzie nie pozostały żadne ślady, i utopił zarówno Vickie, jak i wóz gdzieś w jeziorze albo w rzece. Albo też wynajął

jakichś zbirów, którzy wykonali mokrą robotę za niego, a on

sam zwrócił samochód i poleciał do domu. Wtedy Vickie po

prostu by zniknęła bez śladu i nikt by się nigdy nie dowiedział, co się z nią stało.

Boże, oszaleje, gdy tak bez końca będzie się plątał w domysłach.

Ważył w rękę mikrofon i zastanawiał się, czy rozesłać list

gończy za swoim super birdem. Jeżeli Vickie nim jedzie, kierując się do słonecznego stanu, będzie mógł ją złapać w Missisipi czy Alabamie, a nawet już na półwyspie florydzkim.

Tak, ale czy nie wyrządził jej dość krzywd? Żle by było,

gdyby polował na nią taki formalista jak Cal, który uznałby

336 ROAN Jennifer Blake

za konieczne zrewidować ją, zakuć w kajdanki i wrzucić do

celi z handlarzami narkotyków i innymi łajdakami, gdzie

wszystko mogłoby się jej przydarzyć.

Nie, tego też by nie zniósł.

A jeżeli Vickie nie jedzie super birdem? Jeżeli umarła i leży

gdzieś na bagnach? Wtedy znajdzie jej zabójcę. Zapoluje na

Melankę i dostanie go, nawet gdyby miał wybrać się po niego

aż do piekła.

Skończył rozmawiać, zawiesił mikrofon na haczyku i przeczesał palcami włosy. Pędził szosą i rozmyślał. Dlaczego nie uwierzył Vickie, gdy mu mówiła, że ją porwano i że porywaczom kazano ją zabić? Przecież widział, że nie wygląda na taką kobietę, która z własnej woli włóczyłaby się z typami

sfotografowanymi przez kamery w sklepie Betsy. Gdyby posłuchał tego, co mówił mu instynkt!

Z drugiej jednak strony Vickie tak komplikowała wszystko, była taka nieprecyzyjna w tym, co mówiła, i taka zmienna. Tak, a on zatracił swój zwykły obiektywizm i poddał się po żądaniu jak szczeniak. Wziął ją pod ochronę w chwili, gdy trzymał ją w ramionach, gdy jej gorąca krew spływała mu na koszulę, i gdy wyrzucał sobie, że do niej strzelał. Pragnął, by okazała się nierealną zjawą, bo w przeciwnym razie będzie musiał stawić czoło temu, co czuł. A to budziło w nim ogromny strach, wiedział bowiem, że musi przegrać. Jeśli ta kobieta okaże się winna, to pójdzie do więzienia, a gdy natomiast okaże się niewinna, wtedy wróci do swojego cudownego, łatwego życia, w którym dla niego nie było miejsca. Tak czy inaczej, znów będzie sam.

No i gdzie doprowadziło go to, że nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy? Vickie już nie ma, bo nie mogła mu zaufać, że będzie jej bronił. Zostawił ją samą, więc odeszła. Musi ją znaleźć, musi sprawić, by znów była bezpieczna, nawet jeżeli

ROAN Jennifer Bfeke 337

będzie to oznaczało, że straci ją na zawsze. Lepiej wiedzieć, że gdzieś żyje, niż przypuszczać, że umarła, zamordowana przez chciwych łotrów. Nie mógł znieść myśli o jej śmierci, o tym, że być może konała w przerażeniu i bólu, podczas gdy on spokojnie pełnił służbowe obowiązki. Cóż znaczyłoby jego ofiarne oddanie społeczeństwu, gdyby Vickie nie było już

wśród żywych? A zresztą, jaką wartość miały dla niego te obowiązki, skoro teraz z nich zrezygnował, bez zastanowienia zostawił za sobą, i pędzi przed siebie służbowym radiowozem, by załatwić tak naprawdę wcale nie służbową, tylko prywatną

sprawę?

Musiał wierzyć, że Vickie wzięła jego samochód. To było

jedyne dopuszczalne wyjaśnienie. Każde inne byłoby zbyt trudne, wręcz niemożliwe do przyjęcia.

Więc co ma z tym zrobić?

Jeżeli Melanka leci do domu, a Vickie z nim nie ma, to

nie może jej skrzywdzić przez najbliższych szesnaście do siedemnastu godzin, bo tyle trwa jazda na Florydę. Albo nawet dłużej, jeżeli Vickie zatrzyma się gdzieś na noc. Może jej były

narzeczony wie, dokąd ona jedzie i chce być tam przed nią?

Vickie nie poradziłaby sobie z Melanką. Nie była wystarczająco ostrożna ani podła, żeby w walce z nim zwyciężyć.

Mimo wszelkich starań, by brano ją za kobietę cyniczną, była

za miękka, a przy tym bardzo jeszcze osłabiona. Nie, nie

dałaby sobie rady z mordercą.

A może jednak tak? Może zrobiła z niego głupca?

Przecież musiała wiedzieć, gdzie odłożył kluczyki monitora, bo w innym wypadku nie udałoby jej się tak szybko odjechać. Teraz sobie uświadomił, kiedy mogła je znaleźć, a także kiedy znalazła kluczyki od super birda. Nurtowało go tylko

pytanie, dlaczego nie posłużyła się nimi od razu, tylko czekała

tylko czasu. Chyba że miała absolutną pewność, że on i tak ją

338

ROAN Jennifer Blake

wytropi, z tym przeklętym monitorem, czy bez niego. Wyjechała

dopiero teraz, bo on dowiedział się, kim ona jest. Na sam widok

jego miny zorientowała się, że z uwagi na swoje bogactwo i pozycję stała się dla niego obcą i niedostępną osobą. Wyjechała, bo mu nie ufała, że zachowa dla siebie jej sekrety, albo że nadal

będzie chciał się troszczyć o jej bezpieczeństwo.

Czy to, że jest dziedziczką wielkiego majątku i arystokrat-

ką, ma dla niego znaczenie? Czy to jest naprawdę ważne?

Oczywiście, że tak bo teraz wszystko się zmieniło.

Według jego wyliczeń, wyprzedzała go o jakieś dwie godziny. Bird jest szybki, ale on miał tę przewagę, że jechał radiowozem i mógł w razie potrzeby używać migacza i syreny, więc bez trudu powinien ją dogonić. Największe niebezpieczeństwo polegało na tym, że w ciemnościach mógł jej nie zauważyć, albo minąć, gdyby zatrzymała się dla nabrania paliwa, albo odpoczynku.

Na Florydzie nie miał żadnej władzy, tak samo jak w stanach, przez które przejeżdżał, jako że jego jurysdykcja dotyczyła wyłącznie Tunica Parish. Odkąd minął znak wyjazdu z okręgu, był zwykłym człowiekiem, takim jak cała reszta użytkowników drogi. Ani lepszym, ani gorszym. Nie przysługiwały mu już żadne przywileje.

Mimo to poradzi sobie.

Ruch był duży, ale jechał szybko. Za szybami auta przesuwały się drogowaskazy, miasteczka, okna z założonymi na noc okiennicami. Na odcinku drogi od Natchez do Hattisburga

zdecydował się na boczne drogi, potem skręcił na południe,

jechał autostradą 49, potem międzystanową I-10. Szeroka, wie-lopasmowa szosa wiodła go przed siebie, przed oczami migąła

biała, przerywana, środkowa linia. Staął, by kupić benzynę,

paczkę słonych orzeszków i zimny napój, a potem znów ruszył

przed siebie.

skany: anula43

przerobiła: AScarlett

ROAN Jennifer Blake

339

Gdy dojechał do Mobile, wschodziło już słońce. Przymru

żył oczy, a stuk opon na złączeniach grobli punktował jego

myśli i obawy. Ani śladu super birda.

Jechał dalej. Po bokach uciekały sosny, rozciągało się flo-

rydzkie jałowe pustkowie, a on pędził przed siebie. Minął Tallahassee i skręcił na międzystanową 1-

75 południową, obrze

zoną niekończącymi się tablicami reklamującymi olejki do opalania, tropikalne ogrody i raje dla emerytów.

Wpadł w gęsty potok samochodów osobowych oraz domków na kółkach, i tak wjechał do krainy turystyki. Tu już kwit

ły bugenwille, zobaczył pierwsze palmy, domy w koralowych

bermudzkich barwach, a także ogromne pola pełne przyczep,

wyglądające jak miasta z aluminium i szklanego włókna. Ze

zmęczenia był już lekko oszołomiony, więc niemal doznał szoku, gdy zauważył tablicę obwieszającą wyjazd z Fort Myers i zdał sobie sprawę, że prawie dotarł na miejsce.

Sanibal okazała się elegancką wyspą z pięknymi drzewami

i pnącymi roślinami, które osłaniały prywatne bungalowy

i ogromne posiadłości położone przy plaży. Większość domów

miała opuszczone żaluzje i była w tej chwili niezamieszкана,

bo właściciele uciekli od wilgotnego gorąca lata, by spędzić

czas w chłodniejszych miejscach, takich jak Bar Harbor czy

Hamptons. Roan nawet trochę się dziwił, że ojczym Vickie też

nie wyjechał, ale pomyślał, że albo w jego wieku czuje się

już niechęć do częstych przeprowadzek, albo też trzymają go

tu jakieś ważne sprawy.

Przed wyjazdem kazał swoim podwładnym dowiedzieć się

o adres Vandergraffa i przekazać mu go przez radio. Było już

późne popołudnie, gdy wreszcie w ogrodzeniu okalającym dom

znalazł bramę wjazdową. Była otwarta, więc przejechał przez

nią i ruszył krętym, wybrukowanym muszlami podjazdem pod

baldachimem królewskich palm. Wreszcie znalazł się przed sze-

rokimi frontowymi drzwiami, wykonanymi ze skośnych szklanych tafli.

Zatrzymał się i ostrożnie wysunął zza kierownicy, bo całe ciało miał zdrętwiałe. Stanął obok samochodu i przyjrzał się zimowej siedzibie Vandergraffa.

Było to marzenie architekta: ostre kąty i skrzydła, balkony i ocieniona, chłodna weranda, rozległy raj marmurów i stiu-

ków, otoczony ogrodem w arabskim stylu, z fontanną w kształcie lwa plującego wodą i lśniącem basenem olimpijskich rozmiarów. Dom, oślepiająco biały w tropikalnym słońcu, świadczył o zamiłowaniu do komfortu i odosobnienia, a także o wielkich pieniądzach. W tym miejscu natychmiast wprowadzano wszelkie nowinki, każdy luksus, jaki człowiek potrafił wymyślić. I to był dom Vickie, a przynajmniej jeden z jej domów.

Roan pokiwał głową, zatrzasnął drzwi samochodu i poszedł

do wejścia. Pokojówka, a może gospodyni, ubrana w czarnobiały mundurek, uchyliła drzwi na parę centymetrów i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się przybysza i w gwiazdę widniejącą na jego piersi.

Si, to dom pana Vandergraffa, ale *senorita* Victoria wyszła.

Si, si, wróciła. Ale tylko wzięła prysznic i się przebrała, szybko szybko, i znów wyszła, pojechała purpurowym wielkim samochodem przez groblę do Fort Myers. Nie, nie powiedziała, dokąd jedzie ani kiedy wróci. Może być późno. *Senor* Vandergraff poszedł na golfa i może wróci za godzinę, może dwie, może

trzy, jeżeli *senor Policia* życzy sobie zaczekać.

Roan życzył sobie zaczekać, ale zaraz zmienił zdanie. Lepiej będzie, jeżeli pójdzie do hotelu, umyje się i coś zje. Potem znów tu przyjdzie.

Przed odjazdem jeszcze raz spojrzął na dom. Pomyślał, że

to pałac, w którym Vickie jest prawdziwą księżniczką, ubierającą się w jedwabie i brylanty, żyjącą pośród snobów, którzy ROAN Jennifer Blake 341

nigdy nie doznali niedostatku i nawet nie potrafią go sobie

wyobrazić. To było właściwe miejsce dla niej. Jedyne, jakiego

potrzebowała i teraz, i w przyszłości.

I nagle Roan wiedział, że do tej pory tylko śnił. Bo gdzieś, w głębi duszy marzył, że być może Vickie zapragnie opuścić Sanibel i swoje wytworne życie, by zamienić je na swojski komfort Dog Trot. Że może zrobi to dla niego i Jake'a, dla Popa i Beau, i całej reszty Benedictow, którzy powitaliby ją serdecznie i z radością przyjęli do swojego grona.

Co za głupota! Co za naiwne i egoistyczne marzenie. Tak, i na dodatek jest to dowód jego nieprawdopodobnej ignorancji.

Nawet nie wyobrażał sobie, z jakiej perspektywy Vickie oglądała jego miasto i zamieszkujących je ludzi, gdy pierwszy raz raczyła spojrzeć w dół.

A on jest tylko głupim, prowincjonalnym szeryfem. Co do

tego nie ma wątpliwości, bo łudził się, że ta piękna księżniczka będzie chciała to wszystko dla niego zostawić.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wróciwszy do domu z Fort Myers, Vickie usłyszała głosy dochodzące z salonu. Spojrzała na parking, częściowo osłonięty drzewami, by sprawdzić, czy do ojczyma nie przyjechali goście, ale nie zobaczyła obcych samochodów. Zmarszczyła czoło i zamknęła drzwi. Głosy ucichły. Po chwili na progu stanął

Paul Vandergraff ze szklanką whisky.

- Vickie, moja droga! Nareszcie jesteś! - powiedział tak, jakby po prostu spóźniła się na kolację, a nie wróciła do domu po tym, jak ją uprowadzono. - Chodź i dołącz do nas na drinka.

Zawahała się, przyglądając mu się z uwagą. Szczupły, z perfekcyjną opalenizną dochodzącą do linii srebrnych włosów, wyglądał na człowieka solidnego i energicznego, co podkre

ślał, nosząc białe koszulki polo w lecie i kaszmirowe swetry

zimą. Jeszcze do niedawna uważała go za człowieka wyrafinowanego i dobrze wychowanego, ale teraz wiedziała już, jak bardzo jest sztuczny i pełen obłudy. Ponieważ on się nie

zmienił, wyglądało na to, że to ona uległa wielkiej metamorfozie. Gdy wrócił do pokoju, odłożyła klucze oraz torebkę na stolik i poszła za nim. Obcasy jej włoskich skórzanych pantofli

stukały na marmurowej posadzce.

Były narzeczony wstał na jej widok.

- Kochanie, co za niespodzianka. Myślałem, że zostaniesz

w Luizjanie.

- Harrell, jak miło cię widzieć - powiedziała ironicznie,

bo jego gierka była absolutnie jasna. Podeszła do stolika z

ROAN Jennifer Blake 343

alkoholami i nalała sobie zimnej wody mineralnej. - Ale myliłeś się - mruknęła. - Oczywiście, że wróciłam na Florydę.

W końcu tu prowadzone są moje sprawy majątkowe. Jednak

po naszym ostatnim spotkaniu nie mogę powiedzieć, że zdziwiłam się, widząc cię tu z Paulem. Że sobie tak siedzicie jak najlepsi przyjaciele.

- Proszę, kochanie, nie zaczynaj od nowa. - Harrell spojrział na Paula Vandergraffa, jakby mówił: „No widzisz, mówi

łem ci”.

- Dlaczego? Nie sądz, że zapomniałam o twoich groźbach.

- Odwróciła się, by spojrzeć im w oczy. Ubrana była w szary

kostium z jedwabną bluzką, do tego włożyła szaroróżowe perły

matki, a włosy uczesała w elegancki francuski kok. Zależnie

od potrzeb potrafiła grać zarówno rolę damy, jak i debiutantki.

Dziś występowała w roli damy.

- Na twoim miejscu nie przypominałbym o tym, że uciekłaś z dwoma plażowymi włóczęgami,

choć ta twoja włóczęga po Luizjanie może być trudniejsza do wymazania z pamięci niż poprzednie eskapady.

- Nie było żadnej włóczęgi - oświadczyła, obrzucając ich

zimnym spojrzeniem. - Natomiast, dzięki Bożej pomocy

i szybkiej akcji szeryfa Roana Benedicta, w ostatniej chwili

udało mi się ujść z życiem.

- Masz rację, to naprawdę szybki mężczyzna. Szybko się

w tobie zakochał, albo raczej szybko wciągnął cię do swojego

łóżka.

- To nie... - Zamilkła i wciągnęła głęboko powietrze.

- Harrell, powiedz, czy w ogóle kiedyś ci się podobałam, czy

też chodziło ci tylko o moje pieniądze? Bo mnie się wydaje,

że jesteś łowcą posagów, a zaręczyłeś się ze mną tylko dlatego,

że przez szczęśliwy przypadek urodziłam się bogata.

- Proszę, nie mów tak. Oczywiście, że cię kocham i zawsze

344

ROAN Jennifer Blake

cię kochałem. Wiem, że tamtego wieczoru mówiłem okropne

rzeczy, ale czułem się zraniony i poniosła mnie złość.

- A skoro już o tym mowa - mruknęła - jak tam twoja

ręka? Mam nadzieję, że nie zachorujesz na wściekliznę?

- Czuję się dobrze - odparł ponuro - ale nie zawdzięczam

tego twojemu casanowie z odznaką.

Uśmiechnęła się, słysząc taki opis.

- Ja też wracam do zdrowia. Dziękuję, że obaj się tym

zainteresowaliście - powiedziała miło.

- To dobra wiadomość. - Paul usiłował przybrać zażenowaną minę.

Harrell spojrział na nią ze smutkiem.

- Myślisz, że się nie martwiłem o ciebie? Twoje dobro jest dla mnie najważniejsze.

- *Jestem tego pewna.*

- Kochanie, naprawdę musimy porozmawiać. Pójdźmy gdzieś w jakieś spokojne miejsce, usiądźmy i...

- Spokojne i odosobnione, co? Twoim zdaniem muszę być prawdziwą idiotką.

- Victorio, doprawdy, nie możesz traktować Harrella tak surowo - upomniał ją Paul i wypił łyk whisky.

- Dlaczego? - spytała, patrząc mu w oczy. - Nie zamierzam ułatwiać mu zabicia mnie.

- Co za pomysł! - wykrzyknął Paul z irytacją.

- Nie było cię ze mną, więc skąd możesz wiedzieć, co

przeżyłam? I nie rozumiem, dlaczego stajesz po stronie Harrella. Chyba że też czekasz na moją śmierć, bo wtedy nie będę cię mogła oskarżyć, że źle zarządzałeś moimi pieniędzmi?

Paul na chwilę zastygł w bezruchu.

- Źle zarządzałem? Mogłoby to być śmieszne, gdyby nie było takie nieprawdopodobne.

- Według moich prawników nie jest to ani śmieszne, ani

ROAN Jennifer Blake

345

nieprawdopodobne. Poważnie uszczupliłeś mój majątek, powiększając jednocześnie swój. Podobno fatalnie inwestowałeś, manipulowałeś akcjami oraz przekazywałeś gotówkę w sposób,

który wydaje się bardzo podejrzany. Jediną dobrą rzeczą, jaką mogę powiedzieć o tobie, jest to, że, o ile mi wiadomo, nie brałeś przykładu z Harrella i nie fałszowałeś mojego podpisu na dokumentach.

Policzki Paula powlekły się trupią szarością. Otworzył usta, ale nie wyszło z nich żadne słowo. Przeniósł wzrok na swoją szklankę i wpatrzył się w topniejące kostki lodu.

Vickie od kilku dni, a nawet tygodni podejrzewała go o fałszerstwa, ale teraz już miała pewność. Wzięła głęboki wdech i kontynuowała.

- To też robiłeś, prawda? Ktoś musiał wydać zgodę na dostęp do moich kont, gdy doszłam do pełnoletności. Musiałeś się stać całkiem dobry w fałszowaniu mojego podpisu. To ty podpisywałeś dokumenty, które gwarantowały Harrellowi udział w tym interesie z ludźmi ze świata hazardu. Ręczył moim majątkiem, a było mu o tyle łatwiej, że mnie tu nie było, by zaprotestować.

- Nie chciałem, żebyś została ranna.

Po prostu wolał o tym nie myśleć, uznała Vickie, tak jak nie myślał o rozpaczach jej matki, gdy zamknął ją w zakładzie dla osób psychicznie chorych. No cóż, a teraz jego udział w oszustwie wyjaśniał, dlaczego nie zgłoszono jej zaginięcia i nikt jej nie szukał, nawet gdy minęło już sporo czasu.

- Dlaczego jednak wzięłeś w tym wszystkim udział? - spytała, bo nie mogła się powstrzymać. - Przecież nie potrzebowałeś moich pieniędzy.

- Tak ci się wydaje? - Paul uśmiechnął się posępnie. - Co

ty możesz wiedzieć, skoro zawsze miałaś pieniądze, choć ich

pomnażanie nie sprawiało ci przyjemności. Ze mną było inaczej.

346

ROAN Jennifer Blake

- Czerpiesz radość ze zwiększania swojego bogactwa? .Cieszyło cię, gdy kradłeś miliony mojej matce? I mnie?

- Po prostu leżały przede mną całe stosy pieniędzy, z którymi wy nic nie robiłyście. Dlaczego miałem się tym nie zająć?

Powiedział to ze świętym oburzeniem. Nie rozumiał, że zde-

fraudowanie czyjegoś majątku po to, by samemu się wzbogacić,

jest przestępstwem, jak zwyczajna kradzież. Po prostu w swojej

pysze czuł się całkiem bezkarny. Ciekawe, jaka część jego przemysłowego imperium stanowi tylko przykrywkę dla różnych finansowych machinacji?

- Ty głupcze! - Harrell spiorunował Paula wzrokiem i wykrzywił pogardliwie usta. - Teraz musimy się jej pozbyć, a po tym całym zamieszaniu to nie będzie łatwe.

- Jeśli pamiętasz, to „zamieszanie” było twoim błyskotliwym pomysłem - warknął Paul. - W każdym razie nadal mo

żemy odstawić ją na boczny tor. Poszukaj odpowiedniego lekarza i zapłać mu tyle, by nikt nie zważał na to, co ona będzie mówić.

- Nie możemy ryzykować. Ludzie, z którymi pracujemy,

nie lubią spraw nie załatwionych do końca.

Vickie roześmiała się nerwowo. Groźba, która właśnie pad

ła, od lat wisiała nad nią, chociaż do tej pory Paul nie wypowiadał jej na głos. I to właśnie strach przed zamknięciem w domu opieki powodował, że była taka niepewna siebie i niezdolna do zaplanowania swojego życia. Niemal odczuła ulgę, gdy zagrożono jej otwarciu.

Jednak już wiedziała, że popełniła błąd, wyjawiając wszystkie swoje podejrzenia. Prawnicy, z którymi przesiedziała kilka ostatnich godzin, ostrzegali ją, by natychmiast wyniosła się z

domu, a potem rozmawiała z Paulem i Harrellem jedynie w

obecności swoich doradców prawnych. Chętnie by się do tego zastosowała, gdyby tylko dano jej szansę, jednak gdzieś w głębi

ROAN Jennifer Blake

347

duszy miała nadzieję, że ojcym w cywilizowany sposób przyjmie jej rewelacje, a Harrell w jego obecności opanuje swoje podłe zapędy. A teraz, gdy już raz zaczęła mówić, nie wiedziała, kiedy zamilknąć. Poza tym cieszyła się, że wreszcie pozna całą prawdę.

Bała się, ale w inny sposób niż dawniej. Ojcym zawsze

wydawał jej się potężnym człowiekiem, a teraz okazało się,

że jest wyczerpany, zużyty i po prostu żaloszny. W ostatnich

tygodniach przyzwyczaiła się do tego, że ma wokół siebie mężczyzn z rodziny Benedictów, więc jej punkt widzenia bardzo się zmienił. Nauczyła się mierzyć mężczyzn takich jak Harrell

i Paul miarą Benedictów i odkryła, jak bardzo są godni pogardy.

- Mówiąc o załatwianiu spraw do końca, miałeś na myśli

Gburka i Gapcia? - spytała.

Harrell obojętnie wzruszył ramionami.

- Wszystko sfuszerowali, a potem mieli czelność żądać,

bym siedział cicho.

- Więc ich zabiłeś.

- Dostali to, na co zasłużyli.

Przeraziła ją obojętność, z jaką to powiedział, lecz teraz

nie mogła sobie pozwolić na strach.

- Chyba wybacysz mi, jeśli uznam, że ja jestem czymś

więcej niż niezłatwioną sprawą. Czy wspominałam już, że

po południu widziałam się z moimi prawnikami?

Popatrzyli na nią w oszołomieniu. Paul pierwszy odzyskał

zimną krew.

- Co zrobiłaś? - spytał marszcząc czoło.

- To, co powinnam była zrobić już dawno temu, czyli zaczęłam sama decydować o moim majątku, jak i o wielu innych sprawach. Przede wszystkim zażądam pełnej kontroli ksiąg.

Gdy będzie już znany rozmiar szkód spowodowanych twoim

348

ROAN Jennifer Blake

zarządem, zlikwiduję tę wyrafinowaną strukturę rodzinnych

funduszy powierniczych, którą zorganizowałeś, i przejmę pełną

kontrolę nad swoim majątkiem. Oczywiście spodziewam się

twojej współpracy przy przekazywaniu rządów.

Paul tylko się roześmiał.

- Twoi prawnicy? Jeżeli chodzi ci o rodzinną kancelarię,

od dziesięcioleci gram z tymi ludźmi w golfa. To moi przyjaciele. Do diabła, połowa z nich kupiła ode mnie posiadłości w Aspen i całe flotylle mercedesów. Muszę im tylko wyjaśnić,

jak rzeczy stoją, i problem zniknie.

- Nie wydaje mi się. Obecny szef kancelarii był bliskim

przyjacielem mojej matki, a jego ojciec studiował z moim

dziadkiem w Yale. Doskonale rozumieją, że jestem gotowa sama zajmować się swoimi sprawami.

- Jestem pewny, że stwierdzony u ciebie brak równowagi

psychicznej spowoduje...

- Rozmawialiśmy także o ewentualnym nakazie umieszczenia mnie w szpitalu dla psychicznie chorych. Powiedzieli, że z radością zajmą się moją obroną, jeżeli tylko ośmielisz się

wystąpić do sądu o taki nakaz. A na razie już zaangażowano

niezależną firmę audytorską. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin masz im dostarczyć do biura

wszystkie księgi rachunkowe, dokumenty i akta dotyczące mojego spadku po matce.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe! - warknął Paul.

- Księgowi będą potrzebowali co najmniej tygodnia, żeby

wszystko przygotować.

- Nie będziesz nic przygotowywał - odparła. - Ani poprawiał. Oddasz wszystko w takim stanie, w jakim to się teraz znajduje.

Paulowi ręce tak się zatrzęsły, że aż zadzwięczał lód w

szklance, którą podniósł do ust. To znak, pomyślała Vickie,

że naprawdę potrzebuje czasu na spreparowanie ksiąg, by ukryć

ROAN Jennifer Blake

349

defraudacje. Przypomniała sobie ostatnie dni matki, więc jego

strach sprawił jej prawdziwą przyjemność.

Nic nie powiedział, więc kontynuowała.

- A dopóki rewidenci nie skończą pracy, nie będzie żadnych transferów, chyba że osobiście podpiszę zgodę, a świadkiem tego będzie mój doradca prawny. Zostawiłam również zaprzysiężone oświadczenie, że odmawiam wszelkiego uczestnictwa w Harrella... Och, przepraszam, twoim i Harrella interesie z hazardem, czy też jakimkolwiek innym, w którym

wy dwaj, osobno czy też razem, macie udziały. - Popatrzyła

na Harrella. - A jeśli chodzi o ciebie, komisja gier hazardowych stanu Luizjana została powiadomiona o twoich przestępczych poczynaniach. Otrzymasz także nakaz natychmiastowego zwrotu wszystkich dokumentów, oryginałów i kopii, na których figuruje mój sfalszowany podpis.

- Ty dziwko! - wykrzyknął Harrell. Widać było po nim,

że jest w szoku.

- Jak pamiętasz, ostrzegałam cię- powiedziała, patrząc mu

w oczy. - Masz na to dwadzieścia cztery godziny.

- Jesteś bardzo dokładna, gdy chodzi o terminy, prawda?

- warknął Paul.

- Niektóre rzeczy lepiej robić od razu. I chyba powinnam ci też powiedzieć, że spisałam nowy testament. Rozporządziłam, że jeżeli coś mi się stanie, pewne sumy zostaną przekazane na cele charytatywne, ale gros mojego majątku zapisałam młodemu mężczyźnie z Luizjany, niejakiemu Jake'owi Benedictowi.

Harrell zaklął.

- Nie mogłaś tego zrobić! - sprzeciwił się Paul.

- Mogłam, i zrobiłam. A jeżeli ci się to nie podoba, każ swojemu prawnikowi złożyć skargę.

- Ten cholerny szeryf ze wsi! - wykrzyknął Harrell. - To jego sprawa.

350

ROAN Jennifer Blake

- Wcale nie.

- Bez niego nie miałabyś dość odwagi.

To była prawda, Vickie wiedziała o tym, ale nie w ten sposób, w jaki Harrellowi się wydawało. Nie oczekiwała, by Roan przyjechał i ją poparł, ale jego przykład niezłomnego trwania przy tym, co jest właściwe, dał jej odwagę, by przezwyciężyć strach i walczyć. Niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, zawsze będzie mu za to wdzięczna.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz - powiedział Paul.

- Niewiarygodne jest tylko to, iż myślałeś, że tego nie zrobię po tym, jak potraktowałeś moją matkę.

- Byłem dla ciebie ojcem. Dawałem ci wszystko...

- Tolerowałeś mnie ze względu na moje pieniądze. Więc

nie mów o ojcowskich uczuciach.

- Owszem, zarządzałem twoim majątkiem. Przecież to była naturalna kolej rzeczy.

- Lecz byłoby w pełni zrozumiałe, gdybyś przekazał mi zarządzanie funduszami, gdy już stałam się pełnoletnia. Chciałaś tak myśleć, bo było ci z tym wygodniej.

Na twarzy Paula odmalowało się obrzydzenie.

- Jest więcej niż nienaturalne, bo po prostu nieprzyzwoite, gdy osoby takie jak ty i twoja matka mają aż tyle forsy. Co wyście z nią robiły? Po prostu na prawo i lewo szastałyście pieniędzmi, rozdawałyście je różnym naciągaczom, jak ty teraz obdarowaś tego chłopaka.

- Nieprzyzwoitością było to, że kradłaś nasze pieniądze, by wpisać się na listę milionerów. Łajdactwem było to, że pozwoliłaś mnie uprowadzić, a myślałaś także o pozbawieniu mnie życia, żebym już nigdy nie mogła ci przeszkodzić w rozkoszowaniu się pieniędzmi. A jeżeli chodzi o rozdawanie tego, co mam, to tak się stanie, jeżeli... - Przerwała, bo to, co chciała powiedzieć, było aż nadto oczywiste.

ROAN Jennifer Blake 351

- Jeżeli umrzesz - skończył za nią Harrell z ponurą nadzieją malującą się na twarzy. Włożył rękę pod marynarkę z lnu, którą miał na sobie, i wyjął z kabury tęponosy pistolet.

Lufa, którą skierował w jej pierś, wyglądała paskudnie, jak pysk jakiegoś zwierzęcia.

- Zabijając mnie, niczego nie osiągniesz - powiedziała, ale czuła, jak ogarnia ją dziwny chłód.

- Mylisz się. Upewnię się, że już nikomu nic nie powiesz.

- Roan już wie. Jeżeli coś mi się stanie, natychmiast ciebie

znajdzie. I moi prawnicy też.

- Być może, ale zapominasz o tym, że twój dzielny o-

brońca jest w Luizjanie, i pewnie wkrótce o tobie zapomni.

- Harrell ze współczuciem pokiwał głową i popchnął ją do

drzwi. - Poza tym niewiele będą mogli mi zrobić, gdy sama

się zabijesz, prawda? Bo mnie się wydaje, że jesteś do tego

skłonna. Od lat byłaś psychicznie nie zrównoważoną, o czym

z Paulem chętnie zaświadczymy. A teraz jeszcze uciekłaś z domu z dwoma mętami, napadłaś na sklep, dałaś się postrzelić, udawałaś amnezję oraz wdawałaś się w perwersyjny romans z

tym samym szeryfem, który do ciebie strzelał. Od dawna żyłaś

na krawędzi, co do tego nie ma wątpliwości i nikogo nie zdziwi, jeżeli popłyniesz nad zatokę i już nie wrócisz.

- I to ja mam być nie zrównoważona? - spytała z posępnym sarkazmem. - To ty jesteś chory, jeśli myślisz, że zamierzam w najbliższym czasie pływać. - Odsunęła się od niego jak od zarazy.

- Och, nie mówię, że popłyniesz sama. Z przyjemnością

do ciebie dołączę, a potem upewnię się, że odpływ cię unosi.

Bo widzisz, właśnie trwa. - Pokazał ręką w kierunku drzwi.

- Chodź, kochanie! Miejmy to już za sobą.

Naprawdę oszalał. Vickie nie znajdowała innego słowa na

określenie jego stanu.

352

ROAN Jennifer Blake

W pierwszej chwili chciała odmówić, żeby musiał siłą wyciągać ją z domu, ale to byłoby poniżej jej godności. A co więcej, nie chciała tracić energii, której będzie bardzo potrzebować.

Nie prosiła ojczyzna o pomoc, bo to nie miało sensu. Jeżeli

do tej pory nie próbował powstrzymać Harrella, znaczyło to,

że godził się na wszystko, co ten drań zamierzał z nią zrobić.

Teraz mogła tylko iść, poganiana przez byłego narzeczonego,

i wypatrywać okazji, by się od niego uwolnić.

To, że miała niebawem umrzeć, wydawało jej się nierealne.

Mimo strasznych przeżyć, jakich doznała w ostatnich tygodniach, odrzucała tę możliwość. W głębi duszy czuła się tak, jakby miała istnieć wiecznie, bo życie nie wypełniło jeszcze

złożonych jej obietnic. To, że wszystko może się nagle skończyć, że ktoś może odebrać życie drugiemu człowiekowi, było zniewagą i tragedią. To się po prostu nie może stać!

Po jednej stronie holu była sala gimnastyczna i sauna, po

drugiej drzwi na dziedziniec, który był ustronną oazą zieleni

i ciszy, z palmami rzucającymi cienie na ściany i furtkę z kutego żelaza, prowadzącą na plażę.

Gosposi nigdzie nie było widać. Albo szykowała kolację

w kuchennym skrzydle domu, albo poszła do swojego pokoju.

Wydawało się, że Harrell wypatruje jej obecności, bo obejrzał

się, a potem zatrzymał na progu. Dopiero wówczas, gdy wyszli

na dziedziniec i ruszyli opadającą w dół ścieżką do furtki, jego czujność trochę zelżała.

Na Sanibel nie było wielu publicznych plaż, bo prawie cały

brzeg był własnością prywatną. Odcinek przed domem Van-

dergraffa był jednym z najdłuższych. Mieli tylko dla siebie

szeroki pas białobeżowego piasku. Dziś wieczorem obmyły go

wysokie fale, napędzane przez sztorm srożący się gdzieś niezbyt daleko. Na samym brzegu fale pozostawiły białą koronkę ROAN Jennifer Blake

353

piany, muszelki i wodorosty. Silny wiatr wiejący od wody targał wierzchołki morskich bałwanów i przynosił słone bryzgi aż na dziedziniec. Poruszał koronami palm, a odgłos trzeszczących gałęzi brzmiał jak deszcz. Mewy nurkowały i skrzeczały, ich ostre krzyki było przenikliwe i żalosne.

Wieczne światło jeszcze snuło się po wodzie, ale na plaży

było już prawie ciemno. Z sąsiednich domów, kryjących się wśród drzew, dochodziło trochę światła, ale w większości były to zimowe rezydencje, zamieszkałe od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Właściciele założyli na okna osłony przeciwhuraganowe i uciekli w chłodniejsze okolice przed straszliwym upałem, monsunowymi deszczami i tropikalnymi burzami. Kilka domów należało wprawdzie do wyspiarzy, ale ci mieli dość rozumu, by nie wychodzić nad wodę podczas burzliwego przyływu.

Widząc pustą plażę, Harrell roześmiał się. Popchnął Vickie w kierunku brzegu i sam ruszył za nią. Szła przed nim, a jej wysokie obcasy zapadały się w piasek.

Lecz nie mogła tak po prostu iść ku śmierci. Musiała coś powiedzieć albo zrobić, by zyskać na czasie, oraz pozbyć się uczucia niedowierzania, żeby jej umysł znów podjął pracę i wynalazł jakiś sposób na powstrzymanie Harrella.

- To... dziwaczny pomysł - odezwała się niepewnym głosem, starając się przekrzyczeć wiatr i szum fal. - Radziłabym ci, żebyś jeszcze raz to przemyślał.

- Doprawdy? - Mówił protekcyjnie, był bowiem zbyt pewny siebie, by zainteresować się jej słowami.

- Policja ma swoje sposoby, żeby się dowiedzieć, jak zginęła ofiara morderstwa. Niedawno czytałam, że potrafią się zorientować, czy denat został utopiony, czy też uderzony albo uduszony, albo czy uszkodzenia skóry nastąpiły przed czy po śmierci. Jeśli choćby lekko mnie dotkniesz, i tak zostawisz ja-

354

ROAN Jennifer Blake

kieś ślady, a jeżeli myślisz, że dla twojej przyjemności sama pójdę się utopić, to jesteś w błędzie.

- Och, myślę, że to zrobisz. Pamiętaj, że już raz do ciebie

strzelano i wątpię, byś powtórnie chciała coś takiego zaryzykować.

Zadrżała, słysząc jego spokojne słowa, ale nic nie dała po

sobie poznać.

- Widzę, że nie mam wielkiego wyboru, ale być może sprawię, że mimo wszystko zrobią ci śmiertelny zastrzyk.

Spojrzał na nią spod oka.

- Czyżby?

- Możesz mieć poważne kłopoty.

- To ty masz kłopoty, kochanie - odrzekł z emfazą.

-I możesz być pewna, że nie zostawię żadnych śladów, o których wspominałaś. A szkoda, bo inaczej dałbym ci dokładnie to, na co sobie zasłużyłaś. - Przez chwilę obrazowo opowiadał,

co chciałby jej zrobić.

- Jesteś chory - stwierdziła. Odwróciła się w stronę brzegu

i patrzyła na nieustający pochód fal, które załamywały się na

piasku, oraz na samochody sunące San-Cap, czyli główną arterią wyspy. Dźwięk przychodził i odpływał z wiatrem. Wydawało się, że auta zatrzymują się przed domem, a potem znów się rozpędzają. Ludzie jadący nimi zajmowali się swoimi bezpiecznymi, zwykłymi sprawami i nic nie wiedzieli o tym, co się dzieje na plaży.

- Ale jestem bogaty - przypomniał jej. - Albo już niedługo będę.

- Nie dam ci więcej jak pół roku - stwierdziła z pogardą.

- Potem znów zrobisz coś tak głupiego i aroganckiego, że narazisz się albo policji, albo swoim nowym partnerom w interesach. - To, że w takiej chwili kpiła z niego, nie było najlepszym pomysłem, ale pragnęła stawić mu czoło, wyzwać go.

Zresztą przecież mógł ją zabić tylko raz.

ROAN Jennifer Blake 355

- Chciałabyś! - Roześmiał się. - Jednak prawdą jest to,

że zrobię fortunę. Potem kupię sobie najwspanialszy dom na

najpiękniejszej plaży Sanibel i rzucę swoje pieniądze w twarz wszystkim tym idiotom z Ivy League, którzy śmiali się ze mnie za moimi plecami i patrzyli na mnie z góry, bo nie urodziłem się w luksusowej klinice.

Vickie odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Więc o to ci chodziło - powiedziała z nagłym zrozumieniem. - Ty naprawdę mnie nienawidzisz.

- Nie było tak, póki nie uznałaś, że nie możesz się do mnie zniżyć. Wtedy zacząłem tobą gardzić, bo okazałaś się leniwą, jęczącą, uzalającą się nad sobą bogatą dziwką.

- To, że zerwałam nasze zaręczyny, nie miało nic wspólnego z twoim pochodzeniem ani z tym, jak zarabiałeś na życie!

- Och, daj spokój! Widziałem, jak na mnie patrzysz, co myślisz o moich ubraniach, samochodzie, mieszkaniu i przyjaciółach. Uważałaś, że przewyższasz mnie we wszystkim: w sposobie bycia, kulturze i pochodzeniu, jakby takie rzeczy były najważniejsze. Uważałaś mnie za takie zero, że nawet nie mogłaś się zdobyć na to, by pójść ze mną do łóżka, a co dopiero zakochać się we mnie.

Nie chciała mu współczuć i nie zrobi tego. Niech się po niej nie spodziewa litości. Stojąc z nim twarzą w twarz, powiedziała:

- Lecz już zdążyłeś to sobie wynagrodzić i jeszcze ściągnąć odsetki, prawda? Albo może i nie, jeśli się weźmie pod uwagę twoją mentalność. Więc kazałeś mnie uprowadzić, by mi się odplacić, a także po to, by uniemożliwić mi wtrącanie się w twoje brudne interesy. O to chodziło? Twoim zdaniem zasługiwałam na to, by poniewierali mną ci dwaj łajdacy, których nająłeś. Uważałeś, że cokolwiek mi zrobią, będzie dobre, oczywiście zanim mnie zabiją.

Chytry uśmieszek wykrzywił mu usta.

- Zapłaciłem im, żeby zawieźli cię do Luizjany, a tam mieli poczekać, aż przyjadę na rozmowy o pływającym kasynie.

Potem aligatory zajęłyby się tym, co by z ciebie zostało.

Wymknęła się śmierci, którą dla niej zaplanował w Luizjanie. Wymknęła się i znalazła coś, czego szukała przez całe życie, czyli miejsce, gdzie pieniądze i pozycja społeczna nie były ani powodem pogardy, ani celem, dla którego się zabija.

Znalazła człowieka, dla którego ważny był dom i rodzina, i który kierował się w życiu tym, co jest dobre i słuszne. Znalazła miłość. Roana.

Znalazła go i nie chce umierać, dopóki mu nie powie, co

czuje, dopóki się nie dowie, czy jest jakaś nadzieja, że on również ją kocha... lub przynajmniej szanuje. Nie podda się i nie pozwoli, by skrzywdzono ją bez żadnego z jej strony protestu,

tak jak to zrobiła jej matka. Nie zostanie ograbiona z życia.

Nie odda nadziei, miłości i szczęścia bez walki.

Życiodajna wściekłość, uzbrajająca w moc i stokrotnie

wzmagająca energię, niepowstrzymaną falą ogarnęła Vickie.

Już nie myślała o niczym, nie zastanawiała się, tylko przemieniła się w dziką wojowniczkę. Zaciśnęła rękę w pięść tak, jak nauczono ją na kursach samoobrony, i uderzyła Harrella w

twarz z całą siłą, do jakiej była zdolna.

Z krzykiem odchylił się do tyłu, zawadził butem o mokry

piach i upadł. Vickie nie wahała się ani chwili, tylko ruszyła

pędem przed siebie.

Usłyszała przekleństwa Harrella. Zerknęła za siebie i zobaczyła, jak jej prześladowca powoli wstaje. Wiedziała, że w każdej chwili może zacząć strzelać, ale było jej wszystko jedno.

Słony wiatr dmuchał jej w twarz, a fale syczały wokół jej nóg.

Vickie powiedziała sobie, że umie biegać, przecież od lat codziennie to robiła.

ROAN Jennifer Blake

357

Harrell gonił ją. Słyszała skrzypienie piasku.

Nie chciał do niej strzelać, bo pragnął zamordować ją gołymi rękami. Nadal zamierzał ją utopić. Dobrze, niech spróbuje.

Od zawsze pływała w tej zatoce. Może być mu trudniej, niż się spodziewa.

Umysł miała jasny, od napływu adrenaliny myśli pędziły jak oszalałe. Musi uciekać. Pobiegnie do wody, bo w ten sposób stanie się trudniejszym celem, lecz w wodzie, idąc pod fale, nie będzie mogła poruszać się zbyt szybko. Poza tym Harrell chciał, żeby weszła do wody. Nie zrobi tego, nie ułatwi mu sprawy, musi więc biec.

Zaczynało brakować jej tchu, bo była słabsza niż dawniej.

Mściły się tygodnie wymuszonej bierności. Obcasy zanurzały się w piasek, ale nie miała czasu, by zrzucić buty. Harrell był coraz bliżej. Doganiał ją!

Biec, musi biec! I biegła. Uciekała. Znow uciekała, jak zawsze, mimo wszystko znow uciekała.

Tyle że tym razem zostanie złapana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Harrell brutalnie chwycił ją z tyłu za żakiet i zatrzymał.

Poczuła ból w ramieniu, gdy obracał ją przodem do siebie.

Twarz miał wykrzywioną, w oczach malowało się dzika żądza mordy. Wyrwała nadgarstek z jego śliskich palców i próbowała odbiec. Fala obmyła jej nogi i Vickie potknęła się na pofałdowanym twardym piasku. Harrell skoczył za nią, złapał ją z przodu za bluzkę i mocno objął w pasie. Wykrzyknęła coś w panice, gdy przyciągał ją do siebie i podnosił. Roześmiał się dziko i triumfalnie i ruszył w fale.

Nie mogła oddychać, za mocno ją przyciskał, a po ramieniu i piersi rozlał się palący ból. Woda zerwała jej buty z nóg.

Szum fal brzmiał w uszach jak ryk rozpędzonego silnika, głośniejszy z każdym krokiem, jaki Harrell stawiał w głąb zatoki.

Próbowała go kopnąć, uderzyć kolanem w krocze, ale fale osłabiały każdy jej ruch. Wralczyła o wolność, lecz morderca trzymał ją zbyt mocno. Z rozpaczy zaczęła walić go pięściami po plecach, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Wycie wiatru i fal

było teraz tak głośne, że zagłuszało myśli i nadzieję, pozostawiając tylko strach.

I nagle jej palce dotknęły metalu. To był pistolet! Harrell schował go z powrotem, by łatwiej było mu ją nieść. Zacisnęła palce na lufie, wyszarpnęła broń z kabury i wpakowała jej lufę w pachę mężczyzny.

Zatrzymał się gwałtownie i zaklął zduszonym głosem.

A wtedy nadeszła wielka fala i uderzyła w nich, jakby jakiś

ROAN Jennifer Blake 359

potwór wyłonił się z ciemności i wzburzył wodę. Harrell runął, a ona wyrwała się z jego objęć. Niestety, pistolet wyleciał jej z ręki. Vickie, rzucona jak szmaciana lalka, potoczyła się do wody. Fale grzmiały wokół niej, brakowało jej powietrza, w płucach czuła ból, a w krtani i nosie paliło. Dotknęła dna

i przesunęła twarzą po piasku. Odpychając się zdrową ręką,

próbowała stanąć i wydostać się na powierzchnię.

Nagle znów jakieś ramiona chwyciły ją z siłą stalowych

obcęgow. Z oczami zalepionymi piaskiem, na oślepie wymierzyła

cios pięścią.

Lecz ktoś złapał jej rękę, lekko ją powstrzymał, przycisnął

do siebie i zaczął kołysać. Mężczyzna, który ją trzymał, wcisnął policzek w jej włosy i szeptał uspokajająco. Słyszała go mimo wiatru, fal i krzyku mew.

- Vickie, już dobrze! Cicho, cicho! To ja, to tylko ja!

Roan?!

Jest tutaj!

Nie wiedziała, skąd się tu wziął, i nie obchodziło jej to.

Przytuliła się do niego, zacisnęła ręce na jego ramionach i westchnęła głęboko, jakby z tym oddechem wchłaniała jego siłę i bezpieczną pewność siebie. Potem znów narosła w niej panika.

- Harrell! Jest...

- Jest tam.

Roan delikatnie ją obrócił, żeby mogła zobaczyć plażę. Harrell leżał na brzuchu jak rekin wyrzucony na brzeg. Mootonnym głosem przeklinał, przy każdym słowie wypływał piasek i słoną wodę, fale zalewały mu nogi, a potem się cofały. Ręce miał

na plecach spięte kajdankami, druga para kajdanek dekorowała

mu kostki nóg.

- Nie wydaje mi się, by mógł jeszcze sprawiać nam kłopoty

- stwierdził spokojnie Roan.

360

ROAN Jennifer Blake

Vickie też tak nie sądziła, więc przestała zważać na byłego

narzeczonego. Jej wzrok pobiegł dalej, minął Harrella i zatrzymał się na purpurowym kształcie, stojącym w wodzie.

- Super bird - wyszeptała ze zdumieniem, ale i rozpaczą.

-Jak...

- Byłem tu godzinę temu, ale cię nie zastałem, więc wróciłem przed chwilą. Drzwi otworzył mi Vandergraff i powiedział, że wyszłaś, być może pojechałaś na jakąś plażę na drugim końcu wyspy, gdzie lubisz spacerować. Jednak nie całkiem mu

uwierzyłem, bo bird stał na podjeździe, zaparkowany przodem

do zatoki. Wsiadłem, żeby go przeszukać, a ty zostawiłaś kluczyki w stacyjce. Już miałem je wyjąć, kiedy zobaczyłem, jak Melanka ciągnie cię do wody. - Roan wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że skoro muszę zwrócić jego uwagę, równie

dobrze mogę się posłużyć birdem.

Ślady wyrzeźbione w piasku, prowadzące z domu aż na

brzeg, powiedziały jej resztę. Roan poprowadził birda, swoją

dumę i radość, prosto w żrącą, słoną wodę. Słyszała silnik,

ale go nie rozpoznała.

- I zwróciłaś jego uwagę - stwierdziła Vickie, przypominając sobie wielką falę, która oderwała ją od Harrella. Uratowała też życie jej byłego narzeczonego. Jeszcze sekunda, a już by nacisnęła spust pistoletu. A przynajmniej myślała, że by to

zrobiła, choć nie była tego całkiem pewna.

- Mój ojczym uczestniczył we... wszystkim - powiedzia

ła. - Pozwolił Harrellowi...

- Wiem. - Mięśnie Roana napięły się na sekundę, gdy

przerwał jej to, co chciała powiedzieć. - Już o tym nie myśl.

Rozmawiałem z miejscowymi władzami i odniosłem wrażenie,

że od jakiegoś czasu mieli oko na Vandergraffa. Teraz zdobyli

dowody. Przyjadą po niego i Melankę, gdy tylko po nich zadzwonię.

- To dobrze - odparła Vickie spokojnie. - Bardzo dobrze.

- To już był koniec, koszmar naprawdę się skończył. Zamknęła

oczy i położyła Roanowi głowę na ramieniu, a potem chwyciła

go za nadgarstek ręki, którą ją przytulał. Wyczuła mocny, równy puls.

- Lepiej wracajmy - rzekł, niosąc ją na brzeg. - Mogę zadzwonić z radiowozu.

- Hej, wy! A co ze mną? - zawołał Harrell, wykręcając

głowę, by ich zobaczyć.

Szeryf Tunica Parish ledwo rzucił okiem w jego stronę.

- Wytrzymasz. Do przyływu zostało jeszcze dużo czasu.

Vickie nie chciała stąd odchodzić. O wiele bardziej wola

łaby zostać tutaj, z daleka od kłopotów, z którymi będzie musiała się zmagać, od wyjaśnień i niekończących się pytań. A jeszcze bardziej pragnęła znowu uciec i wrócić z Roanem do

Dog Trot, gdzie wszystko jest proste i nikt nie ośmielał się

ryzykować konfliktu z człowiekiem, który jest stróżem prawa

w Turn-Coupe.

Lecz nie mogła tego zrobić. Tutaj miała sprawy, które musiała załatwić do końca, i tylko ona mogła się nimi zająć.

- Tak - zgodziła się i westchnęła.

- Oprzyj się na mnie - poprosił.

Teraz już nie potrzebowała pomocy, bo odzyskała siły, mimo to pozwoliła, by Roan objął ją silnym ramieniem. Wyszli z pieniających się przy brzegu fal i ruszyli plażą w stronę wielkiego domu ukrytego wśród drzew, o którym Roan pomyślał, że mimo ogromu brakuje mu charakteru.

Gdy dotarli do radiowozu, Roan zatelefonował. Mieli pięć

minut, może najwyżej dziesięć, zanim przyjedzie policja. Stanęli pod drzewami i patrzyli na dom. Nie zauważyli najmniejszego znaku świadczącego o tym, że Paul Vandergraff już dowiedział się o

zmianie swojego położenia.

362

ROAN Jennifer Blake

Roan nie mógł ustać w miejscu. Chodził tam i z powrotem, czujny i niecierpliwy. Vickie wiedziała, jak bardzo irytuje go fakt, że nie ma tu żadnej władzy, by wejść do domu, dokonać aresztowania i na zawsze położyć kres całej tej sprawie. Nie był przyzwyczajony do stania z boku i czekania, by ktoś inny wykonał całą robotę.

Stała pod kazuaryną i przyglądała mu się, aż wreszcie postanowiła skierować jego myśli na inny temat.

- Nie podziękowałam ci jeszcze - powiedziała. - Jestem ci naprawdę wdzięczna. Wprost trudno mi wyrazić, co teraz czuję.

- Nie ma potrzeby - odparł, ciągle wpatrując się w dom.

- Musiałaś wiedzieć, że przyjadę.

- Nie. Odjechałam przecież bez słowa...

- Uciekłaś - mruknął.

- Tak myślisz? Chodzi mi o prawny punkt widzenia. Przecież nie przedstawiono mi zarzutów. Mogłeś pozwolić mi wyjechać albo nie, to zależało od ciebie. Lecz nawet jeżeli przyjechałeś tylko po to, by mnie tam sprowadzić z powrotem, i tak jestem zachwycona, że tak się stało.

- Tak właśnie myślisz? Że przyjechałem, by cię zabrać do

Dog Trot?

- Albo po super birda. Wiedziałaś, że po niego przyjedziesz, ale nie sądziłam, że tak szybko. Obiecuję ci, że zostanie naprawiony. Tutaj wiedzą wszystko o korozji spowodowanej słoną wodą.

Zbył jej słowa machnięciem ręki, jakby prawie jej nie słuchał, a po chwili przeczesał palcami włosy i odwrócił się do niej twarzą.

- Żałuję, że ci nie uwierzyłem, gdy po raz pierwszy mówiłaś mi, co się stało, żałuję bardzo. Gdybym ci uwierzył...

- Zamilkł i zacisnął usta.

ROAN Jennifer Blake

363

W słabym świetle rzucanym przez rtęciową lampę ukrytą w gałęziach drzewa prawie nie widziała jego twarzy. A skoro nie mogła nic z niej odczytać i brakowało jej wskazówek, co on naprawdę myśli, musiała postąpić uczciwie. Zwilżyła usta.

- Wiem, że nie ułatwiałam ci sprawy. Nie byłam przyzwyczajona do tego, by... by ufać ludziom. Gdy byłam młodsza, wiele razy uciekałam z domu. I niezależnie od tego, co mówiłam policji, zawsze odsyłali mnie z powrotem do ojczyma.

- Więc spodziewałaś się, że ja zrobię to samo.

- Bałam się, że go zawiadomisz, i wtedy on wyśle po mnie

Harrella. A ponieważ to mogło oznaczać dla mnie wyrok śmierci, wolałam zaryzykować i nic ci nie mówić.

- Sprytnie - skomentował zwięźle. - Nawet jeżeli przez to zamknąłem cię w Dog Trot.

- To mi nie przeszkadzało... po jakimś czasie.

Milczał, patrząc na nią w ciemnościach. Gdy myślała, że już się nie odezwie, spytał:

- Co się stało, gdy tu przyjechałaś? Dlaczego jechałaś tak

szybko, że nie mogłem cię dogonić? I jak Melanka przekonał

Vandergraffa, że jedynym wyjściem jest utopić cię, pozorując

nieszczęśliwy wypadek?

Powiedziała mu wszystko, nie opuszczając najmniejszego

szczegółu, o swojej rozmowie z prawnikami i konfrontacji

z Paulem i Harrellem. Odczuła prawdziwą ulgę, mogąc tak się

przed nim otworzyć, i wiedząc, że tajemnice, które zachowywała od tygodni dla siebie, wreszcie przestaną istnieć.

Gdy skończyła, aż zagwizdał, a potem z podziwem pokiwał głową.

- Kobieto, muszę ci przyznać, że masz nerwy ze stali.

- Byłoby o wiele mądrzej, gdybym zaczekała i pozwoliła

prawnikom załatwić całą sprawę - odparła ponuro - ale wy-

364

ROAN Jennifer Blake

daje mi się, że za długo to wszystko się we mnie gotowało,

aż wreszcie wykipiało.

- Żałuję, że mnie przy tym nie było.

Skrzywiła się.

- Nie ma czego. Ojczym i Harrell doprowadzili mnie do

białej gorączki.

- Przypominaj mi, żebym ja nigdy tego nie zrobił - za

żartował Roan.

- Myślisz, że zareagowałam przesadnie? - spytała spokojnym tonem. W oddali słychać już było policyjne syreny.

- Może. Czy ja wiem? - odparł Roan, przeciągając zgłoski.

- Chodzi mi o to, że tak bardzo się wściekłaś, a przecież oni

chcieli tylko zabrać twoje pieniądze, a ciebie zamordować. Ot,

drobiazg!

Droczył się z nią na swój własny sposób. Spojrzała na pla

żę, tam, gdzie Harrell nadal leżał w piachu.

- Ale już jest po wszystkim - powiedziała.

- Naprawdę? Chyba nie, skoro ciągle jeszcze masz blizny,

zwłaszcza tę po mojej kuli.

- Wtedy, gdy wyskoczyłam z furgonetki, nie wiedziałeś,

że jestem niewinna. - W jego głosie usłyszała, że sam się obwinia, co wcale jej nie cieszyło, chociaż jeszcze tak niedawno byłby to balsam na jej zranioną duszę.

- To nie ma znaczenia. Przez cały czas myślę o tym, że

mogłem cię zabić.

- Jednak nie zabiłeś.

- Ale mogłem.

Vickie podeszła do niego, by położyć rękę na jego ramieniu.

Nie wiedziała, czy chce go rozgrzeszyć, czy tylko pocieszyć,

lecz w tym momencie Roan się odwrócił, bo wyjące radiowozy

zaczęły wpadać na podjazd, a światła reflektorów przebiły się

przez gęstwinę drzew i zalały ich swym ostrym blaskiem. Uka-

ROAN Jennifer Blake 365

zały ponurą twarz Roana i dziwną pustkę w jego oczach. Vickie zabolalo serce, ale teraz nic nie mogła zrobić. Należało wyjść do policjantów.

Kilka następnych godzin minęło jej jak we śnie. Harrella

ściągnięto z plaży i zabrano, natomiast Paul Vandergraff zamknął się w swoim gabinecie. Krzyczał, żądał adwokata, ale w końcu wyprowadzono go z domu i wpakowano do radiowozu. Przepytano gospodynię, Marię. Upierała się, że niczego nie widziała ani nie słyszała, bo oglądała jakiś film akcji. Vickie pozwolono wziąć prysznic i przebrać się. Z ulgą pozbyła się

mokrego, nasyconego solą kostiumu. Potem zawieziono ją do

komisariatu, żeby złożyła zeznanie.

Szczegółowe opowiadanie o wydarzeniach ostatnich kilku

tygodni trwało całą wieczność. Na szczęście był przy niej Roan,

wspierał ją zarówno swoją znajomością prawa, jak i mocnym

ramieniem, a także pilnował, by traktowano ją z szacunkiem

i od czasu do czasu dawano odpocząć. Nie pchał się na pierwszy plan, ale udało mu się nie tylko ją chronić, lecz również doradzać i przeprowadzić przez najtrudniejsze momenty przesłuchania. Od razu na początku poprosił o nazwiska jej adwokatów i po nich zadzwonił. Wkrótce pojawiło się ich trzech i razem z Roanem strzegli jej interesów.

Wreszcie opowiedziała wszystko. Roan odwiózł ją do domu, zatrzymał się na parkingu i zgasił silnik samochodu. Vickie przez długą chwilę siedziała w milczeniu. Nagle poczuła się

zbyt zmęczona, by robić cokolwiek, mogła tylko patrzeć przez

drzewa na plażę i falującą wodę, lśniąca w świetle księżyca.

Oczami duszy widziała Harrella, jak ją zmuszał, by szła do

wody.

- Nie rób tego - odezwał się Roan, odwracając się tak,

by móc na nią spojrzeć. - Już o tym nie myśl.

Zamknęła oczy i oparła głowę na zagłówku.

366

ROAN Jennifer Blake

- Dobrze.

- To już koniec. Teraz możesz odpocząć.

- Bardzo trudno jest przyjąć do wiadomości, że ktoś pragnie twojej śmierci - powiedziała. Otworzyła oczy i spojrzała na niego w ciemnościach. - Tobie się to już musiało zdarzać

Jak sobie z tym radziłeś? Jak się z czegoś takiego otrząsałeś?

- Otrząsasza się i żyjesz dalej. Odsuwasz to na bok, w jakiś

nieużywany zakątek umysłu, i zatrząskujesz drzwiami. Aż wreszcie któregoś ranka budzisz się i czujesz

się dobrze. Albo coraz rzadziej myślisz o tym, co się wydarzyło, aż wreszcie przychodzi taka noc, kiedy, leżąc w łóżku, zdajesz sobie sprawę, że od miesiący nie myślałaś o tym, ani nawet nie śniłaś. Taka

jest naturalna kolej rzeczy. Po prostu... żyjesz dalej.

- A do tego czasu?

- Starasz się radzić sobie z tym najlepiej, jak tylko możesz

Odwróciła głowę i znów spojrzała na morze.

- Nie wiem, co teraz mam robić. Jest tyle rzeczy, którymi

powinnam się zająć, muszę podjąć mnóstwo decyzji w sprawach majątkowych, dotyczących holdingów i inwestycji Paula. Jestem pewna, że na jaw wyjdzie jeszcze wiele podejrzanych

spraw, w które był zamieszany. Jego konkurenci, a nawet przyjaciele, mogą próbować skorzystać na kryzysie w jego firmie. Roan nie zawahał się ani chwili.

- Dasz sobie radę.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle tego chcę.

- Nie masz wyboru. Poza tym wydaje mi się, że cała jego

firma została zbudowana z pieniędzy twojej matki, a to znaczy,

że teraz jest twoja. Nikt poza tobą nie ma prawa decydować,

co z nią zrobić.

Oczywiście, miał rację, ale nie tego się po nim spodziewała.

Lecz właściwie czego? Propozycji, że pomoże jej uporać się

z kłopotami, suchą nogą przeprowadzi przez finansowe i pra-

ROAN Jennifer Blake

367

wne bagno, które pozostawił Paul? Tylko dlaczego miałby to

robić? Co go obchodził pretensjonalny styl życia, w jakim lubował się jej ojczym?

Roan należał do Tum-Coupe, gdzie żyją spokojni i dobrzy

ludzie, a jeżeli pojawia się zło, jest ono zwyczajne i nie ukrywa się pod maską szlachetności. Miał tam swoją pracę i obowiązki,

oraz ludzi, którzy na niego liczą. To jest dla niego najważniejsze.

Odwróciła głowę i w przyćmionym świetle księżyca

spojrzała mu w oczy. Wyraz jego twarzy był tak stanowczy

i władczy. Jeszcze nie знаła nikogo, kto by tak dokładnie

wiedział, kim jest, i pod żadnym pozorem nie odstępował

od tego, co uznaje za właściwe. Takich jak on kiedyś nazywano dobrymi ludźmi. Był rzetelny, uczciwy i nigdy nie złamał zasad wpojonych mu przez rodzinę i środowisko,

w którym się wychowywał.

Dlatego go kochała i zawsze będzie go kochać, nawet jeżeli

nigdy mu tego nie powie. Wiedziała o tym już w chwili, gdy

myślała, że umrze. A teraz, gdy miała pewność, że będzie żyła,

to uczucie stało się jeszcze mocniejsze.

Odezwała się, zanim zdążyła pomyśleć, popychana głęboką,

instynktowną potrzebą.

- Zostań ze mną na noc.

- Jeżeli tego właśnie chcesz, zostanę. - Mówił spokojnie,

jego słowa wyrażały jedynie uprzejmą zgodę na spełnienie

prośby kobiety.

- Chodzi mi o...

- Chcesz, by oprócz gosposi ktoś jeszcze z tobą był - przerwał jej. - Nie martw się, dobrze cię rozumiałem. Nie wykorzystam sytuacji.

Nie tego potrzebowała, jednak nie stać jej było na bliższe

wyjaśnienia. Jego zachowanie wyraźnie wskazywało na to, że

ROAN Jennifer Blake

wcale nie pragnie wykorzystywać sytuacji, nawet jeśli sama

by mu to zaproponowała.

- A co planujesz na jutro? - spytała. - Czy mam wracać

do Luizjany, byś mógł załatwić wszystkie niezbędne formalności?

- Nie ma powodu, by cię fatygować. Sam wszystkim się zajmę.

- Dziękuję - powiedziała głosem bez wyrazu. Dała mu pretekst, ale nie skorzystał z niego.

Zebrało jej się na płacz, nie mogła jednak pozwolić, by

zobaczył jej łzy. Nie potrzebowała jego litości. Wysiadła z samochodu, on zrobił to samo, obszedł samochód, wziął ją pod rękę i odprowadził do domu. Gospościa musiała zauważyć, jak

przyjeżdżali, bo natychmiast otworzyła im drzwi.

- Dziękuję, Mario, to wszystko. Nie, zaczekaj! - Vickie

odwróciła się do Roana. - Chcesz coś zjeść albo może się napić? To był męczący wieczór.

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Wskaż mi tylko jakiś pokój, gdzie mógłbym się przespać.

No to postawił sprawę jasno.

- Dobrze. Maria cię zaprowadzi. Ja tylko... Wobec tego dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział głębokim, spokojnym głosem.

Odwróciła się od niego i na oślep ruszyła do swojej sypialni. Gdy przeszła kilka kroków, zawołał:

- Vickie?

- Słucham? - Spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

Nie powiedział nic więcej. Sekundy mijały, a Maria czekała, by go odprowadzić do drugiego

skrzydła domu.

- Nie, nic - mruknął w końcu.

Vickie zmusiła się do uśmiechu.

ROAN Jennifer Blake

369

- Śpij tak długo, jak będziesz chciał. Maria poda ci śniadanie, gdy już się obudzisz.

- Dziękuję - powiedział uprzejmie.

Nie odezwała się więcej, tylko odeszła z wysoko uniesioną głową.

Długo nie mogła zasnąć, wreszcie jednak jej się to udało,

bo podjęła decyzję. Nie zamierza pozwolić, by ten uparty prowincjonalny szeryf dyktował jej, co ma robić. Rano postara się przywrócić Roanowi Benedictowi rozum.

Lecz gdy następnego ranka ubrała się i zbiegła po schodach,

pokój śniadaniowy był pusty. Poszła do gościnnej sypialni.

Łóżko było nietknięte, a gdy wyjrzała przez okno, nie zobaczyła na podjeździe radiowozu z Tunica Parish.

Roan wyjechał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Aksamitna, miękka ciemność spowijała świat. Roan opierał

się ramionami o grubą białą kolumnę podtrzymującą tylną galerię domu Kane'a. W powietrzu unosił się dym z cygar kubańskich, którymi Kane częstował gości, by uczcić narodziny córki. Męska część rodziny zebrała się po raz pierwszy od miesiąca, bo do tej pory Kane nie odstępował na krok żony i córeczki i nie miał głowy do męskiego towarzystwa. Zresztą Roan wcale mu tego nie wyrzucał. Mała Courtney Morgan Benedict była pięknym berbeciem. Wzrok przykuwała zwłaszcza jej niezwykła ruda i kędzierzawa czupryna, jakiej w Turn-Coupe jeszcze nie widziano.

Nad niskie głosy Luke'a, Kane'a, Claya i Popa chwilami

wznosił się niepewny falset Jake'a. Rozmawiali o fiasku planów związanych z pływającym kasynem na Jeziorze Końskiej Podkowy, które to przedsięwzięcie teraz miało takie same szanse na realizację,

jak odbudowa starego kina dla zmotoryzowanych. Gdy jednak zaczęli w końcu opowiadać sobie wędkarskie historyjki, Roan przestał słuchać. Zaprzętały go inne sprawy.

- Hej, Roan, miałeś wiadomości od Vickie? - zapytał nagle

Clay.

Spojrzał przez ramię na kuzyna i zmarszczył czoło.

- Nie. Odkąd wróciłem, nie miałem z nią kontaktu.

- Do licha! Nie dzwoniłeś do niej?

Roan popatrzył na jezioro, lśniąca wśród drzew.

ROAN Jennifer Blake

371

- Byłem zajęty. Musiałem nadgonić zaległości. Zresztą ona też ma mnóstwo roboty.

- No tak - zachnął się Clay. - I zajęło ci to cały miesiąc, a właściwie nawet sześć tygodni?

- To strasznie długo - uzalił się Pop. - Boże, jak ja za nią tęsknię.

Roanowi ścisnęło się serce. Było to uczucie, do jakiego po powrocie z Florydy zdążył się już przyzwyczaić. On też za nią tęsknił. W Dog Trot każde miejsce mu ją przypominało,

a odkąd wyjechała, jego dom wydawał się ciemniejszy, bardziej zakurzony i pusty. Wieczorami, gdy zbliżała się pora spaceru z Vickie, Beau odchyłał łeb do tyłu i wydawał długie, żalosne wycie, a lasy otaczające dom odpowiadały mu tęsknym

echem. Roan żałował, że też nie może tak zawyć.

- Dwa dni temu widziałem ją - oznajmił Pop.

Roan obrócił się do niego gwałtownym ruchem.

- Widziałeś? Gdzie?

- W CNN. To było sprawozdanie z procesu Vandergraffa

i Melanki. Okazało się, że byli zamieszani w operacje prania

pieniędzy w trzech stanach i jakimś pół tuzinie wysp i krajów.

Pokazano Vickie, jak wychodziła z sądu po rozprawie tych łajdaków. W telewizji mówiono też o tej sprawie z porwaniem, łączącej się z nadużyciami finansowymi. Dziennikarze próbowali uzyskać od niej oświadczenie, ale nasza Vickie przeszła między nimi tak, jakby ich wcale tam nie było, z dumnie uniesioną głową. Mówię wam, to księżniczka w każdym calu.

- Nie widziałem żadnych sprawozdań - powiedział Roan

ostrzej, niż zamierzał.

- Powinieneś przejść na emeryturę, tak jak ja - roześmiał

się Pop. - Wtedy oglądałbyś opery mydlane i całodobowe wiadomości. No ale była to tylko chwilowa sensacja. Zaćmiło ją trzęsienie ziemi, które zdarzyło się gdzieś na drugiej półkuli.

372

ROAN Jennifer Blake

Roanowi przyszło do głowy, czy przypadkiem jego tato nie

mówi o tym tylko po to, by zobaczyć, jak on zareaguje. Jeżeli

tak, to musi być teraz bardzo zadowolony.

W mieście ludzie czynili zawołane uwagi o Vickie, jakby uważali, że coś między nimi było, nie rozumieli jednak, jak wielka jest przepaść między kimś takim jak ona i mężczyzną takim jak on. On sam zresztą nie do końca wiedział o tym, dopóki nie zobaczył Sanibel i tych luksusowych rezydencji,

a przecież ogromna siedziba Vandergraffa była dla niego jedynie zimowym domkiem.

- To znaczy, że Vickie jeszcze nie uporała się z tym całym

chłamek? - spytał Jake.

Roan potrząsnął głową.

- Proces może trwać całe lata, jeśli doliczy się czas potrzebny na apelacje, ale spodziewam się, że do tej pory zdążyła już wiele spraw uporządkować.

- Może przyjedzie do nas z wizytą.

Roan nie odpowiedział.

- Chłopiec nie owija niczego w bawełnę - zauważył Pop.

- Właśnie - zgodził się Luke.

Kane, patrząc na niego z sympatią w oczach, dodał:

- Nigdy nie wiadomo, co się może jeszcze zdarzyć.

- Zapomnij o tym - mruknął Roan. - Nic takiego się nie zdarzy.

- No, jeśli ktoś lubi się umartwiać... - zaczął Pop, ale mówił już tylko do pleców Roana. Szeryf Tunica Parish opuścił

towarzystwo i poszedł do swojego radiowozu.

Na niektóre pytania nie ma dobrej odpowiedzi.

Gdy podjechał pod dom, zobaczył, że na tylnej werandzie

nie pali się światło. Widocznie Jake zapomniał je zapalić przed

wyjazdem do Kane'a. Beau nie przyszedł się przywitać. Ostatnio pies był jakiś nieswój. Roan uważał, że tęskni za piesz-ROAN Jennifer Blake

373

czotami Vickie, ale może też mieć nosaciznę albo robaki. Będzie musiał poprosić Claya, by go zbadał.

Dom był cichy, unosił się w nim stęchły zapach. Potrzebował solidnego przewietrzenia po tym, jak przez całe lato był szczelnie zamknięty, by chronił przed upałem, albo trzeba

znów przeczyścić filtry klimatyzatora. Sprawdzi to, gdy tylko

będzie miał trochę czasu.

Roan już od dawna nie był sam w domu, bo na ogół Pop

i Jake kręcili się przy nim, gdy wracał z pracy. Oczywiście,

w ostatnich tygodniach był uwiązany w biurze. Zdumiewające,

jak wielu ludzi czekało ze swoimi sprawami, podczas gdy on

myślał tylko o Vickie. Czasami zastanawiał się, czy przypadkiem

nie fabrykować różnych spraw tylko po to, by ciągle być zajęтым

i szybciej zapomnieć o ukochanej.

Lecz nie chciał o niej zapomnieć. Wciąż rozpamiętywał każdą

chwilę, każdy szczegół jej wyglądu, sposób, w jaki się uśmiechała, jej smak i uczucia, jakich doznawał, gdy trzymał ją w ramionach.

Czasami wydawało mu się, że nadal widzi ją siedzącą przy kuchennym stole albo na werandzie na piętrze, lub gdy bawi się z Beau. Słońce oświetla jej włosy, a w oczach ma blask. Myślał

o tym, jak sprawił jej ból, wspominał ich kłótnie i momenty pełnego napięcia milczenia, i serce ścisnęło mu się z żalu. Można było lepiej wykorzystać czas, który spędzili ze sobą.

Dziwne, ale gdy tu była, nie zauważył, jak wypełniła dom

swoją obecnością, nie przypuszczał też nawet, jaką pustkę pozostawi po sobie w jego życiu, gdy odjedzie. W pułapce między obowiązkiem i pragnieniem kobiety nie zauważył, w jak naturalny sposób Vickie weszła w jego życie.

Nie wiedział, jak bardzo ją kocha.

Zresztą, gdyby wiedział, w niczym by mu to nie pomogło.

Żyli w całkiem odmiennych światach, dzieliły ich tysiące kilometrów. Vickie nie była kobietą dla niego. Jeżeli będzie to 374 ROAN Jennifer Blake

sobie powtarzał wystarczająco często, któregoś dnia wreszcie

jego głupie serce przyjmie tę informację i przestanie boleć.

Zapalona lampa na piętrze oświetlała hol. Roan zatrzymał

się na sekundę w drzwiach i zastanowił się, co robił rano przed

wyjściem do pracy. Nie pamiętał, że zgasił światło, ale nie

pamiętał też, by je zapalał. Albo zaczyna tracić głowę, albo

musi odbyć poważną rozmowę z Jakiem i Popem na temat rachunków za prąd.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Mógł tu wejść ktoś obcy

i teraz chowa się w jego pokoju.

Ale kto to mógłby być? W Dog Trot nie było wielu cennych

rzeczy, które przyciągnęłyby złodzieja. Poza tym każdy włamywacz obdarzony choćby odrobiną rozumu najpierw sto razy by się zastanowił, zanim by się wdarł do domu jedyne go człowieka w mieście, który nie tylko zawsze ma przy sobie broń, lecz jeszcze postawiłby na nogi całe swoje biuro, by złapać

złodzieja. Oczywiście istnieją jeszcze wrogowie, a kilku złoczyńców obiecało mu zemstę. Tylko dlaczego ktoś taki czekałby na niego przy zapalonym świetle? Poza tym, czy Beau, który leżał obok łóżka i walił ogonem w podłogę, pozwoliliby

się tu kręcić komuś obcemu?

Ma zbyt wybujałą wyobraźnię i musi ją ujarzmić, tak samo

jak musi zwalczyć myśl, że jeszcze czuje zapach perfum na

białym jedwabnym stroju do joggingu, który Vickie nosiła tamtego wieczoru.

Z westchnieniem potrząsnął głową i wszedł do pokoju.

Przywitał się z Beau, a potem zdjął odznakę i podszedł do toaletki, by ją tam odłożyć. Za odznaką poszła kolej na radio i kolekcję przedmiotów, które nosił przy pasku, a także zegarek. Potem rozpiął koszulę i wyciągnął ją zza paska. Jego myśli krążyły całe lata świetlne stąd. Zrzucił buty, najpierw jeden,

potem drugi i porządnie je ustawił koło toaletki. Potem jednym

ROAN Jennifer Blake 375

ruchem ramion zsunął koszulę i cisnął ją na krzesło. Wreszcie

odwrócił się, by iść do łazienki.

- Jeszcze nie skończyłaś. To, co zobaczyłam do tej pory,

podoba mi się, ale dopiero teraz staje się naprawdę interesujące.

- Vickie! - wykrzyknął w oszołomieniu. Wpatrywał się

w nią z niedowierzaniem, gdy szła, by zagrozić mu drogę do

łazienki. Miała na sobie podkoszulek i dzinsy, a jej włosy były

zaczesane do tyłu i związane w długi koński ogon. W rękach

trzymała pistolet, który wzięła z jego nocnej szafki. Przeniósł

spojrzenie z czarnego wylotu lufy na jej spokojne orzechowe

oczy.

- Co ty tu robisz?

- Przyjechałam, żeby ci oddać super birda. Jest znów lśniący, a silnik działa jak nowy. Przyjechałam sama, bo nie wyglądało na to, że się po niego zgłosisz - wyjaśniła. - Lecz gdy już tu się znalazłam, postanowiłam, że ty też musisz się

dowiedzieć, jak to jest, gdy człowiek znajduje się na czyjejs

łasce. No, zdejmuj resztę, szeryfie. Rozbieraj się do naga.

- A jak nie, to co? Zastrzelisz mnie?

- Może tak. Może się dowiesz również, jak wtedy człowiek się czuje.

Pokiwał głową.

- Dlaczego to robisz? O co ci chodzi?

- Może o zemstę? To całkiem dobry powód.

- Bo trzymałem cię tu w areszcie?

- I za ten cholerny monitor. Nienawidziłam go i dobrze o tym wiedziałeś.

Owszem, wiedział, chociaż wydawało mu się, że doskonale wytłumaczył jej powody, dla których musiała go nosić. Znów pokiwał głową.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

- A spodziewałeś się kogoś innego? - spytała zimno.

376 ROAN Jennifer Blake

- Boże, nie! Po prostu nigdy nie myślałem...

- Najwyraźniej. Wydaje mi się, że jestem ostatnią osobą, o której myślisz, albo którą chciałbyś znów zobaczyć.

- Nie to chciałem powiedzieć. - Roan mówił ochryplym

głosem, ale nie zważał na to.

Przechyliła głowę na ramię.

- Naprawdę nie to? Po tym, jak uciekłeś ode mnie z Sa-

nibel? Tym razem jednak mi nie umkniesz, dopóki nie wyjaśnimy sobie pewnych spraw.

- I dlatego chcesz, żebym się rozebrał do naga?

- A po co innego? - odparła hardo.

Rzeczywiście, po co? Zdumiewające, jak bardzo rozczarowany się poczuł. Podczas tej rozmowy Vickie wymierzyła pistoletem w jego brzuch. Miał nadzieję, że ta cholerna armata jednak nie

wypali, nie wiedział też, jak rozbroić tę rozgniewaną kobietę. Tylko na filmach akcji bohater mógł spokojnie podejść do uzbrojonej dziewczyny i spokojnie wyjąć z jej z ręki pistolet, natomiast

w rzeczywistym życiu każdy idiota, który by tego popróbował,

mógł zostać kaleką na resztę życia albo nawet zginąć.

Z drugiej strony wcale nie miał zamiaru psuć tego, co zapowiadało się tak interesująco. Jeżeli chciała go zobaczyć nago, z przyjemnością jej to umożliwi. Zaczął rozpinąć klamrę paska,

przez cały czas patrząc na Vickie.

- Co takiego musimy wyjaśnić? - spytał. - Mnie się wydawało, że jesteśmy kwita.

- Czyżby? - Vickie się uśmiechnęła. - Prawie mnie zabi

łeś, więc dla wyrównania rachunków potem uratowałeś mi życie. Właśnie dlatego twierdzisz, że jesteśmy kwita? Ja tak nie uważam. Byłam tu przetrzymywana pod kluczem przez całe

tygodnie, straszona rozprawą sądową. Potem dowiedziałeś się,

kim jestem i nagle przyszłość przestała istnieć, a ty odszedłeś.

Dlaczego?

ROAN Jennifer Blake

377

- Wszystko się zmieniło - powiedział, wyciągając pasek

ze szlufek. Potem sięgnął do guzika przy spodniach. - Ty się zmieniałaś.

Vickie spojrzała na to, co robił, i znów podniosła wzrok.

- Jak? Poznałeś moje prawdziwe imię i moją przeszłość, ale ja pozostałam taka sama. To ty się zmieniłeś.

- Naprawdę? Okłamałaś mnie i wszystkich w Turn-Coupe.

Kryłaś się za tymi kłamstwami i robiłaś z nas głupców. Potem, gdy nadszedł na to czas, wyjechałaś, nie pomyślawszy, jak my się pocujemy.

- To nieprawda!

- Chyba jednak tak. - Rozpiął guzik, szarpnięciem otworzył suwak, ale nie zdjął spodni. Pozwolił, by zatrzymały się na biodrach. - Nie chciałaś albo nie potrzebowałaś od nas pomocy. Wolałaś skorzystać z porad swoich prawników i księgowych oraz całej reszty ludzi, którzy dotąd kierowali twoim życiem. Doskonale to rozumiem, tylko nie spodziewaj się, że

będziemy tu z tęsknotą czekać, aż zauważysz, że my nadal istniejemy.

Patrzyła na niego przez długą chwilę.

- Mówisz „my”, ale masz na myśli „ja”, prawda? Jesteś pewien, że cię nie potrzebuję.

- Wiem, że nie, bo zobaczyłem, jak żyjesz.

- Naprawdę? A zobaczyłeś, jaka byłam samotna i zagubiona? Nie zauważyłeś, że w moim życiu nie było nikogo, kogo mogłabym kochać i kto odwzajemniałby moją miłość,

a poprawne stosunki z domownikami zawdzięczałam tylko temu, że interesowali się moimi pieniędzmi?

- No to poznasz jeszcze mężczyznę, który będzie miał tyle

samo pieniędzy co ty, takich samych przyjaciół, pochodzenie

i poglądy. Przy odrobinie szczęścia może nawet mieć tytuł szlachecki.

- I tobie się wydaje, że to ma dla mnie jakieś znaczenie?!

- krzyknęła. - Chcę założyć rodzinę. Pragnę mieć wokół siebie

ludzi, którzy będą utrzymywali ze mną stosunki dla mnie samej, a nie dlatego, że mój dziadek był włoskim arystokratą, a na koncie mam miliony! Chcę do kogoś należeć i mieć kogoś, kto by należał do mnie. Pragnę...

Ku rozpaczcy Roana, gwałtownie zamilkła.

- Więc czego chcesz? - spytał miękko. - A może powinienem powiedzieć: kogo?

Uniosła głowę.

- Mówiłam przecież, że chcę, żebyś się rozebrał do naga.

- Znasz to stare powiedzenie, że należy ostrożnie wypowiadać życzenia, bo mogą się spełnić? - Ściągnął spodnie i spodenki, wciąż patrząc na Vickie. Zarumieniła się, ale nie

przejął się tym.

- Mam już dość ostrożności - powiedziała. - Całe życie

byłam ostrożna i gdzie mnie to doprowadziło? Mojego narzeczonego interesował tylko mój majątek, zostałam uprowadzona, ranna, uwięziona, obśliniał mnie wielki głupi pies, byłam zdradzona, oszukana, prawie utopiona, a potem oddana w ręce

florydzkiej policji i wielu prawników. Mam tego dosyć. I skończyłam z tym.

- Więc co zrobisz? - Rzucił spodnie na łóżko i rozpostarł

szeroko ręce. - Teraz, gdy już jestem nagi, co dokładnie zamierzasz mi wyjaśnić?

Przyglądała mu się zmrużonymi oczami.

- Doskonale się bawisz, prawda? Myślisz, że to śmieszne.

- Myślę - powiedział ostrożnie - że bywałem w gorszych sytuacjach.

- Chcesz powiedzieć: bardziej niebezpiecznych - rzekła z urazą.

- Nie tak przyjemnych - skorygował.

Wzniosła oczy ku niebu, a potem spoj'rzała na niego oskarżająco.

- Wiedziałam! Myślisz, że nie strzelę i wcale się mnie nie boisz.

- Jestem przerażony - powiedział miękko i powoli zaczął

do niej podchodzić. - Jestem przerażony, że gdy już skończymy rozmawiać, nie będziesz chciała ze mną zostać.

- Co za głupota. Nie zamierzam już nigdy stąd wyjeżdżać.

- Boję się też, że nie zechcesz być ze mną nago.

- Jeszcze większa głupota. Zawsze chciałam to zrobić.

Następne zdanie było o wiele ważniejsze.

- Boję się, że nigdy nie będziesz szczęśliwa w naszej spokojnej okolicy.

- Mam dosyć przygód na całe życie.

- Boję się, że nigdy nie pokochasz mnie na tyle, by wejść

do rodziny, w której jest zwariowany nastolatek i stary wszystkowiedzący mężczyzna, a także banda wtykających wszędzie nos Benedictów, którzy nigdy nie przestaną wtrącać się w nasze sprawy.

- To już prawdziwa głupota. Nie mogę nawet myśleć o niczym lepszym niż wejście do waszej rodziny. I kocham cię.

Chyba o tym wiesz?

- Zaczynam się tego domyślać.

Zacisnęła usta, odwróciła głowę i rzuciła pistolet na łóżko.

- I tak nie był naładowany.

- Wiem - powiedział przepaszająco.

- No tak. Mogłam zgadnąć - rzekła z uśmiechem.

- To rewolwer. Po jakimś czasie spostrzegłem, że komora

jest pusta.

- No trudno. Zresztą i tak to był głupi pomysł.

- Wcale nie, jeżeli w ten sposób chciałaś zwrócić na siebie

moją uwagę. - Był już tak blisko, że mógł dotknąć jej prze-

380

ROAN Jennifer Blake

ślicznej twarzy i spowodować, by na niego znów spojrzała. -

I tak się stało.

- Byłam na ciebie wściekła - szepnęła, zasłaniając oczy

rzęsami.

- Wiem, i przepraszam cię za wszystko, co, twoim zdaniem, robiłem źle.

Wtedy na niego spojrzała.

- Nie wiesz tego? Naprawdę nie wiesz, co robiłeś źle?

Teraz on się rozzłościł.

- Myślałem, że przedstawiłaś mi już całą listę moich przewinień, zaczynając od strzału, a skończywszy na tym, że uciekłem od ciebie, gdy aresztowano Mełankę.

- Nie zapominaj także o tym - powiedziała dobitnie - że

gdy byłeś u mnie na Florydzie, nie chciałeś ze mną spać, odmówiłeś zabrania mnie do Torn-Coupe i nie pocałowałeś mnie na do widzenia.

- Widzę, że muszę pokajać się za mnóstwo rzeczy - przyznał skruszony. Przyciągnął ją do siebie i przytulił. - Nawet nie wiem, od czego mam zacząć.

- Ale ja wiem - wyszeptała stłumionym głosem, bo usta mia

ła przyciśnięte do jego szyi. Zaczęła go muskać delikatnymi, motylimi pocałunkami, od których poczuł cudowny dreszcz.

- Więc od czego?

- Od tego, że powiesz mi w końcu, czego ode mnie chcia

leś, gdy przywiozłeś mnie do Dog Trot.

- Co takiego?

- Obiecałeś, że mi to powiesz, gdy będę na tyle zdrowa,
by tego wysłuchać.

Mruknął coś, mocniej ją przytulił i przycisnął usta do czubka jej głowy.

- Za dużo gadałem. A chodziło mi tylko o to... Zawsze
tylko o to.

ROAN Jennifer Blake

381

Zacisnęła ręce na jego ramionach.

- Mógłbyś mi też powiedzieć, że mnie kochasz.

- Bardziej niż życie, ale muszę ci też wyznać, zanim posuniemy się dalej, że wcale nie żałuję, iż
kazałem ci nosić monitor.

- Wiem.

Pochylił się, żeby móc jej spojrzeć w oczy,

- Wiesz?

- Lubisz mieć przy sobie ludzi, których kochasz. Chcesz

wiedzieć, gdzie przebywają w każdej sekundzie, żebyś mógł
natychmiast być przy nich, gdy popadną w kłopoty.

- Zrozumiałaś. - Westchnął z ulgą.

- Mimo to po ślubie nie będę go nosiła. Chyba że...

- Co? - spytał drżącym głosem.

- Chyba że ty też będziesz nosił coś takiego. - Stała na

palcach i pocałowała go w brodę.

- W żadnym wypadku!

- Na pewno? - Pocałowała go w kącik ust.

- Na pewno.

- Jak bardzo na pewno? - szepnęła i dotknęła swoimi słodkimi, kuszącymi ustami jego warg.

No cóż, pomyśli o tym później.